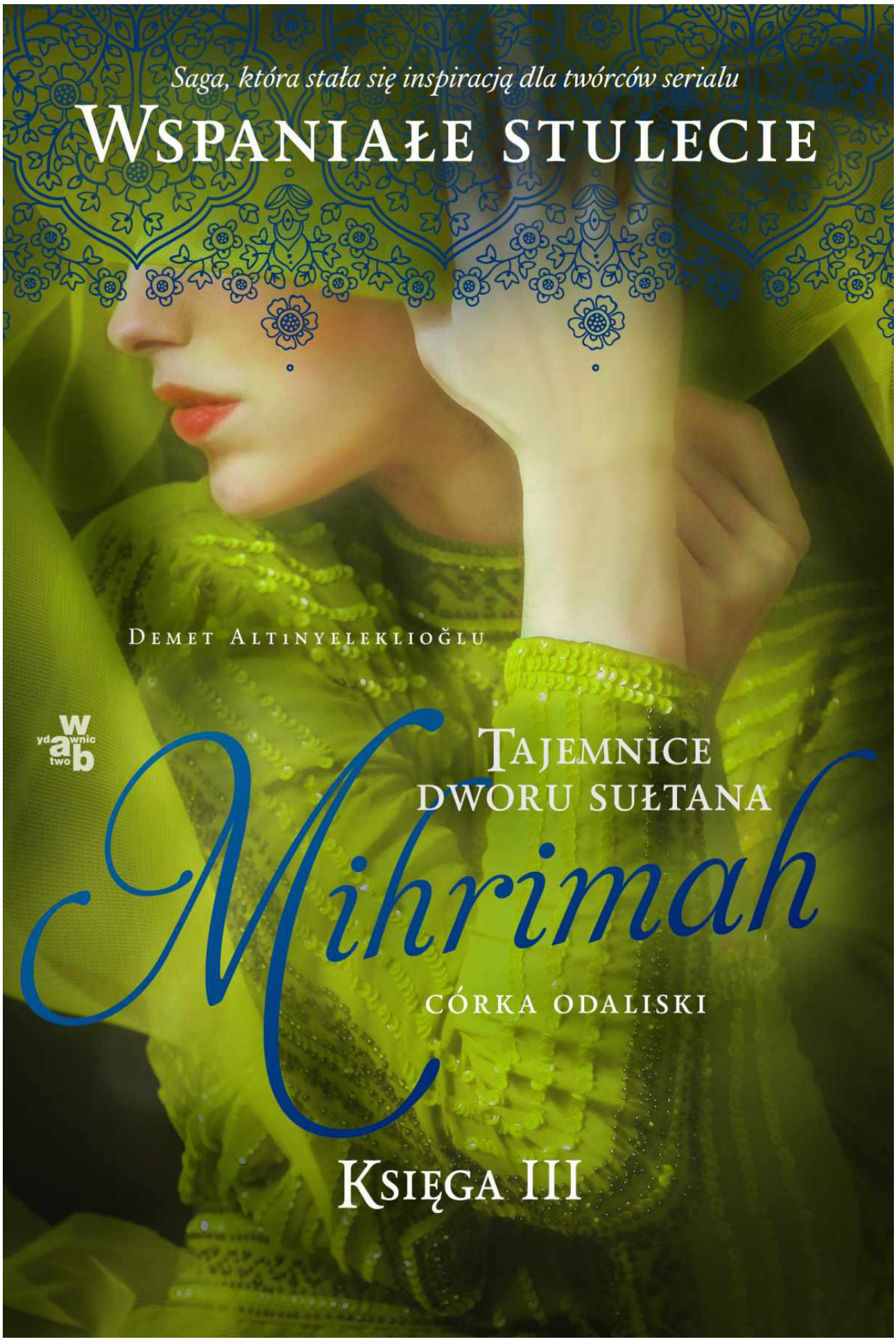

Saga, która stała się inspiracją dla twórców serialu
Wspaniałe stulecie
Demet Altinyeleklioğlu
Tajemnice dworu sułtana
Mihrimah
Córka odaliski
Księga III

Demet Altinyeleklioğlu

MIHRIMAH. CÓRKA ODALISKI. KSIĘGA III

Tajemnice dworu sułtana

przełożyła Agnieszka Erdoğan

wydawnictwo wab

Tytuł oryginału: *Cariyenin Kızı Mihrimah*

Copyright © Demet Altinyeleklioğlu

Copyright © Kalem Agency

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Erdoğan, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

Dedykacja

Marzec 1522

Pałac Alkazar. Hiszpania, Sewilla 1528

Hagia Sophia. Stambuł. Wiosna 1535

Nowy Pałac, harem 1528

Gdzieś na Morzu Tyrreńskim

Nowy Pałac, harem. Stambuł

Morze Tyrreńskie. Twierdza Korfu

Nowy Pałac, harem. Stambuł

Morze Tyrreńskie. Twierdza Korfu

Nowy Pałac, harem. Kwiecień 1530

Stary Pałac, Stambuł. Tego samego dnia

Nowy Pałac, harem

Nowy Pałac, harem

Hipodrom. Stambuł

Kwatery leventów. Stambuł

Nowy Pałac, harem

Kwatery leventów. Stambuł

Okręt kapitana Hyzyra. Morze Marmara

Nowy Pałac, harem

Twierdza Genueńska. Stambuł

Koszary janczarów. Eyüp, Stambuł

Nowy Pałac, harem

Pałac w Manisie

Nowy Pałac, harem

Kwatery leventów. Stambuł

Nowy Pałac, harem

Przypisy

Dla mojego wuja Dżejhana

Marzec 1522

Dzień dawno połączył się z nocą. Stolicę Imperium Osmańskiego okryła gwiaździsta kołdra. Było tak zimno, że oddech zamarzał, a gwiazdy drżały, jakby za chwilę miały spaść z nieba. Przez cały dzień rozbrzmiewały bębny, a heroldowie głosili w imperium radosną wiadomość.

Wszyscy wyszli z domów, aby uczcić szczęście padyszacha i jego nowej haseki. Gdy nastał zmrok, ulice opustoszały. Nikt nie miał odwagi stawić czoła zimnu. I tak radość dynastii Osmanów zamieniła się w szept.

Trzy osłonięte od stóp do głów kobiety wciąż były na ulicy. Drżały, ale nie z powodu nocnego chłodu.

W ruinach murów, gdzie się ukryły, rozpaliły ognisko. Zbliżyły się do siebie głowami i położyły je sobie na ramionach, obracały się wokół płomienia. Ich ruchy przywodziły na myśl taniec księżyca, a wpatrzone w ogień twarze były pozbawione uśmiechu. Ich cienie, padające na zniszczoną, wilgotną ścianę naprzeciwko, wyglądały jak cienie olbrzymów. Jedna z kobiet zaczęła mruczeć słowa sekretnej modlitwy.

Jej głos stawał się coraz głośniejszy, aż zmienił się w krzyk.

– Przybądź! – wrzasnęła.

– Minonko, pani dżinnów! – zagrzmiała druga.

– Dżinnie czerni, czerwieni i purpury! – krzyknęła trzecia.

– Przynieś nam wieści od małej dziewczynki! – rozbrzmiał

głos wszystkich trzech.

– Przeżyje?

– Czy będzie szczęśliwa?

– Czy będzie kochana? Czy zrodzi potomstwo? Ile? Ile?

– Powiedz nam! Powiedz nam, pani dżinnów!

Przerażający taniec wokół ogniska stał się szybszy. I jeszcze szybszy, i jeszcze. Uderzały piętami o zimną ziemię. I nagle wszystkie trzy, wyrzucając jednocześnie ramiona w górę, wykrzyknęły: „Minonkooo!”.

W tej samej chwili zsunęły z głów kaptury, ukazując trzy brzydkie, brudne i zdradzieckie twarze. Podczas gdy dwie kobiety przykucnęły przed ogniskiem, trzecia stanęła nieruchomo z podniesionymi rękoma i rozwartymi palcami, jakby wczepionymi w nocny chłód. Kręcąc głową w obie strony, mruczała coś niezrozumiale. Przez oświetlające je ognisko jej oczy na zielonkawej twarzy wyglądały jak dwa żarzące się węgle.

– Powiedz – błagała. – Ukaż nam przyszłość!

Pozostałe kobiety zaczęły nucić jakąś pieśń płaczliwym głosem.

Stojąca wyciągnęła ręce w ciemność, jakby miała zamiar kogoś złapać.

– Zdrada – jęknęła. – Tam! – Teraz dźwięk, jaki z siebie wydawała, nie przypominał już ludzkiego głosu. Był jak syk węża.

W miejscu, które wskazała, daleko przed nimi stał pełen

szczęścia pałac sułtana Sulejmana.

Przykucnięte kobiety uniosły się, obejmując kolana towarzyszki.

– Powiedz, Minonko! Zdradź nam przyszłość!

Niespodziewanie noc i mróz rozdarł krzyk, który wydobyła z siebie stojąca kobieta.

– Tysiące skorpionów, tysiące pluskiew. Biada nam, biada!

Jej okryte czarną szatą ciało opadło na ziemię.

Pozostałe kobiety zamarły.

– Nie żyje? – zapytała pierwsza.

– Zaatakował ją dżinn? – odezwała się druga.

Pośród rozciągniętego na ziemi czarnego materiału widać było pokrytą czyrakami, paskudną twarz. Czarownica najpierw delikatnie się uśmiechnęła, a następnie wybuchła dzikim śmiechem. Miała lodowate spojrzenie. Zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego – zaczęła zawodzić wężowym głosem.

– Krew, później też krew. Zdrada. I znowu krew!

Głos zamieniający się w wycie zawisł w przeraźliwym zimnie.

Czarna chmura zasłoniła księżyc.

Pałac Alkazar
Hiszpania, Sewilla 1528

Dzwonienie ostro zakończonych ostróg przy jego wysokich ciżmach mieszało się z chrzęstem szabli, którą miał przytwierdzoną do pasa opinającego go od prawego ramienia do talii. Przy każdym kroku wielki bikorn[1] ozdobiony pawimi piórami drżał, a czerwona peleryna spływająca z lewego ramienia powiewała za nim.

Kobiety stojące w grupkach w długim korytarzu pałacu Alkazar wzrokiem pełnym ciekawości śledziły kroczącą dumnie postać. W jednej chwili temat ich plotek przeniósł się z namiętnych nocy cesarza na mężczyznę, którego nie widziały zbyt często, jednak bezsprzecznie twierdziły, że był przystojny.

Żółto-białe barwy z emblematem kluczy, które nosił na piersiach, zdradzały, że przybył z Rzymu. Jego ukryta pod peleryną lewa ręka opierała się na okrągłej rękojeści szabli. Przybysz nie był zatem duchownym.

– To nawet lepiej – chichotała kobieta, odziana w suknię tak opiętą, że jej piersi sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały wyskoczyć. – Przynajmniej możemy mieć nadzieję, że zaciągniemy go do łóżka. Zobaczymy, której się to uda.

Pozostałe kobiety roześmiały się, zakrywając usta jedwabnymi chusteczkami.

Jedna z kobiet, poruszając wielkim wachlarzem, wyszła naprzód, żeby pokazać się nieznajomemu.

– To jasne, z którą z nas spędzi dzisiejszą noc. Możecie być pewne, że go wam nie zostawię.

– Jeśli po królowej coś dla ciebie zostanie. – Kobieta stojąca obok roześmiała się.

Gdy spomiędzy kolumn wysunął się marszałek, przybysz doszedł już do dwuskrzydłowych drzwi. Kiedy dwóch służących powoli je uchyliło, marszałek wyszeptał:

– Tylko nie zapomnij o pozdrowieniu.

Przez otwarte drzwi, wraz z gorącym powietrzem, wydobyły się na zewnątrz kobiece i męskie głosy. Ustawieni po dwóch stronach wartownicy w jednej chwili zadęli w długie, mosiężne trąbki. Pomieszczenie wypełniło się ich dźwiękiem. Gdy umilkły, marszałek przebiegł przez próg, wyciągnął do przodu prawą nogę, skłonił się głęboko i krzyknął damskim głosem:

– Król Hiszpanii i Niemiec, Holandii i Belgii, Sycylii i Neapolu, arcyksiążę Austrii, święty spadkobierca i strażnik Wielkiego Rzymu, cesarz Karol I[2]…

Ponownie rozległ się dźwięk trąbek.

Przybysz westchnął, ale ustawieni po dwóch stronach, przepełnieni ciekawością zgromadzeni nie mogli tego usłyszeć.

– Co z niego za cesarz? To raczej tchórz umykający z pola walki – mruknął, kierując się w stronę Karola siedzącego po drugiej stronie sali na tronie ustawionym na podwyższeniu.

Trąbki znów ucichły. Tym razem marszałek wykrzyknął:

– Wasza Ekscelencjo! Poseł Jego Świątobliwości Klemensa VII, Florentczyk, Giuliano Ottaviano de Medici[3]!

Poseł energicznie kroczył przez tunel z trąbek, który utworzył się nad jego głową. Nie omieszkał przy tym zlustrować otoczenia. Z wysokich drzewców, ustawionych przy sięgających niemal sufitu wysokich oknach, zwisały kolorowe chorągwie i proporce. Większość z nich to były flagi imperium, które Karol sam ustanowił, przedstawiające dwugłowego czarnego orła na żółtym tle. Na proporcach przeważała purpura – barwa symbolizująca potęgę Rzymu.

Ze swojego tronu, ustawionego na podwyższeniu, pod zwisającym z sufitu olbrzymim żyrandolem Karol chytrym wzrokiem obserwował posła. Siedział w koronie imperium, którą trzy lata wcześniej papież zmuszony był włożyć mu na głowę, żeby ratować Rzym[4].

„*Parszywy bękart, ulubieniec losu*”, pomyślał de Medici ze złością. Nie było na tym świecie człowieka, który miałby tak wielkie szczęście. Przedstawiciele rodu jego szalonej

matki[5] w ciągu jednego roku jeden po drugim umarli, zostawiając mu trony Hiszpanii, Holandii, Belgii i nie wiadomo, czego jeszcze. Dokonał tego, co nie udało się nawet Attyli. Z hordami germańskimi najechawszy Rzym i uwięziwszy papieża Klemensa VII, złupił święte miasto. Klemens został zmuszony ogłosić go cesarzem. Gdyby zapytać o to de Mediciego, odpowiedziałby: „Każdy w świecie chrześcijańskim bardziej zasługuje, żeby zasiadać na świętym tronie Karola Wielkiego[6], niż Karol V". Tak bardzo nienawidził mężczyzny, który mierzył go zuchwałym spojrzeniem.

Skierował wzrok na dwóch mężczyzn z czarnymi brodami, odzianych w czarne sutanny, z czarnymi mitrami na głowie, którzy zajmowali miejsce przy tronie. Spojrzenie obydwu podobnych do siebie mężczyzn o orlich nosach było jeszcze bardziej złowieszcze niż ich władcy. Tron królowej Izabeli[7] był mniejszy i znajdował się po lewej stronie tronu męża, ale o stopień niżej. W oczach kobiety bardziej niż ciekawość malowało się upodobanie. Przez chwilę de Medici zastanawiał się, jak królowa może udźwignąć tak ogromne piersi. Próbował stłumić fantazje związane z biustem Izabeli. Skłonił się lekko, z gracją zdejmując futrzaną czapkę.

Karol wziął z pobliskiego stolika wielką kiść winogron i przystawił ją do ust. Zatrzymał się, zanim ją ugryzł.

– Co takiego przynosisz mi od Jego Świątobliwości, pośle?

De Medici wyprostował się na dźwięk wyniosłego głosu Karola. Pewnym wzrokiem spojrzał na cesarza obgryzającego grono, z którego owoce upadały na podłogę.

– Nic – odparł poważnie. – *Nie przyszedłem z czymś, lecz po coś.*

W sali rozległy się okrzyki niedowierzania.

– Co powiedział? – pytali stojący dalej, próbując dowiedzieć się, co się stało.

Było jasne, że Karol również się zdziwił. Unosząc rękę, w której trzymał winogrona, uciszył zgromadzonych, a przez to spadło na niego kilka owoców. To, co pozostało, rzucił

z powrotem na stolik. Nie spodziewał się ani takiej odpowiedzi, ani tak śmiałego spojrzenia. We wzroku posła było coś dziwnego. Jakby mężczyzna próbował coś powiedzieć. „Co?! – ryknął w duchu. – Co tak patrzysz? Co to ma znaczyć? Co znowu knuje ten przeklęty starzec?”.

Jeszcze przez chwilę patrzył na posła pytającym, podstępnym wzrokiem. Nagle rozszyfrował spojrzenie mężczyzny. „To, co chce powiedzieć, jest poufne. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej. Wszędzie wokół pełno jest osmańskich szpiegów”.

Podniósł się.

– Chodź – odezwał się do de Mediciego.

Karol wykonał ruch ręką nakazujący, żeby ci, którzy wraz z nim zerwali się ze swoich miejsc, usiedli. Gniewnie zszedł po czterech stopniach.

– Porozmawiajmy w ogrodzie – syknął do posła. – Mam nadzieję, że masz słuszny powód, żeby psuć mój dobry nastrój.

*

Przez jakiś czas w milczeniu spacerowali po ogrodzie skąpanym w czerwonym słońcu Sewilli, w którym unosił się niewiarygodny zapach róż. Ciszę przerwał Karol.

– Jakie są najświeższe wieści od twoich szpiegów?

– Jakich szpiegów? – zapytał de Medici, żeby wzbudzić gniew mężczyzny. „To spędzi ci sen z powiek”, pomyślał. – Jego Świątobliwość wszędzie ma oczy i uszy. O których mówicie?

Karol postanowił zignorować aluzję posła. Mężczyzna miał rację. Papież wszędzie miał swoich szpiegów. Nie zdziwiłby się nawet, gdyby jeden z nich wyszedł spod jego łóżka. Niektórzy z nich nosili czarne sutanny, inni odziani byli w szaty wysokich dostojników Kościoła, któremu się zaprzedali. Były też prostytutki. Świątobliwe kurwy! Upijały winem żołnierzy i zaciągając ich do łóżka, próbowały ciągnąć ich za język. Bez wątpienia nie robiły tego, żeby zapewnić sobie miejsce w raju. Wolały za rzymskie złoto urządzić sobie niebo na ziemi.

– Oczywiście ci w Konstantynopolu, *señor*. Tylko nie

mówcie mi, że Jego Świątobliwość nie obserwuje Sulejmana dniem i nocą.

– Nawet jeśli tak powiem, nikt w to nie uwierzy. Poza tym kłamstwo jest grzechem. Boję się grzechu.

– To dobrze. W takim razie powiedz, co robi Sulejman.

– Umila sobie czas w towarzystwie dwóch piękności, które skradły jego serce, Wasza Wysokość.

– Zatem popełniliście grzech. Myślicie, że uwierzę w to łgarstwo?

– To nie łgarstwo. Sulejman jest zajęty dwiema kobietami niezwykłej urody.

– Słyszeliśmy, że rozum odebrała mu jakaś ruska dziewka, ale to było już dawno. Teraz pojawiła się jeszcze jedna?

– To prawda, że ruska dziewka zawładnęła rozumem sułtana. Wiecie zapewne, że Wenecjanie nazywają ją Rusłana. Sulejman nadał jej imię Hürrem. Wciąż ją ubóstwia.

– Cóż to za uwielbienie? – mruknął kpiąco Karol. – Oprócz ukochanej kobiety wziął sobie następną. Tę drugą też ubóstwia? Teraz ma dwie boginie?

De Medici spojrzał na niego lekceważąco.

– Mylicie się. Drugą pięknością jest córka sułtana. Dziewczynka, którą urodziła Rusłana. Ci, którzy ją widzieli, twierdzą, że jest równie piękna jak jej matka. Ma na imię… Trochę trudno to wymówić… – Zamilkł, próbując sobie przypomnieć. – Mmm… Mih… Ach… Tak! Mih…ri…mah… Podobno oznacza to słońce i księżyc. Jednak nie byliście całkiem w błędzie, ponieważ padyszach ubóstwia również swoją córkę. Poseł wenecki Giritti na własne oczy widział, jak sułtan bawił się z nią w pałacowym ogrodzie. To nie do pomyślenia. Ten Giritti znalazł sposób, by bardzo zbliżyć się do wielkiego wezyra Sulejmana – Ibrahima. Wielki wezyr powiedział mu: „Nasz pan ma dwie dusze. Jedna to ta ruska kobieta, a druga – jej córka”.

– I wy w to wierzycie, tak? – Karol uśmiechnął się kpiąco. – Syn Osmanów się nie bawi. Nie spędza zbyt wiele czasu z jedną kobietą. Szczególnie wtedy, gdy jego harem pełen jest

największych piękności świata. Sulejman was zwodzi.

– Jego Świątobliwości nie można zwieść.

– Zapewne Sulejman w sekrecie przygotowuje armię. Podczas gdy my będziemy przekonani, że używa sobie w haremie, pewnej nocy poczujemy nagle jego szablę na gardle.

– Jego Świątobliwość bardziej interesuje się nie tym, co on robi, ale tym, czego my nie powinniśmy czynić.

– Gadanie! – Karol obrzucił go piorunującym wzrokiem. – Co my takiego robimy? Nic!

De Medici przystanął. Sprawdził, czy w pobliżu znajduje się ktoś, kto mógłby ich usłyszeć. Nachylił się do swojego rozmówcy.

– Przybyłem, żeby właśnie o tym z wami porozmawiać – wyszeptał. – Jego Świątobliwość ma pomysł bardziej śmiercionośny niż wielka armia.

– Co to takiego?

Ich spojrzenia się spotkały. Karol nie mógł jednak znieść złowieszczego cienia w oczach papieskiego posła.

– Chce jednocześnie odebrać Sulejmanowi jego dwie dusze – syknął.

Karol patrzył osłupiały.

– To wszystko – mówił dalej, czując satysfakcję z reakcji, jaką wywołały jego słowa. – Jednak żeby mieć pewność, że plan się powiedzie, Jego Świątobliwość potrzebuje waszej pomocy.

Karol poruszył się z radością. „*Potrzebuje mnie* – pomyślał. – Jestem mieczem Rzymu”.

– Jakiej pomocy?

– Jego Świątobliwość chce czegoś, co jest w waszym posiadaniu.

– Czego?

De Medici wprowadził cesarza w cień drzewa o grubym pniu.

– Człowieka, który wyrwie serce Sulejmanowi, gasząc jego słońce.

Tej nocy de Medici nie mógł spać. Rozważał rozmowę, którą odbył z Karolem. Chyba nie potrafił przekazać mu tego, co chciał.

Sam też nie był pewien, na ile jest o tym przekonany. *Miał stworzyć człowieka*. Kogoś, kto nie istniał i po wszystkim znów przestanie istnieć. Kogoś, kto miał zmienić się w bezlitosną broń. To wszystko, co wiedział.

Pewnego wieczoru papież rozpoczął ten temat. W głębokich ciemnościach wpatrywał się w drżące światła barek odbijające się w wodach Tybru.

– Co o tym myślisz? – zapytał Klemens na zakończenie.

– Zadziwiające i śmiałe – odparł.

– Tak – odpowiedział papież. – Nie będą się tego spodziewać. W żadnym wypadku nie będą się tego spodziewać.

Giuliano de Medici przez chwilę wpatrywał się w twarz papieża. Nawet twarze zmumifikowanych ciał papieży w kryptach bazyliki wyrażały więcej – strach, cierpienie, smutek, że muszą rozstać się z tym światem. Niepokój odczuwany na początku drogi w nieznane i może też panikę, gdy zrozumieli, że nadszedł dzień, w którym muszą się rozliczyć ze swoich skrywanych grzechów. Tymczasem na twarzy Klemensa nie drgnął ani jeden mięsień. Przywódca świata chrześcijańskiego stał naprzeciw niego niczym pomnik rzymskiego senatora, z oczami przymkniętymi, jakby pod wpływem przepełniającego go natchnienia.

– A szansa na powodzenie? Jaka jest waszym zdaniem szansa na powodzenie, panie?

Mężczyzna nie czuł nawet potrzeby obdarzenia go spojrzeniem.

– To zależy od ciebie, kuzynie.

– Jak to możliwe? Jeden mężczyzna?

– Czasem jeden człowiek potrafi dokonać więcej niż potężne wojsko, Giuliano.

Pokiwał głową na znak, że zgadza się ze słowami papieża, który jak on należał do rodu de Medici.

– Jednak musi to być człowiek dobrze wybrany, właściwie uformowany – powiedział Klemens. – Jeśli dokonamy niewłaściwego wyboru, nie uda nam się.

– *Serbski Sztylet* jest w drodze – mruknął de Medici.

Tak brzmiało zaszyfrowane imię mordercy, który miał się dostać do pałacu Sulejmana i odebrać mu życie.

– Tylko nie mów mi, Giuliano, że wierzysz, iż Sztylet osiągnie cel. Potrzebuję *żmii*. Właśnie jej chcę.

Papież ponownie przymknął oczy.

De Medici, zrozumiawszy, że nadszedł czas, żeby się oddalić, skłonił się przed duchownym. Dokładnie w chwili, gdy miał się odwrócić i zejść z balkonu, poczuł, że ktoś chwycił go za nadgarstek. Klemens wyglądał teraz jak skóra i kości. Była to jego ręka, która zamieniła się w szpony szkieletu. Mężczyzna zacisnął palce na jego nadgarstku z niespodziewaną siłą jak na jego wiek.

– Cisza – wyszeptał papież. – Głucha cisza. Bądź głęboki jak bezdenna studnia i cichy, mój synu.

Giuliano pokiwał głową.

– Nie dawaj mu wskazówki.

Ponownie pokiwał głową.

– Daj do zrozumienia temu tępemu cesarzowi, że jest najmądrzejszy. Niech myśli, że wszystko wie. Niech sądzi, że go potrzebujemy.

– Oczywiście, Ojcze Święty.

– Nie zostaw żadnego śladu.

Trupie palce wciąż zaciskały się na jego nadgarstku. De Medici zamrugał, starając się odpowiedzieć: „Tak jest”.

– Niech wiedzą o tym tylko ci, którzy muszą.

– Ten, kto dowie się więcej, niż powinien, nie może pozostać przy życiu.

– Rozumiem.

– Nie tylko ten, kto się dowie, lecz nawet ten, kto będzie coś podejrzewał.

Nastała chwila ciszy. Papież czekał na jego reakcję.

– Tak się stanie, Ojcze Święty.

– Nawet ty, Giuliano, jeśli poczujesz, że możesz być zagrożeniem.

De Medici zadrżał.

– Nawet ja – wyszeptał.

– Jesteś gotów się poświęcić, synu?

Był to oczywisty wyrok śmierci.

– Jestem gotów, panie.

Szkielet rozluźnił uścisk.

– Aż do otrzymania ostatniego rozkazu nie może wiedzieć, do czego został powołany.

– Nie dowie się.

– Jednak gdy tylko usłyszy święty rozkaz, stanie się zwinny i zabójczy jak kobra.

– W takim razie niech od teraz nazywa się *Kobra*.

Pokiwał głową.

– Kobra.

– Zatem ruszaj, Giuliano. Wyciągnij Kobrę z gniazda.

De Medici wzdrygnął się na wspomnienie papieskiego rozkazu. Właśnie po to przybył do Karola – żeby wyciągnąć Kobrę z gniazda.

Jednak wcześniej musiał poradzić sobie z cudnie pachnącym cieniem, który w środku nocy wślizgnął się do jego komnaty. Ciemności spowijające pomieszczenie nie pozwoliły mu dostrzec twarzy cienia.

– Ciii… – odezwała się kobieta.

De Medici nie mógł zobaczyć twarzy niespodziewanego gościa, ale dotknąwszy pełnych piersi, domyślił się, do kogo należało gorące, nagie ciało, które znalazło się w jego łożu. Kobieta weszła na niego, ocierając się rozpalonym jak ogień nagim ciałem.

– Ciii… – powtórzyła.

Giuliano de Medici nie odezwał się.

Hagia Sophia
Stambuł
Wiosna 1535

Unosząc za róg skórzaną zasłonę okrywającą wielkie i ciężkie drzwi, wślizgnęła się do środka. Gdy powoli opuściła materiał, smuga światła, która dostała się do wnętrza, została na zewnątrz. „Udało się – pomyślała, próbując dodać sobie odwagi. – Nikt nic nie widział, a do ezanu pozostało jeszcze dużo czasu. Tylko ją zobaczę i wyjdę".

Pomieszczenie spowijały ciemności. Przez okno pokryte czerwonymi, niebieskimi, zielonymi i żółtymi szybkami, w mrocznym korytarzu, który zdawał się nie mieć końca, widać było kilka wyblakłych kolumn.

Głęboko ukryła twarz w kapturze peleryny. Uniosła jej poły ciągnące się po podłodze. Jej szczupłe jak wierzbowa witka ciało dosłownie nikło w ogromie pomieszczenia, w którym się znajdowała. Zdawała się nie istnieć. Była teraz jedynie bezgłośnym, bojaźliwym cieniem.

Nagle zadrżała. Kamienie na podłodze były zimne jak lód. Stopy jej marzły, ponieważ wchodząc do środka, zdjęła aksamitne buty ozdobione perłami. Zimno ogarnęło całe jej ciało. Objęła się ramionami, żeby chociaż trochę się rozgrzać. Szczelnie osłonięta peleryną uniosła głowę i strachliwie ruszyła powoli do przodu. Gdy szła, spod pół wystawały jej nagie, małe stopy. „Oby w środku również nie było ciemno", jęknęła. Przypominała dziecko, które w pochmurną noc szuka w ciemnościach gwiazd. „Jak tak dalej pójdzie, okaże się, że na darmo przyszłam aż tutaj". Wówczas naprawdę wszystko poszłoby na marne. Próżne okazałyby się strach, ekscytacja i niespokojne bicie serca, których do tej pory doświadczyła.

Poczuła ból, uderzywszy nogą o podwyższenie. Pochyliła się. Masując stopę, starała się stłumić ból.

– Skąd ten chłód w połowie czerwca? – mruknęła. – Ciekawe, o jak silne drżenie te kamienie przyprawiały zimą.

Gdy ból zelżał, weszła na schody. Wyciągnęła ramiona do przodu. Starała się bardziej uważać, żeby w coś nie uderzyć. Na wspomnienie swojej sytuacji uśmiechnęła się w duchu. „Pewnie przypominam zjawę, o jakich czytałam w baśniach. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, przeraziłby się".

Dotknęła czegoś. Zatrzymała się. To były drzwi. Powoli je uchyliła. W jej oczy przyzwyczajone do ciemności uderzyło światło wydostające się przez szparę. Zmrużyła powieki. Po chwili znów je otworzyła. Zawahała się. Nie była pewna, czy ktoś jest w środku. Uchyliła drzwi nieco szerzej i zajrzała jednym okiem. To, co zobaczyła, wystarczyło, żeby zaparło jej dech. Promienie słońca sączące się przez kolorowe, czerwone i purpurowe szyby tańczyły na kolumnach.

Wydawało jej się, że coś usłyszała. Gdzieś, daleko przed nią, ktoś rozmawiał. Przysłuchiwała się jeszcze przez chwilę. Urzekła ją harmonia niskiego, ale wzruszającego męskiego głosu. To chyba ktoś recytował Koran. Cichy głos, odbijając się od ścian, niósł się w pustej przestrzeni.

Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby zebrać w sobie odwagę. W końcu otworzyła szerzej drzwi i weszła w powódź światła i koloru. Poczuła się znacznie lepiej, gdy zmarzniętymi od zimnej posadzki stopami stanęła na grubym dywanie. Przytrzymała kaptur, żeby się nie zsunął, i uniosła głowę.

– Nie mogę uwierzyć! Nie mogę uwierzyć!

Zaparło jej dech. Pod wysoko zawieszoną ogromną kopułą czuła się taka mała i przytłoczona. Przy tym majestatycznym sklepieniu nic nie wydawało się duże. „Nawet wielka potęga Sulejmana, przyprawiająca cały świat o drżenie", pomyślała, przykucnąwszy przy jednej z kolumn podtrzymujących kopułę.

Nie mogła objąć wzrokiem wspaniałości rozciągającej się nad jej głową. U góry na kolumnach i portyku znajdowały się duże, czarne litery wypisane z niewiarygodną starannością i ze smakiem, ale ich nie przeczytała, ponieważ całkowicie poddała się

wspaniałości ogromnych rozmiarów kopuły.

Modlitwa, którą usłyszała, wchodząc do środka, teraz stała się bardziej zrozumiała. Wobec niepojętej boskiej potęgi nie mogła uwierzyć, że człowiek stworzył coś tak olśniewającego, żeby szukać schronienia u wielkiego Boga, błagać Go, prosić o wybaczenie i przypodobać Mu się.

Czuła, że oczy zachodzą jej łzami. „Mój Boże… Proszę, nie teraz – myślała. – Okaż swoją łaskę. Nie chcę podziwiać tego piękna zza zasłony łez. Nie mogę znów się wymknąć i tu przyjść. Chcę wszystko dokładnie obejrzeć i zapisać w pamięci. Pozwól obejrzeć mi wszystko z najmniejszymi szczegółami, żebym zawsze mogła odtworzyć to w myślach".

Przymknęła oczy. Czekała, aż rozproszy się mgła przesłaniająca jej widok. Teraz lepiej słyszała modlitwę recytowaną grubym męskim głosem. Ten dźwięk dosłownie przeszywał jej ciało. „Ty też się pomódl – skarciła się w duchu. – Jesteś w Domu Bożym. Módl się".

Jednak nie mogła przestać podziwiać potęgi, na którą patrzyła.

– Wspaniałe.

Drgnęła. „Czyżby ktoś za mną stał? Czy to moje zmysły szaleją?".

– Czarujące, prawda?

Tym razem słyszała głos bardzo wyraźnie. Ktoś za nią stał. Mężczyzna. Jego głos był niski, silny, władczy, ale jednocześnie kojący. Nie odwróciła się, żeby nie pokazywać swojego oblicza. Naciągając głębiej kaptur, całkiem ukryła twarz. Jedynie pokiwała głową. Właściwie miała ochotę krzyknąć: „Tak. Cudowne, wspaniałe, niewiarygodne!".

– Stoi tu już od tysiąca lat.

Kto to mógł być? Podobał się jej ten głos. „Szorstki, ale łagodny", przeszło jej przez myśl. Ponownie pokiwała głową.

– Wiesz, co znaczy *Hagia Sophia*?

„Co za pytanie? – pomyślała buńczucznie. – Oczywiście, że wiem". Były to pierwsze greckie słowa, których się nauczyła.

Mądrość Boża. Nie odezwała się. Wzruszyła tylko ramionami, jakby chciała powiedzieć, że nie wie.

– Ludzie, słysząc *Sophia*, myślą, że chodzi o imię kobiety, ale to nieprawda – mówił dalej mężczyzna. – Właściwe znaczenie to tajemnica twórcy. Mądrość Boża.

Na chwilę nastała cisza.

– Przyszedłeś się pomodlić? Do modlitwy jest jeszcze dużo czasu.

Gdy postać stojąca przed nim znów się nie odezwała, mężczyzna poruszył się niespokojnie.

– Jesteś niemową? Czy jesteś tak zuchwały, że lekceważysz tych, którzy do ciebie mówią?

Słowo „zuchwały” dotknęło ją.

– Ani jedno, ani drugie – mruknęła, nie odwracając się i starając się nadać głosowi jak najniższą barwę. – Potrafimy mówić i nie jesteśmy zuchwali.

– Proszę, proszę… Jakie to szczęście! Naprawdę potrafisz mówić.

Z tonu głosu mężczyzny wyczytała, że się uśmiechnął.

– Jeśli chcesz się pomodlić, nie będę ci przeszkadzał swoim gadaniem.

– Przyszliśmy obejrzeć. A wy?

– Ja też. Często tu przychodzę. Patrzę na te kolumny, portyki, nawy i podtrzymujące kopułę słoniowe nogi. A szczególnie kopułę. Spójrz na tę harmonię, na tę równowagę. To naprawdę *Hagia Sophia*.

– Jesteś architektem?

– I tak, i nie. Właściwie jestem janczarem. Brałem udział w wyprawie naszego sułtana na Belgrad i Rodos. Z zawodu jestem cieślą.

Rozmawiali szeptem, ale mimo to przestraszyła się. Mężczyzna był żołnierzem. Mógł wszystkich postawić na nogi. „Jak on się tu znalazł? Poprzyglądałabym się jeszcze chwilę i poszła”, pomyślała. „Idź już teraz – podpowiedział jej wewnętrzny głos. – Na co czekasz? Złapią cię”. Jednak głos

mężczyzny i sama rozmowa nie pozwoliły jej się oddalić.

– Ty też często tu przychodzisz?

Pokręciła głową. Zrozumiawszy, że jej rozmówca nie zadowolił się tą odpowiedzią, dodała:

– Oczywiście, widziałem ją z zewnątrz. Kopuła mnie oczarowała. Dosłownie jakby mnie przywoływała. Los sprawił, że właśnie dziś przyszedłem.

– Nie ciebie pierwszego oczarowała – odparł mężczyzna.

Nastało krótkie milczenie.

– Wiedziałeś, że Hagia Sophia jest większa nawet od Świątyni Salomona[8]?

Wzruszyła ramionami.

– Jest wielka. Krążą plotki, że podczas ceremonii otwarcia cesarz Justynian I powstał, uniósł prawą rękę w stronę kopuły i wykrzyknął: „Salomonie, pokonałem cię!”.

– Tysiąc lat temu?

– Tak.

– Skąd to wiadomo? Ktoś to słyszał albo widział?

– Powiedziałem, że to plotka. Podobno opowiedzieli o tym ci, którzy to widzieli i słyszeli. Była przekazywana z pokolenia na pokolenie i dotrwała do dzisiaj. Słowa są czasem jak ta kopuła. Niezniszczalne.

Ponownie spojrzała na kopułę. Odchrząknęła, żeby nadać głosowi odpowiednio niską barwę.

– Wygląda jak *zawieszona na niebie* – oznajmiła.

Usłyszała za sobą poruszenie. Poczuła, że mężczyzna przesunął się na kolanach i zbliżył do niej.

– Co powiedziałeś?

Przestraszyła się. Milczała. Czekała napięta jak cięciwa łuku, gotowa w każdej chwili zerwać się na nogi i rzucić do ucieczki.

– Wygląda jak zawieszona na niebie, tak? To prawda. Jeszcze nigdy nie słyszałem słów, które oddałyby to lepiej. Kopuła zawieszona na niebie.

– Ale pewnego dnia runie. Szkoda.

Mężczyzna nie zwrócił uwagi na jej słowa.

– To właśnie jest nieśmiertelność. Odchodząc z tego świata, zostawić po sobie dzieło i żyć przez tysiąc lat. Może będzie trwać przez kolejny wiek. A może w nieskończoność. Kto wie? Izydor i Antemiusz[9], którzy zawiesili tam tę kopułę, umarli tysiąc lat temu. Do tej pory po ich kościach nie pozostał nawet proch. Nie ma nawet tych, którzy pamiętają ich imiona, ale wciąż żyją.

Zdziwiła się, że żołnierz, który z szablą w ręku biegał po polach bitewnych, obcinał głowy, łamał nogi i ręce, myślał o takich rzeczach.

– Często tu przychodzisz? – wyrwało jej się.

– Bardzo często.

– Dlaczego?

– Dlatego że pewnego dnia skonstruuję wspanialszą kopułę niż ta.

Ujęła ją pasja w głosie mężczyzny.

– Kim jesteś? – wyszeptała, lekko odwróciła głowę, nie puszczając brzegów kaptura.

– Biednym cieślą. Mówiłem już. Nie słuchałeś? Podczas wypraw naszego sułtana buduję mosty, naprawiam statki. Jednak w marzeniach… Jak to powiedziałeś? A, pamiętam. *Wieszam na niebie kopuły*.

Mężczyzna za nią mówił, jakby opowiadał baśń. Kreśliła w umyśle obrazy. Wydawało jej się, że po raz pierwszy spotkała kogoś, kto tak pięknie mówił.

– A ty kim jesteś? Od kogo jesteś? Ty też się interesujesz tymi sprawami?

Słyszała jego głos, ale była pogrążona w swoich myślach.

– Odpowiedz. I dlaczego ukrywasz twarz? Czy to wypada ukrywać się tak w Domu Bożym?

Nie mogła już nic powiedzieć ani uciec… Mężczyzna powoli zsunął jej kaptur… i na ramiona opadły jej włosy jak złote kłosy.

Mężczyzna cofnął rękę, jakby się oparzył.

– Ty… – wydusił z siebie z niedowierzaniem. – *Jesteś dziewczyną!* Jesteś dziewczyną!

Bezradna i przerażona próbowała naciągnąć kaptur.

Gdy odwróciła głowę, mężczyzna zadrżał. Jego wzrok napotkał niebieskie jak bezchmurne niebo oczy dziewczyny.

„Mój Boże! – krzyknął w duchu. – Niebiańskie oczy. Nie… – zaprzeczył sobie. – To morskie oczy. Piękne jak morze, bezkresne jak morze, zapraszające jak morze, śmiercionośne jak morze".

Nie spodobało mu się to. Błękit oczu nieznanej dziewczyny był urzekający jak ceramika z Izniku.

Zaledwie na krótką chwilę ich spojrzenia się spotkały.

Dziewczyna wyobrażała sobie, że niski, ale pełen uczucia głos należy do młodego dżygita. Jednak przed nią stał wpatrzony i oczarowany nią około pięćdziesięcioletni mężczyzna.

Naciągnęła kaptur i wstała. Idąc szybkim krokiem w stronę drzwi, usłyszała za sobą:

– Kim jesteś, dziewczyno? Zdradź mi swoje imię.

– *Dilruba* – rzuciła już normalnym głosem, nie spoglądając za siebie. – Mam na imię Dilruba.

Otworzyła drzwi i wyszła na spowity półmrokiem kamienny korytarz. Nie zważając na to, że marzną jej stopy, pobiegła w stronę drzwi ze skórzaną kotarą. W jej głowie wciąż rozbrzmiewał głos mężczyzny: „Podczas wypraw naszego sułtana buduję mosty, naprawiam statki. Jednak w marzeniach wieszam na niebie kopuły".

Uniosła ciężką skórzaną zasłonę. Z trudem łapała oddech, gdy przez szparę wyskoczyła na zewnątrz. Światło dnia raziło ją w oczy, więc zmrużyła je.

*

Mężczyzna stał bez ruchu. Nie mógł zapomnieć włosów i oczu dziewczyny. Jej jasne, sięgające talii włosy falowały jak dorodne kłosy głaskane porannym wiatrem. A te oczy… Oczy były niebieskie jak ceramika z Izniku.

„Powiedz, starcze – zwrócił się do siebie. – Wędrowałeś przez tyle lat. Widziałeś kiedyś taką piękność? Czy kiedykolwiek straciłeś głowę, patrząc którejś w oczy? Czy przez lata czułeś, że na widok różanych policzków i czereśniowych ust krew w twoich

żyłach zaczyna płynąć żwawo jak w czasach młodości? Czy kiedykolwiek na widok kobiety zaschło ci w ustach, a serce waliło tak, jakby miało się wyrwać z piersi? Stało się tak?". Nie, nie doświadczył tego, odkąd burze młodości zaczęły cichnąć, a żar w jego sercu przykrył się popiołem. Ale teraz… Teraz właśnie tak się stało. Stracił głowę, krew w jego żyłach zaczęła płynąć jak rwący potok, z trudem łapał oddech, a serce tłukło się w piersi jak w klatce.

Uniósł się z klęczek. Usiadł po turecku i spojrzał na tysiącletnią kopułę Izydora i Antemiusza. Zamyślił się głęboko, marząc o Dilrubie. Nagle pewna myśl ścisnęła jego serce jak kleszcze. Mój Boże!

Pochylił głowę do przodu. Zawstydził się. Jego twarz oblała się rumieńcem. „To jeszcze dziecko. Mogłaby być moją córką. Nic podobnego. Jest prawie w wieku do zamążpójścia". Te słowa jednak nie ukoiły wstydu. „Nawet jeśli, może jestem starszy nawet od jej ojca", przeszło mu przez myśl. Już nie ma czasu na takie wzloty. Nie była dla niego.

Nowy Pałac, harem 1528

Łopot pół kaftana sułtana Sulejmana pospiesznie kierującego się w stronę sali obrad Dywanu nie wróżył nic dobrego. Nie było też normalne, że padyszach, zostawiwszy swoją ukochaną faworytę Hürrem, opuszczał harem. Musiało zdarzyć się coś ważnego.

Władca nie wyszedł nawet jeszcze do ogrodu z sułtanką Mihrimah. Nigdy wcześniej nie widziano, żeby wchodził do komnaty rady, nie podziwiając wcześniej córki wydającej z siebie okrzyki szczęścia i biegającej za pawiami, które rozłożywszy swoje przypominające tęczę ogony, dumnie przechadzały się po ogrodzie.

Na widok mijającego ich jak wicher padyszacha jeden z kłaniających mu się w pas paziów zapytał wzrokiem stojącego naprzeciwko niego, co się stało. Drugi wzruszył ramionami i wydął usta, jakby chciał odpowiedzieć, że nie wie.

Jedna z arabskich służących, która dopiero wkraczała w dorosłość, z niepokojem pobiegła do komnaty Hürrem Haseki. Otworzywszy wielkie drzwi, weszła do środka. Leżąca na sofie naprzeciwko niej otyła czarnoskóra kobieta próbowała się podnieść. Na widok młodej służki, która ledwo łapiąc oddech, próbowała coś powiedzieć, odezwała się ostrym głosem:

– Zwolnij! Złap chociaż powietrze. Zasnęłaś przy otwartym oknie i do twojego łoża wszedł książę z góry Kaf?

Dziewczyna nie miała ani nastroju, ani czasu, żeby śmiać się z tego żartu.

– Set… Seta… Seta… ret – wyjąkała, próbując zapanować nad oddechem.

– Mów, co chcesz powiedzieć!

– Nasz pan… – Dziewczyna nie mogła dokończyć.

Przyciskając dłoń do piersi, wzięła kilka głębokich oddechów.

Jednak na dźwięk słów „Nasz pan…” serce Setaret Kalfy zabiło z niepokojem.

– Tfu… tfu… Nie daj Boże, Dürdane. Czyżby naszemu panu coś się stało? Boże uchowaj! Tfu… tfu…

Mówiąc to, Setaret podniosła się z miejsca. Z powodu tuszy, z trudem się poruszając, wykonała krok w stronę dziewczyny.

– Mówże! Nie denerwuj mnie!

– Nasz pan w pośpiechu opuścił harem. Widziałam, jak szybkim krokiem kierował się do sali obrad Dywanu.

– A niech cię szlag, dziewczyno! – żachnęła się Setaret, kołysząc się z boku na bok, i odwróciła się do stojącej przed oknem sofy. – Chcesz, żeby mi serce stanęło, piękna czarnulko? A może czyhasz na moje miejsce? Myślisz sobie: „Wyślę tę Setaret na tamtą stronę i sama zostanę kalfą Hürrem Haseki”?

– Pomyślałam, siostro, że będziesz chciała przekazać tę wiadomość pani Hürrem.

Setaret wyglądała, jakby nie do końca pojęła te słowa, ale sama też miała mętlik w głowie. Dlaczego padyszach opuścił harem bladym świtem? I to jeszcze nie powiedziawszy o tym Hürrem, nie zobaczywszy Mihrimah i nie ucałowawszy jej w policzek.

Wyprostowała się powoli.

– Pójdę sprawdzić, czy pani Hürrem się obudziła. Ty tu poczekaj. Jeśli *haseki* zdenerwuje się, że obudziłam ją bez powodu, już ja ci pokażę, abisyńska różo. Posadzę cię na ruszcie i będę przypalać, dopóki twoje pośladki nie zmienią się w węgle, chyba że nie nazywam się Setaret!

*

– Posłuchaj, paszo! – Sułtan Sulejman niczym burza wpadł do sali tronowej.

Nagle się zdziwił. Oprócz Ibrahima nikogo w niej nie było. Mężczyzna położył skrzyżowane dłonie na ramionach i ukłonił się z szacunkiem padyszachowi. Odkąd poznali się w Manisie, był jego sługą, przyjacielem, towarzyszem, powiernikiem i mężem

jego młodszej siostry Hatidże. Ibrahim z Pargi był jego szwagrem, a teraz również wielkim wezyrem. Tak bardzo mu ufał i darzył tak wielką miłością, że mianował go nawet seraskerem[10]. Po raz pierwszy w historii Wielkiego Imperium Osmańskiego zdarzyło się, żeby padyszach przekazał zwierzchnictwo nad wojskiem swojemu słudze. Sulejman przybiegł tu, myśląc: „Gdyby to nie było ważne, nie budziłby mnie", jednak mimo wszystko był na niego zły.

– Co to za wiadomość? Jeśli to, co masz do powiedzenia, okaże się niewarte tego, abym w pośpiechu, nie mówiąc nic *haseki*, nie ucałowawszy różanego policzka mojej małej sułtanki, zerwał się i przybył tutaj, pożałujesz.

– Wobec woli naszego pana nasza szyja jest cieńsza niż włos – wyszeptał Ibrahim w ukłonie.

Padyszach natychmiast dostrzegł niepokój w oczach wielkiego wezyra, mimo iż ten starał się sprawiać wrażenie spokojnego.

– Słucham cię. Poza tym dlaczego nie ma tu nikogo oprócz nas? Czy ktoś słyszał, żeby podczas naszej obecności w sali tronowej nie było straży? To ty ich odprawiłeś?

– Tak, mój panie.

– Na litość boską, Ibrahimie, daj już spokój tym ukłonom i powiedz.

Tyle razy mówił mu, że gdy są sami, nie ma potrzeby, żeby tak ściśle stosował się do protokołu, ale w żaden sposób nie mógł przetłumaczyć tego Ibrahimowi. „Uparty Chorwat", burknął w duchu padyszach.

W młodości byli z Ibrahimem nierozłączni. Teraz też było podobnie. Razem jeździli na polowania, zwierzali się sobie z trosk. Sulejman poznał go, gdy był jeszcze sandżakbejem w Manisie. W pałacu w Manisie zderzali się kielichami. Upijali się w winnicach w towarzystwie najpiękniejszych dziewcząt, wymyślając tysiące kłamstw, żeby utrzymać to w tajemnicy przed Gülbahar. Długimi nocami do rana rozprawiali o tym, co zrobi Sulejman, gdy zostanie padyszachem. Obmyślali plany, razem

przygotowywali listę podbojów.

Gdy otrzymawszy wiadomość o śmierci Selima Chana, Sulejman pędził jak błyskawica z Manisy, żeby wstąpić na tron, także był przy nim tylko Ibrahim.

– Coś się stało, mój panie.

– To zrozumieliśmy, paszo. Ale co? Co się stało? Powiedz wreszcie.

– Przeciek…

Twarz sułtana Sulejmana zachmurzyła się.

– Ktoś wtargnął do pałacu?

Czyżby Hürrem, która co noc wylewała łzy, mówiąc: „Do pałacu dostają się szpiedzy. Boję się, mój czcigodny sułtanie, że zabiją ciebie, mnie i nasze dzieci", miała rację?

Nigdy wcześniej nie przykładał wagi do podejrzeń Hürrem, przypisując to częściowo kokieterii i kobiecym sztuczkom. Czy to możliwe? Czy ręka wroga dosięgła jego pałacu i haremu? Kto by się na to poważył? Mniejsza o odwagę, nawet taka myśl mogła pozbawić człowieka życia. Ponadto po tym, jak ktoś podłożył żmiję w łaźni Hürrem, kazał zaostrzyć środki bezpieczeństwa.

Zatem wróg znalazł jakiś wyłom i wcisnął się do środka.

Padyszacha ogarnął gniew. Miał usiąść, ale zrezygnował.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Ibrahimie? Twierdzisz, że jakiś mężczyzna minął mury i dostał się na dziedziniec, a moi słudzy nie mają o tym pojęcia? – Zamilkł na chwilę. – Przepytaj naczelnika gwardzistów. Chcę głowy tych, którzy dziś w nocy pełnili wartę. To tak bronią naszego życia i haremu, paszo?

Ibrahim przełknął ślinę.

– To nie mężczyzna – odparł w końcu.

– Co?

– To kobieta.

– Kobieta?

Ibrahim, niemający w zwyczaju zabierać głosu bez pozwolenia padyszacha, milczał. Czekał, aż starający się usiąść na tronie Sulejman otrząśnie się po tym, co usłyszał.

– Kobieta? – powtórzył, jakby rozmawiał ze sobą.

Zamarł na chwilę, a następnie spojrzał na przyjaciela stojącego przed nim z pochyloną głową.

– O co w tym chodzi, szwagrze? Nasze mury, o których mówią, że nawet armia nie zdołałaby ich przebić, pokonała kobieta?

Pasza bezgłośnie pokiwał głową.

– Strażnik zobaczył coś zwisającego z murów od strony morza. Gdy tylko naczelnik gwardzistów przekazał wiadomość, pobiegłem tam, żeby to sprawdzić. Okazało się, że jakaś kobieta przeszła przez mur.

– Po czym poznałeś, że to była kobieta?

Pasza wyciągnął zza pasa kawałek materiału i podał go Sulejmanowi.

Z twarzy padyszacha nie sposób było wyczytać jego myśli. Pasza dobrze znał sułtana. Była to cisza przed burzą. Gdy ta burza się rozpęta, kto wie, ile spadnie głów.

– Mieliśmy przed sobą trzy możliwości – zaczął cicho Ibrahim.

– Daruj sobie tę gadaninę, ago. Czy to przystoi seraskerowi i wielkiemu wezyrowi? Powiedz lepiej, jakie podjąłeś kroki.

– Kazałem gwardzistom urządzić zasadzkę, mój sułtanie.

Następnie Ibrahim opowiedział o tym, co się wydarzyło. Żołnierze nawet nie mieli odwagi oddychać. Przez dwie godziny nikt niczego nie usłyszał. Była to dziwna i przeraźliwa cisza. Nawet nocne ptaki nie wydawały żadnych dźwięków. Gdy zaczynało świtać, krzyk sowy sprawił, że wszystkim serca zamarły. Gdy już ogarnięci coraz większym przerażeniem zyskiwali pewność, że wymknęła im się z rąk, w zagajniku poruszył się jakiś cień.

Gdy szła, było słychać szelest jej szarawarów, a okrywająca włosy chusta powiewała na porannym wietrze. Nawet nie próbując się ukrywać, kobieta kierowała się prosto do haremu.

Poruszała się zręcznie i cicho. Minąwszy palisadę otaczającą ogród różany, nagle przystanęła. Nasłuchiwała, czy odgłos kilku

gałęzi, które pękły jej pod stopami, wywoła jakiś skutek. Jedynie spłoszony ptak zerwał się i odleciał w ciemność. To wszystko. Postanowiła iść dalej.

– Nie ruszaj się, przeklęta!

Na dźwięk głosu naczelnika gwardzistów przywodzącego na myśl grom kobieta znieruchomiała.

– I złapaliśmy ją, mój panie – dokończył pośpiesznie Ibrahim.

Sulejman, który słuchając wielkiego wezyra, wyobrażał sobie tę sytuację, spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Kto to był? Uciekająca nałożnica? A może wymykająca się do kochanka nierządnica?

– Żadna z nich – przerwał Sulejmanowi Ibrahim.

Pojąwszy swój błąd, pochylił głowę. Padyszach nie zwrócił na to uwagi. Teraz miał ważniejszy powód do zmartwień niż uchybienie protokołowi. W środku nocy złapano kogoś w pałacowym ogrodzie, niemal przy drzwiach do haremu.

– Chcesz powiedzieć, paszo, że to szpieg próbujący dostać się do naszego domu?

Głos padyszacha był niewiarygodnie spokojny. I właśnie to było bardzo niebezpieczne. Ibrahim wiele razy przeżył burze, które następowały po takiej ciszy.

– I to kobieta?

Pokiwał głową.

– Kobieta była odziana w tiule. To oczywiste, że chciała, żeby patrząc na nią z daleka, ktoś pomyślał, że jest odaliską albo służącą.

– Więc na co jeszcze czekasz? Przyprowadź tutaj tę zdrajczynię, żebyśmy się dowiedzieli, jakie miała zamiary.

Ibrahim milczał. Przełknął ślinę.

– Co?

Wielki wezyr wyglądał, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale nie odezwał się.

– Dlaczego milczysz, Ibrahimie? Przyprowadź tu tę kobietę.

– Nie mogę tego zrobić, mój panie.

– Nie możesz? Dlaczego?

– Bo nie żyje.

Padyszach ryknął wściekle:

– Co też wygadujesz? Nawet nie waż się mówić, że zabiliście ją bez przesłuchania. Nawet nie waż się tego powiedzieć, ago.

– Nie my to zrobiliśmy – jęknął zdjęty strachem. – Sama to zrobiła. Przysięgam.

– Jak?

– Zrozumiawszy, że została złapana, w mgnieniu oka włożyła sobie coś do ust. Na naszych oczach zaczęła się wić w agonii. Później…

– Później co? I śmiesz się przede mną chwalić, że ją złapaliście. Pozwoliliście uciec szpiegowi, i to w takie miejsce, gdzie nie możemy go złapać. Do piekła. Zabrała ze sobą swoje tajemnice. Szpieg. I ty, mój serasker, wielki wezyr, przyjaciel i szwagier na to patrzyłeś. Patrzył na to mój naczelnik gwardzistów. Ilu was było? Stu? Pięciuset? Tysiąc uzbrojonych mężczyzn nie było w stanie zatrzymać jednej kobiety i doprowadzić do nas? Jak to możliwe, Ibrahimie? Nawet nie wiemy, kim…

– Była Serbką – odezwał się wielki wezyr, jakby go nie słyszał.

Tej nocy już drugi raz zmuszony był przerwać padyszachowi. Jednak zaskoczony następującymi po sobie niespodziewanymi wydarzeniami sułtan Sulejman nie zauważył nawet jego impertynencji. W jego głowie coś wybuchło, gdy usłyszał słowa Ibrahima.

– Skąd wiesz? – Jego głos również zmienił się w szept.

– Przemówiła. A właściwie wyjęczała coś przed śmiercią, mój panie.

– Co powiedziała?

Wielki wezyr zawahał się, a później zaczął coś niejasno przebąkiwać. Gdy Sulejman zrozumiał, że mężczyzna nie ma odwagi, żeby wyjawić, jak brzmiały słowa tej kobiety, wykrzyknął:

– Co powiedziała, Ibrahimie?!

Mężczyzna pochylił nisko głowę.

– Wybacz swojemu słudze – wyszeptał błagalnym głosem. – Powiedziała: „Z… Zde… Zdechną… Wszyscy zdechną. Choćby miało minąć tysiąc lat, zemsta się dokona… Przekleństwo Serbów nie odpuści ani Sulejmanowi, ani jego rodowi". Dokładnie tak powiedziała, mój sułtanie.

Wielki wezyr sięgnął za pas. Tym razem trzymał w dłoni sztylet, serbski sztylet o wężowej klindze.

– Jest zatruty – powiedział wolno i otworzył drugą dłoń. Trzymał w niej małą, zieloną fiolkę. – A to trucizna, którą wypiła.

Sułtan Sulejman spojrzał na przedmioty i zaczął krążyć po komnacie.

– Kto oprócz ciebie to słyszał? – zapytał.

Ibrahim zrozumiał niepokój padyszacha.

– Wszyscy, którzy tam byli. Ale ponieważ mówiła po serbsku, tylko ja to zrozumiałem.

Jeszcze przez chwilę zatopiony w myślach padyszach przemierzał salę.

– Posłuchaj, paszo – odezwał się, podchodząc do Ibrahima. – My, którzy ogłosiliśmy się *Władcą Świata*, i ty, który jesteś naszym przyjacielem, powiernikiem, szwagrem, któremu oddaliśmy naszą młodszą siostrę, a do tego jesteś też naszym seraskerem. Nie zważając na zwyczaje, zasady, tradycje, wynieśliśmy cię ponad wezyrów, paszów i agów, których brody i włosy znacząco posiwiały na służbie Wielkiemu Imperium Osmańskiemu, naszemu genialnemu ojcu chanowi Selimowi Groźnemu, którego miejsce jest w raju, i nam. Powierzyliśmy ci naszą pieczęć, mianując wielkim wezyrem.

Zamilkł, żeby nabrać powietrza. Ibrahim wpatrywał się w podłogę. Nie miał odwagi spojrzeć na padyszacha. I bez tego wiedział, że z oczu padyszacha sypią się iskry. Nastała cisza.

– Dlaczego milczysz, paszo? Czyż nie taka jest prawda?

Ibrahim skłonił się jeszcze głębiej.

– Tak – wyszeptał. – Powiedz słowo, mój sułtanie, a sługa

Ibrahim poświęci życie dla swojego dobroczyńcy.

Sulejman położył mu dłonie na ramionach i dał znak, żeby się wyprostował. Patrząc mu głęboko w oczy, mówił dalej:

– Niech wszyscy wiedzą, że Sulejman, syn Selima Chana, nie lęka się śmierci. Niech dowie się o tym przyjaciel, z którym pokonaliśmy wielu nieprzyjaciół, i wróg. Jesteśmy winni życie Bogu. Jeśli zechce, żebyśmy spłacili nasz dług i polegli, z radością staniemy przed obliczem Pana… Nie tego się boję. – Sulejman wpatrywał się w niego płomiennym wzrokiem. – Gdyby za naszego życia cokolwiek stało się naszej kobiecie lub naszym dzieciom, przestalibyśmy być godni tytułu sułtana. Kim bym był, gdybym pozwolił skrzywdzić moich książąt, Mihrimah czy moją kobietę? Czy chan, który nie potrafi zatroszczyć się o swoją rodzinę, może nazywać się chanem? Czy można mu powierzyć imperium? Jak syn, który nie był w stanie zadbać o swój harem, śmiałby stanąć jutro na Sądzie Ostatecznym naprzeciw swojego ojca Selima Chana i swoich przodków?

– Boże, uchowaj…

– Tak, paszo… Boże, uchowaj… – Głos Sulejmana był coraz donośniejszy. – Niech moje wojska też na to nie pozwolą. Ani moi paszowie i wezyrowie. A teraz posłuchaj. Od teraz odpowiesz mi za każdego ptaka, który przeleci nad naszym pałacem. Masz podjąć wszelkie środki ostrożności.

Padyszach przepełniony gniewem skierował się do drzwi. Już miał wyjść, gdy odwrócił się, ze złością zarzucając połą kaftana.

– Oddamy jedno życie, Ibrahimie – powiedział, uderzając się pięścią w pierś. – Ale niech wszyscy wiedzą, że odbierzemy *tysiąc żyć*.

Ibrahim Pasza z rozkoszą pogrążył się we śnie. Chmury niepokoju, które zebrały się nad jego głową po tym, jak w pałacowym ogrodzie złapano szpiega, szybko się rozproszyły. Zresztą za chwilę wybuchła wojna. Odniesione zwycięstwo sprawiło, że udało mu się wrócić do łask padyszacha, który poprzez wojnę postanowił zemścić się za ten spisek.

„Ja też dobrze służyłem Bogu – pomyślał rano Ibrahim. –

W kilka miesięcy przygotowałem do wojny wielką armię. Wyprawa na Austrię była wspaniałym zwycięstwem. Gdyby nie nękająca padyszacha tęsknota za Hürrem, zdobylibyśmy także Wiedeń". Gdy Sulejman wydał rozkaz do odwrotu, twierdząc, że zima osłabi ich oblężenie, nie mógł już nic zrobić. Mimo to dzięki zwycięstwu zyskał sławę równą Sulejmanowi.

Wyszedł z łóżka i ubrał się. Skierował się do pałacu naprzeciwko, żeby udać się na posiedzenie Dywanu. Wsiadając do powozu, odwrócił się spojrzał na własny dom i na siedzibę Sulejmana. Gdyby ktoś nie wiedział, z pewnością wskazałby jego pałac, mówiąc, że to tutaj mieszka władca świata sułtan Sulejman. Wraz z posągami, które przywiózł z Węgier po bitwie pod Mohaczem, rezydencja na Hipodromie zmieniła się w prawdziwy rzymski pałac.

Nawet narzekania wezyrów, których musiał wysłuchiwać podczas obrad Dywanu, nie były w stanie odebrać mu dobrego humoru. Nienawidził tych spotkań. Przede wszystkim nie mógł sobie wyobrazić nic bardziej bezsensownego niż omawianie niecierpiących zwłoki spraw państwowych z grupą głupich wezyrów zaraz po porannej modlitwie, gdy wciąż jeszcze był senny i ociężały po przebytych miłosnych rozkoszach. W dodatku sułtan Sulejman przysłuchiwał im się zza krat. Nikt nie mógł jawnie powiedzieć, co myśli. Nikt oprócz kilku wezyrów, których z racji wieku padyszach darzył wielkim szacunkiem, nie śmiał otworzyć ust. Ci, którzy przemawiali, dobierali słowa tak, żeby spodobały się one sułtanowi. Nie było to proste. Mogło się to skończyć nie tylko wypadnięciem z łask sułtana, ale też tłustym powrozem.

Jedyne, co odbierało Ibrahimowi dobry nastrój, to rodzące się rok po roku dzieci Sulejmana z jego faworytą Hürrem. Wiedział, że kobieta pała do niego ogromną niechęcią. Jednak padyszach nie zauważał nikogo poza nią. Nawet genueńskich i weneckich hurysek, które jako podarki trafiały do haremu. Sulejman nawet raz nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć na dziewczęta. Nie istniał dla niego nikt oprócz Hürrem i jej córki Mihrimah.

„Nie ma pojęcia, że ta ruska dziewka owinęła go sobie wokół palca – myślał. – Nie rozumie, że Hürrem robi wszystko, żeby dzielić z nim tron i koronę".

Zatrzymał się na chwilę. Mrużąc oczy, rozejrzał się, jakby zaciekawiło go to, co się dzieje wokół niego.

– I co teraz zrobimy, ruda odalisko? – zachichotał. – Nie można jedną nitką poruszać dwiema kukłami. Wiedz, że nie oddam tronu Sulejmana ani tobie, ani twoim bękartom.

Uśmiech na jego twarzy zniknął równie szybko, jak się pojawił, a jego miejsce zajęła czarna burzowa chmura. „Poczekaj, *ruska odalisko* – złorzeczył w myślach. – *Przyjdzie dzień, kiedy ty i twoje bękarty mnie popamiętacie*".

Nagle stanął mu przed oczami obraz jasnego jak kość słoniowa, ciepłego, pulchnego ciała odaliski, którym rozkoszował się do samego rana. Przeszedł go słodki dreszcz. Czy jego żona Hatidże wiedziała, że zabawiał się z nową perską pięknością? Nie mogła tego nie zauważyć. Jeśli mężczyzna nie spędzał nocy w łożu żony, oznaczało to, że był z inną kobietą. Hatidże była bystra. Rankiem, widząc, jaki jest wyczerpany, zapewne pojęła, że oddawał się igraszkom z jedną z odalisek.

Hatidże też nie była zła, gdy się kochali. Jako siostra padyszacha nie zadzierała nosa, nie dąsała się, lecz posłusznie mu się oddawała. Jednak niewolnice były inne. Człowiek mógł zachowywać się przy nich, jak chciał. Nie było zakazów ani zasad. Ibrahim nie mógłby dla samej tylko przyjemności do rana swawolić w łóżku siostry wielkiego sułtana Sulejmana.

„A może Hatidże miałaby na to ochotę", pomyślał nieoczekiwanie. Zadrżał na samą myśl.

Westchnął głęboko. Musiał pomyśleć teraz o czymś ważniejszym niż burze namiętności. Pieczęć wszechmocnego padyszacha była w sakwie przy jego pasie. Pozostali mogli myśleć, co chcieli, ale w końcu i tak wychodziło na jego. Skoro tak, po co o brzasku dnia miał wysłuchiwać w Dywanie bolączek wezyrów? Był Ibrahimem. Wielkim wezyrem sułtana Sulejmana. Nieustraszonym wodzem.

Bezgłośnie ruszył dalej. Przez twarz przebiegł mu złowieszczy uśmiech. W Imperium Osmańskim jego słowo było równe słowu Sulejmana. Był szwagrem padyszacha, jego powiernikiem, towarzyszem polowań, ramię w ramię dosiadali koni i wywijali szablami.

Mimo to nie mógł przeszkodzić uczuciu, którym padyszach darzył ruską odaliskę. „Kobieta dosłownie oblegała go, nieustannie rodząc mu dzieci – pomyślał. – Najpierw syn… Potem córka… Później jeszcze jeden syn… Bóg jeden wie, co będzie następne".

Padyszach martwił się o bezpieczeństwo zarówno odaliski, jak i jej dzieci. Szczególnie ubóstwiał córkę, która jak pszczoła siadała i latała, gdzie jej się podobało. Z jednej strony był świat, z drugiej Hürrem i jej córka Mihrimah. „Przez bękarty Rusinki Sulejman zapomniał nawet o swoim następcy, księciu Mustafie", przeszło Ibrahimowi przez myśl. Westchnął.

Ta odaliska spędzała wielkiemu wezyrowi sen z powiek. Niepokoiło go, że musi dzielić się z kimś sułtanem. Teraz padyszach większość swojego czasu spędzał w haremie, w łożu swojej faworyty i, co nie było rzeczą spotykaną, spędzał długie godziny ze swoją córką.

Ta kobieta musiała być diabłem wcielonym. Podbiła nie tylko serce padyszacha, ale również jego matki. Sułtanka Matka odepchnęła matkę swojego najstarszego wnuka i przyjęła Rusinkę z otwartymi ramionami. „Pewnie starość dawała jej się we znaki – mruknął. – Rusinka bez przerwy rodziła. Co będzie, jeśli jutro syn Hürrem – a kto wie, ilu jeszcze synów urodzi – zacznie rościć sobie prawo do tronu? Czy ta stara wiedźma nie zdawała sobie sprawy, jakie nieszczęście ściągnęła na państwo osmańskie?".

Wielki wezyr nagle zadrżał. Ze strachem rozejrzał się dookoła. Czyżby wypowiedział głośno myśli, które chodziły mu po głowie? Mój Boże! Nagle zrobił się mokry od potu. Czy w pałacu, gdzie nawet rozmowy nie były mile widziane, było miejsce na tak niebezpieczne myśli? Spojrzał na długi, zatęchły korytarz, sprawdzając, czy ktoś mógł go usłyszeć.

Ta kobieta również i jemu odbierała zmysły. Nerwy zaczynały odmawiać mu posłuszeństwa. Zapomniał o ostrożności. Gdyby choć jedna z tych myśli wylała się z jego ust, w jednej chwili straciłby głowę.

„*Ta kobieta cię nienawidz*i", odezwał się jego wewnętrzny głos. To uczucie było odwzajemnione. Ibrahim także nie mógł znieść rudowłosej faworyty Sulejmana. Zgoda, była piękna, ale harem pełen był pięknych, smakowitych dziewcząt. Jaki sens miało wyniesienie tej odaliski ponad inne i wygnanie matki następcy tronu? Powąchałeś różę, ucieszyłeś serce – odpraw ją, niech idzie. Czy wcześniej tak nie robiłeś? Jeśli urodzi dziecko, to cóż z tego? Weźmiesz dzieci, pomachasz dziewczynie – niech idzie. Jednak Sulejman tego nie zrobił. Zamiast odesłać Rusinkę, wyrzucił z pałacu matkę następcy tronu.

Było coś dziwnego w oczach tej kobiety. Spalała wzrokiem. Jej córka była taka sama. Patrzyła na człowieka jak jej matka. Mihrimah czasem tak na niego patrzyła, że Ibrahim nie wiedział, co ma zrobić. Czyżby bał się spojrzenia jakiejś małej dziewczynki? Bał się. Wydawało mu się, że dziewczyna czyta mu w myślach. „*Obydwie są niebezpieczne – przemknęło mu przez* myśl. – *I matka, i córka*". We dwie mogły zmusić padyszacha do wszystkiego.

Nagle ogarnęła go przeraźliwa myśl. Może odprawiały czary? Po tej Rusince mógł się spodziewać wszystkiego. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślał. Tak, na pewno rzuciła na padyszacha jakiś czar. Czy na niego też rzuciła jakiś urok? Na przykład, żeby spotkało go coś złego. To możliwe. Musiał natychmiast porozmawiać z szejkiem islamu. Co prawda nie bardzo wierzył w moc hodży, ale wydawał się bardzo religijny. Poza tym bał się czarów. Na pewno hodża zna jakieś sposoby mogące zdjąć magiczne zaklęcia. Niech wyszepcze swoje formuły. „Może mógłbym rzucić przeciwny czar", pomyślał.

Zbliżając się do komnaty sułtana, zgodnie z panującym zwyczajem przechylił głowę w stronę prawego ramienia. Poczuł głaskanie na policzku sobolowego futra i ciężar czapki w kształcie

wysokiego stożka. Ustawieni jak posągi, po dwóch stronach korytarza, olbrzymi wartownicy z podkręconymi wąsami nawet nie mrugnęli, gdy wielki wezyr przechodził przed nimi. Kłaniali się tylko przy modlitwie i przed obliczem sułtana. Ibrahim poczuł się tym lekko urażony, ale nie dał tego po sobie poznać. W końcu i przed nim ludzie padali na twarz.

Po jakimś czasie przyszedł. Zgodnie ze zwyczajem splótł ręce na brzuchu, delikatnie przymknąwszy oczy, i zatrzymał się przed drzwiami, które otwierało dwóch strażników. Przekraczając próg, skłonił się nisko i pozdrowił padyszacha. Czekał w tej pozie, dopóki drzwi się za nim nie zamknęły.

– Podejdź, Ibrahimie – odezwał się sułtan Sulejman. – Musi być jakaś przyczyna, skoro nalegałeś na spotkanie ze mną po obradach Dywanu.

Zamiast odpowiedzieć, delikatnie się ukłonił. W pałacu Sulejmana podstawą był spokój. Spokój oznaczał ciszę. Mówiono tak mało, jak to możliwe. To dlatego służący ustanowili między sobą język znaków. Również ukłon Ibrahima niósł za sobą pewne słowa. „Oczywiście, że jest, mój sułtanie. Czyż niepokoiłbym cię, gdyby nie było takiej potrzeby?”.

Tym razem Ibrahim pokłonił się jeszcze niżej.

– Niech Bóg obdarzy mojego władcę, naszych książąt i jedyną sułtankę długim życiem. Wasz sługa ma do was prośbę.

– O co chodzi, paszo?

Ibrahim ukłonił się, unosząc nad głowę trzymany w obu dłoniach zwój. Wykonał niewielki krok w stronę sułtana.

– Wasz sługa Piri dokończył mapę. Przekazał mi ją, żebym wręczył ją naszemu władcy.

Twarz padyszacha rozjaśniła się. Przechyliwszy się, sięgnął po zwój. Rozwinął go powoli i oparł o kolana. Z uwagą mu się przyjrzał. Następnie podniósł się i skierował do wielkiego biurka, które stało naprzeciwko kominka. Rozłożył mapę na blacie. Przyłożył ją z dwóch stron, żeby się nie złożyła. Przez jakiś czas w ciszy się jej przyglądał. Palcem kreślił na niej szlaki.

– Czy to świat, który odkrył admirał Kolumb? Ibrahim Pasza

zbliżył się do stołu. Delikatnie wyciągnął głowę i spojrzał na mapę.

– Tak, mój panie.

– Czyli to świat, którego skarby dadzą bogactwo Karolowi.

Wielki wezyr, zamiast przytaknąć, pokornie pochylił głowę.

– Kapitan naszkicował nam miejsca, których nie widział? Narysował swoje wyobrażenia? – Po głosie padyszacha można było poznać, że zaraz wybuchnie gniewem.

– Wasz sługa Piri bardzo dużo pływa po morzach. Słucha opowiadań marynarzy, którzy na własne uszy słyszeli opowiadania starszych uczestniczących w wyprawie admirała Kolumba. Teraz rozmawia też z galernikami i kapitanami giaurów pływających na statkach słynnego Corteza. Na podstawie ich relacji wykonuje obliczenia.

Padyszach pokiwał głową i zaczął dalej krążyć palcem po mapie.

– Jeśli odkryte ziemie są tak wielkie, Ibrahimie, obawiam się, że świat zyska nowy kształt.

Uniósł głowę i spojrzał na wielkiego wezyra.

Ilekroć padał temat Nowego Świata, Ibrahim tracił dobry nastrój. Tak samo było teraz. Obawiał się, że padyszach zmieni zdanie. Bał się, że podczas gdy w Europie zostało tak wiele państw do podbicia, tak wiele koron do obalenia i mnóstwo skarbów do zdobycia, padyszach postanowi wyruszyć po przygodę, której koniec był niepewny. On myślał o Rzymie. Chciał rzymskiej korony. Jeśli nie na własną głowę, to na Sulejmana. Gdyby to od niego zależało, nie przynosiłby sułtanowi mapy kapitana Piri.

– Niech Bóg obdarzy naszego pana długim życiem. Więcej niż połowa europejskich ziem czeka na zwycięski miecz naszego władcy.

– Zdobędziemy na Starym Kontynencie wszystko, co jest do zdobycia. W porównaniu z tymi bezkresnymi ziemiami to, co zostanie w naszych rękach, będzie tylko niewielkim skrawkiem.

– Przyjdzie dzień, że Bóg ześle na naszego pana – władcę

Starego Świata – łaskę podboju nowych ziem.

Sułtan ponownie utkwił zamyślony wzrok w mapie.

Tym razem Ibrahim wyciągnął zza brokatowego pasa książkę oprawioną w skórę.

– A to zapiski waszego sługi Piri Paszy. Opisuje morza, wyspy, wiatry, wybrzeża. Nazwał ją *Dziennik Okrętowy*.

Sulejman wziął książkę i zaczął kartkować.

– Powiedz, że mądrość Piri Paszy jest wielka. Dzięki mapie, którą nakreślił, przejrzeliśmy na oczy. Kapitan przed nami, którzy sądziliśmy, że świat jest dla nas za mały, otworzył nowe horyzonty.

„Tego właśnie się obawiałem", westchnął Ibrahim.

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie trać czasu, Ibrahimie – mówił dalej padyszach. – Przyszłość jest na morzu. Niech dokonają takich obliczeń, żeby moje statki zdobyły drugi koniec Morza Śródziemnego i przepłynęły przez Cieśninę Gibraltarską. Niech wypłyną na ocean. Niech moi kapitanowie, Lewantyńczycy, skrzyżują miecze na wodach, na których roi się od dowódców Karola. Niech flaga Wielkiego Imperium Osmańskiego stanie na nowym lądzie.

Ibrahim Pasza trzykrotnie ucałował dłoń padyszacha i przyłożył sobie do czoła.

– Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem.

– Powiedz też kapitanowi, żeby przyszedł w dogodnym czasie. Niech przekaże swoją wiedzę i opowie o mapie. Uważnie przeczytam jego dziennik. Zadam mu pytania. Niech zgodnie z tym poczyni przygotowania.

„Marzenia ściętej głowy", pomyślał Ibrahim, opuszczając padyszacha. Nie miał zamiaru, żeby siłę i potęgę państwa przejęli marynarze w krótkich portkach udający korsarzy.

*

Mihrimah nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Brzuch jej matki znów był ogromny. Przygotowywała się, żeby ponownie zostać starszą siostrą.

Nie pamiętała narodzin Selima. Widziała go jedynie otulonego jedwabiami w ramionach matki. „To twój brat”. Pokazała go jej piastunka Esma. „Jesteś teraz starszą siostrą”. Jednak Mihrimah nic z tego nie rozumiała. Była nawet trochę zła. Przez wiele dni siedziała nadąsana. Pewnego dnia powiedziała nawet: „Teraz już zawsze będą się interesować tym żółtogłowym”.

Teraz naprawdę czuła, że zostanie starszą siostrą. Była podekscytowana. Nie rozumiała przyczyny, ale była zaniepokojona. Obawiała się, że jeśli będzie miała jeszcze jednego młodszego brata lub siostrę, już całkiem o niej zapomną. Nie potrafiła opisać swoich uczuć. Była po prostu niespokojna. To wszystko.

Mihrimah zrozumiała, że jej matka urodziła, gdy służące śpieszyły z dobrą nowiną w nadziei na sowitą nagrodę: „Macie syna, sułtanie. Niech Bóg obdarzy go długim życiem”. „A więc chłopiec”, westchnęła. Teraz jej ojciec miał czterech synów. Jednym z nich był Mustafa, syn Gülbahar Haseki, której imienia matka *zabroniła* wymawiać. Nigdy go jeszcze nie widziała. Jej starszym bratem był Mehmed noszący wielki turban. Następny był żółtogłowy Selim, który niszczył wszystko, co miał na swojej drodze, odkąd tylko nauczył się chodzić. I teraz jeszcze jeden chłopiec.

Gdy podeszła pod drzwi komnaty matki, usłyszała przeraźliwe skrzeczenie. „Mój Boże, jak to krzyczy”. Oczywiście chłopiec jeszcze nie wiedział, że w pałacu nie wolno hałasować. Niedługo się dowie.

Piastunka Esma otworzyła drzwi. Mihrimah z gracją weszła do środka. Spośród grona czarnych służących znajdujących się w komnacie Hürrem wynurzyła się Setaret Kalfa.

– Zróbcie przejście! Sułtanka, starsza siostra, przyszła zobaczyć swojego małego braciszka! *Maszallah*! Niech Bóg chroni go przed złym spojrzeniem! – krzyczała radośnie. – Niech zapłoną kadzidła strzegące przed urokami. Spójrzcie tylko, jaka ta nasza sułtanka piękna.

Mihrimah ruszyła ciężkim krokiem i wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

Był tam. Jej brat, który przyszedł, żeby ukraść jej miłość matki i ojca. Leżał w ramionach matki otulony w jedwabie i krzyczał. Zdziwiło ją, że coś tak małego może robić tyle hałasu. Mihrimah postanowiła, że nigdy go nie pokocha. Selima też nie kochała.

– Chodź, moja śliczna córeczko.

Uniosła głowę i spojrzała na matkę.

– Wiesz, kochanie – mówiła dalej Hürrem – teraz już nikt nie nazwie cię dzieckiem. Stałaś się dużą dziewczynką. Twój brat przyniósł ci z *góry Kaf* radość bycia starszą siostrą. Po raz drugi zostałaś starszą siostrą, córeczko.

„*Góra Kaf, też coś*”, żachnęła się w duchu. Jakby nie wiedziała, skąd się wziął jej młodszy brat. Wyszedł z brzucha jej matki. Jednak nie wiedziała, jak się tam znalazł. Prędzej czy później tego też się dowie. Pytała kiedyś nawet o to Esmę, ale piastunka otworzyła oczy z przerażenia i upomniała ją: „Ciii, to wstyd!”.

Jej babka siedziała przy głowie matki. Sułtanka Matka głaskała po włosach Hürrem, która rodziła jej synowi dziecko za dzieckiem.

Na widok Mihrimah jej twarz jeszcze bardziej się rozjaśniła. Natychmiast zauważyła smutek, bezradność, a nawet strach w oczach dziewczynki.

– Niech nikt nie ma mi tego za złe – odezwała się do zgromadzonych. – Ty też Hürrem. Masz trzech książąt. Niech Bóg pozwoli mu dorastać przy matce i ojcu, niech doczekają dni, gdy staną się mężczyznami. Niech u ich stóp znajdzie się całe Wielkie Imperium Osmańskie. Jednak chcę powiedzieć: z jednej strony trzech książąt, a z drugiej moja piękna sułtanka. Nawet jeśli urodzisz tysiąc książąt, za nic nie zamienię mojej Mihrimah.

Jej serce zadrżało z wdzięczności, a oczy wypełniły się łzami. Poczuła dumę i radość. Gdyby starsza kobieta nie powiedziała: „Podejdź, nie chcesz zobaczyć brata?”, podbiegłaby,

rzuciła się jej na szyję, obsypała pocałunkami jej pomarszczone dłonie i twarz. Byłoby to wbrew pałacowej etykiecie oraz zaleceniom jej matki i Esmy, ale nie obchodziło jej to. Babcia uratowała ją przed rosnącym w jej wnętrzu strachem przed odrzuceniem.

Czy ojciec również tak myślał? A matka? Podeszła do wciąż płaczącego dziecka. Jej twarz stała się nagle bez wyrazu.

– Spójrz – powiedziała Hürrem. – To twój mały brat.

Ukłoniła się delikatnie i spojrzała.

Coś całkiem czerwonego.

„Jest okropnie brzydki – pomyślała. – Okropnie brzydki".

Niestrudzenie wymachiwał zaciśniętymi piąstkami i płakał. Miał takie malutkie rączki. A paluszki? „Coś takiego nie może przeżyć – przeszło jej przez myśl. – Może umrze". Zawstydziła się swoich myśli. Wyciągnęła palec wskazujący i próbowała dotknąć maleńkiej dłoni. To był nieśmiały dotyk pełen strachu.

Nagle chłopiec przestał płakać. Spojrzał na nią przymkniętymi oczami.

– Poznał swoją starszą siostrę – powiedział ktoś. – Na twój widok przestał płakać. Polubił cię.

Może sobie lubić. Ona go *nie lubiła* i nie zamierzała polubić.

Na zewnątrz rozległ się zgiełk i słychać było głosy:

– Idzie nasz pan.

Nadeszła ta chwila. Chwila, w której jej ojciec zważy swoją miłość do niej. Teraz wszystko stanie się jasne. Czy biorąc w ramiona czerwonego, brzydkiego syna, zapomni o swojej córce, którą wychwalał, nazywając swoim słońcem, księżycem, nocą, dniem? Czy zauważy obecność Mihrimah? Czy zrozumie, że z bijącym sercem czeka, żeby wziął ją w ramiona? Prosi: „Kochaj mnie. Nie zapominaj o mnie". Czy pobiegnie i przytuli to coś? „Na pewno tak będzie – pomyślała. – Ty jesteś dziewczyną. To chłopiec. Książę. Zobaczysz, pobiegnie i weźmie go w ramiona, a ty będziesz tu tak stała".

Ale tak nie było.

– Gdzie jest moja ukochana, najpiękniejsza z pięknych

Hürrem. – Z takimi słowami, z wyrazem szczęścia i radości na twarzy wszedł do komnaty jej matki sułtan Sulejman. Podczas gdy wszyscy skłonili się nisko, jej ojciec szybkim krokiem podszedł do Mihrimah. Przytulił ją do piersi.

– Moje słońce, znowu zostałaś starszą siostrą?

„Widziałaś – zbeształa w duchu swój wewnętrzny głos. – Mój tata, padyszach, nie zapomniał o mnie. Gdy Selim się urodził, też o mnie nie zapomniał. Widzisz, objął mnie. Nawet na niego nie spojrzał". Poczuła wielkie szczęście, opierając głowę o pierś ojca. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Tato! – Z ust Mihrimah wydobył się dźwięk między łkaniem a westchnieniem.

Przytulając córkę, Sulejman mrugnął do Hürrem i obecnych.

– Pójdziemy i razem zobaczymy tego chłopca? – wyszeptał jej do ucha.

Mihrimah ucałowała Sulejmana w brodę, która łaskotała ją, ilekroć jej dotykała.

– Ja już widziałam.

– Podobał ci się? Na pewno nie jest tak ładny jak ty.

– Nie jest. Jest brzydki.

Wśród zgromadzonych rozległ się dyskretny śmiech.

– Nie uwierzysz. Jest cały czerwony. Nie ma takich jasnych włosów jak Selim – powiedziała cicho Mihrimah. – I ma takie paskudne palce.

Nie wypuszczając córki z objęć, Sulejman skierował się w stronę łóżka. Gdyby odwróciła głowę, zobaczyłaby, z jak wielką miłością jej ojciec patrzył na Hürrem i jak jej matka nagradza go uśmiechem.

Jej ojciec pochylił się i ucałował w czoło próbującą się podnieść matkę.

– Czcigodny sułtanie.

– Przyszliśmy podziękować Bogu, że obdarzył naszą uśmiechniętą buzię zdrowiem, Hürrem.

Mihrimah, odwróciwszy się w objęciach ojca, bacznie obserwowała tę scenę.

Hürrem pokazała dziecko.

– Wasz książę całuje wasze dłonie.

„Chyba jestem już trochę za ciężka, żeby tak długo trzymać mnie w ramionach”, pomyślała Mihrimah. Urosła. Jej stopy prawie dotykały podłogi. Być może to niewłaściwe, że jako starsza siostra jest noszona na rękach. Powoli wysunęła się z objęć ojca i zsunęła na dół, ale nie wypuściła z rąk poły jego kaftana.

Sulejman pochylił się, długo patrzył na chłopca, którego Hürrem trzymała w ramionach.

– Masz rację, córeczko – wyszeptał. – Mój książę jest dość brzydki.

Wszyscy usłyszeli te słowa. Rozległy się stłumione śmiechy.

– Jak myślisz, Mihrimah – zapytał ją czule ojciec – ogłosimy światu jego narodziny, mimo że jest brzydki?

Mihrimah pokiwała głową.

Dopiero potem sułtan Sulejman wziął w ramiona małego chłopca. Podniósł go nad głowę.

– Syn sułtana Sulejmana, władcy Anatolii i Rumelii, oraz pięknej Aleksandry Anastazji Lisowskiej, którą nazywamy Hürrem, żeby to imię przypominało jej uśmiechniętą twarz – zamilkł na chwilę i spojrzał na córkę – i młodszy brat ich córki, najpiękniejszej na świecie sułtanki Mihrimah. Niech nosi imię na pamiątkę swojego dziada Bajazyda.

Komnatę wypełniły oklaski i okrzyki:

– Niech żyje! Niech żyje! Niech Bóg obdarzy go długim życiem!

„Mój tata jest wielkim człowiekiem – pomyślała Mihrimah. – Wspaniałym człowiekiem. Kocham go”.

Ojciec też ją kochał. Matka również. I to bardzo. „Potrzebuję cię – mawiała często. – Jeśli będziemy kroczyły jak matka z córką ramię w ramię, nikt nas nie pokona. Stawimy czoła wszystkim niebezpieczeństwom. Nie martw się”.

Nie miała czym się martwić. Była córką władcy świata sułtana Sulejmana i najpiękniejszej z pięknych, Hürrem Haseki. Jakie niebezpieczeństwa mogły na nią czyhać?

Mihrimah była zła. Zawsze gniewało ją, gdy jej matka tuliła jej młodszego brata, nazywając go *swoim księciem*. Wprawdzie ją też tuliła ze słowami: „Moja piękna sułtanka", ale czuła, że słowo „książę" niesie za sobą ukryte znaczenie. Jej matka kochała żółtogłowego Selima i Bajazyda, ale Mehmed zajmował inne miejsce. W końcu był Mehmedem. Matka drżała o jej starszego brata. Odchodziła od zmysłów, gdy na Mehmedzie usiadła mucha albo dostał gorączki.

Mihrimah już rozumiała, że jej zainteresowanie należało się dopiero po męskich członkach rodu, po ojcu, starszym bracie Mehmedzie i jej młodszych braciach Selimie i Bajazydzie.

Kluczem do tego było zapewne ukryte znaczenie słowa „*książę*". Rozwiązanie tej tajemnicy nie dawało jej spokoju.

Dla jej matki Mihrimah była teraz *starszą siostrą*. Nie wypadało jej biegać po ogrodzie i wykłócać się. Przyszedł czas, żeby siedziała i przyswajała lekcje dawane przez nauczycieli, robiła to, co nakazywały jej opiekunki. Jednak jej ojciec tak nie uważał. Ile razy słyszała, jak mówił do matki:

– Daj spokój mojej sułtance. Niech w pełni nasyci się dzieciństwem.

Chociaż bywała na nią zła, to Mihrimah kochała matkę. Wciąż miała w uszach pieśni, które śpiewała jej, gdy była mała, siedząc przy jej łóżku. Głos jej matki był taki wzruszający, taki ciepły i miękki. Szczególnie gdy jej matka brała w dłonie wielką *bałabajkę* – wszyscy mówili „bałałajka", ale Mihrimah ta nazwa wydawała się odpowiedniejsza – i zaczynała śpiewać, przed jej oczami otwierał swoje podwoje całkiem inny, pełen tajemnic świat. Wtedy nie pojmowała słów pieśni, a nawet gdyby ją rozumiała, nie potrafiła zaśpiewać. Do tej pory dźwięki, które słyszała, akcent i słowa niczego jej nie przypominały. Dźwięki były bardziej nosowe.

Pewnego dnia Hürrem posadziła ją sobie na kolanach. „*Dobroje utro*[11]", powiedziała. Oczywiście nic nie zrozumiała, ale te słowa wydawały jej się mieć w sobie tyle ciepła. Wewnętrzny głos bezustannie powtarzał jej: „Znasz je. Znasz te słowa". Ale nie

znała ich. Później powiedziała: *„Ja twaja mama, liubimaja doczenka*[12]”.

Mówiąc „mama”, matka wskazała na siebie, a na słowo „doczenka” wskazała palcem na nią. „Mama – doczenka, mama – doczenka”, powtórzyła kilka razy.

Mihrimah, śmiejąc się w ramionach matki, która dotykała ją i łaskotała, zaczęła za nią powtarzać: „Mama – doczenka, mama – doczenka”.

– To ojczysty język twojej matki, córciu – powiedziała Hürrem, głaszcząc ją po włosach. – Tym językiem mówi się w kraju, z którego pochodzę.

– W twoim kraju? Gdzie to jest?

– Na Rusi. To kraj rzek, stepów i ośnieżonych szczytów.

– Czy jest tam pięknie?

– Pięknie. Bardzo pięknie.

– Nawet piękniej niż tutaj?

Spojrzenie jej matki zaszło mgłą.

– Tak, kochanie – odparła po chwili. – Nawet piękniej niż tutaj.

– W takim razie dlaczego tu przyjechałaś?

– Żeby znaleźć ciebie, moja najdroższa.

Tego dnia po raz pierwszy Mihrimah dostrzegła ogień czający się w oczach matki. Przez chwilę z uwagą jej się przyglądała. Wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po policzku.

– Powiedz to jeszcze raz.

– *Dobroje utro. Ja twaja mama, liubimaja doczenka.* To ruski – powiedziała Hürrem, podczas gdy Mihrimah próbowała zapisać sobie w pamięci te słowa. Chciała opowiedzieć córce coś jeszcze. Chciała opowiadać jej o tym całymi godzinami, dniami. Nigdy nie przestawać.

– To język bezkresnych stepów, stromych szczytów, wzburzonych rzek. Język matki Wołgi.

Nie sposób było nie zauważyć entuzjazmu i tęsknoty w jej głosie.

Znów zaczęła śpiewać jej tę piosenkę. Zaraz, jak ona się

zaczynała? A! *Myśliwi matce Katii powiedzieli, że jej córy nigdzie nie widzieli.*

Mihrimah widziała, że ilekroć śpiewała tę piosenkę, oczy matki zachodziły mgłą. Tego dnia też tak było. Matka przytuliła Mihrimah. Pojedyncza łza spadła na rękę dziewczynki.

Jej matka była bardzo piękna. Twarz, oczy, włosy… Za każdym razem, gdy stawała naprzeciwko srebrnego lustra, zastanawiała się: „Czy ja też będę taka piękna jak moja mama?". Można było dostrzec wiele podobieństw. Brwi, nos… Jednak jej włosy były koloru blond. „Ale nie jestem taka żółta jak Selim – pomyślała, patrząc na odbicie w lustrze. – Moje włosy są jak łany zbóż. On ma prawie białe". Bardziej przypominała ojca. Zaczynając od czoła, które było równie szerokie co ojca. Miała tak samo okrągłą twarz. Jej oczy nie były podobne ani do oczu ojca, ani matki. „Ciekawe, po kim je mam – zastanawiała się czasem. – Moje oczy są niebieskie jak morze". Tymczasem oczy jej ojca były czarne, a matki niebieskozielone. Ale spojrzenie miała matki. Prześwietlała człowieka na wylot. Natomiast jej usta przypominały usta babci. „Moja piękna, babcinousta sułtanka", mówiła do niej sułtanka Hafsa. Być może starsza kobieta widziała u niej więcej podobieństw do siebie, ale o tym nie mówiła.

Wiedziała, że była bardzo kochana. Jednak zdawała sobie sprawę, że chłopców traktowano inaczej. Na przykład tata przepasał jej starszego brata Mehmeda szablą wykonaną specjalnie dla niego. Pozwalał mu już jeździć konno na polowaniach. Selim i Bajazyd byli na to jeszcze za mali, ale oni też byli książętami. Na samo słowo „*książę*" pochwał nie było końca. Niewątpliwie kryło w sobie jakąś tajemnicę.

Rankiem Mihrimah zwróciła się do ubierającej ją Esmy:

– Co znaczy „książę"?

– Oznacza potomka naszego pana padyszacha – odpowiedziała mimowolnie.

– Ja nie jestem potomkinią padyszacha?

Mihrimah otworzyła szeroko oczy.

Esma uśmiechnęła się, czesząc opadające na ramiona włosy

dziewczynki grzebieniem z kości słoniowej, inkrustowanym złotem.

– Coś podobnego! – powiedziała ze strachem. – Cóż to za słowa? Oczywiście, że jesteś jego dzieckiem, ale jesteś dziewczyną.

– Dziewczyny nie są książętami?

– Nie, one są sułtankami. A ty jesteś naszą ukochaną sułtanką Mihrimah.

Ta odpowiedź w najmniejszym stopniu jej nie zadowoliła.

– Książęta są ważniejsi od sułtanek?

Esma się zatrzymała. Co ta dziewczyna miała na myśli? Skąd wzięły się te niebezpieczne słowa? Uciekając wzrokiem od bacznie obserwującej ją Mihrimah, pokiwała głową.

– Dlaczego?

Nie było to już pytanie, przed którym udałoby się uciec, kiwając głową.

– Książę, gdy dorośnie, może zostać padyszachem. To dlatego.

Mihrimah nie odzywała się przez chwilę. Wpatrywała się w oczy Esmy.

– Sułtanka nie może zostać padyszachem?

Piastunka pokręciła głową.

– Czyli książęta są ważniejsi od sułtanek, tak? Mój tata padyszach kocha Mehmeda bardziej ode mnie? Żółtogłowego i Bajazyda też?

Zamilkła. Zamyślona spojrzała na swoje dłonie.

– Ale dlaczego? – zapytała cicho. – Gdybym była padyszachem, nie kochałabym tego, kto zajmie moje miejsce.

Esma była bliska omdlenia. Starała się nie dać nic po sobie poznać i zamknąć usta dziewczynie, udając, że nie słyszała jej ostatnich słów. To nie były słowa powiedziane ot tak. Kto wie, jak zrozumiałby je ktoś, kto by je usłyszał. A w tym pałacu, prędzej czy później, wszyscy wszystko słyszeli.

– Nie traćmy teraz czasu na te pytania – oznajmiła z uśmiechem piastunka. – Hürrem Haseki oczekuje swojej pięknej

sułtanki w komnacie. Nie każmy jej zbyt długo czekać.

*

Gdy Mihrimah weszła do komnaty, Hürrem i Merzuka, siedząc na szerokiej sofie, haftowały koronki.

Właściwie Mihrimah bardzo to lubiła, ale nie okazywała tego. W materiał rozciągnięty na ramce raz wbijało się igłę od spodu, a raz od góry. Różnokolorowe nici tworzyły niewiarygodne obrazy. Raz nawet spróbowała, ale gdy wbiła sobie igłę w palec, Esma odebrała ją i nie pozwoliła jej haftować.

Światło wlewające się przez wielkie okratowane okno znajdujące się tuż za sofą, na której siedziała jej matka, rozjaśniało połowę komnaty. Drugą połową zawładnął cień.

Komnatę z wysoko zawieszonym sufitem pokrywały w dużej mierze zielone i niebieskie kafelki. Na prawej ścianie od drzwi na całej długości znajdował się trzykondygnacyjny basen. Ze złotych kranów do basenu lała się woda, która zmniejszała skutki panującego na zewnątrz gorąca i wypełniała komnatę przyjemnym szumem. Zaraz obok siedziała po turecku piękna dziewczyna, której palce wędrowały po strunach trzymanego na kolanach instrumentu.

– Co to jest? – zapytała.

– To kanun.

– Kanun? Co to znaczy?

– To nazwa tego instrumentu, moja *morskooka*.

– Mogę zagrać?

– Oczywiście, że możesz.

Hürrem wzięła kanun od grającej dziewczyny, posadziła córkę na sofie i położyła go na jej kolanach. Pozwoliła Mihrimah dotykać strun, starając się przytrzymać plektrony[13], które były zbyt duże dla dziewczyny.

To musiały być czary.

Jej matka uwielbiała grać na instrumentach. Ojciec lubił słuchać. Było też coś o wielkim pudle. Sięgało jej do pasa. Mama często na nim grywała. Zdarzało się, że tata wspólnie nucił z nią

pieśni. Oznaczało to, że padyszach jest ogromnie szczęśliwy. Mihrimah uwielbiała ten widok.

Kilka razy szarpnęła struny instrumentu, wydając z niego dźwięki trafiające prosto do serca. Mihrimah rozweseliła się, lecz po chwili jej twarz znów się zachmurzyła.

Hürrem, patrząc na zasmuconą twarz córki, zrozumiała, że coś się stało.

Dziewczyna, która ilekroć widziała je razem, siadała pomiędzy nią a Merzuką, tym razem tego nie zrobiła. Krokiem zdradzającym gniew podeszła do matki. Odwróciła się plecami do Setaret Kalfy siedzącej na podłodze u stóp swojej pani.

Nie był to dobry znak. Nie zdarzało się, żeby Mihrimah zachowywała się w ten sposób. Trzy kobiety spojrzały po sobie. Następnie zwróciły pytające spojrzenia ku piastunce dziewczyny. Esma odpowiedziała im, wzruszając ramionami. Służąca wyczuła napięcie, które w jednej chwili wypełniło pomieszczenie. Na znak podniosła kanun i usiadła pod ścianą.

Setaret Kalfa jako pierwsza przerwała ciszę.

– Dziewczęta, dziewczęta! Szybko, przyszła sułtanka Mihrimah… Dalej, przynieście sorbet z orzeszkami dla mojej księżycowej kruszyny…

Gdy służące zaczęły się uwijać, kobieta, jak to miała w zwyczaju, splunęła na cztery strony, żeby odgonić złe uroki. Jednak to nie wystarczyło, żeby wywołać uśmiech na twarzy Mihrimah. Wręcz przeciwnie, dziewczyna jeszcze bardziej się skrzywiła.

– Nie chcę!

– Są zrobione z wód chłodzonych w lodowni[14] – próbowała ją zachęcić Merzuka – skropione wodą różaną i posypane pysznymi orzeszkami.

– Nie chcę!

Skrzyżowawszy ręce na piersi, wbiła wzrok w ścianę.

– Zupełnie jak ty – szepnęła Tatarka do ucha Hürrem, a ta w odpowiedzi delikatnie szturchnęła ją łokciem.

Gdy Hürrem trafiła pod opiekę Merzuki, była w wieku jej

córki. Przed jej oczami pojawił się obraz Taczama Nojana, który porwawszy młodziutką Aleksandrę Anastazję Lisowską, powierzył ją matce chana krymskiego. W jej obecności mężczyzna powiedział do staruszki:

– Macie, matko. Dopuściłem się grzechu. Zerwałem ten niewinny pączek z gałęzi. Bóg jeden wie, jak bardzo żałuję. Oby moją szyję oplótł tłusty powróz albo ścięła szabla. Oby odcięła rękę, która zabrała ją z domu, z jej ojczyzny. Nigdy nie zmyję tego grzechu. Weź tę maleńką duszyczkę, matko Güldane, a jeśli zechcesz, każ ściąć mi głowę. Wystarczy, że ocalisz to małe biedactwo.

„Ach, jak ten czas mija!", pomyślała Merzuka. Jak szybko mijały lata. Ta mała, wątła, wystraszona, ale uparta jak osioł Aleksandra dorosła, została wybranką najpotężniejszego człowieka na świecie, dała mu trzech synów i córkę. Aż trudno w to uwierzyć.

– Jeśli masz ochotę, każę im przynieść arbuza – spróbowała szczęścia Hürrem.

Tym razem dziewczyna nawet nie odpowiedziała. Tylko pokręciła głową. Tego też nie chciała.

– W takim razie usiądź na kolanach Setaret i niech opowie ci baśń. My też posłuchamy.

Arabska służąca natychmiast zmieniła pozycję i zrobiła miejsce dla Mihrimah. Dziewczyna kochała siedzieć na tych kolanach. Najbardziej uwielbiała być na kolanach matki, później ojca, następnie Merzuki i Setaret. Gdy tylko była blisko nich, opierała głowę o piersi i wdychała ich zapach, każdy inny. Zapach ukochanych osób sprawiał, że czuła się szczęśliwsza, bezpieczniejsza. Szczególnie uwielbiała zasypiać, czując zapach skóry Setaret, kładąc jej głowę na piersiach, z których każda była wielka i miękka jak poduszka.

Wszystkie wiedziały, że Mihrimah nie odmówi siedzenia na jej kolanach i wysłuchania baśni.

Właściwie każda z nich uwielbiała baśnie, które w większości Setaret wymyślała na poczekaniu. Czasem, gdy na

chwilę zamilkła, ciekawa dalszego ciągu opowieści Hürrem pytała: „A później?”. Ileż to razy, choć udawała, że tego nie zauważa, widziała, jak służące ukradkiem ocierają łzy, słuchając baśni Setaret. Na pewno teraz Mihrimah poderwie się z miejsca i rzuciwszy się na szyję czarniejszej niż węgiel kobiety, wykrzyknie: „Opowiedz! Opowiedz!”.

Jednak dziewczyna zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego. Odsunęła się od matki, wspięła się na głęboką wnękę okna i tam usiadła.

– Niech nie o-po-wia-da!

– Dlaczego, mój mały ptaszku? Przecież uwielbiasz baśnie Setaret.

– Wszystkie jej baśnie to kłamstwo.

Kobiety ogarnęło zdziwienie.

Gdy Hürrem nagle odwróciła się do córki, Merzuka wbiła sobie igłę w palec. Zaczęła go ssać, próbując złagodzić ból.

Setaret Kalfa także się zdziwiła, że znalazł się ktoś, kto powiedział, że jej baśnie to *kłamstwo*.

– Hej! – odezwała się, ale musiała się zmusić, żeby mówić dalej. – Która z nich to kłamstwo, moja piękna sułtanko? – zapytała w końcu. – *Gülpembe*[15] *i Książę z góry Kaf*? A może *Władczyni Księżyca*? A może *Kara Oglan*[16] *i Wielkouchy Olbrzym*?

Mihrimah płonęła z gniewu.

– Wszystkie! Wszystkie to kłamstwo! Przecież dziewczyny nie mogą być władczyniami. Tylko chłopcy zostają padyszachami. Dlatego książęta są cenniejsi!

Hürrem zostawiła robótkę i doskoczyła do córki, która była zagniewana i bliska płaczu.

– Kto ci to powiedział?

Dziewczyna wskazała palcem opiekunkę.

– Esmo! – wykrzyknęła Hürrem. – Wyjdźcie! – rozkazała, machając ręką. – Zostawcie nas same.

Wszyscy zebrali się i wyszli w pośpiechu.

Hürrem uważnie spojrzała na córkę.

– Książęta są cenni, jednak nie przewyższają swoją wartością sułtanek, kochanie – powiedziała, głaszcząc po głowie rozwścieczoną dziewczynkę.

– To nieprawda. Książę zostaje padyszachem. A sułtanka? Kim zostaje sułtanka? Padyszach rządzi państwem. A co robi sułtanka?

Matka spojrzała na nią zamyślona. Mihrimah znów wydawało się, że widzi ogień płonący w jej oczach.

– Sułtanki, moja piękna – wyszeptała jej do ucha – *rządzą mężczyzną, który rządzi państwem*.

Chciała jeszcze powiedzieć: „Poza tym sułtanki żyją dłużej niż książęta", ale się powstrzymała.

Tak czy inaczej Mihrimah zapisała sobie słowa matki głęboko w pamięci. „Sułtanki, moja piękna – powtórzyła w myślach – rządzą mężczyzną, który rządzi państwem".

Gdzieś na Morzu Tyrreńskim

Został wepchnięty do ciemnego pomieszczenia. Usłyszał, jak z hałasem zamykają się wielkie drzwi. Miejsce, w którym się znalazł, przepełniało go strachem. Minęło sporo czasu, zanim podniósł głowę i się rozejrzał. Nie było tam nic oprócz ciemności. I jeszcze ta… ta głęboka cisza! „Gdzie ja jestem? – pomyślał. – To lochy. To moje lochy. Lochy, w których zginę".

Z czasem przyzwyczaił się do mroku, ale cisza doprowadzała go do szaleństwa. Nie było żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Jego oczy próbowały szukać czegoś w ciemnościach. Na próżno. Nogi pętały mu łańcuchy. Leżał bez ruchu.

Ile czasu minęło? Nie wiedział. Podniósł się.
W ciemnościach wyciągnął przed siebie ręce i małymi krokami, takimi, na jakie pozwalały mu łańcuchy, zaczął iść. Chwiejny, niepewny krok i jeszcze jeden, i jeszcze… Co to za miejsce? Nie miało końca. Wrzucili go do bezkresnej ciemności. Wyczuwał tylko chłód, wilgoć i mrok. Zrozumiawszy, że idąc prosto, nie dotrze do końca, skręcił w prawo. Ponownie wyciągnął przed siebie ramiona. W nadziei, że natknie się na ścianę, ponownie ruszył ciężkim krokiem. Krok i jeszcze jeden, i jeszcze… Dalej trzy, pięć, dziesięć… Później pogubił się w liczeniu. W końcu jego dłonie dotknęły czegoś mokrego, porośniętego mchem i przyprawiającego o drżenie. Ściana. „To pewnie jakiś długi korytarz – pomyślał i zdziwił się. – Ale dlaczego? Dlaczego zamiast do małej celi wrzucili mnie do tego niekończącego się pomieszczenia?". Po tym dniu miliony razy zadawał sobie to pytanie i za każdym razem pozostawało ono bez odpowiedzi.

Nie było równie przerażającego uczucia niż znajdować się w bezkresnej ciemności. Ucieszył się, gdy odnalazł ścianę. Przynajmniej gdy wyciągnął rękę, coś znalazł. Coś, co należało do świata.

Pomyślał o ścianie naprzeciwko. Jak daleko się znajdowała?

Czy istniała? Nie zdobył się na odwagę, żeby wyruszyć na kolejne poszukiwanie. A jeśli nie dotarłby tam… Zupełnie stracił poczucie orientacji. Co by zrobił, gdyby nie znalazł z powrotem ściany, o którą się oparł, gdyby zgubił się pośród ciemności?

Przyciskając plecy do wilgotnej, zimnej ściany, powoli usiadł. Trwało to godzinami. A może minęły dni? Przed jego oczami pojawiały się i znikały niewielkie elementy obrazu. „Coś jest nie tak z moją głową. A może to sen?", pomyślał. Tak czy inaczej przyzwalał na to. W tych pojawiających się widziadłach było światło. Okręt z ogromnymi, wypełnionymi wiatrem żaglami. Bezkresne niebieskie morze. Później jakiś bosy człowiek z nogami spętanymi łańcuchem, idący po mokrych deskach. Kto to był? Nie mógł rozpoznać jego twarzy.

– Heeej! – wykrzyknął. – Wyciągnijcie mnie stąd! Wyciągnijcie!

Odpowiedziała mu cisza.

Jeśli tak tam zostanie, umrze. Wiedział o tym. Nie odrywając pleców od ściany, zaczął przesuwać się w jednym kierunku. Wydawało mu się, że ma do przebycia wiele kilometrów. Pokonywał tę odległość centymetr po centymetrze. Przewrócił się wyczerpany staraniami, żeby nie zgubić ściany, której się trzymał, nie wpaść do jakiejś dziury, która być może znajduje się gdzieś przed nim, żeby coś zobaczyć, a może usłyszeć. Opadł na kolana. Ze strachem próbował odnaleźć mur. W końcu czubkami palców dotknął ściany.

Ponownie się podniósł. Znów rozpoczął swoją wędrówkę. Zatrzymał się nagle, czując na mokrej, omszałej ścianie twarde, suche miejsce. Wytężył wszystkie zmysły. „Co to było?". Zaczął badać mur obiema rękami. Poczuł chłód żelaza.

– Drzwi! – wykrzyknął.

To musiały być drzwi do lochów. Postanowił, że się stamtąd wydostanie. W końcu znajdzie sposób, żeby je otworzyć. Padł na ziemię tuż przy drzwiach. Zaczął czekać, aż nadejdzie sen.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Poczuł coś. Jakby przed samymi drzwiami coś leżało. Zaczął błądzić rękami po ziemi i znalazł. Coś

jakby kamień! Do jego nozdrzy dotarł ledwo wyczuwalny zapach. „Chleb!” – Słowo wybuchło pośród ciszy jak bomba. Czy to był głos w jego głowie? Czyżby wypowiadał głośno słowa, które wydawały mu się jedynie myślami? Czy to jedno słowo, wypełniające zimną i wilgotną ciemność, było bezradnym krzykiem samotności pośród mrocznej ciszy?

Po raz pierwszy poczuł, jaki jest głodny i spragniony. Nie mógł sobie przypomnieć, od jak dawna nie miał nic w ustach. Próbował wgryźć się w chleb twardy jak kamień. Dosłownie ryjąc zębami, oderwał kawałek. W ustach próbował rozmiękczyć go śliną. Nie zważał na to, że gdy go połykał, skamieniały chleb drapał mu przełyk. Z trudem wziął kolejny kęs. Nie powinien jeść wszystkiego. Pozostałą część położył na ziemi i usiadł.

Ponownie zaczął błądzić ręką po ziemi po jednej stronie. Nic nie znalazł. Oblizał poranione z pragnienia usta językiem, który był tak spuchnięty, że z trudem nim poruszał. Gdy przeniósł swoje poszukiwania na drugą stronę, jego palce natrafiły na to, o co się modlił. Był to pęknięty dzban. Przepełniony pragnieniem podniósł go do ust.

– Woda! – wykrzyknął z radością. – Woda! Woda! Woda!

Wygłodniale przełknął cuchnącą ciecz. Ostrożnie postawił dzban obok chleba. Przez chwilę trwał w bezruchu.

Ze strachem zdał sobie sprawę, że zaczynają opuszczać go resztki sił. Kręciło mu się w głowie. Próbował się podnieść, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Nagle pewna myśl przeszyła jego umysł jak błyskawica. Trucizna! Czy woda była zatruta? „Dlaczego? – przeszło mu przez głowę, gdy opadał na ziemię. – Jeśli chcieli go zabić, wystarczyłby jeden strzał. Po co mieliby wrzucać go tutaj i podawać truciznę?”.

W tej chwili podjął decyzję. To nie mogła być trucizna. To było coś innego. Ale co? Coś, co go usypiało, co dosłownie odrywając go od ziemi, unosiło w przestworza i budziło w nim pragnienie wzniesienia się jeszcze wyżej.

Usłyszał, że niedaleko coś się poruszyło, jakby sunący po podłodze ogon. Szczur. Czuł go. Nie, słyszał. Usłyszał, jakby

wyciągnięty ogon tarł o kamienną podłogę i ciche stukanie łap.

„Pod żadnym pozorem nie waż się dotknąć mojego chleba, szczurze!”, przeszło mu przez myśl. Dobry Boże! Znowu to samo. Myśl krążąca w jego głowie zabrzmiała w tej ciszy jak krzyk. Żeby uchronić chleb przed szczurem, podniósł go i położył na swoich kolanach.

Nie mógł już powstrzymać opadających powiek. Zaczął wznosić się ku pustce. „Słyszę własne myśli”, jęknął w duchu. W ciemnościach poszukiwał tego głosu.

– Słyszę, słyszę – szeptał, zamykając oczy.

*

– Wstań!

Najpierw wydawało mu się, że głos dochodzi spomiędzy chmur, pośród których się unosił. To musiał być sen. Wszędzie wokół było światło, zupełnie jakby leciał prosto w słońce. Dostrzegał też inne sylwetki. Czasem się do niego zbliżały, czasem oddalały. „Kobieta! Kobieta! Kobieta!”. To były unoszące się w powietrzu kobiety. Kobiety, których białe, gładkie jak kość słoniowa, nagie ciała przeświytywały przez owijające je tiule!

Może umarł. Nie może, na pewno umarł, a teraz przed bramami raju witały go anioły.

Zadrżał. „Nie mogę nie żyć”, pomyślał natychmiast. Gdyby nie żył, raczej nie czułby drżenia. A może umarli też czują?

„Nie, to na pewno był sen – przeszło mu przez myśl. – Śnię. To bardzo piękny sen. Jasny, kuszący sen, z którego nie można się obudzić”.

Nie mógł się powstrzymać, żeby wyciągnąć rękę do unoszących się w przestrzeni kobiet. Dokładnie w chwili, gdy miał złapać kobietę, której włosy delikatnie powiewały na wietrze, ponownie rozległ się głos przypominający grzmot.

– Wstań!

Światło zgasło, ustępując miejsca ciemności. Kobiety zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Znów leżał rozciągnięty na zimnym kamieniu. Po raz kolejny usłyszał grzmot.

– Wstań!

Co to był za przerażający głos? Skąd dochodził? Próbował znaleźć jego źródło. Dochodził z prawej strony? Z naprzeciwka? Z lewej? A może z tyłu? Ale z tyłu była ścia… Nie, to niemożliwe! Sięgnął w tył. Ściany nie było! Zniknęła. Jak to się mogło stać? Wyciągnął ręce, badając spowijającą go ciemność. Nie mógł wymacać muru. Znów znajdował się pośród bezkresnej nicości. Jak się tu znalazł? Zaczęła go ogarniać panika. Co się działo? Oczywiście, drzwi także zniknęły. Jego chleb i woda też… I ponownie przeraźliwy, trudny do zniesienia głos rozbrzmiał w jego głowie:

– Wstań!

Uklęknął. Jednocześnie szaleńczo rozglądał się wokół siebie, próbując zrozumieć, skąd dochodzi głos. Na wprost, w miejscu, gdzie powinien znajdować się sufit tego ciągnącego się w nieskończoność korytarza, zauważył cieniutką, błękitną smugę światła. Próbował wykonać kilka kroków.

– Wstań, boski wybrańcu!

Tym razem głos dobiegał z tyłu. Był tego pewien. Szybko odwrócił się w kierunku, z którego dobiegł głos. Przez chwilę wydawało mu się, że za sobą ujrzał tę samą niebieską smugę światła.

– Kim jesteś?! – wykrzyknął z całej siły. – Gdzie jesteś?

– Tam, gdzie powinienem być, *Alejandro*!

Teraz głos dochodził z lewej strony. „Pewnie zaczynam tracić zmysły”, pomyślał, gdy tym razem usłyszał głos z bardzo daleka.

– Zawsze zasiadam po prawicy Boga, Alejandro. Chyba o tym nie zapomniałeś?

„Co?!”. W oczach mu pociemniało od ciągłego odwracania się. Opadł na ziemię.

– Alejandro? Co to znaczy? – jęczał, leżąc na podłodze.

Tym razem błękitne światło znajdowało się bardzo blisko, przy samej ziemi. Wydawało mu się, że grzmot rozległ się tuż przy jego głowie.

– *Ty jesteś Alejandro!* To twoje święte imię.

„Co?!”.

– Jestem Ismail – odpowiedział. Myślał, że krzyczy, ale jego głos był niczym szept. – Nie jestem Alejandro. To musi być jakieś nieporozumienie. Jestem Ismail. Syn kapitana Murata. Ismail z Alaiye[17] z leventów[18] kapitana Turguta[19].

– Mylisz się, Alejandro, dżygicie z Sewilli.

Błękitne światło i głos ponownie dochodziły gdzieś z daleka. Jak to możliwe? Jak ten sam głos w jednej chwili mógł rozbrzmiewać tuż nad jego głową, a po chwili dochodzić z tak daleka?

– Bóg cię wybrał, Alejandro – odezwał się głos.

– Do czego mnie wybrał?! – wykrzyknął, odwracając się z gniewem. – Wyciągnijcie mnie stąd! To jakieś nieporozumienie. Nie jestem Alejandro. Jestem leventem, Ismailem z Alaiye, członkiem załogi kapitana Turguta.

Smugi błękitnego światła na krótką chwilę pojawiły się w kilku miejscach jednocześnie i zniknęły.

– Synu! – zabrzmiał głos tuż nad jego głową. Tym razem był miękki, a nawet pieszczotliwy. – Wstań i dziękuj Bogu za to, że cię wybrał.

Błękitne światła ponownie zaczęły pojawiać się to tu, to tam, żeby po chwili zgasnąć. Za każdym razem dało się słyszeć ten sam głos.

– Wstań i dziękuj Bogu za to, że cię wybrał.

– Wstań i dziękuj.

– Wstań!

– Dziękuj!

Znów zakręciło mu się w głowie, a w oczach mu pociemniało.

– Kim jesteś? – zapytał cicho. – Kim jesteś? Wyjdź, pokaż się… Jaki wybór? Do czego Bóg mnie wybrał?

Zaczynał tracić przytomność. Błękitne smugi światła zniknęły. Czarną jak smoła nicość znów spowiła ta sama, złowroga cisza. Jego głos wydawał się w niej jak burza.

– Kim jesteś? – odezwał się, osuwając się na podłogę.

„Jestem Ismail – odpowiedział sobie. – Członek załogi kapitana Turguta, Ismail z Alaiye. Syn kapitana Murata, syna kapitana Iljasa”.

Głos ucichł. Jego oczy się zamknęły.

*

Gdy odzyskał przytomność, głowa bolała go tak bardzo, że z trudem pozostawał przy zdrowych zmysłach. Zdziwił się. Za plecami miał ścianę. „Chyba tracę rozum”, pomyślał. Jeszcze *przed chwilą* znajdował się na środku mroku i jakiś głos zwracał się do niego *Alejandro*. Z każdej strony otaczała go ciemna pustka. Teraz ponownie siedział przy omszałej ścianie. Kiedy tu przyszedł? Jak w tej nicości odnalazł mur?

„Przed chwilą? – Ta myśl nie dawała mu spokoju. – Czy to naprawdę było przed chwilą? Ile czasu minęło? Albo jak długo spał? A może raczej powinien zapytać, jak długo leżał zemdlony? Nie wiem. Nic nie wiem”.

Gdy sięgnął prawą ręką za siebie, wymacał drzwi. Znów były na starym miejscu. W miejscu, z którego postanowił się nie oddalać, żeby ich nie zgubić. Jednak jak to możliwe? Czy to wszystko było snem? Nagie, unoszące się w powietrzu kobiety były snem, ale głos? Głos, który nieustannie krzyczał: „Wstań!” i grzmiał „Alejandro!”? Te pojawiające się we wszystkich miejscach i znikające błękitne światła… Czy one też były snem?

„Oszaleję”, pomyślał. Znów odezwał się głos w jego głowie: „To niemożliwe – mruknął. – Rozmawiałem z nim. Zadawałem mu pytanie, a on odpowiedział. Widziałem te światła”.

Ugryzł chleb. Tym razem wydawał się nieco miększy. A może to jemu się tak wydawało? Długo przeżuwał. Pozostały kawałek położył na kolanach i drżącymi rękami sięgnął po dzban. Wziął kilka dużych łyków. Starał się zlizać wodę spływającą w kącikach ust.

Zamyślił się. Ile czasu minęło, odkąd go tu przyprowadzili? Próbował zebrać myśli. Minęły dwa lata, od kiedy trafił do

hiszpańskiej niewoli. To wiedział. Jednak nie miał pojęcia, jak długo był zamknięty w tych bezkresnych ciemnościach.

Przez chwilę wydawało mu się, jakby w jego głowie otworzyło się jakieś okno. Pamiętał, jak naciągnięto mu worek. Ucieszył się, że przypomina sobie mgliste szczegóły. Najpierw zabrali go gdzieś, prowadząc po niekończących się kamiennych schodach. Później wśród brzdęku pętających mu nogi łańcuchów po tych samych kamiennych schodach sprowadzono go siedem pięter pod ziemię. Przypomniał sobie, jak ogarnęły go wilgotny chłód i okropny smród. Ktoś szorstką ręką rozwiązał liny ściskające jego nadgarstki. Zerwał mu z głowy zakrywający całą twarz czarny worek. Przez chwilę, tylko przez krótką chwilę widział wątłe, drżące światło pochodni na ścianie, z powodu panującej wilgoci całkowicie porośniętej mchem.

I… przypomniał sobie ten głos. Paskudny śmiech, który przeszywał go do szpiku kości.

„*Witaj w piekle*".

Od tamtej chwili tkwił zamknięty w tych ciemnościach. Zanurzając się w mroku, miał w uszach tylko brzdęk krępujących mu nogi łańcuchów. Później wszystko ucichło.

Jeden dźwięk. Morze! Jakby uderzające w coś fale.

Pogrzebali go w morzu.

Pamiętał teraz, jak wtedy krzyczał.

I był tam. W miejscu, gdzie go pogrzebali. Kilka dni, kilka tygodni, kilka miesięcy. A może lat.

Przez chwilę wsłuchiwał się w szum fal uderzających o ściany więzienia. Nie było żadnego innego dźwięku.

Ale był przecież jeszcze ten głos człowieka, który nazywał go Alejandrem.

Czuł, że jedyna szansa na ocalenie wiąże się z tym głosem. Nie wiedział, dlaczego tak myśli, ale tak właśnie było. Czekał, aż on znów do niego przemówi. Kto to mógł być? Gdy zapytał go, gdzie jest, odpowiedział: „Tam, gdzie powinienem być. Zawsze zasiadam po prawicy Boga". Co miały znaczyć te słowa? Dlaczego wciąż nazywał go Alejandrem? Później wypowiedział

zdanie, które przyprawiło go o dreszcz. „Bóg cię wybrał”. Do czego wybrał go Bóg? A potem te pojawiające się i znikające błękitne światła. Skąd pochodziły? Dlaczego światło nieustannie się przemieszczało? Dlaczego głos za każdym razem dobiegał z innego miejsca? Jak to wszystko się działo?

Uniósł głowę i wsłuchiwał się w ciemność.

– Hej! Porozmawiaj ze mną! – wykrzyknął.

Nic się nie wydarzyło. Nie pojawiło się ani światło, ani głos, ani nawet szept. Słyszał tylko biegające szczury.

Powoli położył się na ziemi. Chciał, żeby sen znów mu się przyśnił. Sny były piękne i jasne. Poza tym ten głos usłyszał właśnie podczas snu. Może i teraz tak się stanie. Zamknął oczy. Uśmiechnął się do siebie. „Głupcze – mruknął – przymykasz oczy, jakby było tu jakieś światło, które przeszkadzałoby ci we śnie. Śpij. Powróć do snu”.

Zasnął.

*

Mimo iż bardzo tego pragnął, tym razem nie ujrzał we śnie unoszących się w przestrzeni dziewcząt. Pośród ciemności ukazała mu się inna scena. Ujrzał umęczonego mężczyznę. Uginał się pod ciężarem wielkiego krzyża. Próbował iść, co chwila upadając i podnosząc się. Na głowie miał ciernistą koronę. Kolce raniły mu skórę. Z czoła po policzkach spływała mu krew. Potykał się pod ciężarem, a wyłaniające się z ciemności ręce chłostały go.

Wszystko wydawało się tak prawdziwe, jakby to nie był sen.

„A może nie śpię?”, pomyślał Ismail.

– Hej! Zostawcie go! – krzyknął albo wydawało mu się, że krzyknął.

Chciał się podnieść i podejść tam, ale wszystko zaczęło znikać. Obraz zaczął ginąć w ciemnościach. Nie było już ani mężczyzny niosącego krzyż, ani biczujących go i popychających, bezlitosnych rąk. Wszystko zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

Poszukał za plecami miękkiej, omszałej ściany. Nie było jej.

Znów zniknęła w mroku.

– Odezwij się! – krzyknął. – Porozmawiaj ze mną!

Jedyne, co usłyszał, to odgłos łap szczura przechodzącego tuż przy jego głowie. Zwierzę zatrzymało się przy jego stopach. Wzdrygnął się z przerażeniem, gdy poczuł smagnięcie wąsów na gołych stopach.

– Wynoś się stąd! – wrzasnął, wierzgając nogami. – Znajdź sobie inny posiłek niż moje mięso!

Wszędzie było pełno szczurów, wielkich, głodnych szczurów. Gdy spał, mogły go zjeść… Zadrżał na samą myśl. Wyciągnął ramiona przed siebie i rzucił się w ciemność. W stronę, gdzie przed chwilą widział mężczyznę upadającego pod ciężarem krzyża. Może to był znak. Może było tam jakieś wyjście. Szedł i szedł, ale nie był w stanie dotrzeć go krańca ciemności. Zawadził o coś nogą i przewrócił się. Gdy jego kolana uderzyły o ziemię, jęknął z bólu. Błądząc rękoma po ziemi, próbował odnaleźć przedmiot, który stał się przyczyną jego upadku. Znalazł go. Była to wielka, drewniana belka. Długa belka przecinająca drugą rozciągającą się po jej dwóch stronach niczym ramiona.

Krzyż! Czyli to, co widział przed chwilą i co uważał za sen, było prawdą.

– To była prawda! To była prawda. Przeszedł przede mną człowiek dźwigający krzyż!

Odpowiedziało mu echo odbite od niewidzialnej ściany.

Ismail zemdlał u stóp krzyża.

Nowy Pałac, harem
Stambuł

Mihrimah stała naprzeciwko najważniejszej damy dworu swojej matki – Merzuki – i mierzyła ją wzrokiem.

– Oszukałaś mnie.

Merzuka spojrzała w jej niebieskie jak niebo oczy i uśmiechnęła się.

– W jakiej sprawie, moja sułtanko?

Właściwie te słowa były przyznaniem, że w innych tematach również rozminęła się z prawdą, ale Mihrimah tego nie zauważyła. Jak zwykła robić w chwilach zdenerwowania, dziewczyna nawijała na palec kosmyk swoich blond włosów, które spływały jej na ramiona.

– Jak to w jakiej? W sprawie dorastania.

– Dorastania?

– Tak, właśnie – dorastania. Co powiedziałaś, gdy zapytałam, kiedy dorosnę?

– Co powiedziałam?

Wszystkie znajdujące się w komnacie dziewczęta przerwały wykonywane czynności i zaczęły z uwagą przysłuchiwać się tej dziwacznej rozmowie.

Mihrimah przestała kręcić loki. Puszczone wolno kosmyki opadły lekko na jej ramiona.

– Licz dni – stwierdziłaś… Dodaj dzień do dnia… Wtedy zobaczysz, czy dorosłaś. Dokładnie tak powiedziałaś.

Na twarzach obecnych w komnacie dziewcząt pojawiły się uśmiechy, lecz ponieważ śmianie się z córki padyszacha oznaczało brak szacunku, odwracały głowy, żeby ukryć swoje miny.

– A zatem powiedziałam prawdę.

Dziewczyna tupnęła ze złością.

„Zupełnie jak matka”, pomyślała Merzuka. Czy od czasów

pałacu krymskiego Aleksandra, gdy tylko się zdenerwowała, nie uderzała obcasami o podłogę? Mój Boże! Nie mogła się przyzwyczaić, żeby nazywać ją Hürrem. To była jej Aleksandra i już. Aleksandra stała się dorosłą kobietą, urodziła dzieci, a ona właśnie rozmawiała z jej córką.

Wciąż robiła to samo. W kogo mogła się wrodzić córka kobiety, która w okresie ciężkich prób w pawilonie dla odalisek, nie mogąc przez dłuższy czas pokazać się Sulejmanowi, ostrym obcasem przedziurawiła stopę haremowego agi – Sümbüla? „Niedaleko pada jabłko od jabłoni", roześmiała się w duchu.

– Nie umiem aż do tylu liczyć! – wykrzyknęła ostrym od gniewu głosem Mihrimah. – Minęło tyle dni – westchnęła.

Gdy dziewczyna zginała palce, jakby liczyła, pomieszczenie wypełniły odgłosy tłumionego śmiechu.

Merzuka przyciągnęła małą sułtankę do siebie i wzięła ją w ramiona. Jednak to nie złagodziło gniewu dziewczyny.

– Przestałam liczyć – jęknęła mała sułtanka.

– Dobrze zrobiłaś.

– Ale jeśli nie będę dodawała dnia do dnia, nie dorosnę.

Pełne szacunku uśmiechy tym razem zmieniły się w głośny chichot.

– Czy to możliwe, sułtanko? – odezwała się jedna z dam dworu. – Przecież urosłaś. Stałaś się już dużą dziewczynką. *Maszallah*.

– Dziewczęta, dziewczęta… Jedyna córka pani Hürrem, słońce i księżyc naszego pana sułtana Sulejmana, królowa naszych serc, sułtanka Mihrimah dorosła. Niech wszystkie o tym usłyszą! – rzuciła z radością Setaret Kalfa.

Imitujący lament wesoły głos arabskiej służącej rozśmieszył wszystkich. Mihrimah, uwolniwszy się z ramion Merzuki, dopadła do Setaret. Kobieta udała, że nie może się podnieść, żeby ją objąć.

– Hej, dziewczęta, po co dodawać dzień do dnia? Spójrzcie tylko, jak nasza sułtanka wyrosła. Aż trudno ją podnieść.

Nikt nie dodawał dnia do dnia, nikt ich nie liczył, ale czas płynął jak rzeka. A Mihrimah naprawdę szybko rosła. Na przykład

wieczorami nie ciągnęła już Hürrem za spódnicę, prosząc ją: „Zrób mi teatr cieni”.

Przypomniała sobie, jak z radości nie mogła usiedzieć w miejscu, gdy po raz pierwszy zobaczyła, jak motyl stworzony z dłoni matki przeleciał przez ścianę. Motyl machał skrzydłami i leciał. Gdy zniknął, na ścianie pojawił się potwór. Miał wielkie oczy i ogromną paszczę, zupełnie jak piec, który widziała w pałacowej kuchni. Jak bardzo się zdziwiła, gdy matka, bawiąc się palcami, sprawiła, że potwór zamykał i otwierał gębę. Nigdy nie zapomni tej chwili. Była oczarowana. Nie mogła oderwać wzroku od ściany. Gra w cienie była taka zabawna.

Tylko dlaczego jej matka płakała na ich widok?

– Dlaczego płaczesz?

– Nie płaczę, moja sułtanko.

– Przecież płaczesz.

– Chyba rzęsa wpadła mi do oka, moja najdroższa.

– Płaczesz. Przecież widzę, że płaczesz.

Merzuka odłożyła na sofę ramkę z wykonywanym przez siebie haftem i podeszła do niej.

– Hürrem Haseki nie płacze – powiedziała powoli. – Ty też nie będziesz płakać, gdy dorośniesz. Nie pozwól, żeby ktokolwiek mówił, że córka Hürrem płacze.

Później przysunęła ją do siebie i pochyliła się nad jej uchem.

– Zabawa w teatr cieni przypomniała twojej mamie własne dzieciństwo, wioskę i rodziców. Twoja kochana mama miała wuja Wasilija. Ona mnie tego nauczyła, a najczęściej bawiłam się w to właśnie z nim.

– A ty skąd o tym wiesz?

Merzuka się zdziwiła. Taka właśnie była mała sułtanka. Jednym pytaniem potrafiła wprawić człowieka w zakłopotanie.

– Nie wiem. Twoja mama mi o tym opowiedziała. Na wspomnienie tamtych dni oczy twojej kochanej mamy zaraz napełniają się łzami.

Dziewczynka pospiesznie wróciła do matki z gracją siedzącej na sofie. Przyklękła przed nią i ujęła jej dłonie. Dłonie matki były

ciepłe. Potarła po nich policzkiem i znów powiedziała coś, czego nie spodziewały się ani jej matka, ani Merzuka.

– Sprawili ci dużo przykrości, kiedy byłaś dzieckiem?

Obie kobiety spojrzały po sobie. Hürrem pogłaskała jasne włosy córki. Zarówno oczy matki, jak i córki były wypełnione miłością. Kobieta przez zasłonę łez spojrzała na dziewczynkę.

– Nie, kochanie – wyszeptała. – Nie robili mi przykrości.

Mihrimah wspięła się i usiadła na kolanach matki. Pogłaskała ją po mokrych policzkach.

– Opowiedz mi. Proszę, opowiedz…

Spojrzenia Hürrem i Merzuki znowu się skrzyżowały. Oczy *haseki* zdawały się pytać: „Jesteś z siebie zadowolona?”.

– Nie teraz – odpowiedziała cicho.

Nie zdarzało się, żeby ktoś odmawiał Mihrimah. Zresztą dobrze wiedziała, jak sprawić, żeby „nie” zamieniło się w „tak”. Zaczynała awanturę, przewracała wszystko do góry nogami i dostawała to, czego chciała. Jednak matka wypowiedziała te słowa takim ciepłym, pięknym, pełnym miłości głosem, że nie mogła się zdenerwować.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo nie. Jeśli matka mówi „nie”, to znaczy „nie”. Ale może innym razem.

– Innym razem?

– Yhy… Jak dorośniesz.

Ta odpowiedź ją zmartwiła. Podobno urosła? Cokolwiek robiła, i tak nie była wystarczająco duża. Zawsze od wszystkich słyszała to samo. „Zrobisz to, jak będziesz większa”, „Włożysz to, jak będziesz starsza”. Nienawidziła tych słów. Wszystko wiązało się z dorastaniem. Kiedy wreszcie dorośnie? Myślała, że dorosła, a ciągle okazywało się, że nadal nie jest duża.

Jej piersi w żaden sposób nie przypominały piersi dużych dziewcząt. Była całkiem płaska, a przecież duże dziewczęta tak nie wyglądały.

– Kiedy ja będę miała takie? – spytała pewnego dnia piastunkę.

Esma spłonęła rumieńcem.

– Jak dorośniesz.

Mihrimah bardzo chciała dorosnąć.

– Kiedy wreszcie urosnę? – marudziła w ramionach matki.

Głaszcząca ją po włosach matka na chwilę zamarła.

– Jak będziesz miała dziewięć lat, *Dunjaszko*.

Nastała cisza.

– Ja miałam dziewięć lat, gdy dorosłam – odpowiedziała jej matka szeptem. – Ty też wtedy dorośniesz.

Dlaczego, gdy były same, nazywała ją „Dunjaszką”? Tego Mihrimah wciąż nie mogła zrozumieć. „To imię, które nadałam ci w moim języku – powiedziała jej kiedyś do ucha. – Jesteś moją małą Dunjaszką”.

Ale dlaczego? Czy nie miała na imię Mihrimah?

Nie rozumiała. Nic nie rozumiała. I wszystko wydawało jej się bardzo skomplikowane. Istniało tak wiele rzeczy, których chciała się dowiedzieć.

Mihrimah pragnęła już wszystko wiedzieć.

Uczyła się bardzo szybko. Zaczynała już mówić po arabsku, jednak łacina i francuski przychodziły jej z trudem.

– Czy muszę nauczyć się tego wszystkiego?

– Musisz – odpowiedział sułtan Sulejman. – Ponieważ jesteś sułtanką.

– Bycie sułtanką jest bardzo trudne.

Padyszach się uśmiechnął.

– A do tego jesteś córką sułtana Sulejmana.

– To jeszcze trudniejsze?

– To trudne.

Mihrimah pojęła, jak niełatwo jest być córką sułtana Sulejmana i pięknej Hürrem.

Jeden nauczyciel wychodził, drugi wchodził. Najpierw słuchała z ciekawością, otwierając szeroko swoje niebieskie oczy. Jednak po chwili jej uwaga zaczynała się rozpraszać. W takich momentach rozumiała, jak to jest być sułtanką. Gdy mówiła: „Znów nie zrozumiałam”, nauczyciele, nawet jeśli w myślach

wzdychali do Boga, prosząc o siłę, nie dawali tego po sobie poznać. Przecież nie mogli denerwować się na sułtankę. I od początku cierpliwie wszystko jej tłumaczyli.

Jednak gdy chodziło o Hürrem, sprawy miały się inaczej. Matka nie była równie cierpliwa jak nauczyciele. Szybko wpadała w złość i zaczynała krzyczeć. Pomimo nalegań, żeby zatrudnić dobrego muzyka, uparła się: „To ja nauczę swoją córkę gry na kanunie i oudzie". Zarówno sułtan Sulejman, jak i sułtanka Hafsa lubili patrzeć, jak matka z córką siedzą z instrumentami i wspólnie śpiewają. Mihrimah widziała, jakim szczęściem napawał ojca widok jej trzymającej oud i uderzającej plektronem o struny. Z przyjemnością patrzył, jak siadała w poprzek sofy, opierając plecy na jedwabnych poduszkach i wędrując palcami po strunach. Nie miała doświadczenia, ale on i tak przyglądał jej się z miłością i podziwem. Mihrimah także była szczęśliwa, że może sprawić ojcu radość.

Właściwie padyszach wiedział, choć Hürrem próbowała to ukryć, że uczyła córkę ruskiego. Miało też pozostać tajemnicą, że faworyta padyszacha każdego dnia siadała naprzeciwko córki i uczyła ją języka ojczystego oraz gry na bałałajce.

Lekcje języka z Hürrem odbywały się codziennie. Na początku Mihrimah trochę marudziła, ale słysząc: „Moja matka mówiła w języku swojej matki. Ja mówiłam w języku swojej matki. Ty też będziesz mówić w języku swojej matki", przestała się opierać. Wkładała dużo trudu w to, żeby zapamiętać słowa, których uczyła ją matka. Hürrem mówiła po turecku, a ona – po rusku.

– Bardzo dziękuję?
– *Bolszoje spasiba*.
– Przepraszam?
– *Izwinitie*.
– Proszę?
– *Pażałsta*.
– Jak masz na imię?
– *Kak tiebia zawut*?

W tym miejscu Hürrem uśmiechała się i ponownie pytała o to samo. Wprawdzie wiedziała, że matka chce, żeby odparła: „Dunjaszka”, ale przeważnie odpowiadała tak, jak czuła.

– *Mienia zawut* Mihrimah.

– Gratuluję z całego serca?

– *At wsiej duszy…*

Dalszej części nie potrafiła wymówić.

– *Pazdrawlaju* – kończyła za nią Hürrem.

– Teraz ty powiedz.

– *At wsiej duszy pazdr…*

– *Pazdraw…*?

– *…laju. At wsiej duszy pazdraw… laju.*

– Brawo, córeczko!

Mihrimah klaskała w ręce z radości, że jej się udało.

Jednak szczęście przeżyła tego wieczoru, gdy dała koncert na bałałajce.

Nie mogła w to uwierzyć.

Byli tam wszyscy. Oczywiście przede wszystkim ojciec i babcia.

Sułtan Sulejman jak zawsze wygodnie usadowił się na sofie. Przysiadł na jednej nodze, a drugą miał podciągniętą i, niczym na poduszce, opierał na niej rękę. Trzymał wielki, perłowy tasbih[20]. Mihrimah uwielbiała dźwięk uderzających o siebie pereł, wydobywający się za każdym razem, gdy ojciec przerzucał palcami kolejny paciorek.

Obok niego w pełni majestatu siedziała babcia – sułtanka Hafsa. Była trochę blada. Mówiła coś szeptem do matki znajdującej się na skraju sofy i wyglądającej, jakby zaraz miała zerwać się z miejsca. Zza zasłaniającej ją kratki Mihrimah nie mogła dosłyszeć, co mówiła. Hürrem słuchała jej, kiwając głową, i co jakiś czas odpowiadała coś jednym słowem.

Była tam też młodsza siostra jej ojca, sułtanka Hatidże. Obie bardzo się lubiły. Mihrimah nieustannie błagała matkę, żeby udały się do pałacu cioci, jednak Hürrem niełatwo było do tego przekonać. Była pewna, że matka lubi sułtankę Hatidże. Tak

dobrze się rozumiały. „W takim razie – myślała – nie chodzi o nią. Mama nie lubi jej męża, paszy". Nie rozumiała wielu rzeczy, nie znała również przyczyny wzajemnej niechęci matki i Ibrahima Paszy, ale była pewna, że się *nienawidzą*.

Merzuka jak zawsze siedziała ze skrzyżowanymi nogami u stóp matki. Setaret Kalfa zajmowała miejsce obok niej. Dżafer Aga, razem z kilkoma męskimi służącymi, stał przy drzwiach.

Mehmed siedział obok ojca, wyprostowany, z rękami ułożonymi na kolanach. Znów miał ten wielki turban. Gdy tylko lekko poruszył głową, turban zsuwał się, a chłopak musiał go poprawiać. Natomiast Selim i Bajazyd plątali się po dywanie.

Krótko mówiąc, na tyle, na ile mogła zobaczyć, wszyscy byli gotowi. Oprócz Esmy. Opiekunka jak zawsze była przy niej i z emocji bliska była omdlenia. Z matką nie było inaczej. Zawsze, gdy czymś się przejmowała, jej policzki oblewały się rumieńcem. I teraz też tak było.

„Czyżbym była podekscytowana?", zastanawiała się Mihrimah.

Jeśli podniecenie oznaczało, że serce wali jak młotem, to tak – była podniecona. I to bardzo. Miesiącami, w tajemnicy przed wszystkimi, przygotowywała się z mamą do tego występu.

– Czcigodny sułtanie… – Głos matki wyrwał Mihrimah z zamyślenia. Przysunęła się do kraty, żeby lepiej widzieć i słyszeć. Matka wstała i delikatnie ukłoniła się przed ojcem. „Jakaż ona piękna – przeszło jej przez myśl. – Moja mama jest najpiękniejszą kobietą w pałacu. Jest piękna jak kwiat". – Jeśli nasz pan pozwoli, sułtanka Mihrimah ma prezent dla swojego ukochanego ojca.

Przez salę przeszedł pomruk zadowolenia.

Sułtan się wyprostował.

– Naprawdę, sułtanko Hürrem? Jakiż to prezent ma dla mnie moja piękna córka? – zapytał poważnym głosem, nieco przesadnie, co bardzo rozśmieszyło Mihrimah siedzącą za kratką. – Czy to coś cennego? My, którzy jesteśmy chanem chanów, sułtanem Sulejmanem, nie przyjmujemy prezentów, które nie są

cenne. Powiedzże, czy prezent naszej córki jest cenny?

Matka po raz kolejny subtelnie skłoniła się przed ojcem.

– Bardzo cenny, czcigodny sułtanie.

– Naprawdę? Jak bardzo cenny może być? To jeszcze *dziecko*.

„I masz”, żachnęła się w duchu Mihrimah. Nic nie denerwowało jej tak jak słowo „dziecko”. Jej twarz znów zapłonęła ze złości. Ojciec wypowiedział to słowo, patrząc prosto w kratę. Przez twarz przemknął mu figlarny uśmiech. Czyżby widział, że się tam schowała?

Hürrem spojrzała na swojego mężczyznę z promiennym uśmiechem. Jaką światłość roztaczała wokół siebie!

– Jest tak cenny jak jej imię, mój sułtanie.

– Czy prezent mojej córki jest równie cenny jak słońce, jak księżyc, jak noc i dzień? To chcesz powiedzieć?

– Według mnie tak, nasz panie.

– A nie tak cenny jak diamenty, szmaragdy i rubiny?

– Diamenty, szmaragdy i rubiny są przy nim nic niewarte, czcigodny sułtanie.

– Teraz jestem naprawdę podekscytowany. Kiedy nasza córka wręczy prezent swojemu ojcu?

– Sułtanka Mihrimah czeka na wasze pozwolenie, żeby stanąć przed wami i wam go ofiarować.

Sułtan Sulejman wyprostował się z udawanym niepokojem.

– Moja piękna Hürrem, dlaczego nie mówiłaś, że nasza córka chce stanąć przed nami? Nie można pozwolić, żeby nasza córka sułtanka czekała.

Mihrimah wiedziała, że ojciec tylko udaje zdenerwowanie. Uśmiechnęła się do stojącej obok niej Esmy. Wcześniej bowiem słyszała, jak ojciec mówi: „Szybko, niech wszyscy się przygotują. Idzie córka sułtana Sulejmana, piękność nad pięknościami – sułtanka Mihrimah”.

Jednak pierwsza, z krzesłem w ręku, pojawiła się zawstydzona Esma. Początkowo dziewczyna nie wiedziała, co robić. Mihrimah delikatnie ją popchnęła. Zgromadzeni roześmiali

się, widząc zamiast oczekiwanej Mihrimah jej piastunkę. Obawiająca się gniewu padyszacha i sułtanki matki za to, że stanęła przed nimi, nie pozdrowiwszy ich, szybko ustawiła krzesło naprzeciwko sułtana Sulejmana i natychmiast przyklękła. W tej pozycji, pochylając się ku ziemi, pozdrowiła ojca swojej małej pani.

Mihrimah, tak jak to wcześniej ustaliły, czekała na głos swojej matki.

– Panie, a oto nasza córka, sułtanka Mihrimah – oznajmiła Hürrem.

Mihrimah weszła do środka z sercem walącym jak młotem, w rękach trzymając bałałajkę, którą kiedyś ojciec podarował matce. Słyszała szepty, których ze zdenerwowania nie mogła zrozumieć. Usłyszała tylko, jak babcia i Setaret Kalfa wzdychają: „*Maszallah*". Setaret jak zawsze przewróciła oczami i podzieliła słowo na sylaby. Nie zapomniała też dodać „O rety!".

Nie była pewna, czy tata coś powiedział. Z przejęcia może go nie usłyszała.

Podeszła prosto do krzesła i usiadła. Wszyscy widzieli, jak bardzo drżą jej dłonie, gdy układała przed sobą instrument. Zauważyła, że w pewnej chwili ojciec uśmiechnął się i zerknął na mamę. Hürrem odwzajemniła uśmiech w lekkim ukłonie. Policzki matki znów się zaróżowiły. Czy to właśnie była miłość jak w baśniach, które jej opowiadano?

Ze złością wyrzuciła z głowy te myśli. Nie pora teraz na to! Jak miała grać i śpiewać z sercem wyrywającym jej się z piersi? Uniosła głowę. Jej oczy skrzyżowały się z oczami sułtana Sulejmana, którego wzroku ludzie tak bardzo się obawiali. Co tak ich przerażało w tym spojrzeniu? Ojciec patrzył na nią z taką miłością, dumą, takim wzruszeniem, szczęściem i wyrazem otuchy, że powoli się uspokajała.

– Słyszeliśmy, że macie dla nas prezent – odezwał się ojciec.

– Tak, ojcze padyszachu.

– Pani Hürrem zdradziła, że twój prezent jest bardzo cenny. Czy to prawda?

– Moja mama nigdy nie kłamie.

Sulejman się uśmiechnął.

– Jak moglibyśmy o tym nie wiedzieć? – powiedział, patrząc na matkę. – Czy jej córka jest równie prawa?

Mihrimah zdecydowanie pokiwała głową.

– W takim razie… wręcz mi swój prezent. Czekamy.

Mihrimah uniosła trójkątny instrument i umieściła go przed sobą. Podczas gdy jej palce zaczęły wędrować po długim smukłym gryfie, plektron wyruszył na spotkanie strunom. Najpierw wydobyła z bałałajki rzewne *mi*, następnie *sol* i ostre *do* oraz *fa*.

Jej ojciec znał tę melodię. Po raz pierwszy usłyszał ją przed laty, gdy Hürrem śpiewała ją swoim czarującym głosem. Później słuchał jej, kładąc głowę na jej kolanach i wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń może setki, a może tysiące razy. A teraz to jego córka śpiewała tę pieśń, która kryła w sobie troski i tęsknoty Hürrem.

Sulejman poczuł, jak drży, słuchając grającej i śpiewającej córki, która z gracją poruszała głową, a przy każdym ruchu falowały jej piękne złote włosy. Miała taki piękny głos. Zupełnie jak matka. Pełen uczucia, płomienny, wzruszający, zniewalający duszę. Spoglądając ukradkiem na kobietę, pomyślał: „*Nieodrodna córka Hürrem*”.

Mihrimah odpłynęła gdzieś myślami. Podczas gdy dziewczyna starannie układała różowiutkie usta, żeby dokładnie wymówić ruskie słowa, ojciec bezwiednie naśladował ruchy jej warg.

Jej śpiew był tak piękny, tak wzruszający…

Myśliwi matce Katii powiedzieli,

że jej córy nigdzie nie widzieli.

Teraz wody naszej Wołgi

samotnie będą płynęły.

Powiedzcie mi wielkie, ośnieżone,

skute lodem szczyty,

jak na tym świecie bez Dunji

mają otwierać się kwiaty?

Mihrimah śpiewała, nie odrywając oczu od ojca. Tylko raz spojrzała na matkę, jakby chciała zapytać: „Dobrze?”. Sułtan Sulejman podążył za jej wzrokiem. Zatonął w oczach kobiety. Nie mógł nasycić się ich widokiem. Pojedyncza łza, spłynąwszy po policzku Hürrem, spadła na opartą na jej kolanach dłoń sułtanki Hafsy. Ta, widząc, że ukochana jej syna płacze, z miłością ścisnęła rękę Hürrem. Nagle jej rzęsy również stały się mokre.

Merzuka, która pamiętała pałac na Krymie, pełne bólu wspomnienia Hürrem i pełne strachu dni, które przeżyły wspólnie w tym pałacu, odwróciła głowę, żeby ukryć łzy.

Mimo że śpiewała w nieznanym jej języku, Setaret Kalfa, ilekroć słyszała tę pieśń, robiła to samo. Czuła, że w tych dźwiękach kryje się tęsknota. Tęsknota, którą sama tak dobrze znała. Tęsknota za ojczyzną, którą nie zdążyła się nacieszyć. Tęsknota za matką i ojcem, których twarzy już nie pamiętała.

Gdy wybrzmiała ostatnia nuta, sułtan Sulejman nagrodził córkę oklaskami. Pozostali patrzyli na niego. Padyszach wstał i złożył pocałunek na czole córki. Mihrimah, żarliwie, jak upominała ją matka, ucałowała dłoń ojca i przyłożyła ją do czoła.

– Rozumiesz słowa tej pieśni?

Hürrem nauczyła ją tych słów na pamięć. Wiedziała tylko, co znaczy *Dunja*. „To była moja najlepsza przyjaciółka, którą straciłam w dzieciństwie – mówiła jej matka. – Miała na imię Dunjaszka, ale nazywaliśmy ją Dunja. Ciebie też nazywam jej imieniem. Jesteś zarówno Mihrimah, jak i Dunjaszką. Twój brat jest Mehmedem i Mitią. Selim jest Siergiejem. A twój malutki

braciszek jest dla mnie Bajazydem i Borijenką”.

– Nie rozumiem – odpowiedziała zawstydzona Mihrimah. – Mama mnie ich nauczyła.

– Mimo że nie rozumiałaś słów, pięknie zaśpiewałaś. Tak cudownie jak twoja mama.

To było wielkie pochlebstwo. Tym razem serce załopotało jej z radości, że się spodobała.

– Wiesz, jaki to język?

Dziewczyna szybko uniosła głowę i spojrzała najpierw na ojca, a później na matkę.

– To język mojej mamy.

Sułtan Sulejman nie spodziewał się tak zdecydowanej odpowiedzi. Przez chwilę milczał ze zdumienia.

– Moja piękna sułtanko, czy wiesz, jaki jest język twojej mamy?

– To język ośnieżonych szczytów, bezkresnych stepów, kipiących potoków – odpowiedziała Mihrimah równie pewnym głosem.

Podczas gdy wszyscy się uśmiechali, wydawało się, że nagle w pomieszczeniu pojawił się podmuch zimnego powietrza.

– A czy nasza sułtanka o pięknym głosie zna również pieśni w języku swojego *ojca*?

„Nie znam! Nie znam! – rozległ się krzyk we wnętrzu Mihrimah. – Nie znam! Jestem zgubiona”.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem, podobnie jak matka. Pokręciła głową, po czym wyprostowała się nagle.

– Uczymy się. Ciężko pracujemy. Zaśpiewam pieśń w języku swojego ojca. Słowo Mihrimah.

Padyszach ponownie ucałował ją w czoło.

– Twój prezent naprawdę był bardzo cenny, moja Mihrimah. Tak jak powiedziała twoja matka, był cenny jak słońce i księżyc. Zabrałaś nas w przeszłość, w lata, kiedy owładnęła nami miłość. Uszczęśliwiłaś nas, nasza mała sułtanko. Niech Bóg da ci szczęście.

– Amen! – powiedzieli zgromadzeni.

Padyszach odwrócił się i spojrzał na kwitnącą radością Hürrem, a potem jeszcze raz zerknął na córkę.

– Nie znasz innej pieśni w *matczynym* języku?

– Znam – odpowiedziała uradowana Mihrimah. – Znam jeszcze jedną.

Tym razem z bałałajki wydobyły się pełne życia, radosne, żwawe nuty. Po chwili znów rozległ się piękny, beztroski głos Mihrimah.

Połączcie siły, ramię w ramię, ciągnij!

Jeszcze trochę, a pokonamy Wołgę, ciągnij!

Wody Wołgi zabiorą nas do domu, ciągnij!

Ciągnij, ha, ciągnij, ha, ciągnij, ciągnij!

Nogą zaczęła wystukiwać rytm piosenki. Zauważyła, że przy słowach „Ciągnij, ha!” towarzyszy jej matka. Patrzyła na nią z miłością. Radosne głosy matki i córki niosły się z haremu aż do ogrodu. Mihrimah zobaczyła, że rubinowe ciżmy padyszacha również niepostrzeżenie uderzają o podłogę. Usta ojca się poruszały. Czyli on też nucił tę piosenkę. A kto jej nie nucił? Radosna melodia porwała wszystkich. Jednak obecność padyszacha krępowała ich. Kiwali tylko głowami, klaszcząc.

Nagle sułtan Sulejman zachęcił ich ruchem dłoni. Najpierw dało się słyszeć nieśmiałe mruczenie, lecz po chwili głosy zaczęły brzmieć coraz mocniej. Teraz wszyscy śpiewali razem z matką i córką: „Ciągnij, ha, ciągnij, ha, ciągnij, ciągnij!”.

Morze Tyrreńskie
Twierdza Korfu

Czy ten deszcz nigdy nie ustanie?

Giuliano Ottaviano de Medici przechadzał się gniewnym krokiem. Burza i deszcz nieprzerwanie smagały mury twierdzy na wyspie Korfu.

– Nie ustanie, dopóki nie rozproszą się chmury nad kontynentem! – krzyczał dowódca twierdzy, kapitan Emilliano Patrizio, żeby zagłuszyć wiatr gwiżdżący przeraźliwie w korytarzach.

– Przeklęta wyspa! – zagrzmiał de Medici.

Został zmuszony, żeby w taką pogodę wyruszyć w morze łajbą wielkości skorupki orzecha, ryzykując śmierć, a do tego wśród rozszalałych fal musiał znosić gadaninę jakiegoś głupiego marynarza przechwalającego się: „Posejdon, władca mórz, boi się tylko *Turków* i mnie".

Gdy tylko przybyli na wyspę, zatopił sztylet w sercu Marcella aż po samą rękojeść. Nie miał wyjścia. Nikt nie mógł wiedzieć, że przybył na tę nieszczęsną wyspę.

– Lis nie wie o moim przybyciu? – zapytał opryskliwie.

„*Lis*" to przezwisko człowieka, który stanowił najważniejsze ogniwo całej operacji. Jego Świątobliwość sam nadał księdzu ten przydomek. Wszystko zależało od jego powodzenia.

– Gdzie on jest?

– Tam, gdzie zawsze – odpowiedział kapitan. – Na dole. W lochach.

Schodzili po długich krętych schodach, a de Mediciemu wydawało się, że stopnie nigdy się nie skończą. Kapitan szedł przodem, próbując oświetlić schody pochodnią. W blasku płomienia poruszały się przeraźliwe cienie. Im niżej schodzili, tym mniej było powietrza. Jeszcze przed chwilą zamarzał, a teraz pocił się z gorąca. De Medici zauważył, że ciężko mu się oddycha.

Szczury umykały im spod stóp. Od czasu do czasu czuł, jak przydeptuje ich długie ogony. Ślepia zwierząt były wielkie i czerwone. „Czy to od życia w ciągłych ciemnościach?”, zastanawiał się ze wstrętem. W czerwonym świetle pochodni szczury wyglądały, jakby uciekły z piekła.

Zeszli jeszcze jakieś dwa, trzy piętra. Na usta de Mediciego cisnęły się przekleństwa. Oczy zaczynały go piec.

Patrizio zaraz zauważył, że mężczyzna co chwila ociera łzawiące oczy.

– To od gazu.

– Od gazu?

– Tak, *señor*. Im bardziej schodzimy pod ziemię, tym mniej jest powietrza i wytwarza się gaz. To dlatego, że wszystko tu gnije.

Te słowa wryły się w jego głowę. Minęły dwa lata, dwa długie lata. Kobra, którego chciał wyciągnąć z gniazda, tkwił w tej bezdennej dziurze od dwóch lat. Jeśli Lisowi się nie uda, na nic się nie przyda i też tu utknie.

– To nie po mojej myśli. Muszę wyciągnąć stąd tego węża, zanim zgnije – mruknął.

– Słucham, *señor*?

Patrizio zatrzymał się na schodach i spojrzał na niego.

– Nic – rzucił gniewnym tonem. – Niech to szlag! Ten piekący gaz doprowadza mnie do szaleństwa!

– Proszę nabierać tak mało powietrza, jak to możliwe, *señor*.

Zaczęli schodzić dalej. Jeszcze pięć schodów. Potem kolejne pięć. Dziesięć… Dwadzieścia… Trzydzieści…

– Jesteśmy na miejscu.

– Na miejscu?

– Tak. To tutaj.

De Medici był zdziwiony.

– Gdzie?

Blask pochodni rozświetlał jedynie przestrzeń wokół nich. Znajdowali się w środku ogromnej pustki. Mrocznej, złowrogiej, przeklętej, wilgotnej, paskudnie cuchnącej pustki.

Zdziwienie mężczyzny spodobało się kapitanowi Patriziowi.

– To… jak by to powiedzieć… rodzaj *zascenia*, *señor*. Wiecie, że jesteśmy w wieży twierdzy. To okrąg. Tunel w kształcie okręgu. Główna scena znajduje się pod nami. – Nie dając gościowi szansy na odezwanie się, mówił dalej: – W tej chwili jesteśmy dziesięć pięter pod podłogą wieży. To jakieś dwadzieścia sążni[21] pod poziomem morza. Oczywiście nie mierzyłem, ale tak mówią. Po drugiej stronie murów jest morze. Proszę posłuchać. Słyszycie? To odgłos fal.

Słyszał. Przez chwilę de Medici poczuł się, jakby został pogrzebany w morzu.

– Dlaczego tutaj? W tak wielkiej twierdzy nie znalazło się inne miejsce, żeby osadzić Kobrę?

– To Lis wybrał to miejsce, *señor*. Powiedział, że jest odpowiednie *do tego, co chce zrobić*. Być może z powodu burzy, deszczu i ciemności nie zauważyliście. Na wschodniej i zachodniej stronie twierdzy, począwszy od skał na wybrzeżu, wznoszą się dwie wieże. My znajdujemy się teraz we wschodniej wieży. Daje człowiekowi poczucie kolistego bezkresu. Przestrzeń tu zanika. Tak mówi Lis. Mnie też wydało się to sensowne. Ten ciemny okrąg sprawia, że komuś, kto nie wie, gdzie jest, wydaje się, że nie ma końca. Nieważne, jak daleko pójdziesz, nie ma końca. Kobra jest teraz w tej otchłani. Jednak prawie w ogóle się nie przemieszcza, żeby nie zgubić miejsca, w którym znalazł wodę i chleb. Rozumiecie, prawda?

Nic z tego nie zrozumiał. Co to za przeklęte wymysły? Łapiesz człowieka i go zamykasz. Obdzierasz ze skóry, sprawiasz, że pożałował, że się urodził. Mówisz: „*Albo to zrobisz, albo zginiesz*” i po sprawie. A jeśli tego nie zrobi, zapłaci za to, a oni poszukają innej Kobry. To dziecinnie proste.

Pokiwał głową, jakby zrozumiał.

– Chcecie zobaczyć?

*

Kapitan Patrizio delikatnie popchnął de Mediciego.

– Możecie się trochę przesunąć?

– Słucham?

– Stoicie na jednym z otworów.

– Otworów?

– Otworów do podglądania – wyjaśnił kapitan.

Co to był „otwór do podglądania”? De Medici usunął się na stronę, próbując nie okazywać zdziwienia.

– Gdy się otworzy, zachowajcie ciszę – mruknął kapitan, wyciągając w jego stronę pochodnię.

Patrizio przykląkł na jedno kolano i pociągnął za linę, której de Medici nie widział. W tej samej chwili rozległ się przerażający krzyk.

– Stójcie! Poczekajcie!

Ciało de Mediciego przeszył dreszcz. Przeraźliwy ryk wciąż odbijał się echem od ścian tunelu.

– Co wy wyprawiacie? – rozległ się tym razem syk.

Przed nimi w ciemności pojawiło się światło innej pochodni.

– Hej, ty tam! Stój! Kim jesteś?! – rozległ się znowu głos przypominający grzmot.

De Medici zobaczył, że szybkim krokiem zbliża się do nich opasły mężczyzna w habicie przypominającym worek. Przy każdym kroku przepasający go sznur bujał się to w prawo, to w lewo. Zawieszony na szyi drewniany krzyż podskakiwał na końcu rzemienia. Spod jego stóp uciekały olbrzymie szczury.

– To ja! – odezwał się de Medici. – *Miecz*! – Był to przydomek, który sam wybrał. – A ty, kim jesteś?

Zauważył, że jego głos także przypominał grom. To oczywiste, że otaczające ich ze wszystkich stron omszałe mury po tysiąckroć potęgowały każdy dźwięk. Dlatego pewnie dało się słyszeć poruszające się szczury.

– Lis. – Podszedł do nich brzuchaty mężczyzna. Szybki chód przyprawił go o zadyszkę. – Co to za głupoty? – zwrócił się do kapitana.

Patrizio nie wiedział, co odpowiedzieć.

– *Señor*, Kobra…

Lis przerwał mężczyźnie w pół zdania.

– Nigdy więcej…

De Medici zdziwił się, słysząc głos mężczyzny. „Czy przypominający grzmot krzyk wyszedł z ust tego człowieka?”, zastanawiał się. Miał taki kobiecy głos. Właściwie nie kobiecy. „Zupełnie jak lis”, mruknął do siebie. Zrozumiał teraz, dlaczego papież tak go nazwał. Głos grubego księdza przypominał pisk lisa.

– Nie dotykaj otworów do podglądania pod moją nieobecność! – wykrzyknął mężczyzna. – Nigdy nie waż się tego robić.

De Medici nagle się zdenerwował. „Czy ten głupiec zrozumiał, kim jestem?”, zapytał siebie.

– Stój! – zagrzmiał mężczyźnie w twarz. – Miarkuj się! Nie słyszałeś? Jestem Miecz. Człowiek, który dowodzi tym przedsięwzięciem.

Grubas uniósł nieco pochodnię, którą miał w ręku. Przewróciwszy wyłupiastymi oczami, próbował przyjrzeć się twarzy gościa.

Wiedział, że ma przybyć. Jednak tutaj, w tym piekle, to on był za wszystko odpowiedzialny. Jeden błąd, inny głos, króciutkie słowo mogły dać Kobrze jakąś nieoczekiwaną wskazówkę. To zniszczyłoby wszystko. Dwuletni trud poszedłby na marne, a człowiek na dole zrozumiałby, że odgrywali przed nim przedstawienie.

– Słyszałem – odpowiedział, wpatrując się w de Mediciego. – A ja jestem Lis. Człowiek, który stworzył to dzieło.

Naprawdę nazywał się Gaetano Orsino. Przeraził się, gdy nagle po piętnastu latach opowiadania podpitym wieśniakom i ich grubym żonom o Jezusie Mesjaszu w maleńkim kościółku na wsi zagubionej gdzieś pomiędzy bezkresnymi winnicami Florencji został wezwany do Rzymu. Czyżby Ojciec Święty dowiedział się, że miał do czynienia z tysiącem medykamentów i z niezwykłą zdolnością łączenia ze sobą rozmaitych cieczy otrzymywał przeróżne substancje? Jeśli tak, to nadszedł koniec. „Głupcy – pomyślał. – Zawieszą mi na szyi tabliczkę z napisem czarownik”.

Wprawdzie ćwicząc tajemnicze formuły, przyczynił się do śmierci trzech osób, ale to wszystko. On zajmował się nauką. Może mikstura, którą wynajdzie, uchyli mu drzwi do nieśmiertelności. Pracował nad formułami niepozostawiającymi po sobie śladu, śmiertelnymi esencjami, specyfikami wymazującymi pamięć, truciznami tak silnymi, że powaliłyby całą wielką armię bez zabrudzenia choćby jednego ostrza szabli. Co znaczyły przy tym trzy istnienia?

Jednak wezwanie do Rzymu bardzo go zaniepokoiło. Nie codziennie wzywano tam zwykłego księdza. „Czyżby ktoś na mnie doniósł? – pomyślał nagle. – Nawet jeśli podeptałem święte prawo Kościoła, po co wzywano mnie do Rzymu? Sprawę mógł przecież zakończyć kardynał Florencji". Wystarczyło trzech świadków, żeby oskarżyć go o czary. Później podpalano stos i sprawa była zamknięta.

Nie stało się jednak to, czego się obawiał. Po trzech dniach, wjechawszy do Rzymu jako Gaetano Orsino, wyjechał z niego jako *Lis*. Osobiście rozmawiał z Ojcem Świętym. „Los chrześcijaństwa zależy od tego, czy dobrze odegrasz swoją rolę i dotrzymasz tajemnicy, Orsino – powiedział Klemens, przymykając oczy. – Jezus Mesjasz spogląda na ciebie z góry".

I tak od dwóch lat był zamknięty na tej nieszczęsnej wyspie, podglądał człowieka, którego tam na dole w lochach próbował przyprawić o utratę zmysłów.

Od dwóch lat Kobra się opierał.

Każdego dnia, każdej nocy setki razy zadawał mu to samo pytanie:

– Kim jesteś?

– *Ismail z Alaiye*. Syn kapitana Murata, syna kapitana Iljasa. Ismail z Alaiye z Lewantyńczyków kapitana Turguta.

– Nie! – wykrzykiwał za każdym razem. – Nie! Nie! Jesteś dżygitem z Sewilli – *Alejandro José Altamirano del Castillo*! – grzmiał głosem, który jego samego przyprawiał o gęsią skórkę. – Wstań i dziękuj Bogu za to, że wybrał cię do tego świętego obowiązku!

Od dwóch lat odgrywał tego piekielnego potwora, a teraz jakiś zadufany w sobie człowiek stawał przed nim i mówił: „Jestem Miecz!”.

– Możesz sobie być, kim chcesz – odparł przybyszowi w twarz. – Tu nic się nie dzieje bez mojego pozwolenia. Nie może się dziać i nie będzie się dziać.

De Medici nie mógł się opanować. Chwycił grubasa za habit.

– Posłuchaj mnie, księżulku. Uważaj, żeby ostrze nie przebiło twojego serca. Tutaj będzie się działo to, co ja powiem. Ma się dziać i będzie się dziać.

Spojrzał mężczyźnie w oczy.

– A teraz… chcę zobaczyć Kobrę.

– To niemożliwe – jęknął ksiądz. – Niedawno podałem mu lek. Trzeba poczekać, aż zaśnie.

– Zaśnie?

– Tak. Będzie śnił koszmar.

Wyzwolił się ze szponów Miecza, korzystając z tego, że na chwilę rozluźnił mięśnie.

– Teraz bądźcie cicho i obserwujcie mnie. Kobra spotka się z Jezusem Chrystusem.

Odwrócił się.

Nowy Pałac, harem
Stambuł

Mihrimah miała już dziewięć lat. Osiągnęła wiek, o którym wspominała matka.

Tego dnia przypięła urodzinowy prezent od ojca na suknię zebraną w talii z jedwabiu i aksamitu.

W dniu urodzin sułtan Sulejman obsypywał ją prezentami. Obdarowywał ją sprowadzanymi z czterech stron świata jedwabiami, aksamitami, płótnami. Ofiarowywał jej perły, złoto, przeróżne kolorowe, małe i duże drogocenne kamienie. Między nimi znajdowała się też rubinowa broszka wielkości pięści, ozdobiona dziewięcioma dużymi brylantami, po jednym za każdy rok, na której widok Mihrimah nie mogła powstrzymać okrzyku radości.

Podziękowała za nią, całując dłoń ojca. „Jednak pocałowanie w rękę za tak cenny podarunek…", przeszło jej przez myśl. Mając za nic upomnienia: „Nie jesteś już dzieckiem. Nie możesz już rzucać się na szyję naszemu panu", objęła padyszacha za szyję, dokładnie tak, jak to robiła w dzieciństwie, wykrzykując: „Ta-to!". Okryła jego policzki pocałunkami. Śmiała się, czując łaskoczący dotyk zaczynającej już siwieć brody ojca.

– A co ty podarujesz naszej pięknej córce, Hürrem?

– Czy można wspominać o skromnym podarku waszej sługi przy prezencie naszego pana? Jeśli czcigodny sułtan pozwoli, chciałabym wręczyć go córce na osobności.

Mihrimah była równie zdziwiona tymi słowami co jej ojciec.

Sulejman przez chwilę patrzył w oczy kobiety. Znał ją dobrze. Nie było sensu nalegać. Hürrem już i tak podjęła decyzję. I nie zmieniłaby jej, choćby nie wiem co. Nie pokaże prezentu.

W tym czasie Mihrimah próbowała przymocować swoją drogocenną broszkę. Zobaczyła, że ojciec powoli nachyla się do Hürrem.

– Czego ci brakuje, moja uśmiechnięta pani? Czy skarb Sulejmana nie należy również do ciebie? Wybierz coś, co spodoba się twojemu sercu, i podaruj naszej córce.

Padyszach powiedział to cicho, ale Mihrimah usłyszała. To było dziwne. Miała wrażenie, że mama poczuła się źle na myśl o tym, że przy ojcu czegoś jej brakowało.

Jednak Hürrem nie czuła potrzeby, żeby swoje słowa wypowiedzieć szeptem:

– Czcigodny sułtanie, czy jest na świecie człowiek, który nie znałby waszej hojności? Hürrem także ją zna. Przy prezencie naszego pana bledną bogactwa wszystkich pałaców. Prezentem waszej sługi dla Mihrimah nie są ani brylanty, ani szmaragdy. Ale jest to rzecz dla mnie najcenniejsza. To coś, co przechowywałam od dzieciństwa, marząc, że pewnego dnia przekażę to mojej córce.

Mihrimah spostrzegła, że oczy ojca zaszły mgłą. Czyli zrozumiał. Padyszach wiedział, co było dla matki najcenniejsze.

„Co to może być?", zastanawiała się Mihrimah.

Po wieczornej modlitwie Esma uchyliła drzwi do jej komnaty.

– Moja piękna sułtanko – powiedziała cicho. – Matka was oczekuje.

Z podniecenia serce Mihrimah o mało nie wyrwało się z piersi.

Tego wieczoru pozna tajemnicę.

Wbrew jej przypuszczeniom matka nie była sama. Jak zawsze była przy niej Merzuka. Siedziała u stóp Hürrem.

– Wejdź, moja Dunjaszko.

Wciąż nazywała ją tak, gdy były same.

Podeszła wyprostowana. Usiadła na sofie, w miejscu, które wskazała jej matka.

Dziewięć brylantów i rubin na jej kołnierzu odbijały blask oświetlających komnatę świec.

– Dam ci twoje prezenty.

Prezenty? Czyli było ich wiele.

Mihrimah odruchowo spojrzała na Merzukę. Matka da jej

prezent, który ukryła przed ojcem, w obecności damy dworu? Naprawdę tak zrobi?

Hürrem pochwyciła spojrzenie córki.

– Ciocia Merzuka jest naszą przyjaciółką – powiedziała. – Tak powinnaś o niej myśleć. To, że dzisiaj tu jestem, że ty tu jesteś, że są tu twoi bracia, że mamy przed sobą jutro, zawdzięczamy kilku osobom. Jedną z nich jest Merzuka. Wiedz, Dunjaszko, że Merzuka jest prawie jak twoja matka.

Dziewczyna zawstydzona popatrzyła na Tatarkę. W oczach Merzuki nie było śladu rozczarowania. Mogła w nich wyczytać jedynie miłość.

– Poza tym – ciągnęła Hürrem – Merzuka wie, co jest moim prezentem dla ciebie. Zna również treść przysięgi, którą złożyłam lata temu.

– Przysięgi?

– Przysięgi.

Merzuka wstała i przechodząc do sąsiedniej części komnaty, zniknęła jej z oczu.

Mihrimah usłyszała skrzypienie otwieranego wieka. A później jego zamknięcie.

Nie minęło wiele czasu, gdy Merzuka wróciła, trzymając w dłoniach brokatowy, purpurowy pakunek. Położyła go przed Hürrem, sama natomiast przysiadła na kolanach na podłodze. Wzięła obręcz i powróciła do wyszywania, zupełnie się nimi nie interesując.

Mihrimah umierała z ciekawości. Co było tajemniczym prezentem matki? Co było wewnątrz tego pięknego zawiniątka?

Hürrem powoli rozwinęła pakunek. Zrobiła to, nie patrząc na córkę. Mihrimah natomiast skupiła wzrok na tym, co miało się pojawić w zawiniątku. Dlatego nie zauważyła deszczowych chmur, które zaczęły się zbierać w oczach matki.

To, co ujrzała po rozłożeniu wierzchniej tkaniny, jeszcze bardziej ją zdziwiło. To był poprzecierany, stary tobołek, brudny i ściśle przewiązany sznurkiem.

Hürrem podniosła go, trzymając dwiema rękami, i położyła

przed Mihrimah.

Dziewczynka nie wiedziała, co powiedzieć. Czy to był żart?

Komnatę ogarnęła niezmącona cisza. Tak wielka, że słychać było, jak Merzuka wbija igłę w materiał rozciągnięty na kole. Brzmiało to jak dudnienie bębna. A może był to odgłos jej rozpadających się na kawałki marzeń?

– Co to jest, matko?

– To twój prezent na dziewiąte urodziny.

Mihrimah odetchnęła ciężko. Tylko to?

– Mój prezent? – wydusiła z siebie. – Brudny, powycierany tobołek?

– Tak.

Hürrem przesunęła zawiniątko, którego córka nawet nie dotknęła, bliżej w jej stronę.

– Co jest w środku?

– Posag Aleksandry. Mój posag. Posag, który pewnego dnia przyrzekłam sobie ci podarować.

Usłyszawszy drżenie w głosie matki, podniosła głowę. Z deszczowych chmur spadały krople. Nigdy nie widziała, jak jej matka płacze. Uważała ją za kobietę z żelaza. A może z kamienia… Była twarda jak skała. A teraz właśnie płakała. Przygryzała usta, starając się powstrzymać łzy, i przykrywała usta, żeby stłumić łkanie.

Mihrimah wydawało się, że coś wielkiego stanęło jej w gardle. Próbowała zrozumieć powód tych łez. Na twarzy matki nie widać było smutku i cierpienia. Wręcz przeciwnie, malowały się na niej radość, duma, a nawet szczęście.

„Czy to naprawdę możliwe? – zapytała się w duchu. – Czy człowiek może płakać ze szczęścia?”.

Była tego pewna. We łzach matki było tyle samo dumy i szczęścia co cierpienia i tęsknoty, a może nawet więcej. Mihrimah próbowała przełknąć ślinę, żeby pozbyć się ucisku w gardle, ale na próżno. Czuła jedynie, że dorosła. Naprawdę dorosła.

Dwie spływające po policzku Hürrem łzy spadły na tobołek.

Na tkaninie powstały dwie mokre plamy. Gdy matka, pocierając czubkami palców, próbowała je zetrzeć, usłyszała jeszcze jeden szloch. Siedząca na podłodze Merzuka płakała, ukrywszy twarz w perskim dywanie okrywającym sofę.

– Nie otworzysz swojego prezentu?

Z ociąganiem sięgnęła po tobołek. Rozwiązała ściskający go sznurek. Uniosła głowę i ponownie spojrzała na matkę.

– Śmiało – zachęciła ją Hürrem, próbując się uśmiechnąć. – Teraz należą do ciebie.

Dziewczyna obróciła tobołek. Na jej kolana wypadły kawałki potłuczonych naczyń. Wzięła je i popatrzyła z niedowierzaniem. Jakby na końcu gałęzi zobaczyła różowe truskawki. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego są popękane. Do tego przykryte były czarną warstwą przypominającą tiul, tak jakby chciano ukryć ich piękno.

– *To talerz mojej mamy* – powiedziała Hürrem. – Uważaj, nie pobrudź rąk. Jest pokryty sadzą.

Następnie na kolana wypadł jej pomalowany kawałek drewna. Nigdy niczego takiego nie widziała. Na pękniętym drewnie widać było połowę obrazka. Był kolorowy.

– *Ikona* – powiedziała cicho jej matka. – To wizerunek Najświętszej Panienki. To dziewica Maryja, matka Jezusa Chrystusa. Moja patronka.

Dziewczyna spojrzała na kobietę na obrazku. Nie miała połowy twarzy, ale widać było, że jest piękna. Czarne duże oczy jak winogrona patrzyły na nią smutno. Na głowie miała coś przypominającego koronę. Jakby złoty, świetlisty krąg. Z tyłu było coś jeszcze. Przypominało stopy mężczyzny. Stopy nagiego mężczyzny. Czym było to coś wbite w jego stopy? Gwóźdź?

– To Jezus – powiedziała Hürrem. Wierzchem dłoni ocierając łzy płynące po policzkach, znów próbowała się uśmiechnąć. – Syn naszego wspólnego Ojca.

Mihrimah nie wiedziała, co powiedzieć. Właśnie miała odłożyć tobołek, gdy matka się odezwała:

– Jest jeszcze coś. Włóż rękę.

Tak też zrobiła i wyciągnęła mały, nadpalony kawałek

materiału.

– *To zasłona z mojego domu.*

Zasłona była okopcona i spalona.

Nagle Mihrimah wszystko zrozumiała. To pozostało po wielkim cierpieniu, po wielkiej tajemnicy. To rzeczy, które były ważne we wcześniejszym życiu jej matki, o którym, choć bardzo była ciekawa, matka nigdy jej nie opowiedziała.

Zadrżała. Serce mocniej zabiło. Ten tobołek, którego początkowo nawet nie chciała dotknąć, wprowadził ją w dorosłe życie. W życie, które dało jej życie. „*Jaka ze mnie okropna córka*", pomyślała. Zgoda, była córką władcy świata, potężnego mężczyzny, jednak była także córką siedzącej naprzeciw niej kobiety o pięknych oczach wypełnionych łzami.

Sułtanka Mihrimah była córką Hürrem. Zrozumiała, że powinna być równie dumna z matki co z ojca padyszacha.

Objęła matkę za szyję. Przez chwilę w komnacie słychać było łkanie i szept pełen miłości. Merzuka, nie zważając na pałacową etykietę, z płaczem przytuliła obejmujące się matkę i córkę.

– Teraz należą do ciebie – powiedziała po chwili Hürrem. – To najcenniejsze, co kiedykolwiek miałam. Nie zamieniłabym tego na żadne skarby świata. To wszystko, co mi zostało po domu mojej matki, Dunjaszko. A teraz jest twoje. Zachowaj to, dopóki nie umrę.

Mihrimah próbowała zasłonić matce dłonią usta.

– Co to za słowa?

Matka ucałowała smukłe palce dziewczyny.

– Taka jest moja wola – oznajmiła cicho. – Powiedz, to posag mojej matki. Powinien wrócić tam, skąd przybył. Sulejman cię wysłucha. Niech wyśle konnych do wioski, w której się urodziłam. Niech ich grzywy rozwiewa wiatr, gdy będą jechali przez moje stepy. Niech zawiozą mój posag moim ośnieżonym szczytom, z których spływają zimne jak lód potoki, moim łąkom obsypanym kwiatami janowca, moim stepom, na których tańczą motyle. Niech krzyczą na cztery strony świata: „Córka ruskiego

popa Nikoli, kobieta władcy siedmiu klimatów i trzech kontynentów[22], sułtana sułtanów, Sulejmana Chana, Aleksandra Anastazja Lisowska wróciła na swoje łąki. Niech wszyscy usłyszą!".

Tej nocy matka opowiedziała jej wszystko. Jak będąc w jej wieku, została uprowadzona przez barbarzyńcę Taczama Nojana. O pełnych strachu latach, które spędziła w górach na granicy życia i śmierci. O tym, jak została uratowana z rąk handlarzy niewolników. O tym, co przeżyła w pałacu na Krymie. O tym, jak matkująca jej sułtanka Güldane zmieniła jej przeznaczenie. O tym, jak Aj Bala, która była dla niej jak siostra, wysłała ją do Stambułu. O piekielnych latach w haremie. O samotności, razach i ponownej samotności, dereniowym kiju Sümbüla Agi. O tym, co zrobiła Gülbahar. O tym, jak ryzykowała życie, żeby zyskać łaskę jej ojca. O żmii podłożonej w łaźni, żeby ją zabić. O strachu, radości, pieśniach, pięknych słowach, które usłyszała od jej ojca. O tym, jak Aleksandra Anastazja Lisowska została Hürrem… Wszystko.

– I tak to było, moja śliczna sułtanko – powiedziała matka, gdy zaczynało świtać. – Bałam się, ale nie dałam tego po sobie poznać. Cierpiałam, ale tego nie pokazywałam. Moje wnętrze płakało, ale twarz się uśmiechała. Stąpałam po krawędzi przepaści, ale nie patrzyłam w dół. Niebezpieczeństwo stało się towarzyszem mojej drogi. Myślałam, że gdy zostanę kobietą Sulejmana Chana, gdy dam mu książąt i sułtanki, zagrożenie minie i wszystko, co złe, się skończy. Jednak im człowiek jest wyżej, tym większe jest niebezpieczeństwo. Teraz boję się jeszcze bardziej. W tamtych dniach miałam do stracenia tylko swoje życie, teraz mam ich cztery.

– Nigdy więcej nie wróciłaś do domu?

– Wróciłam, żeby zatańczyć z motylami. Co więcej, zawiózł mnie tam Taczam Nojan.

– Ten barbarzyńca, który cię uprowadził?

– Los uczynił z tego barbarzyńcy mojego ojca, Mihrimah. Jego ofiara stała się jego córką.

– Jak możesz uważać za ojca kogoś, kto cię porwał?

Uśmiechnęła się, usłyszawszy złość w głosie córki.

– Nie uważam tak. On nim jest. Porywając mnie, wywrócił moje życie do góry nogami, ale spójrz, dokąd mnie doprowadził, będąc mi ojcem. Gdyby nie tata Taczam, nie byłoby ani Hürrem, ani Mihrimah.

– Zatem twierdzisz, że dobrze się stało, że ten barbarzyńca cię porwał?

Nie dało się opisać niedowierzania w głosie Mihrimah.

Przez chwilę jej matka milczała.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Chyba zmył swój grzech, tworząc z Aleksandry Hürrem. Gdy narodziła się Hürrem, Aleksandra umarła.

– Co się później stało? To znaczy, kiedy wróciłaś do swojej wioski.

– Nic. Nie było już ani wioski, ani mojego domu. Wszystko spłonęło. Tylko wiatr hulał po moich stepach. Uciekły motyle. To wszystko, co pozostało po moim domu. Włożyłam je do tobołka i nazwałam posagiem Aleksandry. Przywiozłam go ze stepów jako posag dla twojego ojca Sulejmana Chana.

– Co się stało z tym mężczyzną?

– Z kim? Z Taczamem Nojanem?

Dziewczyna pokiwała głową.

– Nie wiem. Pewnie powrócił w góry, na stepy.

– Nie pożegnał cię, gdy tu wyruszałaś?

Matka zaprzeczyła w milczeniu.

– Nie moglibyśmy się rozstać.

Gdy słońce szykowało się do wstania nad Stambułem, Mihrimah już o wszystkim wiedziała. O przyjaciołach i wrogach swojej matki. Przyjaciół było niewielu, prawie wcale. Zdziwiła się natomiast, jak wielu było wrogów. Martwiło ją, ilu jeszcze może się pojawić. Bieg jej życia się odmienił. Teraz przyjaciele jej matki stali się jej przyjaciółmi, a wrogowie zostali również wrogami Mihrimah. Jeśli wygrasz, przeżyjesz, jeśli przegrasz, popadniesz w zapomnienie. Tak wyglądała ta walka.

Rozejrzała się po komnacie. Przez okratowane okno spojrzała

na różowawe światło słońca rozdzierającego ciemność.

„*Będę wielbić ojca. Ale matkę będę kochać.* Nie zostawię mamy samej aż do śmierci”, postanowiła.

Morze Tyrreńskie
Twierdza Korfu

De Medici nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać.

Podążał za brzuchatym księdzem. Mężczyzna co chwila odwracał się i uciszał go, przykładając palec do ust.

– Ciii! Kobra nie powinien słyszeć normalnego ludzkiego głosu. Nie może słyszeć ani widzieć nic, co należy do ziemskiego życia – przestrzegał go Lis.

On również poruszał się najciszej, jak umiał. Gdy szedł, słychać było tylko szczęk jego miecza przytwierdzonego do pasa. W zasadzie nie miało to znaczenia. Nieustanny złowieszczy gwizd wiatru, przeciskającego się przez otwory w murze, drzwi i okna, i tak zagłuszał inne dźwięki.

Lis nagle się zatrzymał. Wziął ze ściany latarenkę i zapalił ją. W spowitym mrokiem tunelu zapłonęło błękitne światło. Później Fabio zapalił jeszcze jedną. Ona również była zrobiona z niebieskiego szkła.

– Podaję mu bardzo silny eliksir – wyszeptał.

– Eliksir?

Ksiądz zanurzył rękę w sakiewce wiszącej u pasa. Wyciągnął z niej jakieś ciemne drobiny i pokazał je de Mediciemu.

– Co to jest?

– Liście koki. To trujące zioło, które ludzie generała Corteza przywieźli z Nowego Świata.

„Głupiec”, pomyślał, napotkawszy pusty wzrok de Mediciego, głośno zaś powiedział:

– Parzę liście koki i poję Kobrę wywarem z nich.

– Co to daje?

– To sprawia, że unosi się w przestworzach. Zabiera go z tego świata. Ma omamy. Żyje w innym świecie. Myśli, że sny są prawdą, a prawda snem.

Ksiądz zgasił pozostałe latarnie i pochodnie. Teraz w tunelu

nie było widać nic oprócz dwóch błękitnych wiązek światła. De Medici przyglądał się uważnie, jak Lis próbował obruszać jeden z kamieni w ścianie. W końcu wyjął go bezgłośnie i postawił w to miejsce jedną z latarni. Sięgnął po drugą i cichym, pospiesznym krokiem zatonął w ciemnościach. De Medici podążył za światłem. Mężczyzna usunął inny kamień i umieścił w murze drugą latarnię.

Ujął de Mediciego za ramię i wkroczył w mrok. Widać było, że zna tę drogę na pamięć. Poruszali się w całkowitych ciemnościach.

Nagle ksiądz się zatrzymał.

De Medici nie mógł tego zobaczyć, ale miał wrażenie, że mężczyzna znów porusza kamieniami w ścianie.

– Chodź – zaskrzeczał Lis. – Chodź i spójrz.

Przyłożył twarz do miejsca, z którego Lis usunął kamień.

Najpierw nie dostrzegał nic oprócz ciemności.

Potem dokładnie naprzeciwko ujrzał błękitne światło.

„Zatem zatoczyliśmy łuk w tym przeklętym tunelu”, pomyślał. Chwilę później zauważył drugie błękitne światło. Było dalej i wyżej niż pierwsze. Pośród mroku dwie smugi błękitnego blasku były skierowane w dół.

„Zupełnie jak strumienie świętego światła na obrazach w kościele”, pomyślał.

Nagle na dole zauważył jakiś ruch.

– To Kobra – wyszeptał ksiądz, po czym ponownie dał mu znak, żeby zachował ciszę.

Oczy Lisa poruszały się w ciemności z szaleńczą prędkością.

– Zostań tu i patrz. Po prostu patrz, nic więcej.

Tak też zrobił.

Sylwetka na dole znajdowała się w miejscu, gdzie krzyżowały się strumienie światła. Wydawało mu się, że mężczyzna leży.

– Czy on śpi?

Czekał na odpowiedź, ale nie rozległ się nawet najcichszy dźwięk.

Oderwawszy oczy od otworu w murze, rozejrzał się dookoła.

Nie było widać nic oprócz ciemności. Ksiądz zniknął. Ponownie spojrzał na Kobrę leżącego na ziemi w błękitnym świetle.

Cień nawet nie drgnął. „Czyżby nie żył? – ogarnęła go przerażająca myśl. – Byleby tylko ta trucizna, którą ten szalony ksiądz nazywa eliksirem, go nie zabiła". To oznaczałoby koniec. Kobra musiał żyć, dopóki nie wypełni swojego zadania. „Drżyj, kreaturo – pomyślał. – Jeśli coś mu się stanie, poderżnę ci…".

Nagle usłyszał przeraźliwy dźwięk.

– *Wstań*! – Głos sprawił, że de Medici zadrżał ze strachu. Wołanie odbijało się echem wśród murów twierdzy. – Wstań! Wstań! Wstań!

W miejscu, gdzie spotykały się smugi błękitnego światła, cień się poruszył.

– Wstań!

De Medici mógł przysiąc, że tym razem głos dochodził z zupełnie innego miejsca, dokładnie z naprzeciwka.

– Wstań! – zabrzmiał ponownie, jakby tuż przy nim.

Pod wpływem tego nieoczekiwanego dźwięku serce de Mediciego zabiło szybciej, mimo to nie odrywał wzroku od otworu. Był pewien, że Kobra się poruszył.

– Obudź się, boski wybrańcu! – Głos był pełen współczucia.

To samo zdanie znów dało się słyszeć kilkakrotnie. Za każdym razem dochodziło z innego miejsca.

– Obudź się, boski wybrańcu. Obudź się… Obudź się…

I właśnie w tej chwili de Medici rozpoznał ten głos. „To ten głupi ksiądz", pomyślał. To krzyczał, to skamlał jak lis.

W końcu Kobra się wyprostował.

De Medici nie mógł dostrzec jego twarzy, ale był pewien, że usiadł.

– Obudź się i powiedz, kim jesteś.

Cień znów się poruszył. Uniósł rękę w stronę jednej ze smug błękitnego światła. Jakby szukał czegoś, czego mógłby się złapać. De Mediciemu wydawało się, że usłyszał jakiś szept, ale nie mógł go zrozumieć. Ponownie rozległ się ten przeraźliwy głos.

– Kim jesteś?

„Najwyraźniej ksiądz również go nie zrozumiał”, przeszło mu przez myśl.

– Kim jesteś?

Wydawało mu się, że ponownie słyszy szept dobiegający z dołu. Przyłożył ucho do otworu, żeby lepiej słyszeć.

– Kim jesteś, synu?

Nie usłyszał.

– Głośniej! Kim jesteś?

Znów nie usłyszał.

– Głośniej! Głośniej! Głośniej! Kim jesteś?

Z dołu dotarł do niego przerażający krzyk:

– *Alejandro*!

De Medici przykrył usta, żeby powstrzymać okrzyk radości. Stało się. Wyczyścili mu umysł. W końcu złamali upór Kobry.

– Nie słyszałem. Powiedz jeszcze raz. Kim jesteś?! – ryknął ponownie ksiądz.

Teraz Kobra klęczał.

„Zupełnie jak wąż szykujący się do ataku na wroga”, przeszło przez myśl de Mediciemu.

Mężczyzna na dole uniósł ręce jak do modlitwy. W tej pozycji przypominał mu modlącego się świętego.

– Alejandro z Sewilli! – krzyknął Kobra.

Głos, który usłyszał de Medici, nie pochodził z tego świata. Nie potrafił go opisać. Były w nim cierpienie, złość, litość, błaganie i waleczność. Gdyby nie wiedział, że jest mężczyzną, nie potrafiłby rozpoznać płci. Nie był to ani głos mężczyzny, ani kobiety. Był to krzyk z zaświatów, może nawet z piekła. De Medici dostał gęsiej skórki i zadrżał z przerażenia.

Ponownie zabrzmiał z dołu ten sam głos:

– *Jestem boskim wybrańcem.*

– Bóg cię błogosławi, Alejandro!

Kobra nieustannie się obracał, żeby znaleźć źródło, z którego pochodził dźwięk. Skierowała się na niego jeszcze jedna smuga światła. Później jeszcze jedna i jeszcze jedna. Kobra łaknął tego blasku.

Gdy okrywający mężczyznę mrok nieco się rozproszył, de Medici dojrzał kontur czarnej brody. Wydawało mu się, że widzi chorobliwą twarz. Sina twarz, długie włosy okrywające zapadnięte policzki, sięgająca do piersi broda i czarne oczy, żarzące się jak węgle.

De Medici bezwiednie krzyknął w duchu: „*To oczy szatana!*".

I stała się jeszcze jedna niewiarygodna rzecz. W ciemności oświetlanej błękitnym blaskiem w powietrzu zaczęły latać śnieżnobiałe anioły. Ich długie włosy i białe, tiulowe przepaski okrywające nagie ciała fruwały. Zaczęły się roznosić niezrozumiałe, sekretne szepty i nieopisanie piękne zapachy.

De Medici nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Z podziwem wpatrywał się w tańczące anioły. Obserwował, jak szepcząc, obiecująco podlatywały do Kobry i szybko umykały przed rozwartymi ramionami mężczyzny próbującego je pochwycić.

Chichotał lubieżnie. „Zupełnie jak w teatrze – pomyślał. – Ten Lis to przerażający człowiek", mruknął.

Przez dwa lata, niestrudzenie, za pomocą trucizn i kadzideł karmił Kobrę koszmarami i marzeniami. Niekończącymi się sugestiami dosłownie wymazał z jego pamięci przeszłość i tożsamość. Stworzył dla niego świat, który chociaż nieistniejący, wydawał się na wyciągnięcie ręki. Niemożliwe było, żeby nawet najsilniejszy umysł zniósł tę grę powtarzającą się wielokrotnie każdego dnia. Kobra również ledwo to przeżył. „Chyba popełniłem błąd, nie doceniając tego człowieka", przyznał w duchu de Medici.

Przedstawienie rozgrywające się na dole trwało jeszcze przez chwilę. Anioły tańczyły, a Kobra próbował je pochwycić.

Nagle scena się zmieniła. Wydawało się, że w innym miejscu pośród ciemności wschodzi słońce. W powodzi światła pojawił się mężczyzna. Jego włosy mieszały się z brodą, a z czoła, z powodu ciernistej korony, którą wciśnięto mu na głowę, kapała krew. Mężczyzna szedł z trudem, uginając się pod krzyżem, który

dźwigał na ramionach.

De Medici ponownie dostał gęsiej skórki.

Przed Kobrą przechodził Chrystus. Jezus zatrzymał się na chwilę i odwróciwszy się do Kobry, pobłogosławił go.

– Bądź gotów, synu… – wyszeptał pośród ciemności. – Bądź gotów spełnić swój święty obowiązek.

Kobra padł na ziemię, a błękitne smugi światła zaczęły stopniowo zanikać. Opadający mrok pochłonął mężczyznę.

– To ci dopiero – wydusił z siebie de Medici. – To ci dopiero.

Jego Świątobliwość oczekiwał od Lisa, żeby stworzył z człowieka kogoś innego. I on właśnie to zrobił.

Kierując się w stronę schodów, de Medici wyciągnął krzyż.

*

– Nie! – sprzeciwił się ksiądz. – Potrzebuję jeszcze trochę czasu. – Jego głos zabrzmiał głośniej, niż zamierzał, ale nie zważał na to.

Zdawał sobie sprawę, jak wielkie wrażenie wywarł na tym zadufanym w sobie człowieku. De Medici patrzył teraz na niego inaczej. Mówiąc, starannie dobierał słowa. Zmieniły się nawet jego ruchy. Wciąż patrzył na niego nieco z góry, ale już wiedział, z kim ma do czynienia.

– Przecież na własne uszy słyszałem, widziałem to. On już jest Alejandro. Uwierzył w to.

De Medici zamilkł na chwilę. Mimo niepokojących uczuć, jakie mu towarzyszyły, musiał się przypochlebić temu mężczyźnie. Nie wiedział jednak, co go tak dręczyło.

– Czeka nas wielki sukces – mówił dalej. – Jego Świątobliwość, jak zawsze nieomylny, słusznie wam zaufał. Zniszczyliście człowieka i stworzyliście nowego. Kobra jest gotowy do swojego zadania.

– Nie, *señor*, nie jest. Jeszcze nie skończyłem. Muszę umieścić w jego głowie odpowiednie wspomnienia. Nie będzie ciekaw swojego dzieciństwa? Co odnajdzie w pamięci? Nic. Z czasem powrócą jego dawne wspomnienia. To może być bardzo

niebezpieczne. Stracimy go. Koniecznie musimy stworzyć jego przeszłość. Przeszłość, którą będzie pamiętał. Powinien opuścić tę twierdzę nie tylko z nowym imieniem, ale też z nową tożsamością. Potrzebuję więcej czasu.

Pomimo starań de Mediciego nie mógł zapanować nad nerwami.

– Ile?

– Tyle, ile będzie trzeba – odparł ksiądz spokojnie.

De Medici gniewnie krążył po pomieszczeniu. Słowa księdza nie dawały mu spokoju: „Nie będzie ciekaw swojego dzieciństwa?".

Nagle zrozumiał, co go tak niepokoiło. Właśnie to. *Jego dzieciństwo*!

Na pewno będzie się nad tym zastanawiał. Prędzej czy później, codziennie kilkakrotnie biorąc go do ręki, zacznie się zastanawiać, a wtedy czar bycia chrześcijaninem pryśnie.

Wbił wzrok w księdza.

– Co z tym zrobisz? – zapytał, patrząc między jego nogi.

Lis roześmiał się skrzekliwie.

– Uwierzy, że został obrzezany przez korsarzy, którzy porwali go jako dziecko, *señor*. Będzie pamiętał ten ból. Będzie miał jeszcze inne wspomnienia. Zaufajcie mi. Zostanie obrzezanym chrześcijaninem.

De Medici przez chwilę głęboko wpatrywał się w wyłupiaste oczy mężczyzny.

– Chcę go mieć na początku czerwca. Na początku czerwca Kobra musi wsiąść na statek. Musi zdążyć na sezon polowań tureckich korsarzy.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę schodów. Czym prędzej chciał opuścić ten duszny, cuchnący, ciemny, wilgotny, pełen olbrzymich szczurów i Bóg jeden wie, czego jeszcze, odpychający tunel. Chciał jak najszybciej zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wspiąwszy się kilka schodów, odwrócił się i spojrzał na Lisa idącego za nim z pochodnią.

– Na początku czerwca – powiedział wolno. – Jeśli za sześć miesięcy Kobra nie wyruszy w drogę, przybędę wyprawić cię w podróż… do piekła.

Nowy Pałac, harem
Kwiecień 1530

Nie chcę i już! – Mihrimah tupnęła obcasem w podłogę. – Wynoście się wszyscy!

Z ust służących dobył się krótki, bojaźliwy okrzyk. Jeśli obcas uderzył o ziemię, sprawa była przesądzona. Nikt nie potrafił już przekonać sułtanki Mihrimah. Wszyscy zdążyli się przekonać po Hürrem Haseki, że uderzenie obcasem oznaczało, że świat się zatrzymał. Nawet sam sułtan Sulejman był bezradny wobec tego uporu.

Krawcowe, trzymające bele jedwabiu, atłasu i aksamitu, nie wiedziały, co zrobić. Z bezradnym spojrzeniem odwróciły się do Esmy, piastunki sułtanki.

– Moja sułtanko – zaczęła kobieta słodkim głosem. – Nasz pan kazał dla was sprowadzić najdroższe tkaniny. Jeśli krawcowe natychmiast nie zabiorą się do szycia, nigdy nie zdążą na uroczystości.

– Esmo! – Z ust Mihrimah wydobył się syk.

Piastunka od razu wiedziała, że sprawa nie podlega dyskusji. Oznaczało to, że ma milczeć. Tak też uczyniła.

– Co mnie to obchodzi?! – Mihrimah krążyła zagniewana po komnacie. – Jeśli nie zdążą, to nie. *To nie moje święto!*

Zdała sobie sprawę, jak pospolite były te słowa, i przypomniawszy sobie, że jest córką padyszacha, natychmiast przybrała oficjalny ton.

– Nie zamierzam dla księcia ściągać na siebie wstydu!

Zauważyła, że Esma, starając się to przed nią ukryć, dała znak krawcowym, żeby przeszły do sąsiedniej komnaty, jednak nie odezwała się. Zamiast tego westchnęła zrezygnowana.

Nie było dnia, żeby coś jej nie trapiło. Przede wszystkim nie dawało jej spokoju wywyższanie książąt ponad nią. Ile razy pytała matkę, Merzukę, a nawet Setaret:

– Nawet jeśli są książętami, co stawia synów ponad mną? Czy wielkogłowy Mehmed jest ważniejszy ode mnie? A może żółtogłowy Selim? Nie liczę Bajazyda. On nawet kłóci się w cieniu.

– Nie dla Bajazyda przygotowywane jest to święto – wtrącił ktoś.

– Dlaczego? Bajazyd nie jest księciem?

– Jest, ale jest jeszcze bardzo mały.

Mihrimah nic nie zrozumiała. Zresztą wcale jej to nie obchodziło.

– Jestem mądrzejsza od nich wszystkich – ciągnęła. – Jestem piękniejsza, zdolniejsza. Selim nie umie nawet porządnie czytać. Ja umiem mówić po francusku. Poznałam arabski. Uczę się nawet języka mojej matki. Co umie Mehmed? Nic. Ledwo utrzymuje się na końskim grzbiecie. Ojciec tak często zabiera go na polowania. Nie wierzę, że Mehmed może upolować choćby ptaka. „Nasz książę go ustrzelił", kłamią w kółko.

Słuchający tej listy skarg próbowali ją udobruchać wszelkimi sposobami.

– Mylisz się, chłopcy są tacy, a dziewczęta inne. Książęta nie mają nic, co stawiałoby ich ponad sułtańską córkę. Przecież wiesz, jak bardzo padyszach was kocha. Wiesz, jak trzęsie się o was matka Hürrem Haseki.

To wszystko były słowa. A ona w żadne z nich nie wierzyła. I wyszło na jaw, że miała rację. Czyniono przygotowania do uroczystości dla książąt. Czy wobec tego chłopcy nie byli stawiani ponad nią?

– Uroczystości dla ciebie odbędą się później – próbowała pocieszać ją Esma, gdy pewnego dnia usiadła nadąsana. – Książęta zostaną obrzezani. To dlatego przygotowywane są uroczystości.

Następnego dnia nagle zapytała Setaret:

– Co to jest obrzezanie?

– Dobry Boże, co to za pytanie?! – Pulchna, czarnoskóra służąca prawie wylała na siebie kawę. – Jakie obrzezanie?

– Przygotowują dla chłopców wspaniałe uroczystości z okazji obrzezania. Dlaczego nie robią tego też dla mnie?

Nikt z obecnych w komnacie nie miał odwagi się roześmiać.

Setaret nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ciesz się, moja śliczna, że nie zrobili.

– Wcale się nie cieszę. Dlaczego miałabym to robić?

Setaret bezradnie rozejrzała się po komnacie. „Pomóżcie mi", mruknęła pod nosem do obecnych tam służących.

– Podczas uroczystości… książętom… obetną to…

Mihrimah wbiła wzrok w czarne oczy Setaret. Kobieta, zrozumiawszy, że nie uda jej się uciec od dalszych wyjaśnień, wykonała gest obcinania.

– Ciach, ciach…

Spojrzenie dziewczyny skupiło się na palcach służącej.

– Uroczystość jest po to, żeby ich pocieszyć – dodała Esma, korzystając z okazji, że może złagodzi to gniew dziewczyny, po czym mówiła dalej z lekkim uśmiechem: – Gdy dorośniesz, nasz padyszach również przygotuje dla ciebie uroczystość.

– Nie chcę. – Mihrimah zerwała się dokładnie w chwili, gdy piastunka szykowała się do opowiedzenia jej, co to będzie za wspaniałe wydarzenie. – Nie chcemy żadnej uroczystości.

Od tej pory Mihrimah w ciszy obserwowała przygotowania. Jej matka była podekscytowana. Ciągle się krzątała. Chciała sama dopilnować wszystkiego, żeby ceremonia wypadła jak najlepiej.

Na pierwszy rzut oka Mihrimah mogłaby nawet powiedzieć, że matka jest szczęśliwa, jednak czuła, że coś ją trapi.

W końcu i do niej dotarła wiadomość, że przyjeżdża Gülbahar oraz następca tronu książę Mustafa.

*

Czerwono-białe mundury żołnierzy, ich zbroje, ostre końce ich włóczni oraz końskie uprzęże błyszczały w wiosennym słońcu.

Mihrimah siedziała w powozie i spoglądała na Selima i Bajazyda naprzeciwko niej. Bracia znów ze sobą walczyli. Bajazyd próbował wyciągnąć mały, krótki sztylet zza pasa Selima.

Ten natomiast upierał się, że mu go nie da.

„Mam dość użerania się z tymi chłopaczyskami”, pomyślała. Odwróciła głowę w stronę jadących po dwóch stronach powozu żołnierzy. Podkowy karych koni uderzały o kamienistą drogę prowadzącą z Nowego do Starego Pałacu. Koń księcia Mehmeda wyróżniał się spośród pozostałych. Jej starszy brat dosiadał białego wierzchowca. Kłusujące zwierzę poruszało się w niewiarygodnie równym tempie. Opuszczało głowę, jakby chciało usłyszeć stukot swoich kopyt, a usłyszawszy go, z zadowoleniem ją unosiło. Bujna biała grzywa falowała w tym dumnym rytmie.

„Mehmed jest tak samo pewny siebie jak jego koń”, pomyślała, uśmiechając się. Tak siedział w siodle, że ktoś mógłby powiedzieć, że jest padyszachem. Był lekko pochylony, lewą rękę opierał na nodze, prawą natomiast ściskał rękojeść krótkiej węgierskiej szabli wysadzanej rubinami. Poły długiego, obszytego sobolowym futrem kaftana zwisały z siodła i okrywały grzbiet Pioruna – tak nazywał swojego wierzchowca. Obszyta srebrną nicią szarfa, którą poleciła mu założyć matka, i ozdobione drogocennymi kamieniami bolero[23] mieniły się w promieniach słońca. Nogawki zielonych szarawarów wciśnięte były w ciżmy wykonane z gazelej skóry i sięgające do kolan. Ostre czubki butów wsunięte były w złote strzemiona zawieszone na skórzanych, wysadzanych perłami, puśliskach[24], zwisających po obu stronach konia.

W tym stroju Mehmed z godnością drugiego księcia jechał na powitanie swojego przyrodniego brata, następcy tronu Mustafy. Ten oczywiście miał na sobie wielki turban. Z jakiegoś powodu jego starszy brat nigdy z niego nie rezygnował, choć nakrycie głowy było za duże. Nie miał nawet pojęcia, jak śmiesznie wyglądał, gdy białe, ozdobione świecidełkami zwoje, zsuwały mu się co chwila, zakrywając brwi. Pojawiające się nagle czarne oczy wyglądały jak czarne kamienie przyczepione do turbanu. Gdyby nie okazałość czuba ze strusich piór ozdobionych diamentami, umieszczonego na szczycie turbanu, tylko z tego powodu

zniknąłby cały efekt, który próbowała stworzyć jego matka.

Mimo że turban nieustannie chwiał się na boki, gdy przejeżdżał przed tłumem zgromadzonym po obu stronach drogi, nie było końca oklaskom i okrzykom:

– Niech żyje padyszach!

– Niech jego książęta cieszą się długim życiem!

„Nawet nie wspominają mojego imienia – skarżyła się w duchu Mihrimah. – Nawet nie wymieniają sułtanki w swoich modlitwach".

Jadący za żołnierzami konni sięgali do toreb i rzucali w stronę ludu różne słodycze i monety. Dlatego gdy powóz z Mihrimah i książętami przejechał, pozostawił za sobą tłum walczący ze sobą o łakocie i pieniądze.

Mihrimah nie zastanawiała się nawet, jak wygląda. Wiedziała, że wspaniale. Odkąd przyszła wiadomość, że przyjeżdżają Gülbahar i książę Mustafa, matka ich przygotowywała. Szczególnie ją i Mehmeda. Poświęcała dużo uwagi także Selimowi i Bajazydowi, ale przede wszystkim chciała pokazać Gülbahar i swojemu przyrodniemu synowi dumę i szczęście, jakie odczuwała z powodu dwojga starszych dzieci.

Wydawało się, że bardziej przygotowuje Mihrimah na dzień, w którym spotka się z Gülbahar, niż na uroczystości obrzezania. Krawcy przychodzili jeden po drugim. Szyto suknie, kaftany, szarawary. Przygotowywano przeróżne, kolorowe nakrycia głowy i czepce. Matka kazała Mihrimah przymierzać każdy z nich i uważnie jej się przyglądała. Za każdym razem cmoknięciem okazywała swoje niezadowolenie. „Zdejmij to i włóż tamto", mówiła.

W końcu i tak zdecydowała się na morski błękit. Właściwie chciała ubrać córkę jak siebie, w purpurowe jedwabie i tiule, ale wiedziała, że błękit bardzo pasuje Mihrimah. Wówczas miało się wrażenie, że jej oczy mieniły się turkusem. Z aksamitu i chińskiego jedwabiu uszyto dla niej kaftan w odcieniu ultramaryny. Zanim jeszcze ozdobiono materiał setkami drogocennych kamieni, tkanina lśniła w słońcu. Wykonanie było

tak mistrzowskie, że gdy światło padało prosto na nią, przybierała barwę nieba, a miejsca, które pozostawały w cieniu, stawały się granatowe jak spiętrzone fale rozgniewanego morza.

Pod spodem miała wołoską krepową bluzkę ze sztywnym kołnierzykiem i z mankietami. Na to narzuciła całkiem gładką kamizelkę w odcieniu jasnego i spokojnego morza. Chciała włożyć szerokie, wygodne szarawary, ale matka się nie zgodziła. Po kilku przymiarkach zdecydowano, że włoży sięgającą ziemi, plisowaną spódnicę w takim samym kolorze co kamizelka. Mihrimah wiedziała, że jej wygląd zapiera dech w piersiach. Ci, którzy na nią patrzyli, nie mogli zdecydować, co jest piękniejsze – morze czy córka sułtana.

– *Maszallah*... – wzdychały służące i damy dworu.

– Tfu, tfu… *Maszallah*… Niech Bóg chroni cię przed złym okiem. Niech każdy z was weźmie nitkę ze swojej spódnicy albo z szarawarów i spali ją. Niech złe uroki nie imają się naszej pięknej sułtanki – powiedziała Setaret.

Jednak matka wciąż nie była przekonana.

– Co o tym myślisz? – zapytała Merzukę.

Skośne oczy Tatarki w jednej chwili zaszły łzami.

– Nie podoba ci się? Powiedz. Przed sułtanką Gülbahar wszystko musi wyglądać idealnie.

– Nieee… – sprzeciwiła się natychmiast Merzuka. – Bardzo mi się podoba – mówiła, nie odrywając wilgotnych oczu od Mihrimah. – Wygląda jak anioł.

– To dlaczego płaczesz?

– Ja… – zaczęła cicho kobieta, opuszczając głowę. – Przypomniałam sobie dzień, w którym przybyłaś do pałacu na Krymie, i chwilę, gdy cię ubierałyśmy.

Powóz podskoczył na kamieniu, co wyrwało Mihrimah z zamyślenia.

„Tak – powiedziała do siebie. – Jestem jak anioł. Spodobam się pani Gülbahar. Mojemu bratu Mustafie też na pewno się spodoba. Po prostu musi tak być”.

Właściwie wydawało jej się pozbawione sensu, że matka

przykładała tak wielką wagę do tej wizyty. Przypomniała sobie, co jej powiedziała w dniu, gdy skończyła dziewięć lat. To wydarzyło się tak dawno. „Lepiej byłoby położyć kres tej wzajemnej urazie”, pomyślała. Przede wszystkim, gdy Mustafa i jego matka przybędą do Stambułu, powinni zatrzymać się nie w Starym Pałacu, ale razem z nimi.

Podobno na zaproszenie matki: „Jeśli tylko będą chcieli, zostaną w naszym domu”, Gülbahar odpowiedziała: „Nigdy”. Skoro nawet ona zrozumiała, że w słowach „jeśli tylko” kryje się niechęć do takiego rozwiązania, jak Gülbahar mogła tego nie pojąć?

Matka nawet nie chciała, żeby nazywała Mustafę „starszym bratem”.

– On nie jest twoim bratem – zaatakowała ją pewnego dnia. – To syn Gülbahar, rozumiesz? Następca tronu.

Matka zamilkła na chwilę, wpatrując się w nią uważnie.

– Oczywiście, na razie… Dobrze, moja śliczna? Twoim starszym bratem jest książę Mehmed.

Hürrem nie poprzestała na zainteresowaniu ich garderobą. Całymi dniami wpajała im, jak mają siadać i wstawać.

– Jeśli Gülbahar nie przywita was na stojąco, nie czekajcie, aż powie, że możecie usiąść. Od razu zajmijcie miejsca.

– Dlaczego? Czy to wypada?

– Jesteście dziećmi naszego sułtana. To oczywiste, że należy witać was na stojąco. Tak nakazuje etykieta. Jeśli powita was na stojąco, pamiętajcie: ponieważ jest starsza, nie będziecie siadać, ale poczekacie, aż wskaże wam miejsce. Jeśli natomiast tak się nie stanie, zrobicie tak, jak wam powiedziałam. Natychmiast usiądziecie. Pod żadnym pozorem nie będziecie czekać.

Nigdy nie mieli zwracać się do kobiety po imieniu. Zakazane było także nazywanie Mustafy *starszym bratem*. Mehmed miał powiedzieć, że nie będzie już jeździł na polowanie, jeśli ojciec go nie zabierze. Mihrimah natomiast miała wyrazić żal: „Jaka szkoda, że nie mogliśmy ugościć was i księcia sukcesora w *naszym domu*”.

– Słowa „w naszym domu” masz powiedzieć wyraźnie i z naciskiem, moja mała sułtanko. Powiedz to: „*W naszym domu*”…

Chyba ze sto razy kazała jej to powtarzać.

Miała również wspomnieć podczas rozmowy o tym, że uczy się grać na bałałajce, kanunie i oudzie, bierze lekcje francuskiego, arabskiego i rosyjskiego, a ojciec wzywa ją do siebie co wieczór i prosi, żeby mu zaśpiewała. Mihrimah miała jeszcze jedną powinność – *słowo po słowie* zapamiętać, co powie kobieta. Nie wiedziała, jak to zrobi, jednak rozumiała to. „Słowo po słowie. Dobrze?”, oznajmiła matka, marszcząc brwi. Było jasne, że to bardzo ważne.

Mehmed również miał uważać na pewne sprawy. Przede wszystkim książę Mustafa miał na niego czekać na zewnątrz na końskim grzbiecie. Jeśli tak postąpi, razem mieli przejechać przed kompanią powitalną. W przeciwnym razie miał przejechać i nie czekając na Mustafę, sam ich pozdrowić.

– Idąc, nigdy nie pozostawaj w tyle za Mustafą – mówiła matka do Mehmeda. – On jest następcą tronu, ale ty jesteś drugim księciem. Po nim to tobie przypada prawo do objęcia władzy. Masz nie zwracać się do niego po imieniu, lecz mówić „wy”. Pod żadnym pozorem nie używaj słów „nasz panie” czy „czcigodny panie”.

Tego dnia, zanim wyruszyli, Mehmed przyprowadził swojego konia do powozu, do którego wsiedli Mihrimah i dwóch małych książąt.

– Przed nami trudne zadanie – powiedział.

„Naprawdę trudne”, pomyślała Mihrimah. Po raz pierwszy byli sami. Nie pozostawało im nic innego, jak ściśle trzymać się dobrych rad, które dostali od Hürrem.

Stary Pałac, Stambuł
Tego samego dnia

Gdy zaczęły rozbrzmiewać bębny orkiestry wojskowej, zrozumieli, że są już blisko. Następnie odgłosy stukotu końskich kopyt wymieszały się z dźwiękami trąb, surm, saggatów[25] i nakkarów[26]. Rytmiczna melodia być może napełniała radością serca pozostałych, ale Mihrimah z trudem łapała oddech.

„Nadeszła ta chwila – przeszło jej przez myśl. – Pora wypełnić obowiązek. Bądź dzielna, Mihrimah. Pokaż się. Nie przynieś matce wstydu".

Wyprowadzając ją z haremu, Hürrem zwróciła się do niej:

– Liczę na ciebie, moja mała sułtanko. Nie przynieś mi wstydu. Pokaż, że jesteś córką Hürrem.

Podczas gdy kompania żołnierska zwalniała, powóz przyspieszał. Konie zaczęły niespokojnie uderzać o kamienie, próbując ruszyć do przodu. Czterech stajennych starało się utrzymać siwego konia księcia Mehmeda bez ruchu, trzymając go za ogłowie. Mihrimah wydawało się, że twarz brata zbladła, gdy zwierzę rozsierdziło się pod wpływem wprawiających ziemię w drżenie uderzeń kotłów wojskowej orkiestry. Powóz wjechał na dziedziniec Starego Pałacu przez dwuskrzydłową, żelazną bramę.

Mihrimah zobaczyła go siedzącego na kruczoczarnym koniu. Dwóch jeźdźców stojących za nim trzymało dwie kity wykonane z końskich ogonów na znak, że po Sulejmanie to jemu przypadnie tytuł padyszacha. Jej starszy brat Mehmed miał jedną kitę.

„*To musi być Mustafa*", pomyślała. On również odziany był w czerń. Jedynie talię miał przewiązaną szkarłatnym pasem, a na turbanie czerwone, żółte i niebieskie pióra, które wydawały się wystrzeliwać z pliku diamentów wielkości pięści. Jego ramiona były prawie dwa razy szersze niż Mehmeda. Wygląd zdradzał jego siłę i męstwo. Prawą rękę, podobnie jak jej starszy brat, opierał na rękojeści szabli, tyle że szabla Mustafy była zakrzywiona,

podobnie jak szabla ojca. Wyprostowany i nieruchomy siedział na końskim grzbiecie, który wyglądał jak czarny posąg.

Gdy przejeżdżali przed nim, miała wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały. Jednak Mustafa nie odwrócił głowy, żeby na nią zerknąć. Mihrimah poczuła, że ukradkiem śledzi ją wzrokiem. Ona zrobiła to samo. Nie poruszyła głową. Nie zmieniła również pozycji ani wyrazu twarzy. Przejechała przed następcą tronu, którego matka zabroniła jej nazywać starszym bratem, intensywnie wpatrując się przed siebie, zupełnie jakby w powozie oprócz Selima i Bajazyda było coś interesującego do zobaczenia.

Konie zaczęły zwalniać, aż w końcu stanęły. Dwóch kapykułów[27] podbiegło, żeby otworzyć drzwi powozu. Trzeci podstawił dwustopniowe schodki. Armia dam dworu towarzysząca Mihrimah dołączyła do oczekujących ich służących. Na końcu przed drzwiami pojawiły się Esma i piastunki Selima i Bajazyda. Mihrimah czekała, jak zaleciła jej matka. Najpierw wysiedli chłopcy. Odczekała jeszcze chwilę. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. Przytrzymawszy się wyciągniętej ręki Esmy, wysiadła z powozu.

W chwili gdy stawiała stopę na schodku, odniosła wrażenie, że słyszy głos Hürrem: „Stopę musisz postawić tak wolno, żeby nie było jej widać spod sukni”.

Tak też zrobiła. W tej samej chwili zauważyła, że oczy wszystkich dam dworu, które Gülbahar wysłała, żeby ich powitać, skierowane były na jej suknię. Wówczas zrozumiała, że dziewczęta pospieszą do swojej pani i przekażą jej wiadomość: „Córka Hürrem nie pokazała nawet czubka stopy”.

Zeszła ze stopni. Po rozwiniętym na ziemi jedwabnym dywanie, jakby płynąc, podeszła do braci. Stanęła między Selimem a Bajazydem. „Oby chociaż tutaj się nie kłócili”, modliła się w duchu.

*

Wszystko odbyło się zgodnie z etykietą. Książę Mustafa

przywitał Mehmeda, siedząc na końskim grzbiecie. Jednocześnie zsiedli z koni, bacząc uważnie, aby jeden nie został niżej, a drugi wyżej. Tymczasem Mehmed wykonał błyskotliwe posunięcie, którego Mihrimah nigdy by się po nim nie spodziewała. Pamiętając o radach matki, udał, że noga utkwiła mu w strzemieniu. W ten sposób spojrzał z góry na księcia sukcesora. Zrobił to tak zgrabnie, że ani Mustafa, ani ludność Starego Pałacu niczego nie zauważyli. Oni o tym wiedzieli i to wystarczyło.

Mustafa i Mehmed objęli się. „Widać, że Mustafa również dostał od swojej matki dokładne wytyczne", przyszło do głowy Mihrimah. Dwóch młodzieńców, zgodnie ze zwyczajem, zetknęło się najpierw prawymi, później lewymi, a potem znowu prawymi policzkami, jakby się obcałowywali. Pałacowa społeczność i ludność zebrana wokół frontowego dziedzińca zareagowały na uścisk pierwszego i drugiego księcia żywiołowymi owacjami. Orkiestra janczarów uczciła tę chwilę, grając pieśń zwycięstwa. „Pewnie ich gromkie głosy słychać nawet na sąsiednich szczytach", pomyślała Mihrimah.

Jedynie sędziwi starcy z drwiną patrzyli na rozgrywającą się przed nimi scenę. Wiedzieli, że gdy Mustafa wstąpi na tron, każe zabić nie tylko młodzieńca, którego obdarzył pocałunkami, ale także pozostałe rodzeństwo. Taki był porządek. Od czasów Mehmeda Zdobywcy dozwolone było odebranie życia w imię tronu. Tylko państwo jest wieczne. Żeby uniknąć niezgody i nieporządku w państwie, przyzwolenie na przelanie braterskiej krwi zawarte było w Księdze Prawa.

Być może syn ruskiej odaliski, Mehmed, sprzeciwi się intronizacji Mustafy i spróbuje zabić przyrodniego brata. Jeśli mu się uda i wstąpi na tron, przyjdzie kolej, żeby pozbyć się dwóch młodszych braci stojących teraz za nim i trzymających się kurczowo poły jego kaftana.

Starcy również uczestniczyli w tym wydarzeniu i klaskali, chociaż przeczuwali, że prędzej czy później nastąpi krwawe zakończenie. Taka była tradycja. Nawet jeśli bracia byli wrogami, na widok potomka padyszacha lud miał bić brawo i wiwatować.

Książę Mehmed, delikatnie usuwając się na bok, pokazał przyrodniemu bratu stojące za nim rodzeństwo. Wymienił ich imiona: „Selim Chan, Bajazyd Chan, sułtanka Mihrimah". Mustafa spojrzał na nich tak, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z ich obecności. Powitał chłopców dumnym skinieniem głowy. Bajazyd nie wykazywał zbytniego zainteresowania tą częścią ceremonii. Stanął za plecami Mustafy i zaczął dotykać kamieni zdobiących pochwę zagiętej szabli następcy tronu. Rozgniewana z powodu krnąbrności Bajazyda Mihrimah poczuła, że para czarnych oczu skupiła się na niej. Delikatnie odwróciwszy głowę, napotkała chłodny, lecz pełen ciekawości wzrok Mustafy. Ona również spojrzała na niego oschle. Pozdrowiła go zgodnie z zaleceniami matki i ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Młodzieniec odpowiedział jej tym samym.

Na tym zakończyło się wyglądające na niezwykle serdeczne, ale w rzeczywistości chłodne powitanie. Teraz przyszła kolej na spotkanie, którego Mihrimah wyczekiwała z bijącym sercem. Gdy szła w stronę wrót haremu Starego Pałacu, dręczyło ją pytanie, którego nie mogła nikomu zadać: „Jaką kobietą była Gülbahar nazywana *Mahidevran*? Czy była piękna?". Ilekroć przychodziło jej na myśl to pytanie, odpowiadała sobie: „Nie ma kobiety równie pięknej co moja mama. Na pewno Gülbahar jest ponura i oschła", przekonywała się, ale podskórnie czuła, że prawda może okazać się inna. Czy padyszach mógłby się zainteresować brzydką kobietą i mieć z nią potomka? Mimo to Mihrimah życzyła sobie, żeby czekająca na nią za tymi ogromnymi drzwiami kobieta okazała się brzydka.

Gdy służące otwierały drzwi, Mihrimah wzięła głęboki oddech, starając się stłumić emocje.

Najpierw weszli Mustafa i Mehmed. W pierwszej chwili z powodu ich wielkich turbanów Mihrimah nic nie widziała, ale później ujrzała stojącą kobietę. Ucieszyła się. Gülbahar przywitała ich, jak nakazuje obyczaj. Nie naraziła Mihrimah ani jej braci na to, żeby musieli zrobić coś nieprzyjemnego. Słońce oświetlało ją z tyłu, dlatego nie widać było jej twarzy. Można było jedynie

dostrzec jej długą szyję. „Jest dłuższa niż szyja matki”, zauważyła.

Kobieta rzuciła Mehmedowi krótkie, protekcjonalne spojrzenie. Natychmiast stało się jasne, że górująca nad mizernym księciem postura jej własnego syna napawała ją dumą.

Do środka weszli także Selim i Bajazyd popychani przez Mihrimah. Jednak kobieta nie poświęciła im nawet odrobiny uwagi. Spojrzenie Gülbahar skupiło się na niej.

Posuwała się do przodu przesławnym krokiem swojej matki. W końcu ujrzała wynurzającą się z cienia twarz Gülbahar.

„Niech to szlag. Jest piękna. Nie tak piękna jak moja mama – pomyślała natychmiast – ale i tak jest bardzo piękna”.

W przeciwieństwie do Hürrem miała hebanowe oczy, lekko skośne, w kształcie migdałów. Wpatrywała się nimi w Mihrimah. Jej włosy były ciemne jak noc. Okrywały ramiona, wysuwając się spod białej chusty. Wystające kości policzkowe nadawały jej okrągłej twarzy surowego wyrazu. Nos miała mały i kształtny. Jej pełne usta były zaciśnięte, najprawdopodobniej pod wpływem nieprzyjemnych przeżyć. Buntowniczo unosiła podbródek.

Widać było, że patrząc na Mihrimah, starała się złagodzić swoje spojrzenie, ale nie do końca jej się to udało. Dziewczyna czuła, że kobieta patrzy na nią bardziej lekceważąco niż z ciekawością. Ale w czarnych oczach było coś więcej niż obraza. To były niechęć, wrogość i gotowość do sięgnięcia po szablę i podjęcia walki!

Przypomniawszy sobie rady matki, nie czekała, aż starsza kobieta odezwie się pierwsza.

– Witajcie – oznajmiła beznamiętnym głosem. – Jaka szkoda, że nie mogliśmy ugościć was i księcia sukcesora w *naszym domu*.

W oczach Gülbahar pojawił się gniew, ale natychmiast się opamiętała. Nie były to słowa, które dziewczyna powiedziała sama z siebie. „*To ta ruska świnia je jej wpoiła*”, przeszło jej przez myśl, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Każdy pałac naszego władcy jest domem mojego syna sukcesora i moim – odparła lodowatym głosem.

Nastała krótka cisza. Gülbahar zachowywała się tak, jakby

przed nią nikogo nie było i jakby mówiła do siebie.

– Zdziwiło nas, gdy usłyszałyśmy, że nazywacie się Mihrimah. Myślałyśmy, że Aleksandra nada swojej córce ruskie imię. A może wciąż nazywają ją Rusłana?

Nagle ziarno, które zasiała w jej sercu matka, wykiełkowało. Mihrimah poczuła nienawiść do tej kobiety. Była chłodna, arogancka, nieustępliwa i grubiańska.

– Imię nadał nam nasz pan – odpowiedziała, starając się zachować uprzejmy ton. – Czy wiecie, że to również mój ojciec nazwał mamę Hürrem? W dniu, w którym się urodziłam, wziął mnie w ramiona i powiedział: „Będzie miała na imię Mihrimah". Jego znaczenie zapewne znacie. Mój ojciec padyszach kocha mnie, nazywając swoim słońcem i księżycem, nocą i dniem, pigwowcem i granatem.

Zdziwiła się. Matka nie nauczyła jej tego zdania. Zdała sobie sprawę, że pogardliwe, pełne nienawiści spojrzenie kobiety, skierowane na nią i braci, sprawiło, że wzięła sobie do serca słowa, które przekazała jej matka.

Kobieta nie wydawała się jej już tak piękna jak w pierwszej chwili. Przede wszystkim *była stara*. „Koniecznie muszę powiedzieć o tym mamie", pomyślała. Jej skóra straciła świeżość. Jeśli przyjrzeć się jej nieco uważniej, w kącikach oczu zaczęły się rysować delikatne bruzdy. Miała cienie pod oczami. Później spojrzała na dłonie kobiety. Były ogromne, a na wierzchu widać było zmarszczki. W jednej chwili Mihrimah pojęła, dlaczego komnata była tak skąpo oświetlona, a Gülbahar stała w jej najciemniejszej części. Starała się, żeby córka Hürrem nie zauważyła, jak wygląda.

Następnie wszystko odbyło się tak, jak chciała i spodziewała się jej matka. Gülbahar nigdy nie nazywała jej Hürrem. Właściwie wcale o niej nie wspominała. Nie zapytała o jej zdrowie. Mihrimah natomiast, zgodnie ze wskazówkami matki, nieustannie powtarzając „*mama Hürrem*", nie pozwalała jej zapomnieć o istnieniu kobiety, która odebrała jej mężczyznę.

– Mój dzielny książę – zwróciła się do Mustafy Gülbahar –

zabierz goszczących u nas chłopców i pokaż im swoje konie i szable.

„Nie przeszłoby jej przez gardło nazwanie moich braci książętami”, pomyślała Mihrimah.

– Czterech książąt po raz pierwszy spotyka się razem. Jak pięknie, prawda? – rzuciła.

Tego też nauczyła ją matka. „Dałam jej do myślenia”.

Nagle przestraszyła się, że została sama z tą kobietą. Jednak szybko wyzbyła się tego uczucia. Co powiedziała jej matka? „My się nie bałyśmy, więc nasza córka też nie będzie”.

Gülbahar nieustannie opowiadała o tym, jakich świetnych nauczycieli ma jej syn w Manisie i czego dokonał. Mihrimah natomiast, tak jak poradziła jej matka, mówiła o tym, jak bardzo ojciec kocha ją i jej braci, jak bawi się razem z nimi i mamą, jakimi prezentami ich obsypuje.

Znalazła też odpowiednią sposobność, żeby zapytać:

– Czy wasz syn zna francuski i łacinę?

Poczuła satysfakcję, gdy Gülbahar mimowolnie pokręciła głową.

– Ja znam – rzekła z dumą. – Uczę się też arabskiego. Jeśli pewnego dnia przyjedziecie do *naszego domu*, zagram wam na kanunie, oudzie i bałałajce. Znam piękne pieśni.

– Zapewne nauczyłyście się też języka Rusinki – odpowiedziała kobieta głosem zdradzającym gniew.

– Język Rusinki? Nigdy o nim nie słyszałam, ale mama Hürrem uczy mnie ruskiego. Mama mówi, że *kobiety padyszacha powinny wszystko umieć*.

Mihrimah, upiwszy łyk zaserwowanego sorbetu posypanego prażonymi orzeszkami, poprosiła o pozwolenie na odejście.

– Mój tata padyszach ofiaruje dziś mamie Hürrem prezenty z okazji uroczystości obrzezania. Jestem ich bardzo ciekawa. Nie chcę tego opuścić. Musimy już wracać.

Gdy zmierzali do pałacu, powóz otoczony kolumnami żołnierzy z nieco większą prędkością zjeżdżał ze wzgórza. Mihrimah wyglądała przez okno, patrząc przed siebie. W oddali

widziała błękit morza. Pośród fal kołysały się dwa statki, których białe żagle wydął wiatr. Pomyślała, że choć tysiąc razy oglądała morze z pałacowego ogrodu, nigdy wcześniej nie zauważyła, że jest tak piękne, a statki tak magiczne. Ten widok odbierał jej zmysły.

Nagle przypomniała sobie słowa, które Gülbahar wypowiedziała, gdy wychodziła.

– Ten, kto tak myśli, sam taki jest. Nie rozpamiętujemy przeszłości. Nie pozostajemy myślami w miejscach, które opuściliśmy, nie odwracamy się i nie patrzymy na nie. Szczególnie nie zamierzamy jeździć to tu, to tam na zaproszenie odaliski. Gdy nadejdzie właściwy czas, nasz syn Mustafa Chan zasiądzie na tronie, który jest mu przeznaczony, a wtedy wrócimy do miejsca, które opuściłyśmy jako Sułtanka Matka.

Mihrimah zadrżała, zdając sobie sprawę, że to nie z powodu wiosennego wiatru porywającego chustę okrywającą jej głowę. Przed oczami miała spojrzenie Gülbahar. Wstrząsnęło nią uczucie, którego nigdy wcześniej nie zasmakowała. Dziewczyna po raz pierwszy poczuła, że boi się przyszłości.

Wróciwszy ze Starego Pałacu, opowiedziała wszystko matce. Hürrem nie przerywała jej. Nie zadała nawet jednego pytania. Słuchała jej z zapartym tchem.

– Teraz już wiesz – zakończyła.

– Co?

– O tym, że masz wroga.

Tak… Już wiedziała. Wyczytała to w oczach Gülbahar. Ta kobieta była wrogiem jej, matki, braci – ich wszystkich.

Słuchając opowiadań matki, zawsze myślała o nich jak o dwóch kobietach, które pragnąc tego samego, nie mogły się znieść. „Matka wygrała, a Gülbahar poniosła porażkę. To wszystko”, myślała. Jednak teraz wiedziała, że wcale tak nie było.

– Przyczajona żmija czeka, żeby zaatakować – jęknęła.

– Nie bój się – wyszeptała Hürrem. – Razem jako matka i córka zmiażdżymy głowę tej żmii.

W jej oczach matka wyglądała jak szabla wydobyta

z pochwy.

*

Ibrahima Paszy w ogóle nie obchodziły trwające całe trzy tygodnie wspaniałe uroczystości obrzezania trzech książąt, odbywające się tuż przed jego pałacem. Nie interesowali go kuglarze, akrobaci, połykacze ognia i mieczy. Patrzył na nich, ale ich nie widział. Rozmawiał, ale nie słyszał. Zobaczywszy niechęć bijącą z oczu Mihrimah po tym, jak poznała Gülbahar, czuł się jeszcze pewniej. Myślami był przy swoich wrogach. Zrozumiał już, że nie ma innego wyjścia. Prędzej czy później wyrównają rachunki. Przegrany zginie, a zwycięzca pozostanie przy życiu.

Nowy Pałac, harem

Mihrimah pobiegła do ogrodu, gdy tylko skończyła lekcje. Przysiadłszy na ławce, wpatrywała się w rozciągający się przed nią błękitny bezkres morza. Dni szalonych, dziecięcych zabaw dawno odeszły w przeszłość. „Chyba ciocia Merzuka miała rację – pomyślała. – Człowiek z każdym dniem staje się dojrzalszy".

Była coraz starsza. Miała już trzynaście lat. Każdego dnia uczyła się wielu rzeczy, na przykład nienawiści do wojen, tęsknoty czy rozstania. Nawet jeśli wieńczyło je zwycięstwo, nie mogła przywyknąć do niepokoju i niepewności dni, gdy mężczyźni wyruszali na wojnę.

Wojna zabierała jej ojca. Nie widziała go miesiącami. Czasem nawet mijały lata. Matka też tęskniła. Gdy tylko dostawała wiadomość: „Niech nasza córka przyjdzie wieczorem do naszej komnaty", wiedziała, że matka poleci jej napisać list.

– Czy nie byłoby właściwsze, gdybyście to wy napisały? – zapytała pewnego wieczoru.

– Nie.

– Dlaczego?

– Kiedy skupiam się na pisaniu, umykają mi uczucia. Ja powiem, co czuję, a ty przelej to na papier.

Tak też robiły.

„Czcigodny Sułtanie", zaczynała zawsze matka. Każde jej słowo było pełne miłości i tęsknoty. W każdej linijce kryły się subtelne wyrzuty, skargi, doniesienia, szczególnie zaś błędy i zaniedbania spowodowane działaniami wielkiego wezyra Ibrahima Paszy.

„A więc to właśnie nazywają intrygą", mówiła Mihrimah. Nie lubiła tego. Jednak już dawno zaakceptowała fakt, że potrzebują tego, żeby przeżyć. Za sprawą matki uwierzyła, że w tym pałacu śmierć znajduje się krok za nimi.

Mihrimah znajdowała ocalenie w pałacowym ogrodzie.

Teraz miała swoje statki. Duże i małe statki. Statki, które sunęły po błękitnych wodach, rozkładając białe skrzydła niczym mewy. Nie mogła nasycić się ich widokiem.

Najbardziej kochała masywne trójmasztowce o kwadratowych żaglach.

– To galery – mówiła Esma. – Wyruszają na wojny. A te wąskie i długie to galeony. Widzicie ich działa, sułtanko? A te to çektiri[28]. Te za nimi to statki towarowe.

Mihrimah była oczarowana galerami. Cieszyła się na widok powiewających zielono-czerwonych bander. Łopot smaganej wiatrem tkaniny wywoływał w niej nieopisane uczucia. Gdy statki przepływały przed nią, miała ochotę pobiec za nimi, krzycząc „Hej!". Jednak czy takie zachowanie przystało córce Sulejmana? Oczywiście, że nie. Zawsze jej tak mówiono.

– Jesteście córką padyszacha, nie róbcie tak.

– Ależ, sułtanko, to nie wypada.

– Jesteście córką Sulejmana, syna Selima Chana. Musicie być rozważne.

Nawet matka czasami zwracała się do niej w ten sposób.

– Nie jedz tak. Tobie nie przystoi. Wszyscy będą cię wytykać palcami i mówić: „Patrzcie na córkę Hürrem".

Ona zaś postępowała tak, jak ją uczono. Nie mogła głośno się roześmiać ani wylewać potoków łez, gdy miała na to ochotę. A wydawać by się mogło, że sułtanki mogły robić to, co chciały. Wszystko było zakazane. „*Jestem sułtanką zakazów*", dąsała się.

„Gdybym tak mogła być na pokładzie – setki razy myślała, śledząc wzrokiem odpływające okręty. – Gdyby mnie stąd zabrały. Skąd i dokąd płynęły?". Gdyby tak pewnego dnia uciekła, pobiegła na nabrzeże i krzyknęła: „Hej! Jestem sułtanka Mihrimah, córka sułtana Sulejmana, władcy świata. Weźcie mnie ze sobą!", zabraliby ją ze sobą?

Najbardziej uwielbiała widok, gdy mnóstwo wioseł o długich trzonach, wystających z wielkich, pomalowanych na czarno kadłubów okrętów, jednocześnie zanurzało się do wody i z niej wynurzało. Cóż to był za rytm, jaka gracja. Była oczarowana

tańcem piany na falach, która uwolniona z wynurzających się z wody wioseł ponownie spadała do morza, mieniąc się srebrzyście. I zachwycała się ponownym jednoczesnym zanurzaniem wioseł w morskiej otchłani.

Gdy statki przepływały przed znajdującą się na środku morza białą wieżą, widziała mężczyzn krzątających się po pokładzie. Uwijali się jak w ukropie. Z tego, co mogła zauważyć z ogrodu, ich nogi od kolan w dół były odsłonięte. Ich stopy także chyba były bose. A poza tym nie mieli na sobie nic oprócz kamizelek. Na samą myśl o tym, że widziała ich półnagie torsy, czuła zawstydzenie. Ale dlaczego? Niektórzy mieli na głowach niedbale zawiązane małe, białe chusty.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła marynarzy, wskazała ręką na morze i zapytała:

– Kim oni są, nianiu?

Esma, próbując nie dać tego po sobie poznać, spojrzała lubieżnie.

– Kto, moja piękna sułtanko?

– Oni, moja droga. Mężczyźni na statkach.

– Ci nadzy? – zapytała Esma, udając, że nie rozumie.

W głosie dziewczyny było niezrozumiałe dla niej podniecenie.

– Levenci – powiedziała krótko.

– Co oni robią?

– Chodzą po falach, moja sułtanko.

– Przestań wreszcie traktować mnie jak dziecko! – wybuchła nagle Mihrimah. – Mam trzynaście lat. Myślisz, że można chodzić po wodzie?

– Levenci chodzą. Nie można nazwać leventem człowieka, który nie umie chodzić po wodzie.

– Dlaczego oni są…? No, wiesz…

Nie mogła się zdobyć na to, żeby powiedzieć „*nadzy*”.

Tym razem Esma spojrzała prosto w oczy swojej pani. Na jej twarzy malował się kokieteryjny figlarny i tajemniczy uśmiech.

– Chciałyście powiedzieć „*nadzy*”, moja sułtanko?

Mihrimah przez chwilę patrzyła na nią gniewnym wzrokiem. Jednak iskry w jej oczach powoli gasły. W ich miejsce na jej twarzy pojawił się bardziej niż pełen ciekawości figlarny uśmiech.

– Tak.

Poczuła, że jej policzki oblewają się rumieńcem.

– Nie wiem. Chyba dlatego, że tak ciężko pracują. Spójrzcie, jak się uwijają.

Mihrimah nie mogła się napatrzyć, jak z niesamowitą szybkością wspinają się na maszty po linowych drabinkach, jak wykonują przeróżne czynności, zwisając z lin przy żaglach, jak w mgnieniu oka zjeżdżają po wantach. A może, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, powodem, dla którego nie mogła odwrócić wzroku, były nagie, owłosione torsy mężczyzn?

Mihrimah nawet nie chciała zastanawiać się nad tym pytaniem czającym się gdzieś w zakamarkach jej umysłu.

– Skąd oni przybyli, nianiu?

– Nie wiem, moja sułtanko. Tylko jeden Bóg, no i kapitan wie, skąd i dokąd płyną. Woda, wiatr i ptaki są ich świadkami.

– Wiatr i ptaki?

– Oczywiście. Podróżują po wodach. Wiatr wydyma ich żagle. Ptaki fruną nad nimi. Spójrzcie. Widzicie? Te białe ptaki nawet na chwilę nie oddalają się od statków.

„Jak pięknie o tym opowiada”, przeszło jej przez myśl. Esma miała swój udział w uwielbieniu, jakim Mihrimah darzyła morze i okręty. Wkładała w swoje opowieści tyle słodyczy i poezji, że Mihrimah często aż drżała z zachwytu.

„Teraz za każdym razem, gdy będę widziała przepływający statek, będę myślała, że tylko jeden Bóg i kapitan wiedzą, skąd i dokąd płynie. A wiatr i ptaki są tego świadkami”, pomyślała.

Esma potrafiła mówić tak, jakby układała wiersz. Mihrimah kochała tę dziewczynę. Traktowała ją lepiej niż piastunkę, bardziej jak przyjaciółkę. „Co ja bym bez niej zrobiła – zastanawiała się. – Byłabym jeszcze bardziej *samotna* niż teraz”, dodała szeptem.

– Słucham, moja śliczna?

– Nic, Esmo – odpowiedziała Mihrimah, obdarzając opiekunkę pełnym miłości uśmiechem. – Mówiłam o ptakach i wietrze. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego jest tak wiele ptaków, a wiatr nieustannie wieje.

– Dlaczego?

– Tak wiele okrętów przed nami przepływa. To oczywiste – żeby być ich świadkami.

Dwie rówieśniczki zapomniały, że jedna z nich jest sułtanką, a druga opiekunką. Obydwie się roześmiały. Serca obu z nich wypełniło ciepło. Obie chociaż na chwilę zapomniały o swojej samotności.

*

Pewnego dnia, gdy patrzyła na statki, nagle pojawiła się przy niej matka.

– Płynęłaś kiedyś nimi, mamo? – zapytała, wskazując na czarną galerę.

Pokład okrętu znów pełen był tych mężczyzn. Niezliczona liczba wioseł uderzała o fale.

Hürrem spojrzała w błękitne jak morze oczy córki. Dobrze znała to rozmarzone spojrzenie. Mihrimah siedziała tuż przy niej, a ona czuła jej ciepło, oddech, zapach, ale wiedziała, że córka jest w zupełnie innym miejscu. „Ja też tak kiedyś robiłam – pomyślała. – Pewnie pędzi teraz za swoimi marzeniami i snami”.

– Płynęłam – wyszeptała, kładąc rękę na ramieniu córki. – Ale nie był taki wielki.

– Nie bałaś się?

– I to jak. Myślałam, że umrę ze strachu.

Hürrem również zatopiła się w myślach. Mihrimah widziała, jak w niebieskozielonych oczach matki spieniają się fale.

– Jak tam wsiadłaś? Gdzie?

– Bardzo daleko… Wsiadłam jako Aleksandra Anastazja Lisowska – powiedziała. – Wysiadłam tutaj, gdzie miałam stać się Hürrem twojego ojca.

– Chciałabyś popłynąć jeszcze raz?

– Tak.

– Dokąd chciałabyś popłynąć?

Nastała przydługa cisza. Nie otrzymawszy odpowiedzi, Mihrimah uniosła głowę i spojrzała na matkę. Zobaczyła, jak po jej policzku spływa jedna łza przypominająca perłę.

– Do moich stepów. Do moich ośnieżonych, pokrytych lodem gór.

– Opowiedz o nich – nalegała Mihrimah.

Wiedziała, że matka płacze na wspomnienie miejsca, z którego pochodzi. Poczuła, jak Hürrem się prostuje. Odwróciła się i spojrzała. Teraz ukochana matka uśmiechała się. Na jej policzku został ślad po tej jednej łzie.

– A ty? Chciałabyś popłynąć?

Mihrimah nie mogła się dłużej powstrzymać. Nieważne, czyją była córką. Jakie miało znaczenie, kim była, po tym jak wykrzyczy swoją radość i podniecenie? Wyrzuciła z siebie rosnącą w niej tęsknotę.

– Boże! – zawołała. – Chcę! Oczywiście, że chcę! Chcę wsiąść na statek, na którym powiewa czerwono-zielona flaga. Chcę, żeby wiatr rozwiewał mi włosy! Chcę ścigać się z ptakami i słyszeć uderzenia wioseł.

*

Tego wieczoru Hürrem zauważyła, że Sulejman jest strapiony. Śpiewała mu jego ulubione pieśni, poiła rodyjskim winem, które tak bardzo lubił, ale bez rezultatu. Wiedziała, że nie powinna pytać, czym się martwi. Od dawna wiedziała, że nie pyta się sułtana o coś, o czym sam nie powie.

Nie pomogły też zaloty, których jej mężczyzna nigdy nie miał dość. Sulejman był delikatny, zainteresowany i pełen miłości, ale jednocześnie nieszczęśliwy.

– Przyszedł dziś kapitan Hyzyr[29] – odezwał się nieoczekiwanie padyszach. – Przybył do Stambułu, żeby zobaczyć się z naszym szwagrem Ibrahimem, ale…

Wystarczyło samo wspomnienie imienia wielkiego wezyra

Ibrahima Paszy, żeby zdenerwować Hürrem. „Wiedziałam – pomyślała. – To przez tę chorwacką świnię się martwi".

– Jak wiesz, Ibrahim jest na wyprawie. Hyzyr długo mi opowiadał o znaczeniu floty. „Odkąd po drugiej stronie oceanu odnaleziono świat, do cesarza Karola płynie stamtąd złoto. My też natychmiast musimy utworzyć kolonie na nowym kontynencie. Nie pozostawajmy uwięzieni na Morzu Śródziemnym", mówi.

Hürrem nie odparła: „*Kapitan ma rację*". Sulejman bardzo denerwował się na takie słowa. Tylko on mógł mieć rację.

– Nie ma takiego, który nie ceniłby kapitana. Skoro przybył do Stambułu tylko po to, by o tym powiedzieć, to chyba nie trudziłby się na darmo.

– Dlaczego to, moja uśmiechnięta buzio?

– Dlatego, że wszystko, co powiedział, wiadome jest czcigodnemu sułtanowi. Jaki sens ma powtarzanie tego władcy, który tak dobrze jak nasz pan wie o tym, że natychmiast należy dotrzeć do Nowego Świata.

„*Jaka to mądra kobieta*", pomyślał sułtan. Oczywiście, że o tym wiedział. Co więcej, sprawa Nowego Świata też spędzała mu sen z powiek. Jednak nie zakończył jeszcze swoich spraw na lądzie. Korona wschodniego Rzymu była w Stambule, jednak mimo to Wielkiemu Imperium Osmańskiemu potrzebna jest korona Rzymu Cezara. Chciał zostać spadkobiercą Rzymu. Wówczas powstałoby takie imperium, że wymazałoby wyobrażenie wspaniałego Rzymu, które pozostało w umysłach. Potrzebował korony Rzymu. Korony Cezara. A tę ukradł giaur zwany Karolem.

„Gdy ruszyłem za nim w pogoń, uciekali jak dziewki – pomyślał gniewnie. Jego oczy pociemniały. – A teraz wysyła do papieża posła za posłem, żeby nasłać na mnie armię krzyżowców".

Obawiał się wyruszać na niepewne końca przygody na oceanie, dopóki nie zniewoli Europy. Gdyby teraz Hürrem powiedziała, że „*kapitan dobrze mówi*", Sulejman wpadłby w gniew, ale ona, mistrzowsko dobierając słowa, wprowadziła

jego myśli na nowe tory.

Wiedząc, że kobieta znów zastosowała tę samą taktykę, nie dając się zbić z tropu, padyszach mówił dalej.

– Opowiedz o tym Ibrahimowi, poprosiłem kapitana Hyzyra. Proszę, odpocznij w Stambule. Gdy tylko Ibrahim wróci z wyprawy, porozmawiamy o tym. Jednak kapitan niezadowolony udał się aż do Aleppo i wyłożył Ibrahimowi sprawę Nowego Świata.

Hürrem wystarczająco dobrze znała swojego mężczyznę, żeby wiedzieć, że tym, co go trapi, nie był fakt, że kapitan Hyzyr wsiadł na koński grzbiet i wyruszył w podróż.

– Wasz sługa, wielki wezyr, myśląc jak wy, pewnie przyzna kapitanowi rację. Przynajmniej tak nakazuje rozum.

Sulejman ze złością pokiwał głową. Hürrem, zrozumiawszy, że przyczyną jego gniewu jest Ibrahim Pasza, prawie krzyknęła z radości.

– Ależ skąd! „Przebyliście taki kawał drogi na marne", powiedział kapitanowi Hyzyrowi. Mężczyzna, opowiadając to dzisiaj, był bliski łez. „Nie interesuje nas drugi brzeg Morza Śródziemnego. To niebezpieczne tak bardzo oddalać się od serca Wielkiego Imperium Osmańskiego. My mamy zadania na równinach, w górach i w dolinach. Wystarczy, że wasza pozycja na Morzu Śródziemnym będzie pewna", odparł mu nasz szwagier pasza.

Hürrem zamilkła. Czekała, aż gniew padyszacha wybuchnie z całą mocą.

– Możesz to sobie wyobrazić, Hürrem? To kapitan Hyzyr. Nawet wrogowie tacy jak Barbarossa stają przed nim na baczność. Mniejsza o wrogów, my sami darzymy go szacunkiem niczym własnego ojca. Gdy staje przed naszym obliczem, wstajemy i zapraszamy go. Wskazujemy mu miejsce, żeby usiadł. Nie siadamy, zanim on usiądzie. A on uwłacza sędziwemu bohaterowi, który widział więcej wojen, niż ma lat, który odniósł tyle zwycięstw w imię islamu i Wielkiego Imperium Osmańskiego.

– Wspomnieliście o morzu, mój panie. Nagle coś mi się przypomniało. – Hürrem udała, że zmienia temat. Teraz miał paść śmiertelny cios. – Nasza sułtanka Mihrimah się zakochała.

– O czym ty mówisz, Hürrem? „Zakochała się" to wielkie słowa.

– Tak, mój czcigodny sułtanie. Najwyraźniej się zakochała.

Padyszach grzmiał, ale Hürrem nie chciała odpuścić tej sposobności.

– I to ślepo się zakochała. *Nasza córka zakochała się w morzu.*

Padyszach patrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Każdego dnia wychodzi do ogrodu i patrzy na statki. Wszystkich o nie wypytuje. Wie wszystko, ile każdy statek ma żagli i ile par wioseł wykorzystuje. Gdyby jej pozwolić, wsiadłaby na pokład i odpłynęła.

Kiedy Hürrem z entuzjazmem mu o tym opowiadała, zasępiona twarz padyszacha się rozjaśniła. Gniew w jego oczach ustąpił miejsca radości.

– Brawo dla mojej pięknej córki! Taka właśnie powinna być córka sułtana Sulejmana.

Później odwrócił się do niej, jakby nagle coś przyszło mu do głowy.

– Tylko pomyśl, Hürrem – odezwał się ironicznie. – Nawet nasza trzynastoletnia córka zdaje sobie sprawę, jak wielkie znaczenie ma morze. Jednak wielki wezyr oraz serkasker pasza, któremu powierzyliśmy naszą pieczęć i nasze wojsko, tego nie wie. A do tego jeszcze okazuje brak szacunku wilkowi morskiemu w wieku jego ojca, który w swojej skromności sam do niego przychodzi.

Gdyby okno było otwarte, Hürrem z radości wyfrunęłaby przez nie jak motyl.

– We właściwym czasie – powiedział zdecydowanie – porozmawiamy z naszą zakochaną w morzu sułtanką Mihrimah. Najwidoczniej nasza córka więcej wie o morzu niż nasz wielki wezyr.

Radość uskrzydlała Hürrem. Nie była już *sama*. Znalazła silnego sprzymierzeńca. Koniecznie musi wykorzystać miłość, jaką Sulejman darzy Mihrimah. *Dziś, jutro i na wieczność*.

Zapisała to sobie w zakamarkach umysłu.

„Przygotuj się, moja piękna córko – pomyślała, uśmiechając się promiennie do padyszacha. – Jesteś teraz żołnierzem swojej matki Hürrem”.

Nowy Pałac, harem

Gdy Esma, nie bacząc na etykietę, weszła do jej komnaty, Mihrimah wiedziała, że chodzi o coś ważnego.

– Wasz ojciec, sułtanko – wysapała. – Nasz pan was oczekuje. Powiedział: „Przekażcie naszej córce, że nam się spieszy".

Coś takiego nie zdarzało się często, a dokładniej, nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszano. Jeśli sułtan Sulejman chciał się zobaczyć ze swoją córką, przychodził do jej komnaty. Wypraszał służące i damy dworu i rozmawiał z nią godzinami, a czasem sprawdzał, czego Mihrimah dowiedziała się od swoich nauczycieli. Po raz pierwszy wzywał ją do siebie. Do miejsca, z którego wraz z wezyrami, paszami i agami rządził Wielkim Imperium Osmańskim.

„Bardzo dziwne", przeszło jej przez myśl. Teraz rzadziej widywała się z ojcem. Nie pozwalano jej również, jak dawniej, biec i rzucać mu się na szyję. Zabawy z braćmi w ogrodzie także były zakazane. Właściwie Mihrimah wcale na to nie narzekała. I tak nie miała ochoty spędzać z nimi czasu. Gdy tylko jej starszy brat Mehmed wychodził do ogrodu, w wielkim turbanie na głowie i ciągnącym się po ziemi kaftanie, nie mogła się powstrzymać i zaczynała się śmiać. Słysząc śmiech Mihrimah, służące i służący znajdujący się w pobliżu odwracali głowy i również chichotali. Mehmed nie był już dzieckiem. Miał czternaście lat. Słysząc śmiechy, stawał się czerwony ze złości i biegł poskarżyć się na Mihrimah:

– Jak ta dziewczyna może śmiać się z księcia? Czy to nie wstyd, matko?

– Co mam zrobić? Nie mogę się powstrzymać – tłumaczyła matce Mihrimah. – Turban jest większy od Mehmeda.

Selima nie lubiła od dnia, w którym się urodził. Dlatego, jakby zapominając, że sama też ma jasne włosy, nazywała go

żółtogłowym.

Bajazyd był zupełnie inny, cichy i przebiegły. Największą przyjemność czerpał z ukradkowego, niespodziewanego szczypania Mihrimah. Gdy dziewczyna zaczynała krzyczeć, zarzekał się: „Ja nic nie *zrobiłem*”. Do tego Bajazyd był bardzo zazdrosny. Zawsze chciał ubierać się w to, co nosił Selim. Urządzał awantury, żeby włożyć turban za duży nawet na Mehmeda. Gdy Mehmed niechętnie się zgadzał, uspokajał się i próbował chodzić w turbanie zsuwającym mu się na nos. Nigdy nie płakał, gdy się przewrócił. Natychmiast podnosił się i próbował ponownie umieścić na głowie nieszczęsny turban. Również i dla niego padyszach kazał sprowadzić kuca, jednak ani razu na niego nie wsiadł. Za to uparł się, żeby jeździć na kucu Mihrimah.

O co mogło chodzić? Dlaczego ojciec ją wzywał? I to tak pilnie.

Starała się włożyć niebieską suknię, którą Esma wyciągnęła z szafy, przy czym była pewna, że matka znów podniesie krzyk, dlaczego wkłada ubrania w tym kolorze. Jednocześnie nie umiała ukryć ciekawości.

– Co jest powodem tego, że nasz pan wzywa do siebie swoją córkę? Wiesz coś na temat, Esmo?

– Służący, który przyniósł wiadomość, nic o tym nie mówił, moja sułtanko. Oświadczył tylko: „Nasz pan powiedział, żeby jego córka się śpieszyła. Nie każcie naszemu władcy czekać”.

– Czy nasza matka wie o tym zaproszeniu?

– Nie wiem, ale jestem pewna, że siostra Setaret już dawno o tym usłyszała i przekazała Hürrem Haseki: „Nasz pan wezwał do siebie naszą sułtankę Mihrimah. Hej!”.

Mimo ekscytacji sposób, w jaki Esma naśladowała Setaret, rozśmieszył Mihrimah.

– Esmo! – podniosła głos. – Oby tylko siostra Setaret się o tym nie dowiedziała, bo rzuci cię na pożarcie Gulyabaniemu[30].

Mihrimah również zamierzała zakończyć zdanie okrzykiem „Hej!”, ale nie zdążyła. Drzwi się otworzyły, a do jej komnaty

wszedł orszak dam dworu, a za nim jej matka oraz Merzuka. Za nimi natomiast ledwo łapiąca oddech Setaret.

Hürrem od razu skierowała swojego kroki ku córce.

– Nie znalazłyście nic innego do ubrania dla mojej córki?

– To ja chciałam – przerwała jej Mihrimah. Zdziwiła się, że sprzeciwia się matce. Nie wiedziała, jak to się stało, ale zrobiła to. – To mój kolor – powiedziała powoli. – Wy uwielbiacie purpurowe kwiaty, a ja błękit nieba.

Hürrem, nieprzyzwyczajona do tego, że ktoś jej się sprzeciwia, zawahała się przez chwilę. Spojrzała córce w oczy.

– Nasza córka dorosła i wybiera, co jej pasuje, a co nie. – W jej głosie nie było irytacji ani złości.

Wśród pomruków pełnych miłości i podziwu Hürrem zawiązała córce na głowie chustę o ton ciemniejszą od sukni. Odsunęła się i spojrzała na nią. Wyciągnęła ramiona i przytuliła Mihrimah. Matka i córka napawały się swoją bliskością.

– Wielki sułtan Sulejman oczekuje swojej córki, piękności nad pięknościami, a wy tracicie tu czas, obściskując się. Postradałyście zmysły? A może życie wam niemiłe? Hej!

Słowa Setaret wznieciły panikę. Piękny i pełen miłości uścisk matki i córki sprawił, że na chwilę o wszystkim zapomniały. Podczas gdy służące zaczęły bezcelowo biegać z kąta w kąt, Mihrimah skierowała się do drzwi, trzymając matkę za rękę. – Dlaczego ojciec wzywa nas do siebie, matko? Macie jakiś pomysł?

Hürrem zadrżała, zauważywszy, że córka sięga jej już wzrostem do ucha. Jej usta zaczęły się poruszać. Tylko Merzuka to zauważyła.

„*Znowu się modli*”, pomyślała. Usta Merzuki również zaczęły się poruszać.

– To na pewno coś dobrego – powiedziała Hürrem. – Z pewnością mój czcigodny sułtan obmyślił coś, co uszczęśliwi naszą sułtankę.

– Nigdy wcześniej nas do siebie nie wzywał.

– Przecież mówię. Dlaczego mi nie wierzysz? Nie jesteś już

dzieckiem, żeby do ciebie przychodził. Jesteś prawdziwą sułtanką. To oczywiste, że jeśli nasz pan chce zobaczyć się ze swoją sułtanką, wzywa ją do siebie.

Matka i córka ruszyły wąskimi, krętymi korytarzami. Dochodząc do drzwi prowadzących na zewnętrzny dziedziniec, Hürrem po raz ostatni poprawiła nakrycie głowy córki.

Gdy Dżafer Aga otwierał ciężkie wrota, korytarz oświetliło radosne światło wiosennego słońca.

Kiedy Mihrimah wyszła na zewnątrz, powitały ją przyprawiający o drżenie wiatr i drzewa, których gałęzie upstrzone były rozkwitającymi różowymi i białymi kwiatami. Przepełniło ją szczęście. Skierowała się w stronę drzwi, które wskazał jej aga haremu idący krok za nią.

*

Przed drzwiami stało dwóch olbrzymów o podkręconych wąsach. Mihrimah spojrzała na nich ze strachem zza peleryny, ale stanęła przed nimi wyprostowana. „Ciekawe, jak wspaniała jest komnata mojego ojca", zastanawiała się, gdy dwóch służących jednocześnie otwierało skrzydła wielkich drzwi. Przymknęła oczy, wchodząc przez drzwi uchylone tylko na tyle, żeby mogła przez nie przejść. Otworzywszy je, będzie mogła rozkoszować się otaczającą ją wspaniałością.

Z zamkniętymi oczami zrobiła jeden krok. Potem jeszcze jeden. I zatrzymała się. Otworzyła oczy. W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. Czy to właśnie komnata jej ojca, którego nazywają „padyszachem trzech kontynentów i siedmiu światów"? Wielki sułtan Sulejman rządził światem ze skąpo oświetlonego pomieszczenia, w którym nie było innych mebli oprócz szerokiej sofy, ustawionego na środku dużego biurka, kilku krzeseł i wielkiego kominka?

– Podejdź, moja sułtanko.

Głos ojca przypomniał jej, że powinna wziąć się w garść. Ukłoniła się delikatnie i pozdrowiła go. Sułtan Sulejman zasiadał za stołem pełnym różnych papierów, pergaminów i książek. Po

jego prawej stronie siedział mężczyzna z przedziwną brodą i w białym turbanie. Nigdy nie widziała takiej brody. Nie była ani czarna, ani biała. Przypominała trochę włosy matki. W skąpym świetle nie mogła dostrzec niczego dokładnie, ale najwyraźniej broda mieniła się czerwienią.

„Kto śmiał siadać w obecności padyszacha? Kim on jest, że ma odwagę zasiadać u boku mojego ojca?", pomyślała gniewnie.

– A to właśnie moje słońce i księżyc, moja Mihrimah. Moja zakochana w morzu jedyna córka.

Rudobrody wstał z niespodziewaną sprawnością, biorąc pod uwagę jego wiek i potężną sylwetkę. Odwrócił się do Mihrimah i pozdrowił ją lekkim ukłonem.

Przypomniały jej się słowa powtarzane tysiąc razy przez Hürrem: „Nie czuj się stłamszona pozdrowieniem. Nie kłaniaj się głębiej, niż należy. Zawsze okazuj szacunek starszym i hojnie przyjmuj pozdrowienia młodszych".

„Co za trudna sprawa z tym pozdrowieniem – myślała zawsze. – Zrób to, ale nie rób tamtego. Więc jak to miało być?".

Mihrimah starała się zrobić tak, jak przekazali jej matka i nauczyciele. Nie kłaniając się, delikatnie zgięła jedno kolano i lekko pochyliła głowę. Pokazywano jej ten ruch wystarczająco często, żeby potrafiła go prawidłowo wykonać.

Gdy podniosła głowę, napotkała spojrzenie mężczyzny spoglądającego na nią z szacunkiem. Zrozumiała, że starzec ją ocenia. Wyprostowała ramiona. Jeszcze wyżej uniosła podbródek. „Tak staje córka sułtana Sulejmana", mawiała matka.

Srogie spojrzenie złagodniało. Mihrimah poczuła, że zdała test. Spodobała się starcowi, kimkolwiek był. Mimo że był na tyle zuchwały, żeby siedzieć w obecności jej ojca, ona również polubiła rudobrodego.

– Podejdź, pani Mihrimah – powtórzył ojciec głosem pełnym dumy.

Uwielbiała, gdy ojciec tak się do niej zwracał. Tak mówił tylko do matki, a teraz jeszcze do niej.

– To nasz wilk morski. – Sułtan dokładnie wypowiedział

każde słowo. – Nazywa się kapitan Hyzyr. Jeśli my rządzimy na równinach, w górach i dolinach, kapitan jest władcą oceanów. Jest mądry, jak zresztą wskazuje jego imię[31]. Pojawia się niczym Hyzyr, ilekroć Wielkie Imperium Osmańskie znajdzie się w trudnej sytuacji.

Mihrimah się zawahała. Ogarnęły ją sprzeczne uczucia radości i rozczarowania. Czy ten starzec był kapitanem Hyzyrem? Tym samym z baśni o jego bohaterskich czynach?

Różnica między marzeniami a prawdą wywołała w jej sercu gorycz. Po raz pierwszy doświadczyła tego uczucia. Komnatę ojca też wyobrażała sobie zupełnie inaczej. Sułtan Sulejman powinien zasiadać na wspaniałym tronie pośród złota, diamentów i rubinów. Ponieważ nie widziała imponującej sali tronowej, widok ojca, który patrzył na nią, siedząc na taborecie, bardzo ją zasmucił.

„Nie będę ukrywać – pomyślała – że kapitanem Hyzyrem też jestem zawiedziona". Słuchając historii o tym bohaterze, zawsze wyobrażała go sobie jako leventa z nagim torsem, ześlizgującego się po linach, wspinającego się po sznurowych drabinkach lub stojącego za sterem statku, takiego, jakie obserwowała, siedząc w pałacowym ogrodzie.

– Chcieliśmy, żebyś poznała mojego bejlerbeja Algieru, kapitana Hyzyra, pani Mihrimah. Skoro tak bardzo kochasz morze i okręty, jest wiele rzeczy, których powinnaś wysłuchać i nauczyć się od niego.

W końcu udało jej się zapanować nad uczuciami. Wolałaby, żeby okazał się dzielnym marynarzem, ale w końcu był to kapitan Hyzyr. Był mężczyzną, który sprawi, że uniesie się nad falami. Osobą, która opowie jej o dalekich krajach.

– Zbliż się – odezwał się Sulejman. – Zbliż się i ucałuj dłoń kapitana.

Ma ucałować jego dłoń? Nigdy nie całowała niczyjej ręki, oprócz ojca. „Jakie trudne jest to dorastanie", przeszło jej przez myśl. Nieustannie dowiadywała się zadziwiających rzeczy. Kto to słyszał, żeby córka sułtana Sulejmana całowała rękę kogoś innego niż sułtan Sulejman? Wygląda na to, że tak. To ojciec chciał, żeby

to zrobiła.

– Oczekujemy, że będziesz okazywała kapitanowi większy szacunek niż nam – mówił dalej padyszach. Rozumiejąc jej wahanie, kontynuował: – Należy całować dłonie tych, którzy walczyli przeciwko tylu giaurom, którzy mają tyle zasług dla Wielkiego Imperium Osmańskiego.

Mihrimah zbliżyła się do rudobrodego maleńkimi krokami. Pochyliła się, żeby ucałować jego dłoń. Mężczyzna najpierw wykonał gest, jakby zamierzał podać jej rękę. Później zrobił coś nieoczekiwanego. Delikatnie ujął jej dłoń.

– Jakżebyśmy śmieli pozwolić, żeby słońce całowało naszą dłoń? – Basowy głos kapitana rozbrzmiał w uszach Mihrimah. – To my powinniśmy całować dłoń światłości sułtanki i przyłożyć ją do czoła, żeby oświetliła nam drogę i sprowadziła na nas przychylność losu.

I ucałował czubki palców Mihrimah, po czym przyłożył je sobie do czoła.

– Niech to życie będzie ofiarą dla naszego pana i jasnej jak słońce sułtanki.

Jakie to piękne słowa. Olbrzymi mężczyzna pokłonił się i jeszcze raz ją pozdrowił. Zrobił to dokładnie tak, jak uczyła ją matka. Jakby nie czuł się stłamszony pozdrowieniem. Nie kłaniając się głębiej, niż należy.

Miała ochotę objąć go za szyję. To chyba nie byłoby właściwe. Mihrimah, tym razem z większą dozą szacunku, odpowiedziała na pozdrowienie kapitana. Kątem oka spojrzała na ojca. Widać było, że jest zadowolony z tego, co widzi i słyszy. Był szczęśliwy, że sprawił radość Mihrimah, i dumny z powściągliwej postawy córki wobec obcego człowieka. „W końcu to córka Hürrem – pomyślał Sulejman. – I moja”.

Mihrimah skierowała swoje kroki ku sofie. Zupełnie jak Hürrem delikatnie usiadła na brzegu. Ustawiła obok siebie zadarte czubki butów wystających spod sukni. Ręce ułożyła na kolanach i skierowała swoje przejrzyste spojrzenie na kapitana.

– Słyszałyśmy o waszych bohaterskich czynach.

W tym komplemencie była zarówno królewska wyniosłość, jak i dziecięca ekscytacja tym, że za chwilę dowie się, czy to, co słyszała, było prawdą.

Kapitan Hyzyr powoli spojrzał na padyszacha. Wydawało się, że spojrzeniem prosił o pozwolenie. Następnie odwrócił się, ruszył w stronę Mihrimah i zatrzymał się dokładnie naprzeciwko niej.

– Bohaterstwo wynika ze służby państwu osmańskiemu, moja sułtanko.

Mihrimah była oczarowana głosem kapitana. „Mogłabym go słuchać całymi nocami, aż do świtu", pomyślała.

– Istnienie naszego pana padyszacha, chwała i potęga państwa wlewają odwagę w serca naszych marynarzy. Giaurzy, widząc, że przebywający w raju ojciec naszego pana, wasz dziad, sułtan Selim Groźny, powierzył sandżak mojemu bohaterskiemu bratu, kapitanowi Arudżowi, szukali wyłomu, żeby uciec przez morze.

Kapitan w trzech zdaniach stworzył przed oczami dziewczyny scenę bitwy. Mihrimah mogła przysiąc, że widzi walczące na morzu okręty, żołnierzy krzyżujących ze sobą ostrza, czerwone i zielone sztandary z gwiazdą i półksiężycem oraz panikę wśród oddziałów wroga. Rudobrody wciąż stał naprzeciwko niej. Nie wiedziała, czy to wypada, ale postanowiła wykonać gest, który płynął z jej serca. Poklepując sofę, wskazała mu miejsce. Jej matka też zawsze tak robiła, gdy chciała, żeby ktoś usiadł obok niej.

Kapitan Hyzyr ponownie wzrokiem poprosił padyszacha o pozwolenie.

Na widok gestu córki, wykonanego z manierą wielkiej sułtanki, serce Sulejmana urosło. Jego córka zachowywała się tak, jakby od lat przebywała wśród królów i książąt. Była wielkoduszna, pełna szacunku, dumna, a przy tym pokorna i niewiarygodnie piękna. Po raz kolejny poczuł dumę z córki. Wysłał uśmiech kapitanowi Hyzyrowi i wyraził zgodę, żeby zajął miejsce obok jego córki.

Starzec zbliżył się powoli.

Choć przepełniało ją pragnienie, żeby odwrócić się i z bliska przyjrzeć twarzy mężczyzny, nie oderwała oczu od złożonych na kolanach dłoni. Tak wypadało.

– Czy kapitan również jest leventem?

– Tak, moja sułtanko. Jest nim.

– W takim razie wy też potraficie *chodzić po falach*.

Kapitan zdziwił się, a sułtan Sulejman zachichotał. Mihrimah, rozmawiając z nim po raz pierwszy o okrętach, marynarzach i morzach, zapytała o to samo. „Czy levenci chodzą po falach?".

– Wybaczcie, sułtanko – odezwał się kapitan Hyzyr. – Nie zrozumiałem.

„Co w tym jest niezrozumiałego? – przeszło przez myśl Mihrimah. – Czy Esma nie mówiła, że levenci *chodzą po falach*? Skoro jest leventem, on również powinien to potrafić".

– Mówią, że levenci chodzą po falach.

– Ale chyba w to nie wierzycie?

– Trudno w to uwierzyć. Jak można chodzić po falach?

Poczuła, że kapitan odwrócił się i spojrzał na nią. „Czy ja też mogę odwrócić głowę?", zapytała siebie. Jakież to głupie siedzieć obok i nie patrzeć na niego, ale rozmawiać, patrząc przed siebie. Podjęła decyzję i odwróciła się. Ich spojrzenia się spotkały. Mihrimah po raz pierwszy z uwagą patrzyła w oczy mężczyzny. W zaczynających już przygasać czarnych pobłyskujących błękitem oczach ujrzała gotujące się, pieniące się, ogromne fale.

– Można – powiedział nagle kapitan. – Dobrze słyszałyście. Prawdą jest to, w co się mocno wierzy. Levenci chodzą po morzu. Słuchają wołania fal.

Te zdania pobudziły jej wyobraźnię. Teraz widziała wielkie, spiętrzone fale. Levenci o nagich, smaganych wiatrem torsach pędzili po morzu.

– Wołania fal? – zapytała podekscytowana.

– Tak – odpowiedział kapitan, nie odrywając od niej oczu. – Fale ich wzywają.

– Czy fale mówią?

Na twarzach obydwu mężczyzn pojawił się uśmiech.

– Mówią – odezwał się powoli kapitan. – Levenci miesiącami wędrują po morzach. Z dala od swoich ukochanych, przepełnieni tęsknotą ścigają wiatr, który ich wysłucha. Ich myśli są pełne smutku. Nagle fale zaczynają przemawiać. Jest to czarowny głos, moja sułtanko. „Chodź – wzywają. – Czekam na ciebie, dzielny marynarzu. Chodź". Jest to wołanie niebezpieczniejsze od wroga.

To bardzo zaciekawiło Mihrimah. Co mogłoby być bardziej niebezpieczne niż wróg? Odwróciwszy się wprost do kapitana, zapytała:

– Dlaczego?

Wilk morski spojrzał na padyszacha. Jednak zrozumiał, że nawet nie otrzymawszy pozwolenia, nie może milczeć. Dziewczyna z szeroko otwartymi oczami oczekiwała jego odpowiedzi.

– Ponieważ – zaczął cicho – to zaczarowany głos. Podobny do głosu usychających z tęsknoty ukochanych, które zostawili gdzieś bardzo daleko. Łatwo powstrzymać wroga. Wyciągasz szablę i uderzasz. Jednak z tym jest inaczej. Słyszysz wytęskniony głos, ale nie widzisz osoby. Myślisz, że jest gdzieś tam, pośród fal i mgieł. Trudno nie ulec temu głosowi.

– Dobrze, ale… – przerwała mu Mihrimah. – Marynarze… Co robią, gdy słyszą ten głos?

– Zatykają uszy, żeby go nie słyszeć. Wszyscy razem śpiewają pieśni, aby zagłuszyć zaklęty głos. Wydają wojenne okrzyki. Niektórzy jednak odchodzą od zmysłów. – Kapitan umilkł na chwilę. – Niektórzy – podjął szeptem – krzyczą: „Idę!" i rzucają się w morze.

– Czy odnajdują tego, do kogo należy głos?

Gdy kapitan Hyzyr wzruszył ramionami, Mihrimah zdjął strach. Nie miała odwagi powiedzieć głośno tego, co pomyślała.

– Te, które szepczą głosem fal, zabierają marynarzy. Więcej nikt już ich nie widzi.

– Kim one są?

Kapitan Hyzyr spostrzegł, że dziewczyna wsłuchuje się w jego słowa niczym w baśń. W jego głosie pojawiła się teraz radość.

– Marynarze z dawnych czasów, moja sułtanko, wielcy przodkowie, dziadowie marynarzy takich jak my, nazywali je *syrenami*. Syreny to zaczarowane morskie panny. Chowają się pośród fal i porywają marynarzy przybywających z dala od domu i ukochanych. Nikt oprócz marynarzy w nie nie wierzy. Jednak ci, którzy pływają po morzach, mówią, że słyszeli ich szepty i głosy. Być może, żyjąc miesiącami, latami na środku wielkiej wody, zaczynają słyszeć głosy niewidzialnego świata. Kto wie.

Słuchająca go z zapartym tchem Mihrimah z trudem przełknęła ślinę.

– Wy także słyszeliście głosy syren?

Śmiech dotąd milczącego sułtana Sulejmana rozproszył atmosferę baśni spowijającą komnatę. Padyszach wstał i śmiał się jeszcze przez chwilę. Później podszedł do Mihrimah i pogłaskał ją po włosach.

– Najlepiej będzie, jeśli zostawię was samych. Kapitan Hyzyr pokazał, że opowiadanie historii wychodzi mu równie dobrze jak żeglowanie po morzach.

Gdy padyszach zbliżał się do drzwi, kapitan podniósł się z szacunkiem. Mihrimah zrobiła to samo. Obydwoje pozdrowili sułtana Sulejmana.

– Mój panie – odezwał się z powagą Hyzyr – nic, co przeżywa się na morzu, nie jest baśnią. My nie wierzymy w baśnie, ale w to, co widzimy i słyszymy.

Sulejman zauważył, że bohaterski bejlerbej poczuł się urażony.

– Nie to miałem na myśli – powiedział i chcąc go udobruchać, położył mu rękę na ramieniu. – Opowiedz mojej pięknej sułtance historie o okrętach, marynarzach i bitwach, żeby jej wiedza przekroczyła horyzonty i sięgnęła bardzo daleka.

*

Gdy padyszach wyszedł, Mihrimah powtórzyła swoje pytanie:

– Czy wy także słyszeliście głosy syren?

– Nie ma takich, którzy by ich nie słyszeli, sułtanko.

– Wy też rzuciliście się w morze?

Kapitan Hyzyr się uśmiechnął.

– Nie – odpowiedział zdecydowanym głosem. – Zrobiłem to co dawni marynarze.

– Nauczycie mnie tego sposobu?

Kapitan spojrzał w oczy dziewczyny. Była taka mądra. Taka ciekawa. Taka szczera.

– W młodości bardzo często słyszałem głosy syren, sułtanko. „Chodź, Hyzyrze – mówiły zaczarowane głosy. – Chodź. Spójrz, jestem tutaj. Czekam na ciebie. Dalej, rzuć się w objęcia fal". Wiedziałem, że jeśli usłucham głosów, przepadnę. Zatykałem uszy, żeby ich nie słyszeć, ale na próżno. Głosy były w mojej głowie. Praprapradziadowie marynarzy, gdy tylko słyszeli głosy syren, żeby nie rzucić się w morze, przywiązywali się do sterów.

Mihrimah próbowała powstrzymać okrzyk zdumienia, ale jej się to nie udało.

– Przywiązywaliście się do sterów?

– Nie było innego wyjścia. Nie można oprzeć się czarom.

Dziewczyna zrobiła coś, co zaskoczyło wilka morskiego. Pokręciwszy głową, wstała.

– Widzieliście? – zapytała, a w jej głosie dało się słyszeć gniew. – Jednak nie chodzą po morzu. Inaczej dlaczego mielibyście się bać rzucenia w morze?

W jej oczach można było odczytać radość z tego, że miała rację. Jednak doświadczony mężczyzna zauważył w tym spojrzeniu również zawód. Młoda sułtanka nieustannie snuła marzenia o marynarzach chodzących po falach.

– Chciałabyś chodzić po falach?

Mihrimah zapatrzyła się w błyszczące jak morze oczy kapitana Hyzyra.

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Ja chciałabym *fruwać po falach*.

Osiągnął już taki wiek, przepłynął siedem mórz, jednak od nikogo nie słyszał, że chciałby „fruwać po falach”.

– Tak, fruwać – ciągnęła sułtanka Mihrimah. – Chcę, żeby okręty o czerwono-zielonych flagach dały mi skrzydła. Chcę widzieć, jak wiatr napełnia ich żagle… Chcę, żeby wiatr rozwiewał mi włosy… Chcę się ścigać z ptakami… Słyszeć plusk wody uderzanej wiosłami. Chcę, żeby rozbryzgująca piana obmywała mi twarz.

Te słowa ucieszyły starego marynarza. Przypomniał sobie dzieciństwo. Na wyspie Lesbos, stojąc na skałach i obserwując przepływające okręty, pragnął tego samego.

– W takim razie – powiedział cicho – jeśli nasz pan wyrazi zgodę, sprawię, że nasza sułtanka pofrunie po falach.

Hipodrom
Stambuł

Na Hipodromie położonym naprzeciwko Hagii Sophii panował wielki zamęt. Zbiorowisko ludzi wyglądało, jakby podzieliło się na dwie grupy. Pierwsza grupa wypełniała obsadzoną drzewami drogę prowadzącą przed meczetem do pałacu. Nazywano ją Kolejką Życzeń. Był to milczący tłum. Po dwóch stronach kolejki krążyli gwardziści. Nieustannie słychać było stukanie drewnianych podkutych podeszew ich ciżm i komendy nakazujące wychodzącym z kolejki powrócenie do szeregu.

Mieli szczęście ci, którzy jeszcze przed odczytaniem porannego ezanu przyszli, żeby zająć miejsce na początku kolejki. Rada sułtańska zbierała się zaraz po modlitwie. O godzinie dziesiątej drzwi Dywanu otwierano dla ludu poszukującego rozwiązania swoich kłopotów. Ci, którzy stali z tyłu, opowiadając o tym, jak wielkiej wagi są ich potrzeby, przymilali się do wysokich i niskich rangą żołnierzy, żeby wpuścili ich bez czekania. Gdy przyjmowanie próśb dobiegało końca i drzwi się zamykały, spuszczali głowy, mówiąc:

– Od tygodnia tu przychodzę. Znów nie weszliśmy do środka.

Niezależnie od tego, kto i dlaczego mówił, gdy hałasy zaczynały zakłócać świętą pałacową ciszę, natychmiast je uciszano. Pojawiał się zaraz jakiś janczar lub gwardzista i pochylał się.

– Ciii… Myślisz, że to jakiś podrzędny chan, że się tak wydzierasz? Jeśli życie ci miłe, zamknij gębę i nie otwieraj jej, dopóki nie wyjdziesz przez Bramę Cesarską.

Wszyscy tak robili. Nikt nie chciał zakłócić spokoju sułtana Sulejmana. Jakie znaczenie miały ich bolączki wobec szczęścia i spokoju władcy świata? Czy przy zmartwieniach, które miał na

głowie człowiek narzucający światu porządek, mogli wspominać o tym, co ich trapi?

Druga kolejka prowadziła wprost do pałacu Ibrahima Paszy. Była bardziej ruchliwa i panowała w niej większa wolność. Po dwóch stronach stojącego w kolejce tłumu krążyli sprzedawcy chałwy, ciast i bajgli. Uliczny sprzedawca, w nieco dalej ustawionym namiocie, zabawiał dzieci czekające na swoich ojców.

To w tej kolejce ludzie zaczęli mówić o nim *Wybraniec*. Ten przydomek bardziej niż z tym, że Ibrahim Pasza był ulubieńcem sułtana, wiązał się z faktem, że Sulejman, wracając od swojego wielkiego wezyra do własnego pałacu, rozrzucał z powozu złote monety. Stojący w kolejce do Ibrahima Paszy godzinami czekali, modląc się, żeby tego dnia wielki wezyr polecił rzucić bakszysz. Jeśli ich modlitwy zostały wysłuchane, tratowali się wzajemnie, żeby pozbierać rzucone drobne monety.

Tego dnia dwie kolejki były znaczenie dłuższe. Jednak największy tłum znajdował się przed meczetem. Setki handlarzy ustawiło swoje stragany za dziedzińcem Hagii Sophii, na stoku schodzącym wprost do Cysterny Bazylikowej[32]. Byli wśród nich bławatnicy, sprzedawcy ręcznie malowanych chust, zielarze, sprzedawcy sorbetów i herbaty, kucharze. Zasiadający na słomianych siedzeniach herbaciarzy lub przy naprędce skleconych stołach kucharzy mogli z jednej strony nasłuchać się najświeższych pałacowych plotek, a z drugiej – wziąć coś na ząb. Innym miejscem, po którym krążyły najnowsze wieści, było stoisko golarza. Zdejmujący z głów turbany i czapki podczas golenia, siedząc na taborecie ustawionym wzdłuż drogi, zbierali nowinki, prawdziwe lub nie, i przekazywali te, które sami przynieśli.

Plotki z ostatnich dni dotyczyły wrogości między wielkim wezyrem Ibrahimem Paszą a ministrem skarbu Iskenderem Czelebim. „Jeden z nich źle przez to skończy”, mówiono często. Stojący po stronie Wybrańca natychmiast się sprzeciwiali.

– Kim jest ten Iskender? Jak przyjdzie co do czego, wielki

wezyr każe ściąć mu głowę. W końcu to Ibrahim z Pargi.

Natomiast ci, którzy w tej walce o wpływy obierali stronę Iskendera Czelebiego, upierali się:

– Też coś! Wasz Wybraniec zaczął tracić względy naszego pana. Czelebi nic nie znaczy? Ma pod sobą piętnaście tysięcy zbrojnych. Znajdźcie sobie inne drzwi, pod którymi będziecie wystawać. To już koniec Ibrahima.

Targowisko ustawione na wzgórzu w większym stopniu niż przez wychodzących z meczetu wypełnione było ludźmi z przedmieść, a nawet dzielnic oddalonych od Stambułu, którzy przyszli na zakupy.

Różnica była jedynie taka, że na wzgórzu panowało większe zamieszanie. W tłumie było więcej kobiet niż mężczyzn. Można było tam spotkać kobiety z różnych stanów, we wszystkich kolorach. Tego dnia ubrane w różnokolorowe feradże[33], peleryny i z parasolkami, krążyły między straganami.

Nie obchodziły ich kłótnie o władzę między paszami a wezyrami. Z wielką uwagą mierzyły wzrokiem kobiety przechodzące obok nich. Zapamiętywały suknie kobiet, które przyszły z pałacu. Był to łatwy sposób na śledzenie mody.

Pogawędki kobiet również dotyczyły kolorów, tkanin, koralików i bibelotów. Jednak uczucie padyszacha i jego *haseki* stanowiło stały element tych rozmów.

Kobieta, co do centymetra odmierzając cieniutki tiul, którego sprzedawca rozgłaszał wszem wobec, że pochodzi z Indii, powiedziała cicho do stojącej obok niej:

– Siostro, ta Hürrem Haseki urodziła się chyba w Noc Przeznaczenia.

– Co ty mówisz? Ta kobieta to Rusinka. Jaka Noc Przeznaczenia? U giaurów nie ma ani Boga, ani Nocy Przeznaczenia.

Wówczas jeszcze jedna kobieta pochyliła się nad straganem.

– Jest, jest – wmieszała się w rozmowę. – Odaliska musiała urodzić się w Noc Przeznaczenia, a uwielbiony i najwyższy Bóg dał jej pewnie los muzułmanki. Inaczej jak mogłaby mieć takie

szczęście?

– Racja. Ile to już lat, odkąd nasz pan nie dotknął innej oprócz niej. Niech Bóg obdarzy nas wszystkich szczęściem Rusinki.

Pozostałe zachichotały.

– Och, nie, dziewczyno. Powiedz „szczęściem Hürrem". Szczęściem Hürrem.

I nie zważając na zniecierpliwione spojrzenie kupca, roześmiały się cicho.

– Już po wyrzuceniu Gülbahar widać było, że jest przebiegła – wyszeptała stojąca w środku. – Wtedy nie mogłyśmy o tym wiedzieć, ale to jasne, że kobieta okręciła sobie naszego pana wokół palca.

– Mówią, że jej córka jest taka sama. Sułtanka Mihrimah jest nawet piękniejsza niż matka.

– Padyszach uwielbia swoją córkę sułtankę.

Chwilę wcześniej zbliżyła się do nich jeszcze jedna kobieta. Oglądając materiały, podsłuchiwała rozmowę, jednak do tej chwili nie włączała się do niej. Zakryła usta, nie chcąc, żeby ktoś jeszcze ją usłyszał.

– Powiedzcie, panie, nasz sułtan włada Wielkim Imperium Osmańskim, a naszym sułtanem dwie kobiety.

Na te słowa cztery kobiety roześmiały się w głos.

– Hej! – odezwała się jedna, zanosząc się śmiechem. – Niektóre to potrafią. Nie wiem jak wy, ale ja moim nie potrafię rządzić. Nie żałuje mi razów, przeklęty!

*

Wysoki mężczyzna o siwiejącej brodzie zatrzymał się nieopodal. Zachowując granice dobrego wychowania, obserwował przechodzące kobiety. Robił to od tygodni, od miesięcy. Podczas gdy dawniej przychodził do Hagii Sophii raz w tygodniu, teraz liczba jego wizyt wzrosła do trzech, a nawet do pięciu. Wstydził się tego i był zły na siebie. „Czego oczekujesz po tym zawstydzającym działaniu?", beształ się, ale mimo wszystko to

robił. Drżał w nadziei, że ujrzy włosy złote jak łany zboża i parę oczu błękitnych jak niebo lub morze.

Ale nie było jej.

Dziewczyna zniknęła.

Małżeńskie łoże stało się dla niego ogrodem pełnym kolców. Nie mógł nawet znieść widoku twarzy kobiety, która dała mu potomstwo, wyczekiwała jego powrotu, śmiała się z nim i płakała.

Minęło ponad sześć miesięcy. Kto wie, ile razy w ciągu bezsennych nocy powtarzał sobie: „Może to był sen. Może wymyśliłem sobie tę piękność. A ona zniknęła jak marzenie".

Przez całą noc nie zmrużył oka, tylko wpatrywał się w ciemność, mówiąc:

– Ach, stary Ağırnaslı, gdyby to, co widziałeś, mogło być snem, obudziłbyś się i wszystko by się skończyło. Nie zniesiesz tej hańby, nie udźwigniesz wstydu, że ofiarowałeś serce dziecku w wieku twojej córki.

Jednak wiedział, że to, co widział, nie było snem ani marzeniem. Był pewien, że to nie igraszka tych oczu i mózgu, które nieustannie zajmowały się liczbami, miarami i rachunkami.

To, co widział, było prawdą.

Widział, jak jej włosy falują niczym łany zboża.

Uskrzydlony latał w błękicie jej oczu.

Jej głos wciąż brzmiał w jego uszach: „Wygląda jak zawieszona na niebie".

Wiedział, że to głupie, ale w tej chwili jego wnętrze palił ogień zazdrości. Od tamtego dnia był zazdrosny o mistrzów, którzy tysiąc lat temu zbudowali tę kopułę, którą podziwiała dziewczyna. W głowie tworzył kopuły, które wyglądały jak zawieszone na niebie. Kopuły, które jej się spodobają.

Początkowo nikt nie komentował tego, że w nadziei, że znów przyjdzie, godzinami przesiadywał w Hagii Sophii, jednak w końcu leciwy hodża, trochę z ciekawości, ale bardziej w oczekiwaniu wyjaśnień, zbliżył się do niego.

– Spędzasz tak całe dnie. Siedzisz tu godzinami. Masz jakiś kłopot?

– Modlę się, hodżo.

– To bardzo pięknie. Dobrze jest się modlić, to dobry uczynek. Modlitwa oczyszcza duszę. Zbliża człowieka do Boga, ale zbyt częsta zakłóca Jego spokój. Co przyniesie taka niedbała modlitwa? Nie modlisz się. Wydaje mi się, że raczej na kogoś czekasz.

Od tamtego dnia przeniósł swoje poszukiwania na zewnątrz.

Właściwie nie wierzył w powodzenie. Nie mógł zobaczyć twarzy większości kobiet. A kobiety, które nie zakrywały twarzy, były Greczynkami, Ormiankami i Żydówkami.

Zebrawszy całą odwagę, szeptał do przechodzącej obok niego kobiety:

– Poszukuję młodej pani…

Kobiety mijały go, odwracając głowy.

Chociaż starał się tego nie pokazywać, to niektóre z kobiet, w które się wpatrywał, żeby zobaczyć ich ukryte za tiulami i feradże twarze, ganiły go:

– Wstydź się! W twoim wieku?

Wówczas dosłownie zapadał się pod ziemię.

Za każdym razem powtarzał sobie: „To koniec. Więcej tego nie zrobię”. Żeby umocnić się w swojej decyzji, co noc zadawał sobie pytania: „Nawet jeśli ją znajdę, to co zrobię? Powiedzmy, że stanie przede mną. Co wtedy będzie? Co powiesz? Oznajmisz, że na nią czekałeś? Jak się zachowasz, jeśli powie: «Zejdź mi z drogi, dziadku?»”.

Tego dnia poszedł na targowisko na wzgórzu z tym samym zamiarem. To będzie koniec. Wybuduje świątynię z iznickich płytek w kolorze jej oczu i tam schowa swoją grzeszną miłość. Na wieczność.

Po raz ostatni próbował obserwować przechodzące kobiety. Jego uwagę zwróciła młoda kobieta z czarnoskórą służącą. Niepostrzeżenie ruszył za nimi. Najpierw kobiety zatrzymały się przy straganie, gdzie sprzedawano koronki. Mężczyzna czekał na rogu. Następnie zabawiły trochę przy sprzedawcy ręcznie malowanych chust. Trzecim przystankiem było stoisko

z materiałami.

Kobieta kazała unieść jedną belę jedwabiu, a drugą rozłożyć przed sobą. Handlarz wylewał siódme poty, ale robił to, co mu poleciła. Wyprostowawszy się, toczył kolejne bele, które wskazywała szczupłym palcem, pytając: „A ta?”. Było jasne, że to znacząca klientka.

Wysoki mężczyzna zbliżył się do stoiska, jakby oglądając tkaniny. Dotknął kilku materiałów. Sprzedawca zapytał go z rozdrażnieniem:

– Chciałeś czegoś, wujaszku?

– Ja – odezwał się zawstydzony – właściwie szukam kogoś.

Sprzedawca spojrzał na kobietę przepraszającym wzrokiem i niechętnie się do niego zbliżył.

– Powiedziałeś, że kogoś szukasz?

– Tak. Młodej pani. Sprzedajecie tkaniny. W większości wasze klientki to kobiety. Pomyślałem, że może znacie panią, której szukam.

Handlarz się zdenerwował.

– Robimy interesy z kobietami, ale nie wiemy, kim i skąd są. Kupują materiały i odchodzą, a my za nimi nie patrzymy.

Ponownie odwrócił się do klientki. Mruknął coś, chwaląc tkaninę, na którą patrzyła. Korzystając z chwilowej ciszy, nieznany mężczyzna zapytał cicho:

– Pomyślałem, że jeśli powiem, jak ma na imię, opiszę ją, to może sobie przypomnicie. – Pomimo srogiego spojrzenia handlarza mówił dalej: – Ma złociste włosy, takie do pasa, i niebieskie oczy. Niebieskie jak morze.

Wydawało się, że w jednej chwili uwaga kobiety oderwała się od tkaniny. Handlarz był wściekły. „Przez tego człowieka stracę taką dobrą klientkę”, przeszło mu przez myśl.

– To twoja córka, panie? – zapytał.

W jego głosie dało się słyszeć zarówno zniecierpliwienie, jak i złość.

Mężczyzna w jednej chwili poczuł, że twarz spłonęła mu ogniem. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Nieee… – wyjąkał.

– Tak ją opisałeś… Tylko ojciec o swojej córce albo mężczyzna o swojej kobiecie mógłby tak powiedzieć. Skoro jest młoda, to pewnie wasza córka. Czyżby się zgubiła?

Był w stanie znaleźć w sobie jedynie tyle siły, żeby pokręcić głową. „Niech zrozumie ten ruch, jak chce – pomyślał. – Ty stary cieślo, dostałeś po nosie", zrugał się, ale nie mógł się powstrzymać.

– *Ma na imię Dilruba.*

Kobieta stojąca przy stoisku odwróciła się i spojrzała na niego. A może jemu się tak wydawało?

– Dilruba – powtórzył. – Spotkaliście tu młodą kobietę odpowiadającą mojemu opisowi?

– Nie widziałem takiej – uciął sprzedawca. Obawiając się, że kobieta zrezygnuje z zakupu, natychmiast zbliżył się do niej. – Mam pytać kupujące kobiety, jak mają na imię – wyszeptał, próbując znaleźć wspólny temat, aby nieco się z nią spoufalić. – Boże uchowaj, siostro… To jasne, że córka tego wujaszka uciekła do mężczyzny. Nie możecie sobie wyobrazić, co się dzieje, o czym słyszymy. Świat jest zepsuty. Nie ma już przyzwoitości i skromności. To musi być to, co nazywają końcem świata.

Kobieta bez słowa zostawiła materiał na stoisku i odeszła, a za nią podreptała czarna służąca.

– Podoba ci się, co zrobiłeś, wujaszku? – Głos handlarza przepełniał gniew. – Przepędziłeś moją klientkę. Idź i szukaj swojej córki gdzie indziej. Nie psuj mi już więcej krwi.

Kwatery leventów
Stambuł

Ya Allah! Wstawajcie, wojacy!

Jego oczy rozbłysły w ciemnościach.

Był przyzwyczajony do tego rozkazu. Już prawie siedem lat słyszał tę samą komendę.

Rozejrzał się powoli. Nie licząc lichego światła popielejących w palenisku na podłodze sztab drewna i drżącego światła latarni trzymanej przez strażnika, wszędzie było ciemno. Słońce nawet jeszcze nie wstało.

Po chwili rozbrzmiała druga komenda:

– Wstawajcie, wojacy! Już pora modlitwy!

W jednej chwili umilkły wszystkie pomruki i jęki. Właściwie wszyscy obudzili się już po pierwszym rozkazie, jednak sekundy, które upłynęły między pierwszą a drugą komendą, traktowali jako szansę, żeby dośnić przerwane sny. Ciała, leżące na siennikach ułożonych jeden obok drugiego na ustawionych dwupiętrowo deskach, poruszyły się. Z górnych łóżek zwiesiły się nogi mężczyzn. Zaczęli zbierać się do zejścia tak, żeby nie dotknąć stóp kolegów na dole.

– Powoli.

– Uważaj, tygrysie.

– Zabierz nogi.

Dało się słyszeć zaspane i gniewne głosy sprzeciwu.

Jego łóżko było na dole. Miejsce, w którym leżał, wydawało się ciemniejsze i bardziej ukryte. Rozprostował się, żeby rozluźnić zdrętwiałe mięśnie. Jeszcze nie wydał sobie komendy, żeby wstać. Czekanie na trzeci rozkaz stało się jego przyzwyczajeniem. Przez chwilę bez mrugnięcia wpatrywał się w dziurę po sęku w desce tworzącej górne łóżko.

Jego obserwację przerwał trzeci rozkaz.

Wokół łóżek rozpoczęła się pospieszna krzątanina. Nie

obchodziło go to.

Mężczyzna obok niego już dawno się zerwał. Górną połowę jego ciała zasłaniały górne łóżka. Z miejsca, w którym leżał, widział ciało mężczyzny od pasa w dół. Pospiesznie wciągnął krótkie, niebieskie spodnie. Po ruchach poznał, że wkłada kamizelkę. Jednak w żaden sposób nie mógł wcisnąć nagiej prawej stopy do buta. Bezradny levent pochylił się. Widząc go rozciągniętego na łóżku, zdziwił się.

– Jeszcze nie wstałeś?

– Czekam na trzecią komendę – powiedział rozdrażniony.

– Nie wierzę. Co to za różnica? Między drugą a trzecią komendą są trzy minuty. Myślisz, że coś skorzystasz na pozostaniu w łóżku trzy minuty dłużej?

– Tak.

Mężczyźnie w końcu udało się wcisnąć nogę w but.

– Wstawaj, no już, wstawaj – mruknął.

Przejściem między dwoma łóżkami wyszedł na korytarz i dołączył do biegnących na dziedziniec, żeby dokonać ablucji[34].

W tej samej chwili zabrzmiała trzecia komenda.

– Chłopcy okrętowi!

To właśnie była jego pora wstawania.

– Chłopcy okrętowi! – krzyknął po raz kolejny funkcyjny, wystawiając głowę przez szparę w drzwiach. – Chłopcy okrętowi po zupę! Środkowy stół!

Tacy byli marynarze. Nawet będąc na lądzie, żyli jak na statku. Dlatego nazywali łóżka kojami, miejsce, w którym jedli, nazywali mesą, cele nazywali kajutami. Gdy byli na morzu, paliła ich tęsknota za lądem. A kiedy tylko ich stopa dotknęła ziemi, wzdychali za morzem.

Wyprostował się w łóżku. Stanął między łóżkami. Rękami strzepał siennik. Wstrząsnął dobrze już wytarty koc i przykrył swoją koję. Wyjął spod poduszki niebieskie spodnie i czerwoną kamizelkę i włożył je. Wsunął buty. Był teraz gotowy do odegrania codziennej, porannej roli.

Gdy wyszedł na zewnątrz, poczuł poranny chłód. Napięły się

wszystkie jego mięśnie. Spojrzał na fontannę znajdującą się na środku dziedzińca, wokół której gromadzili się mężczyźni. Znudzonym wzrokiem patrzył na mężczyzn siedzących na kamieniach ułożonych przed pompami jeden obok drugiego, którzy próbowali obmyć się w skąpych strumieniach wody, wypływających z żelaznych kranów.

– Znów będziemy czekać – mruknął.

Pospieszył do fontanny, upatrzył sobie jedną z pomp i ustawił się w kolejce. Przed nim stały trzy osoby.

Od razu zauważył, że przygląda mu się jakiś mężczyzna z kolejki obok. Był stary, łysy, z czarnymi podkręconymi wąsami. Uśmiechnął się w duchu. Każdy z nich odpowiadał temu opisowi. Wszyscy byli masywni. Wszyscy byli łysi. Wszyscy mieli czarne brwi i czarne oczy. I wszyscy nad górną wargą mieli grube czarne wąsy o zakręconych do góry końcach. I wszyscy bez wyjątku mieli bujnie owłosione torsy.

Starał się nie patrzeć w tamtą stronę, żeby nie stwarzać sposobności do rozmowy. Od dnia, kiedy tu przybył, nie odzywał się, jeśli nie było to konieczne.

– Pomyślnego poranka, dżygicie – odezwał się obserwujący go mężczyzna.

Odwrócił się od niechcenia.

– Wzajemnie, ago.

– Skąd jesteś?

– Z Alaiye.

– To daleko od nas. Ja pochodzę z Miletyny[35]. Należę do ludzi kapitana Hyzyra. Mam na imię Mehmed, ale wystarczy, jeśli powiesz Miletyńczyk. Wszyscy mnie tu znają. Kogokolwiek zapytasz, powie ci, gdzie jestem.

Skinął głową.

– Powiedz, chłopcze – kontynuował przesłuchanie mężczyzna – kim jesteś?

W jego wnętrzu rozległ się krzyk. Zbuntował się. Nie chciał więcej słyszeć tego pytania.

– Ismail – syknął.

– Chyba jesteś tu nowy?

Ponownie skinął głową.

– Jasne. Nie widziałem cię tu wcześniej.

W tej samej chwili rozbrzmiały dźwięki ezanu. Melodia kojącego duszę wezwania niosła się falami jak wiosenny wiatr wśród jaśniejącego poranka. Niepostrzeżenie spojrzał ponad ramieniem mężczyzny. „Cierpliwości – zaczął w duchu – niedługo wszyscy dowiecie się, kim i czym jestem. Jeszcze będziecie żałować, że się tego dowiedzieliście!”.

Miletyńczyk potraktował milczenie mężczyzny jako wyraz szacunku dla jego wieku i rangi.

– Dobrze, że cię tu przydzielili.

– Dlaczego?

– Widziałeś port? Doki są prawie puste. Nie ma pracy. Leżysz do góry brzuchem.

– Czy leventowi godzi się takie leżenie?

Miletyńczyk nie usłyszał lub udał, że nie słyszy.

– Nawet jeśli okręt stoi na redzie, praca jest ciężka. Doszczelnianie, zmywanie pokładu, naprawa żagli… Praca jest, synu.

Rozejrzał się dookoła, nie kryjąc znudzenia. Nagle przypomniał sobie rozkaz.

„Miej oczy i uszy szeroko otwarte. Masz widzieć to, co niewidzialne. Masz słyszeć to, co niesłyszalne. Rozumiesz mnie? Będziesz myślał, że śpią, ale Imperium Osmańskie nigdy nie śpi”.

– Dlaczego doki są puste? – zapytał z nieskrywanym zainteresowaniem.

Łysy starzec uniósł ramiona.

– *Wybraniec* Ibrahim nie daje pieniędzy na flotę.

– Wybraniec Ibrahim? A kto to?

– Naprawdę to jasne, że jesteś nowy, chłopcze z Alaiye. – Ściszając nieco głos, mówił dalej: – Jak możesz nie wiedzieć, kim on jest? Nie ma na świecie człowieka, który nie słyszałby jego imienia. To mąż młodszej siostry naszego pana, sułtanki Hatidże. Wielki wezyr i serasker. Nazywają go Wybrańcem ze względu na

sympatię, jaką darzy go padyszach. Wszystkie pieniądze płyną na janczarów i akindżajów, a jak przyjdzie do floty, pieniędzy nie ma.

– Nikt nie może powiedzieć naszemu panu o jego niesłusznych działaniach?

– W zeszłym roku był u niego kapitan Hyzyr. Jednak nie udało mu się przekonać Ibrahima Paszy do wybudowania nowych okrętów. Zobaczymy, co tym razem…

Przerwał mężczyźnie, jakby bardzo się ucieszył.

– Czyżby kapitan Hyzyr był tutaj?

– Tutaj.

Mężczyzna wyciągnął rękę i wskazał jakieś miejsce przed nimi.

Spojrzał w tamtą stronę, ale nie zobaczył nic oprócz starego budynku pozostałego z czasów bizantyjskich.

Mehmed się roześmiał.

– Szukasz wielkiego kapitana Hyzyra w naszej kambuzie[36], dżygicie? – Uśmiechnął się do siebie na te słowa. – Budynek zasłania nam widok. Nie możemy przez niego zobaczyć statków. Jeśli pójdziesz na wybrzeże, zobaczysz w Złotym Rogu[37] pięć zakotwiczonych statków. Pomyślisz, że niczym nie różnią się od innych, ale od razu zauważysz, że tak nie jest. Pośród kilkudziesięciu statków natychmiast je dostrzeżesz. Wyglądają, jakby bił od nich blask zwycięstwa, światło poległych bohaterów, duma gazich. Kapitan Hyzyr jest na jednym z nich.

„Oto trzy ważne informacje – przeszło mu przez myśl. – Pierwsza: Imperium Osmańskie nie buduje nowych statków. Druga: Barbarossa jest w Konstantynopolu. Trzecia: Marynarze nie lubią wielkiego wezyra”.

Gdy mężczyzna przed nim skończył i wstał, zajął miejsce na kamieniu przed pompą. Dokonał ablucji wodą zimną jak lód. Wsunął buty na mokre stopy i z pozostałymi leventami wszedł do meczetu. Odnalazł odpowiednie miejsce i położywszy kciuki za uszami[38], stanął do modlitwy. W jego uszach rozbrzmiał głos księdza: „Nigdy nie zakłócaj modlitwy. Zachowuj się tak, jakbyś

i ty się modlił. Niech wszyscy tak myślą”.

„Przecież widzą”, pomyślał.

Po modlitwie pobiegli prosto do stołówki usytuowanej naprzeciwko meczetu. Z głodu ściskało go w żołądku. Dokładnie w chwili, gdy przekraczał próg, rozległ się za nim głos jak uderzenie bomby:

– Hejże, poczekaj! Kim jesteś?

Zupełnie jak tamtego dnia stanął bez ruchu.

„Alejandro, boski wybraniec!”. Przygryzł usta, żeby nie krzyknąć.

*

Alejandro zamyślił się, jedząc zupę w stołówce koszarów leventów. Zupełnie jakby przeżywał ostatni dzień, w którym zadano mu to pytanie.

– Hejże, poczekaj! Kim jesteś?

Dźwięk wybuchł, gdy wspinał się po schodach naprzeciwko wieży.

Odwrócił się. Futrzana czapka, ciężka, okrywająca jego ramiona peleryna, szabla przytwierdzona do pasa i skórzane buty z cholewami do kolan natychmiast zdradzały, że mężczyzna o ciemnej twarzy był kimś ważnym.

Przy brzdęku szabli szybko wspiął się po schodach i stanął obok niego.

– Kim jesteś? – zapytał ponownie, patrząc mu w twarz.

Palcem wskazującym dźgnął go w pierś. Gdy chciał to zrobić po raz drugi, mężczyzna złapał w powietrzu jego nadgarstek.

– Alejandro – powiedział. – Alejandro José Altamirano del Castillo.

Ścisnął mocniej rękę, a później ją rozluźnił.

– Skąd przybywasz? – zapytał mężczyzna naprzeciwko.

Tym razem jego głos był łagodniejszy, ale patrzył na niego pełnym wątpliwości wzrokiem, próbując odczytać jego myśli.

– Z piekła.

– Dokąd zmierzasz?

– Do miejsca, które wskaże mi Jezus.

– Dlaczego? Co masz nadzieję tam znaleźć?

– Broń zemsty.

– Droga jest długa i trudna. Pełna niebezpieczeństw. Jak tam dotrzesz?

– Bezszelestnie i zabójczo jak kobra.

Aż do tej chwili ich spojrzenia nawet na chwilę się nie rozstały. Ich nosy były tak blisko siebie, że mogły się zetknąć. Po tej odpowiedzi dobrze ubrany mężczyzna odsunął się. Wszedł dwa stopnie wyżej. Błyskawicznie odwrócił się i spojrzał na niego.

– Powiedziałeś, że kim jesteś?

– Alejandro José Altamirano del Castillo.

– Alejandro, czym jesteś?

Tym razem on też wspiął się na dwa stopnie. Zbliżył twarz do mężczyzny. Wbił w niego spojrzenie.

– Boskim wybrańcem… A ty, kim jesteś?

– Mieczem Bożym.

Alejandro jednym ruchem głowy machnął długimi, czarnymi włosami opadającymi mu na ramiona.

– Uwierz, ci, którzy pełnią służbę, są przyjaciółmi.

– W takim razie chodź, boski wybrańcu – powiedział mężczyzna o zdradzieckim spojrzeniu. – Idź za mną. Musimy porozmawiać.

*

– To ty pochodzisz z Alaiye? – zapytał mężczyzna, który przeciął mu drogę w drzwiach stołówki.

– Tak. Ismail, syn Murata.

– Szuka cię kapitan Idris.

– Kto to?

– Dowódca stoczni. Idź do suchego doku i zapytaj o kapitana Idrisa. Pokażą ci, gdzie jest.

– Co zrobię, jak go znajdę? – To pytanie, które nadeszło w chwili, gdy miał odejść, zdenerwowało mężczyznę.

– Co zrobisz? – powiedział, odwracając się. – Zagrasz z nim

w szagaja[39].

– Szagaja?

– Tak – odpowiedział. – Szagaja. Wielki kapitan Idris szukał kogoś, kto będzie grał do końca. Wspomnieli o tobie, a on rozkazał, żebyś przyszedł. Kapitan tak stłucze ci rękę, że nie zostanie jedno wolne miejsce. A jeśli zostanie, natychmiast je zapełni. Tak wychłosta ci dłonie bandolierem[40], że będzie ci się wydawało, że płoną żywym ogniem. Jak widać, kapitan na tym ogniu zamierza dziś ugotować sagan zupy.

Nagle oczy Alejandra zaszły mgłą. W ostatnich tygodniach zdarzało się to często. Skurcze ogarniały całe jego ciało. Wił się z bólu. Znał na to lekarstwo, ale nie miał go. Całą duszą, każdą komórką ciała pragnął eliksiru, którym codziennie poił go ksiądz, który z ciemności piekieł wydobył go na słońce. „Musisz być cierpliwy, Alejandro – powiedział gruby duchowny. – Przyniosą ci eliksir, ale musisz być cierpliwy”.

„Nie mogę być cierpliwy!”, miał ochotę krzyczeć, gdy nadchodził kryzys. Czasami miał złudzenia.

Na przykład kobieta. Za każdym razem machała ręką. Mówiła coś, ale Alejandro jej nie słyszał. Teraz natomiast widział trzech chłopców. Przyklęknąwszy, przechylili się do siebie. Śmiali się i rozmawiali, ale on tego nie słyszał. Gdzieś głęboko w jego głowie rozgrywał się teatr stworzony przez marzenia Alejandra. Piegowaty chłopiec rzucił coś w pustą przestrzeń między nimi. Alejandro skupił się na przedmiocie rzuconym przez chłopca. Pamiętał tę rzecz. Były to kości do szagaja, które od częstego używania zaczynały już ciemnieć. Kość poszybowała do chmur płynących w jego marzeniach i uderzywszy o ziemię, potoczyła się. Na twarzy piegowatego chłopca pojawiła się radość. Natomiast dwóch pozostałych chłopców z entuzjazmem klasnęło w dłonie. Piegus wyciągnął otwartą dłoń. Większy z chłopców podniósł kij leżący na ziemi. Kilkakrotnie opuścił kij na dłoń piegusa, jakby miał go uderzyć. Chłopiec za każdym razem szybko zabierał rękę, uciekając przed ciosem. Jednak w końcu kij uderzył niczym błyskawica w jego pulchną dłoń. Z bólem cofnął

rękę. Ogień, który poczuł na dłoni, odbił się na jego twarzy. Gdy z oczu chłopca popłynęły łzy, trzech chłopców, tak jak to sobie wyobraził, natychmiast je otarło.

Jednak wciąż bardzo go bolało.

– Hej! Odpłynąłeś, dżygicie. Będziesz łowił kraby?

Był to mężczyzna, który zatrzymał go w drodze do stołówki.

– Nie bój się tak. – Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Żartowałem. Nie chodzi o szagaja. Myślisz, że grywa w to wielki dowódca stoczni? Na pewno ma ci coś do powiedzenia. Idź go poszukać.

Alejandro otarł pot z czoła.

Mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem. Widać było, że nie mógł zrozumieć, jak można aż tak się spocić w chłodny poranek. Oddalił się, kręcąc głową.

„Uważaj! – zawołał jego wewnętrzny głos. – Miej oczy otwarte, Alejandro. Nie wpadnij w pułapkę. Nie zdradź się”.

Nowy Pałac, harem

Gdy Esma i dwie służące bez zapowiedzi wpadły nagle do jej komnaty, Mihrimah wygrywała właśnie swoją nową improwizację na oudzie.

– Moja pani!

Esma z podekscytowania nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Gdy jedna ze służących oznajmiła: „Musicie się przygotować", druga przeszła już nawet do jej sypialni i otworzyła wieko skrzyni.

– Co się dzieje, Esmo?

– Musimy natychmiast iść. Chciano, żebyśmy przyszły do sali tronowej.

– Do sali tronowej?

To było dziwne. Po co miała udać się do ogromnej sali, w której jej ojciec, siedząc na złotym tronie, przyjmował zagranicznych posłów?

Mihrimah pochwyciła ukradkowe spojrzenie jednej ze służących. Zdenerwowała się, gdy dziewczyna odwróciła głowę, żeby ukryć śmiech.

– Nigdzie nie pójdę, dopóki się nie dowiem, co się stało.

Żeby jeszcze bardziej podkreślić swoje zdanie, przycisnęła do siebie opasłe pudło oudu i uderzyła piórkiem o struny.

– Pewnie znowu chcecie włożyć błękitną suknię, ale chyba dziś odpowiedniejsza będzie biała – odezwała się służąca w sypialni.

– Biała? A to dlaczego? Na co będzie odpowiednia?

Podniosła oud i spojrzała na sofę.

– Powiedz, Esmo. Na co będzie odpowiednia?

– To pleciugi, pani. Nie wiecie o tym? Kłapią tylko jęzorem. Mówią tak tylko, żeby się pośmiać.

– W takim razie i to powiedz, Esmo. I to szybko.

Z trudem powstrzymująca śmiech służąca tym razem patrzyła, jakby chciała zachęcić ją do mówienia.

– To… – mruknęła pod nosem Esma. – To tylko plotka…

Znów zamilkła.

– Co za plotka? Wyrzuć to z siebie wreszcie. Czyżby nasz gniew nie wzbudzał już strachu?

– Zdaje się, że nasz pan wezwał do sali tronowej również Hürrem Haseki.

– Dlaczego? Po co mama ma tam iść?

Esma wzruszyła ramionami. Próbowała uciec spojrzeniem od Mihrimah.

– Nianiu!

Dziewczyna spojrzała bezradnie.

– Dlaczego ojciec wezwał mamę? Co miałaby robić w sali tronowej?

– Mówią, że…

– Doprowadzasz mnie do szału.

Ponieważ Esma w żaden sposób nie mogła wykrztusić z siebie słowa, zrobiła to służąca, która teraz powstrzymywała śmiech, zakrywając dłonią usta.

– Podobno nasz pan był bardzo zły i zaniepokojony. Długo rozmawiał z szejkiem islamu.

– Co się stało? Wiadomo, o czym rozmawiali?

Tym razem służąca wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – powiedziała powoli. – Mówią… – zaczęła z ociąganiem. – Mówią, że sułtan chyba weźmie ślub.

„Co?! Jaki ślub? Z kim? Co będzie z mamą? Co będzie z nami?” – Wszystkie te pytania w jednej chwili pojawiły się w głowie Mihrimah.

– Czyżby wróciła Mahidevran Gülbahar?

Słowa wypowiedziane szeptem przez służącą rozbrzmiały w komnacie jak uderzenie wielkiego dzwonu.

Korzystając z pełnego zdziwienia milczenia Mihrimah, służąca mówiła dalej:

– Nasz pan kazał niezwłocznie wezwać swoją matkę,

sułtankę matkę. Sułtanka Hatidże przed chwilą prawie biegiem przybyła z pałacu wielkiego wezyra. Jest coraz większy pośpiech. Dżafer Aga zmobilizował kuchnię. Przygotowują wielkie kotły sorbetów. Żołnierzom miano wysłać tace z baklawą.

Mihrimah była całkiem zdezorientowana. Nie wiedziała, co powiedzieć ani co o tym myśleć.

– Kogo? – Udało jej się w końcu wydusić. – Kogo ma poślubić nasz ojciec?

Służąca, pod pretekstem pomocy koleżance, pobiegła do sypialni.

W głowie Mihrimah rozbrzmiewało jedno słowo: „ślub". Dobrze, ale z kim? Co będzie z jej matką?

– Esmo – szepnęła. – Co to ma znaczyć? Nasz ojciec bierze sobie nową *hatun*[41]?

– Nie. – Zadrżała piastunka, otwierając szeroko oczy. – Nie daj Boże. Nic podobnego.

– To jak, Esmo? Z kim żeni się sułtan?

Esma dopiero wtedy zrozumiała. Mihrimah nie wiedziała, że jej matka jako faworyta miała inne prawa. Sułtanka nie miała pojęcia, że jest *nieślubnym* dzieckiem.

– Mów, Esmo. Z kim żeni się ojciec?

Piastunka przełknęła ślinę.

– Z waszą matką – powiedziała z trudem. – Z Hürrem Haseki.

Tym razem Mihrimah miała wrażenie, że uderzono ją obuchem w głowę.

– Co?! – wykrzyknęła, ale nie było słychać jej głosu; może tylko jej się wydawało, że krzyczy.

Była zbyt zdziwiona, żeby wydać z siebie dźwięk.

– Ojciec weźmie ślub z moją mamą?

– To nic pewnego – rzuciła Esma. – Jak powiedziałam, to tylko plotki. Tak wywnioskował lud z tego zamieszania. Rozumiecie?

Nie obchodziły jej plotki. Przyczyną jej przerażenia była prawda, która kryła się za nimi. Przez lata o tym nie wiedziała.

– Skoro tak… – jęknęła, patrząc na Esmę. Wydawało się, że mówi do siebie. – Nasz pan nie jest moim ojcem?

Dziewczyna z przerażenia w jednej chwili spłonęła rumieńcem.

– Boże uchowaj! – szepnęła. – Co to za słowa, moja sułtanko? Oczywiście, że jest waszym ojcem.

– Nie mieli ślubu?

„Ta dziewczyna naprawdę nic nie wiedziała”, pomyślała Esma. Nie wiedziała, że jej matka z odaliski awansowała na faworytę padyszacha. Czy któraś z odalisek była poślubiona padyszachowi, że Hürrem miałaby mieć z nim ślub? I czym dla tego dziecka był ślub?

Zamiast coś powiedzieć, Esma chwyciła za inkrustowany złotem grzebień z kości słoniowej i skupiła się na rozczesywaniu włosów swojej pani.

Mihrimah złapała piastunkę za nadgarstek.

– Przestań, Esmo! Masz mi powiedzieć to, czego nie wiem!

– Sądziłam, że wiecie.

– Sądziłaś, że o czym wiem?

– Że Hürrem Haseki… jest *haseki*. *Odaliską*.

– Tak jak pozostałe dziewczęta?

Esma poczuła, że z przerażenia żołądek podchodzi jej do gardła. Gdyby Hürrem Haseki usłyszała, że mówi: „Tak, tak jak inne dziewczęta”, Bóg jeden wie, co by ją spotkało.

– Nie – odparła potulnie. – Nie aż tak.

– To jak?

Esma spojrzała z wdzięcznością na dwie służące, które wróciły do komnaty z przepięknym kaftanem. W ten sposób została uratowana od udzielenia odpowiedzi.

– Nie myśl, że ci się udało. Po drodze wszystko mi wytłumaczysz.

Mihrimah uszczypnęła ją tak mocno, że Esma poczuła, jakby ramię zapłonęło jej żywym ogniem. Na szczęście już dawno pogodziła się z tym bólem.

Na korytarzu Mihrimah ponownie zwróciła się do Esmy:

– Czy moja matka jest odaliską jak inne dziewczęta? To wszystko? Nie jest żoną mojego ojca?

– Nie – odpowiedziała piastunka. – Nie aż tak.

– To jak, Esmo? Jak? Jest odaliską czy nie?

„Co ona sobie wyobraża? Sądziła, że *haseki* to drugie imię jej matki?”, pomyślała Esma.

– *Jest haseki* – odparła, podążając korytarzem prowadzącym do sali tronowej. – Jest faworytą naszego pana. Pierwszą wśród dziewcząt.

Mihrimah miała wrażenie, że jej świat wywrócił się do góry nogami. Wprawdzie matka opowiedziała jej o tym, jak przybyła do haremu, i o dniach w nim spędzonych. Niczego przed nią nie ukrywała. Ale Mihrimah zawsze myślała, że gdy ojciec zobaczył ją i mu się spodobała, stało się to, czego wymaga szariat. Tymczasem prawda była całkiem inna. Między jej ojcem a matką nie było religijnego związku. Zarówno Mehmed, ona sama, jak i jej pozostali bracia książęta nie byli owocem prawomocnego związku. Fakt, że zostali spłodzeni podczas pełnych namiętności nocy w haremie, poruszył Mihrimah jak trzęsienie ziemi.

Esma, zauważywszy, że sułtańska córka zrobiła się kredowobiała, zrezygnowała z tego, co miała jej do powiedzenia. Oprócz plotek, że padyszach weźmie ślub, po mrocznych zakamarkach haremu krążyły też inne pogłoski. Padyszach nie miał za złe Hürrem Haseki, że za jego plecami postanowiła zostać muzułmanką. Jednak wieczorem, gdy chciał wejść do jej łoża, nie wpuściła go, mówiąc: „Nie chcę, żeby z mojego powodu mój czcigodny sułtan tkwił w grzechu i został skazany na ogień piekielny. Dzielenie łoża z muzułmanką bez ślubu to cudzołóstwo i wielki grzech. Wasza niewolnica Hürrem jest teraz muzułmanką. Musi chronić zarówno was, jak i siebie przed grzechem”. Wszyscy twierdzili, że gdy mimo nalegań, rozkazów i próśb sułtana Hürrem zaczęła co noc stosować się do tego zakazu, wówczas on wpadł w gniew. Być może zamierzał też wygnać Hürrem z pałacu razem z dziećmi.

Dziewczyna w obawie, że gdy Mihrimah usłyszy tę plotkę,

zemdleje, upomniała się w duchu: „Trzymaj buzię na kłódkę, Esmo. Chociaż to zachowaj dla siebie”.

Po wejściu do sali tronowej Mihrimah oglądała to, co się w niej działo, jakby przez przezroczystą zasłonę. Głosy natomiast odbijały się echem w jej uszach.

Gdy padyszach wyjaśnił znajdującym się za ustawioną na środku klatką wezyrom i paszom, że Hürrem bez jego wiedzy została muzułmanką, Mihrimah była zszokowana.

Nagle ogarnęła ją radość. „Teraz będziemy mogły modlić się razem”.

– Taka jest nasza decyzja i rozkaz – powiedział sułtan Sulejman. – Od teraz Hürrem *nie jest już naszą odaliską*. Dajemy jej wolność.

W tej chwili wychyliła głowę do przodu i spojrzała na matkę. Miała wrażenie, że coś w niej pękło. Na bladej twarzy matki zauważyła oznaki strachu. Mihrimah nie mogła zrozumieć, co oznacza decyzja ojca. Później jej serce również przejął lęk. Czy skoro jej matka nie jest już odaliską, oznacza, że odejdą z pałacu? Czy Hürrem i jej dzieci, podobnie jak Gülbahar i książę Mustafa, zostaną wygnani?

Mihrimah myślała o tym wszystkim, gdy szejk islamu Zembilli Ali Dżemali Efendi przejmującym głosem odczytywał wersety Koranu. Modliła się w duchu. Cisza, która nastała w sali tronowej, gdy Ali Dżemali Efendi zwrócił się do padyszacha: „Sulejmanie Szachu”, nie wydawała się córce sułtana pomyślną wróżbą. Zrozumiała, że właśnie waży się los jej matki.

Głos Zembilli Alego Dżemalego Efendiego dobiegał do Mihrimah z bardzo daleka.

– Czy jak mi powiedziałeś, bierzesz sobie siedzącą tu Hürrem za żonę?

Mihrimah nie mogła złapać tchu. W oczekiwaniu na odpowiedź ojca pomyślała: „Nie wiem jak matka, ale ja na pewno się uduszę”.

– Biorę… sobie… Hürrem… za żonę, Hodżo Efendi.

Tym razem hodża odwrócił się do zajmujących miejsca za

klatką wezyrów i bejów.

– Czy słyszeliście? Jesteście świadkami?

– Jesteśmy! – odpowiedzieli zgodnie.

Jednak w ich głosach, postawie i spojrzeniach można było odczytać zdziwienie. „To niesłychane, że wielki sułtan Sulejman wziął sobie za żonę ruską odaliskę Hürrem", zapewne pomyśleli. Nawet zza klatki Mihrimah mogła wyczytać to w ich oczach. Szczególnie w oczach wuja, wielkiego wezyra Ibrahima Paszy, którego matka nazywała „chorwacką świnią".

Szejk islamu, znajdujący się po męskiej stronie klatki, tym razem skierował się do nich. Zatrzymał się.

– Kim jesteś, córko?

„Doprawdy… – przeszło przez głowę Mihrimah. – Kim jest moja matka?". Nie wiedziałaby, co odpowiedzieć w takiej sytuacji. Odaliską Hürrem? Była cała spięta.

Jednak stało się coś, czego się nie spodziewała. Jej matka, siedząca między teściową a szwagierką, z twarzą pobladłą ze strachu i z ekscytacji, wyprostowała się.

– Ja – zaczęła dumnie – jestem Aleksandra Anastazja Lisowska, córka ruskiego popa Nikoli, Hodżo Efendi.

– Czy bierzesz sobie siedzącego tu Sulejmana, syna Selima Chana, za męża?

– Tak.

*

Po opuszczeniu sali tronowej Mihrimah skierowała swoje kroki prosto do piastunki Esmy, która z niecierpliwością czekała, żeby dowiedzieć się, co się stało w środku.

– I co, moja sułtanko? Czy to, co słyszałyśmy, było prawdą? Co się stało?

– My – zaczęła cicho – jesteśmy teraz córką prawowitej żony naszego pana, Esmo.

Mihrimah, nie patrząc na piastunki i służących, przeszła przed nimi płynącym krokiem. Nie wiedziała, ile godzin siedziała przed oknem, nie myśląc o niczym. Skoro matka właśnie wzięła

ślub z ojcem, może będzie też wesele.

– Panna młoda z piątką dzieci. – Nie mogła się powstrzymać, żeby to powiedzieć.

Gdy tylko Hürrem weszła do komnaty, od razu zauważyła, że córkę przepełniają mieszane uczucia.

– Mamo – zaczęła cicho, ale nie dokończyła.

Jej słowa były teraz bez znaczenia. Miała robić jej wyrzuty, że była nieślubnym dzieckiem potężnego sułtana i walczącej o życie niewolnicy? Co miała powiedzieć? „Czy do dziś byliśmy bękartami, matko”? Byłaby to wielka niesprawiedliwość.

Wstała i ucałowała dłoń matki.

– Gratuluję. – Przygryzła usta, żeby nie było słychać drżenia jej głosu.

Hürrem objęła córkę. Poczuła jej ciepło. Wciągnęła jej zapach. Powoli w kącikach oczu Mihrimah zaczęły zbierać się łzy.

– Przepraszam, córko.

Mihrimah sądziła, że matka przeprasza ją za to, że tak nagle wszystkiego się dowiedziała. Jednak Hürrem próbowała jej przekazać coś całkiem innego.

– Tym ślubem sprowadziłam na nas wszystkich jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Mihrimah spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Niech ten ślub cię nie zmyli – wyszeptała Hürrem córce do ucha. – Teraz będą czyhały na nas Gülbahar i śmierć.

*

Dzień dopiero wschodził, ale sułtan Sulejman od dawna nie spał. Możliwie jak najciszej podniósł się z łóżka, żeby nie obudzić Hürrem. Obmył się w wodzie lejącej się ze złotego kranu znajdującego się w pomieszczeniu obok i wrócił do komnaty. Nie zauważył, że Hürrem obserwuje go spomiędzy przymkniętych powiek.

– Niech nasz każdy dzień będzie pełen jasności, mój czcigodny sułtanie.

– Obudziłaś się? Jeszcze wcześnie. Śpij.

Hürrem próbowała pomóc ubierającemu się padyszachowi.

– Czym byłby dzień, gdybym otworzywszy oczy, nie ujrzała naszego pana?

Padyszach chwycił kobietę za ramiona i obrócił do siebie. Peniuar, zsunąwszy się jedną stroną z jedwabnej bielizny, odsłonił nagie różowe ramię i pierś Hürrem. Na twarzy Sulejmana zagościł nieprzyzwoity uśmiech.

– Jeśli natychmiast nie odkryjemy tego piękna, jakiego pozazdrościłyby nawet boginie, których posągi widzieliśmy w pałacu w Budzie – odezwał się, zsuwając peniuar żony – zapomnimy o słowie danym sułtance Mihrimah i rzucimy się w ogień miłości.

Hürrem uklękła przed nim, żeby pomóc mu włożyć ciżmy.

– Mihrimah będzie rozkapryszona przez uwagę i uczucie naszego pana.

– To niemożliwe – uciął Sulejman. – Córka jest podobna do swojej matki.

Hürrem przepełniało szczęście. To właśnie było uczucie, jakie chciała w nim wzbudzić. Nie wolno jej było kaprysić. Jeśli da padyszachowi powód, żeby zaczął tak myśleć, nic już nie będzie mogła zrobić. Trudno było nie grymasić, gdy było się kobietą, która wyszła z ciemności, okrucieństwa i biedy i podbiła serce najpotężniejszego mężczyzny na świecie, ale jej się to udało.

Nagle zmieniła temat.

– Jak zawsze macie rację. Po obrzezaniu naszych książąt Mihrimah stała się dojrzalsza, wyrosła. Niedługo skończy piętnaście lat. Maleńka Mihrimah stała się już panną.

– I to jaką piękną. Oczywiście nie tak piękną jak Hürrem, ale…

Jakby zawstydzona tym komplementem Hürrem zachichotała.

– Czcigodny sułtanie, ona jest niczym nimfa. Jak można wspominać o nas wobec urody córki naszego pana?

Objęła padyszacha.

– Nie ma słów, żeby opisać jej radość, gdy obiecaliście jej, że

zabierzecie ją do stoczni.

– Od dnia, w którym poznałem ją z kapitanem Hyzyrem, błagała mnie: „Pozwólcie mi pójść do doków i wsiąść na statek”. Nie rezygnowała, więc w końcu się poddałem i pozwoliłem jej. Jednak czy tym razem nie powie również: „Chcę kapitana Hyzyra”? Chociaż broda kapitana zaczęła już siwieć…

Hürrem spojrzała na niego z uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Jeszcze tego brakowało…”.

Padyszach zachichotał z radością.

– Hyzyr też ją uwielbia – powiedział z uśmiechem. – Wezwaliśmy go do Stambułu. Przybył w zeszłym tygodniu. Gdy tylko stanął przed naszym obliczem, zapytał o Mihrimah. Chciał jej opowiedzieć o tym, czego się dowiedział i co słyszał o Nowym Świecie. Tych dwoje wzajemnych wielbicieli spotka się w przyszłym tygodniu.

– W przyszłym tygodniu, czcigodny sułtanie? Myślałam, że dzisiaj.

– Dziś przed Mihrimah stoi inne zadanie. Dziś pozna Wielkie Imperium Osmańskie. Zobaczy, jak wypełniają swoją służbę moi paszowie, wezyrowie i agowie. Zobaczy ich i posłucha.

Hürrem nie dała po sobie poznać, jak wielka radość ją przepełnia. Padyszach tak bardzo ufał swojej córce. Nawet swojego sukcesora księcia Mustafy nie wpuścił jeszcze do przesłoniętej zasłoną niszy na antresoli, żeby przysłuchiwał się spotkaniom Dywanu.

Hürrem sięgnęła po kryształowy, ozdabiany złotem kielich ze stolika inkrustowanego macicą perłową. Podniosła go do ust, żeby upił łyk. Na wypadek spisku powzięła pewne środki ostrożności. Zanim Sulejman, Hürrem i jej dzieci zjadły coś lub wypiły, jeden ze służących próbował wszystkiego i sprawdzał, czy nie jest zatrute. Niemożliwe, żeby zawartość kielicha nie została sprawdzona, ale Hürrem i tak zachowała się tak, jakby miała zamiar napić się przed padyszachem.

Ich spojrzenia się spotkały. Sulejman, ujmując jej rękę, powstrzymał ją. Wziął od niej puchar.

– A co by się stało, gdyby do naszego kielicha wrzucono truciznę, moja uśmiechnięta buzio. Odziani w całun stanęlibyśmy przed Bogiem i modlilibyśmy się: „Nasze myśli są czyste, a twarz jasna. Nie pogwałciliśmy praw ludu. Nie odbieraliśmy jadła sierotom. Za naszą sprawą nad bramami Wiednia powiał sztandar naszego proroka. Sprawiliśmy, że połowa Europy słucha świętego ezanu. Zabierz nas do raju”. Jednak gdybyśmy pozwolili ci wypić tę truciznę, żeby utrzymać naszą duszę w tym ciele, ani nasze myśli nie byłyby czyste, ani nasza twarz nie pozostałaby jasna.

Uniósł kielich do ust i wielkimi łykami wypił wiśniowy sorbet. Drugą ręką objął Hürrem, która oparła głowę na jego piersi, wzdychając:

– Czcigodny sułtanie!

– Nie na darmo ułożono werset. Z rąk ukochanej wypiję choćby truciznę, droga Hürrem. Z rąk naszej sułtanki serce przywita śmierć z otwartymi ramionami.

– Nigdy! Nigdy! Nawet tak nie mówcie! – Hürrem próbowała uciszyć mężczyznę, zasłaniając jego usta. – A ja, czcigodny sułtanie? – Zbliżyła się nieco do padyszacha. Wyciągnęła głowę i ucałowała jego brodę. Jej delikatne palce błądziły po jego brodzie i uszach. – Niech te słowa rozproszy wiatr. Gdyby coś się stało naszemu panu, po co wasza sługa miałaby żyć? Nawet powietrze, które wdychamy, stałoby się trucizną.

Sułtan Sulejman ucałował ją jeszcze raz i skierował się do drzwi.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Hürrem przez chwilę stała bez ruchu. Tylko ledwo dostrzegalnie poruszała ustami.

– Dalej, moja sułtańska córko – odezwała się, a jej głos rozbrzmiał dźwięcznie w komnacie napełniającej się światłem dnia. – Przekonaj się, czy państwo osmańskie jest wielkie, kto w Dywanie jest nam przyjacielem, a kto wrogiem. Nie odrywaj oczu od chorwackiej świni Ibrahima. Aż po dziś dzień nasze dusze chroniła twoja matka. *Teraz twoja warta, Mihrimah.* Życie nas wszystkich jest w twoich rękach.

*

Gdy weszli do niszy, Mihrimah usłyszała głosy dochodzące z dołu.

– Czy ktoś wie, jakie środki podejmie Ibrahim Pasza?

– Nie – odpowiedział powoli ktoś inny.

– Słyszy się o tym, że podejmie jakieś działania, że o to pytacie, ago – oznajmiła ktoś inny grubszym głosem.

Mruczenie na dole zmieniło się w szepty. Bojaźliwe szepty, jakby przepełnione lękiem, że ktoś może je usłyszeć.

– Szwagier powiedział to o naszym padyszachu?

Sułtan Sulejman, unosząc palec do ust, nakazał Mihrimah ciszę. Poczekał, aż dziewczyna w ciasnej niszy usiądzie na wyłożonym poduszkami siedzisku. Sam zajął miejsce naprzeciwko i skrzyżował nogi. Puścił oko do Mihrimah. Szepty na dole nie ustawały.

– Nikt nie powinien się cieszyć, że czcigodny Ibrahim obalił pogańskie bóstwa, moi paszowie. Nasz Ibrahim sprowadził idoli. Ustawił ich posążki w samym sercu islamu, dokładnie naprzeciwko naszego pana, władcy świata.

– Cóż to za impertynencja! Może chociaż podejmie jakieś działania przeciwko giaurom.

– Jakie środki?

– Ja mam to wiedzieć, Petrevie Paszo? Przecież jest seraskerem. Skoro w jego posiadaniu jest zarówno pieczęć naszego pana, jak i dowództwo nad wojskiem, to na jego barkach spoczywa decyzja o podjęciu obmyślonych działań.

– Czy jakieś działania przeciw idolom mogą przyjść do głowy, gdy siedzi się i ucztuje z kobietami? – roześmiał się ktoś.

„To tak kierują państwem – pomyślała Mihrimah. – Na dole nie robiono nic innego, tylko plotkowano. Nawet kobiety w haremie nikogo tak nie obgadywały”. Spojrzała na ojca.

Sulejman znów przyłożył palec do ust i ostrzegł ją, żeby zachowała ciszę.

Z ciekawości odchodziła od zmysłów. Oszaleje, jeśli nie

zobaczy rozmawiających. Skoro wypowiadano się na niekorzyść Ibrahima Paszy, szwagier pasza – lub jak nazywała go Hürrem „chorwacka świnia" – jeszcze nie przyszedł. Delikatnie uniosła krawędź zasłony przesłaniającej maleńkie okno po lewej stronie niszy. Na dole stało sześciu mężczyzn w białych stożkowych czapkach. Wszyscy mieli na sobie białe, ciężkie, ozdobione drogimi kamieniami kaftany. Wszyscy przybrali tę samą pozycję z rękami splecionymi pod brzuchem i głową lekko pochyloną w stronę prawego ramienia. Mihrimah nie mogła się powstrzymać. Przykryła dłonią usta, żeby stłumić śmiech.

– Dlaczego się śmiejesz? – szepnął Sulejman.

Dziewczyna przysunęła się bliżej.

– Te spiczaste czapki zaraz spadną od tego pochylania głów.

Padyszach zachichotał.

Mihrimah, ponownie unosząc rąbek zasłony, wsłuchała się w dochodzące z dołu głosy.

– Cesarz Karol nie próżnuje. Tworzy wspólny front z papieżem. Wenecja też wciąż stoi w gotowości. Mianowali dowódcą floty jakiegoś giaura, nazwiskiem Doria[42]. Gdyby nie starania i poświęcenie kapitana Hyzyra i jego chłopców, flaga krzyżowców sięgnęłaby naszych gardeł.

– Niech Bóg błogosławi kapitanom Hyzyrowi i Turgutowi.

– Kapitanowi Hasanowi też. Nasz serasker zasnął. Szczęście, że kapitan Hasan czuwa. Kto wie, jakie jeszcze nieszczęścia by nas spotkały, gdyby pięcioma statkami nie natarł na wielką flotę Karola i nie spalił jej w Algierze. Cesarz Karol i admirał Doria ledwo ocalili swoje nędzne żywota.

– Sen, powiadasz, Hüsrevie Ago?

– Tak, sen.

– A cóż to za sen?

– Powiedzmy, że *sen nieuwagi*. Nie mam śmiałości nazwać tego zdradą.

O czym oni mówili! Natychmiast musiała przekazać matce te wiadomości. Wezyrowie i paszowie w Dywanie nazywali Ibrahima Paszę *zdrajcą*. Z pewnością to użyteczna wiedza. Jednak

jak to możliwe? Białobrodzi starcy tak kierowali państwem jej ojca? Służenie władcy świata oznaczało to samo co plotkowanie jak kobiety? I co było dalej? Dlaczego ojciec nie robił nic, słysząc oskarżenia pod adresem wielkiego wezyra?

Mihrimah utkwiła w ojcu parę swoich niebieskich oczu. Jednak twarz Sulejmana pozostała niewzruszona. Nie było na niej ani gniewu, ani aprobaty.

– Jest jeszcze defterdar Iskender Czelebi. Gdyby połowę energii, jaką przeznacza na walkę z defterdarem, poświęcił giaurom, spahisowie i akindżi już dawno poiliby swoje konie u wybrzeży Atlantyku. Janczarzy przebyliby cały kontynent z jednego końca na drugi, miażdżąc i odbierając trony i korony.

– Jak Bóg mi świadkiem – powiedział wyglądający na najstarszego.

– Właściwie Iskender na to zasługuje – wyszeptał inny. – Ten człowiek jest nienasycony. Mówi, że żywi piętnaście tysięcy ludzi, ale nie wierzcie temu, może być ich nawet dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy. To prawdziwa armia. Dlaczego? Co zrobi z taką liczbą zbrojnych? Przeciw komu ich użyje? Kim jesteś efendi, sułtanem Iskenderem?

– Jeden to sułtan Ibrahim, drugi to sułtan Iskender. Weź Ibrahima i ruszaj na Iskendera.

Na bladych twarzach mężczyzn pojawiły się uśmieszki. Mihrimah zauważyła, że również padyszach uśmiecha się pod wąsem.

– Karmi – powiedział inny. – Ten człowiek jest bogatszy od naszego pana. Nawet Krezus i Wybraniec Pasza są przy nim jak żebracy.

Mihrimah zbliżyła się do ojca.

– Dlaczego nazywają męża cioci Wybrańcem?

Sulejman ze zdumieniem spojrzał na córkę, po czym uśmiechnął się.

– Bo to znaczy, że kocham swojego szwagra.

To natomiast była zła wiadomość dla Hürrem. Wprawdzie jej matka wiedziała, że padyszach kocha Ibrahima Paszę, ale

mówienie o tym, mimo że usłyszał tyle niekorzystnych dla niego słów, było zaskakujące.

– Wciąż go kochasz?

Sułtan Sulejman spojrzał na córkę, mrużąc oczy. „Co z ciebie za mądra istota”, przeszło mu przez myśl. Pokiwał głową.

– Jak to możliwe? Posłuchaj, co o nim mówią.

Sulejman zachichotał, pochylił się i ucałował ją w policzek.

– Bądź cierpliwa i posłuchaj.

Więc słuchała.

– Iskender Pasza ma rację, agowie. Wie, że Wybraniec ma złe zamiary. Powiedzieć wam coś?

Nikt się nie odezwał. Na dole nastała cisza. Ten, który zadał pytanie, mówił dalej.

– Ta sprawa pociągnie za sobą głowy.

– Ciii! – dało się słyszeć. – Idzie.

Szepty ustały. Mihrimah nieco bardziej odsunęła zasłonkę, żeby zobaczyć wchodzącego. Był to mężczyzna z czarną brodą w wielkim turbanie. Patrząc z góry, przypominał Mihrimah dzikie grzyby z wielkimi kapeluszami, które rosły w ogrodzie przy murach.

– Jak dobrze, że jesteś, czcigodny paszo.

– I ja się cieszę, że was widzę – odpowiedział przybyły.

– Iskender Czelebi – wyszeptał do córki padyszach, nie widząc potrzeby odchylania zasłony. – Mój defterdar, którego nazywali sułtanem Iskenderem. Skarb państwa jest pod jego pieczą.

– Zdaje się, że czcigodny wielki wezyr jeszcze się nie obudził – stwierdził Iskender Czelebi, a w jego głosie słychać było pewność siebie.

– Cieplutko mu w kobiecym łożu – zachichotał któryś.

Iskender spojrzał na tego, który to powiedział.

– To, co mówisz, dotyczy tego, co jest *helal*[43] – oznajmił z pogardą. – Zakazane ramiona są jak trujący bluszcz. Słyszeliśmy, że pasza częściej niż z sułtanką Hatidże spędza noce w alkowach perskich i greckich piękności.

Mihrimah spłonęła rumieńcem.

Teraz ojciec na pewno się wścieknie. Ze strachem obróciła głowę i spojrzała na niego. Ku jej niedowierzaniu Sulejman tylko się uśmiechał. Otworzyła usta i chciała coś powiedzieć, lecz padyszach po raz trzeci, odkąd zasiedli w niszy, uniósł palec do ust i dał jej znak, żeby była cicho.

– Za plecami naszego pana nie przestaje nazywać pani Hürrem Rusinką, a żeby zebrać dla siebie miód, skacze z kwiatka na kwiatek. Nie odpuszcza ani Rusinka, ani Serb. Nasz pan poślubił panią Hürrem, czyż nie? Teraz jest *helal*. Nikomu nic do tego.

– Wiecie? – zapytał sędziwy wezyr.

Wszyscy odwrócili się do niego.

– Wstydzę się o tym mówić. Podobno Wybraniec z Pargi gustuje też w dzieciach i nieobca mu pederastia.

– Wiem – odparł Iskender Czelebi. – Do łaźni chodzi z chłopcami, a gdy wychodzi, bierze do łoża dwunastoletnie albo nawet dziesięcioletnie dziewczęta.

„Yyy!", pomyślała Mihrimah i zapragnęła zapaść się pod ziemię. Jak to możliwe? Dziesięcioletnie dziewczęta? Nie rozumiała, co znaczy pederastia. Wstydziła się zapytać. Jednak natychmiast zdecydowała, że gdy tylko stąd wyjdzie, zapyta o to Esmę.

– Słyszeliście, co mówią zagraniczni posłowie?

– Słyszeliśmy tak wiele rzeczy, ago… O czym mówisz?

– Podobno powiedział francuskiemu posłowi: „Padyszachem jest Sulejman, jednak to ja rządzę państwem. Co powiem, to się stanie. Sulejman nie przeciwstawi się moim słowom".

Iskender Czelebi nie przepuścił okazji, żeby wspomnieć:

– Zapomnieliście, że powiedział: „Gdyby nie ja, Sulejman nawet przez miesiąc nie utrzymałby tego państwa"?

Rozległy się pomruki.

– Cicho – powiedział ktoś pospiesznie. – Idzie.

– Powąchajcie, a się przekonamy – odparł ktoś na słowa Hüsreva Agi. – Poznacie po zapachu, którym przesiąkł, czy

wyszedł z łóżka kobiety, czy opuścił chłopca.

Mihrimah była zdumiona. Wychyliła się trochę i zobaczyła męża ciotki Hatidże. On także miał nakrycie głowy w kształcie wysokiego stożka, jednak inne niż pozostali – na dole było okrągłe, na górze czworokątne, a w miejscu nad czołem miał wielkie pawie pióro. Wiedziała, że przy jego szyku i okazałości ojciec wypadał dość blado. Oczekiwała, że wezyrowie, którzy jeszcze przed chwilą obgadywali go za plecami, podniosą awanturę, jednak stało się coś zupełnie niespodziewanego.

– Co za szczęście, że widzimy czcigodnego wielkiego wezyra w zdrowiu.

– Oby Bóg nigdy nie dał nam odczuć twojego braku, czcigodny paszo.

– Niech wasza służba będzie wieczna.

– Wielkie Imperium Osmańskie nie widziało jeszcze wielkiego wezyra, który z równą wam mądrością dzierżyłby pieczęć sułtańską.

Mój Boże! Czy to mówili mężczyźni, którzy przed chwilą przeklinali wuja i wypowiadali słowa, które sprawiały, że Mihrimah oblewała się rumieńcem?

Spojrzała na ojca. Sułtan Sulejman z trudem powstrzymywał śmiech. Bawiło go zdumienie na twarzy córki. Szczere serce, czyste myśli buntowały się przeciwko hipokryzji, której była świadkiem.

Mihrimah po raz ostatni łypnęła okiem zza zasłony, żeby sprawdzić, co robi najbardziej zażarty przeciwnik wielkiego wezyra, Iskender Czelebi. Milczał. Nagle zapałała sympatią do mężczyzny, którzy przypominał jej grzyb. Przynajmniej nie zasypywał komplementami człowieka, na którego przed chwilą złorzeczył. A nawet odwrócił się plecami do męża ciotki.

W tej chwili spojrzał na niego Wybraniec Ibrahim. Z oczu wuja sypały się iskry. Mihrimah po raz drugi w życiu zobaczyła w czyichś oczach śmierć. Po raz pierwszy taką zabójczą nienawiść i niechęć widziała w oczach Gülbahar, gdy pojechała do Starego Pałacu przed obrzezaniem braci. A teraz tutaj. W oczach Ibrahima

zwróconych na Iskendera Czelebiego była śmierć.

Nie chciała już słyszeć ani widzieć nic więcej. Uniosła się z siedziska i wyszła. Ojciec podążył za nią. Przez jakiś czas szli w milczeniu.

Bez słowa wyszli do ogrodu. Padyszach odgonił sługi kłaniające się przed nimi w pas i tych, którzy podążali za nimi. Zanurzyli się w pięknie i bezkresie morza.

Mihrimah odetchnęła, głęboko wciągając powietrze.

Brzydziła się tym, co zobaczyła i usłyszała.

Morze zabrało gnieżdżące się w niej strapienia.

Padyszach jako pierwszy zburzył ciszę.

– Podobało ci się?

Mihrimah odwróciła się i spojrzała na niego. Na jej twarzy malowało się zdziwienie, którego nie potrafiła ukryć.

– Powinno mi się podobać?

– Powinnaś wiedzieć.

Przez chwilę dziewczyna szukała podpowiedzi w oczach ojca. Na próżno.

– Tak rządzi się państwem?

Sulejman uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Oni mówią. To ja rządzę państwem.

– Skoro tak, to do czego są potrzebni?

„Właściwie moja córka ma rację", pomyślał sułtan.

– Tak było i tak trwa. Tylko Bóg rządzi sam. Nawet jeśli jesteś padyszachem, potrzebujesz ludzi wokół siebie. Radzisz się, pytasz, słuchasz. Ręka ręce i umysł umysłowi jest nierówny. Przynajmniej sprawiasz wrażenie, że wysłuchujesz ich opinii. Ważne jest to, że w rezultacie to ty podejmujesz decyzje.

Przez chwilę Mihrimah rozważała słowa ojca. Czubkiem buta kopnęła leżącą na ziemi szyszkę.

Padyszach wziął córkę za rękę i posadził ją na ławce w kojącym cieniu rozłożystego platanu.

– Dowiesz się, jak słuchać. Nauczysz się milczeć. Gdy podejmiesz decyzję, nie będziesz patrzeć za siebie. Tego chce państwo.

– Ty zawsze słuchasz?

Padyszach pokiwał głową.

– A oni wiedzą, że słuchasz?

Ponownie pokiwał głową.

– Kotara zawsze jest zasłonięta. Nie mogą być pewni, czy jesteśmy za nią, czy nie. Jednak zachowują się tak, jakbyśmy tam byli. Sądzą, że słyszymy, jak mówią między sobą o tym, czego nie mogą powiedzieć nam w twarz. To ich uspokaja. Myślą: „Padyszach usłyszał, jak wygląda sytuacja. Reszta należy do niego".

– Ale to okropne.

– Dlaczego? Byłoby lepiej, gdyby powiedzieli ci w twarz, że Wybraniec Ibrahim jest taki i taki? Gdybyśmy mimo to nic nie zrobili, zrodziłyby się wrogość i wzajemne animozje. Gdyby tak było, ograniczaliby wzajemnie siebie i swoje reakcje, mówiąc: „Nasz pan został okrutnie oszukany. Powinniśmy więcej odzywać się w Dywanie".

Mihrimah wolała to przemilczeć. Nie było to właściwe. Ani dwulicowość, której była świadkiem, ani ich podsłuchiwanie z ukrycia.

– Ale ci mężczyźni się nie lubią. Darzą się niechęcią, zastawiają na siebie pułapki, skarżą na siebie…

– Dobrze – powiedział Sulejman. – W ten sposób nic nie pozostaje w ukryciu, a ty wszystko wiesz. Nie można rządzić państwem, nie wiedząc o tym, co jest skrywane i utrzymywane w tajemnicy, nie dowiedziawszy się, o czym szepczą za drzwiami, w cieniu murów i różnych zakamarkach.

– A jeśli to, co mówią, to kłamstwa i pomówienia?

– Kłamstwo jest jak noc, Mihrimah. Nie dotrwa do świtu. Czy po nocy nie nastaje świt? Kłamstwo też w końcu wyjdzie na jaw. Poza tym Bóg dał ci rozum. Oddzielisz kłamstwo od prawdy.

– A pomówienia? – zapytała dziewczyna.

Sułtan Sulejman zamilkł na chwilę. Jego spojrzenie zatrzymało się w jakimś punkcie na morzu.

– Tego właśnie się boję – wyszeptał. – Pomówienia pociągają

za sobą głowy. Kłamstwo jest rzeczą ludzką. Fałsz szybko wychodzi na jaw. Jednak oszczerstwo to sam diabeł. Ten, kto rzuca oszczerstwa, to diabeł, a ten, kto w nie wierzy, staje się jego sługą.

Mihrimah nie wiedziała dlaczego, ale zadrżała.

– Jak myślisz? – uśmiechnął się sułtan Sulejman. – Czy dzisiejsza lekcja rządzenia państwem wystarczy?

Mihrimah rozejrzała się dookoła i złożyła na brodzie padyszacha soczysty pocałunek. Zauważyła, że twarz ojca rozświetla miłość.

– Jeśli tak uważa mój ojciec sułtan.

Podnieśli się. Gdy szli, padyszach nagle jakby sobie o czymś przypomniał.

– Wciąż jesteś zakochana w morzu? – zapytał córkę.

– Jeszcze jak.

– W takim razie przygotuj się. Kapitan Hyzyr przybył do Stambułu. Odwiedzisz go i ucałujesz dłoń.

„Niech kto chce, to patrzy, kto chce, niech mówi, że to wstyd", przemknęło przez głowę Mihrimah. Podskoczyła z radości i rzuciła się ojcu na szyję.

– Jednak mam pewien warunek – powiedział, uwalniając się z jej uścisku. – Wieczorem zaśpiewasz rodzicom te piękne pieśni.

Tej nocy zarówno Hürrem, jak i Mihrimah zagrały i zaśpiewały najpiękniejsze pieśni.

Mihrimah, dlatego że ponownie spotka się z kapitanem Hyzyrem. Hürrem, ponieważ była szczęśliwa z powodu wieści, które przekazała jej córka o tym, co widziała i słyszała na posiedzeniu Dywanu.

*

Mihrimah, wbijając igłę w tkaninę rozciągniętą na kole, ukradkiem spojrzała na Esmę. Od dnia, w którym wróciła z bazaru, piastunka była jakaś cicha.

Gdyby nie rada matki, zapytałaby dziewczynę, co jej jest. Hürrem, widząc je, jak śmiały się razem, natychmiast wzięła ją na

stronę i zaczęła strofować:

– Sułtanka nie może się tak spoufalać z niańkami i służącymi, panno Mihrimah.

Ta zasada wydawała się dziewczynie niemądra. Esma była przy niej, odkąd pamiętała. Widywała ją częściej niż matkę. A poza tym były prawie rówieśniczkami.

Ale to było najważniejsze ostrzeżenie matki:

– Jesteś córką padyszacha, Dunjaszko. Nie możesz nikomu ufać. Nie możesz się z nikim przyjaźnić.

Przyjaciółka? Nie miała żadnej. Nigdy. Tylko z Esmą mogła porozmawiać. Ufała jej.

Poza tym nikt nic nie mówił. Mihrimah w żaden sposób nie mogła się przyzwyczaić do dziwnej ciszy haremu. Dawniej jej śmiech chociaż trochę rozpraszał tę ponurą atmosferę, ale odkąd z dziewczynki stała się panną, również przyciszyła głos. Czasem wydawało jej się, że się udusi. Bała się, że umrze przytłoczona tą ciszą.

W takie dni, nawet jeśli wcale nie miała na to ochoty, brała oud lub bałałajkę matki i śpiewała, grając na wysokich progach, jak tylko mogła najgłośniej. Był to jej bunt wobec otaczającej ją ciszy.

Esma zauważyła, że jej pani spogląda na nią, ale nic nie powiedziała. Już dawno nauczyła się chować z tyłu głowy swoje zmartwienia, lęki, nadzieje, radości i uczucia. Jednak od dnia, kiedy wróciła z bazaru na zboczu, czuła się dziwnie. Przygnębienia, jakie ją dręczyło, nie mógł rozproszyć nawet ślub, który odbył się w pałacu. „Czy mój ojciec też mnie szukał, jak ten starszy mężczyzna, którego widziałam na bazarze?”, nieustannie zadawała sobie pytanie.

Mihrimah ponownie spojrzała na nią kątem oka. W wielkiej komnacie nie było innych dźwięków oprócz ich oddechów i odgłosu wbijania igły w napiętą tkaninę. Wbiła igłę od spodu i wyciągnęła nitkę do góry.

– Możesz mi podać brokatową nić? – odezwała się.

Pośród głębokiej ciszy szept Mihrimah wydał się Esmie jak

krzyk. Podskoczyła lekko i wyprostowała się. Zaczęła szukać nici, o którą prosiła jej pani. Nie było jej. Po chwili zauważyła, że szpulka leży tuż przy sułtance. „Jest przy was”, chciała powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Uniosła się z poduszki i sięgnęła po nić na sofie Mihrimah.

– Zostaw, niech leży – powiedziała dziewczyna. – Wiem, że tam jest.

Esma zerknęła na nią zdziwiona. Mihrimah pochwyciła jej spojrzenie.

– Miałam nadzieję, że powiesz: „Jest przy was, moja sułtanko”. Esmo, w ostatnim czasie jesteś milcząca jak słowik, który najadł się morwy.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła.

„Mama uznałaby, że za dużo z nią rozmawiam”, przeszło jej przez myśl. Jednak ta cisza ją wykańczała. Poza tym teraz się martwiła.

– Co się stało? – zapytała. – Czy coś cię trapi? Odkąd wróciłaś z bazaru, twoja twarz jest posępna. Czy coś się stało tego dnia? Tylko w dniu ślubu ze mną rozmawiałaś i to też dlatego, że musiałaś.

Właściwie nie tylko Mihrimah rozmawiała sama ze sobą. Taki już był los mieszkańców haremu. Nieważne, czy było się sułtanką, czy nianią, mówiło się mało. Jedyne, co je różniło, to to, że sułtanka nie dostawała razów za to, że się odezwała.

Esma nauczyła się tych zakazów w dniu, kiedy przekroczyła próg pałacu. Jak wszyscy inni. „Nie odzywaj się niepytana. O nic nie pytaj. Nie podnoś głosu. Naucz się na migi mówić o swoich smutkach. Nigdy nie śmiej się w głos”. Szybko również nauczyła się, że kara za złamanie zakazu była wysoka. Na przykład ceną za roześmianie się były trzy razy dereniowym kijem. Natomiast kara za odezwanie się niepytaną zależała od osoby, z którą się rozmawiało.

W czasach Gülbahar Haseki w zależności od tego, jaki miała humor tego dnia, były to trzy, a czasem pięć razów. Gdy do pałacu przybyła Hürrem i zaczęła zaprzątać uwagę sułtana Sulejmana,

kary stały się surowsze. Oparłaś się – trzy razy, zamyśliłaś się – pięć razów, spóźniłaś się – dziesięć razów, narobiłaś hałasu… I tak dalej. W zależności od nastroju.

Hürrem, ponieważ sama to poznała, kazała pozbyć się z haremu dereniowego kija. Jej karą był krzyk. Uderzała obcasem o podłogę, unosząc prawą brew. Każde słowo wydobywało się z jej ust jak strzała.

Dzięki Bogu, Mihrimah nie wykorzystywała żadnej z tych kar. Nie było ani kija, ani raniących słów. Kiedy była bardzo zła, tylko płonęła jej twarz, uderzała obcasem o ziemię i wychodziła. A potem nie odzywała się przez kilka dni.

– Czy tego dnia stało się coś, co cię zmartwiło? – powtórzyła pytanie Mihrimah.

Esma pokręciła głową.

– Nie – mruknęła od niechcenia. – Nic się nie stało, moja sułtanko.

– Skoro nic się nie stało, to skąd ta mina? Jak nazywała ją Setaret Kalfa? Ha! Kupujesz rzepę, a sprzedajesz buraki. Cokolwiek to znaczy.

Esma zrozumiała, że sułtańska córka chciała ją rozweselić, ale nic to nie pomogło.

– Jak śmiałabym się dąsać w obecności mojej pani? – powiedziała cicho. – Trochę się zamyśliłam. Nie powinnam, wybaczcie.

– Ach, Esmo – odezwała się tym razem Mihrimah, nie podnosząc zbytnio głosu. – Nikt nie mówi, że źle się zachowałaś. Powiedz lepiej, dlaczego się smucisz. Na pewno coś się stało. Stało się, stało – upierała się, widząc niezdecydowanie dziewczyny. – Opowiedz mi. Coś cię martwi. Mów śmiało.

Esma powoli uniosła głowę i spojrzała na nią.

– Ja… – zaczęła niepewnie i zamilkła. Jej oczy napotkały wzrok Mihrimah. – Jest mi trochę smutno. Ach, moja piękna sułtanko… – westchnęła. – Umysł człowieka jest ograniczony. Nie wie, co długie, a co krótkie, co proste, a co pokrętne. Jednak wy, nasz pan i pani Hürrem obdarzeni jesteście mądrością.

Czytacie wielkie księgi, umiecie pisać. Znacie też obce języki…

– Esmo! – przerwała jej Mihrimah z wyrazem udawanego gniewu i zniecierpliwienia. – Dlaczego ci smutno?

– Najpierw mi coś powiedzcie – poprosiła Esma, pochylając głowę z zawstydzeniem. Dalej mówiła, nie patrząc w twarz pani. – Swego czasu waszą matkę też porwali, prawda?

– Tak. Nie ma nikogo, kto by o tym nie wiedział.

– Była jeszcze dzieckiem, prawda? Była bardzo mała.

– Miała dziewięć lat.

Esma zawahała się przez chwilę.

– Matka i ojciec jej nie szukali? Nie ruszyli za nią? Nie szukali śladów złoczyńców, którzy porwali ich córkę? Nikogo nie wypytywali? Tak po prostu zostawili swoją córkę? – Słowa, początkowo wypowiadane szeptem, wylewały się z jej ust coraz głośniej.

Mihrimah się zdziwiła. Przez chwilę nie mogła zrozumieć żalu w głosie dziewczyny.

– Nie wiem – oznajmiła cicho. – Pewnie jej szukali. Jak mogliby postąpić inaczej? Ale zgodnie z tym, co mówiła matka, ptaki tam nie latały, nie docierały karawany. Były tam ośnieżone szczyty, rwące potoki, nieprzebyte lasy. Kto mógł ją odnaleźć?

Cierpienie w oczach piastunki sprawiło, że Mihrimah poczuła się zdezorientowana. Zupełnie, jakby Esma smuciła się tym, że dziadek i babcia nie szukali porwanej córki. „Co się dzieje z tą dziewczyną?”, przeszło jej przez myśl.

– Może nie mieli jak jej szukać. Zbójcy podpalili wieś i wszystkich cieli szablą. Moja mama znacznie później udała się do wioski i nikogo nie znalazła. Nikt nie ocalał. Sądzi, że jej matkę i ojca zabito podczas tego najazdu.

Z uwagą spojrzała w oczy Esmy. Wyglądało na to, że dziewczyna nie może się zdecydować, czy powinna uwierzyć w te słowa. Miała wrażenie, że myśl o tym, że dziadek i babcia szukali porwanej córki, napawała ją smutkiem, a fakt, że jej nie szukali lub nie mieli takiej szansy, gdyż zostali zabici, uspokajał ją.

– Teraz ty mi powiedz – odezwała się Mihrimah

zdecydowanie. – Co takiego wydarzyło się na bazarze, że wypytujesz o porwanie mojej matki?

Dziewczyna wciąż patrzyła zamyślona, jakby jej nie słyszała.

– Mnie nie szukali – odparła w końcu.

Mihrimah poczuła ukucie w sercu.

– Nawet nie próbowali.

W głosie Esmy nie było najmniejszego śladu wyrzutu, żalu czy bólu. Wręcz przeciwnie, powiedziała to opanowanym, beznamiętnym tonem, jak nigdy dotąd.

– Poza tym mnie nikt nie porwał. Sami mnie oddali. Z pakunkiem, który ściskałam pod płaszczem, wydali mnie ludziom pewnego beja. Kiedy się odwróciłam, nikt nawet za mną nie patrzył.

Dziewczyna zamilkła na chwilę. Przełknęła ślinę i mówiła dalej. Zupełnie jakby rozmawiała ze sobą, a nie z córką padyszacha.

– Więcej ich nie widziałam – ciągnęła. – Wiedzieli, dokąd mnie zabrano. Cóż takiego Trabzon? To maleńka mieścina.

Esma bezwiednie wyciągnęła dłonie w stronę swojej pani, żeby pokazać jej, jak mały jest Trabzon.

– Ani razu nie zapukali do drzwi domu tego beja i nie powiedzieli: „Oddaliśmy wam naszą córkę. Przyszliśmy zobaczyć, czy dobrze się miewa".

Jej głos stawał się coraz cichszy. Mihrimah spojrzała na nią, żeby sprawdzić, czy nie płacze. Nie płakała. Podobnie jak głos, spojrzenie piastunki również było bez wyrazu.

– Na pewno cię szukali. Jakżeby inaczej? Może szukali cię po tym, jak twój pan wysłał cię do Stambułu? Co o tym wiesz? Nie mogliby dotrzeć aż tutaj.

Bała się, że jej głos i wyraz twarzy zdradzą, że tak naprawdę sama w to nie wierzy.

Na twarzy Esmy pojawił się gorzki uśmiech.

– Pewnie tak – powiedziała posłusznie. – Pewnie było tak, jak mówicie. – Po czym zmusiła się do udawanej radości: – Widzicie, moja sułtanka jest taka mądra. Czy nie mam racji,

mówiąc, że wie wszystko? O tym nie pomyślałam.

Mihrimah udała, że nie słyszy żalu w głosie opiekunki. Złapała dziewczynę za rękę, gdy ta znowu wzięła koło i zamierzała powrócić do haftowania.

– Poczekaj, Esmo. Jeszcze nie skończyłam. Skąd ci to przyszło do głowy? Matka mnie nie szukała, ojciec mnie nie szukał. Co to ma znaczyć? Nie puszczę cię, dopóki mi nie powiesz, co wydarzyło się na bazarze.

Esma najpierw spojrzała na delikatną dłoń trzymającą ją za rękę, a potem w oczy Mihrimah.

– Tego dnia – powiedziała zamyślona – widziałam na bazarze starszego człowieka.

– I?

– Mężczyzna szukał swojej córki.

– Co się stało z jego córką? Zginęła?

– Nie wiem. Wszystkich pytał, czy ją widzieli.

Mihrimah zachichotała.

– Czy ten mężczyzna postradał rozum? Skąd handlarze mieliby znać jego córkę?

– Gdybyście zobaczyły, sułtanko, z jaką miłością i tęsknotą o niej mówił. Podobno włosy jego córki są złote jak łany zbóż, a oczy bardziej niebieskie niż morze i niebo.

Mihrimah nie mogła ukryć zdziwienia.

– Włosy złote jak łany zbóż, a oczy bardziej niebieskie niż morze i niebo?

Nagle Esma spojrzała na włosy i oczy swojej pani.

– Musi być do was podobna – powiedziała cicho. – Zupełnie jakby to was opisywał, prawda?

Mihrimah pokiwała głową, uśmiechając się, lecz na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Widząc to, Esma przybrała wszystkowiedzący ton i próbowała rozśmieszyć swoją panią:

– Ludzie są do siebie podobni.

– A może mamy bliźniaczkę? Może przy okazji podpytamy o to naszą matkę?

Wypełniająca komnatę przytłaczająca atmosfera jakby się

rozproszyła. Obie dziewczyny, przykrywając dłońmi usta, możliwie cicho wybuchły śmiechem.

– Jednak twój starzec ma trudne zadanie, Esmo – podjęła Mihrimah. – Nie znajdzie zguby po oczach i włosach.

– Jest też imię – odparła Esma, otwierając szeroko oczy. – Ma na imię Dilruba. Co za piękne imię, prawda?

Czy to możliwe?

Mihrimah znieruchomiała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Przypomniała sobie wydarzenie sprzed wielu miesięcy. Palące pragnienie, żeby zobaczyć wnętrze Hagii Sophii, którą z podziwem tyle razy oglądała z zewnątrz. Trwające wiele dni błaganie Esmy, żeby wymknęły się potajemnie z pałacu i poszły do meczetu, który znajdował się tuż obok. W końcu to, jak w przebraniach, z mocno bijącym sercem, przemykając pod murami, wyszły z pałacu i jak weszła do środka, podczas gdy Esma stała na straży. Zapierająca dech w piersiach tysiącletnia wspaniałość i ten gruby, ale pełen uczucia męski głos.

„To niemożliwe – pomyślała. – Czyżby on był tym starcem, którego widziała jej opiekunka? Mężczyzna, który wiesza na niebie kopuły? Nie znał nawet jego prawdziwego imienia. Czy to ja jestem tą córką, Dilrubą, której szukał? – Zadrżała. Miała coraz większy mętlik w głowie. – To niemożliwe", powtórzyła w myślach, próbując odpędzić dręczące ją pytanie.

Widok posmutniałej i zamyślonej twarzy pani ożywił też wspomnienia Esmy. Nagle w jej pamięci ze szczegółami odtworzyły się obrazy z tamtego wieczoru, kiedy przerażone wróciły z Hagii Sophii. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy?! Gdy nastała noc, Mihrimah naciągnęła na siebie kołdrę po ramiona. Esma natomiast leżała na materacu. Esma zdanie po zdaniu odtwarzała sobie w głowie rozmowę, jaką odbyły szeptem tamtej nocy.

– Esmo?

– Co rozkażesz, pani.

– Wydarzyło się dziś coś, o czym ci nie powiedziałam.

– Jeśli moja sułtanka chce o tym opowiedzieć, Esma będzie

słuchać, choćby do rana.

– Dziś… w Hagii Sophii… spotkałam mężczyznę.

– Był przystojny?

– No wiesz… Mężczyzna był w wieku mojego ojca.

Esma przypomniała sobie, że odetchnęła z ulgą.

– Ale mówił tak pięknie. Wyobraź sobie, gdy go słuchałam, przed oczami malowały mi się obrazy, wyrastały mosty i budynki.

– Naprawdę? Co to za jeden?

– Nie wiem. Chyba był janczarem. Wiesz, co mi powiedział?

– Co powiedział, sułtanko?

– W marzeniach wieszam na niebie kopuły.

– Nic nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

– Esmo, wiesz, co tysiąc lat temu powiedział Justynian?

– Justynian? A to kto?

– Cesarz. Władał tymi ziemiami przed nami. „Hej! Salomonie, pokonałem cię", wykrzyknął, unosząc rękę.

– To dopiero! Justy… Nieważne. Kim był, że miałby pokonać naszego sułtana?[44] Choćby świat miał się skończyć, nikt nie pokona naszego pana.

– Esmo! Ty to dopiero jesteś. To inny Sulejman.

– Nie znam innego Sulejmana. Na tym świecie jest tylko jeden Sulejman. I to ojciec mojej pięknej sułtanki, Sulejman Chan! Jak miał na imię ten mężczyzna?

– Nie wiem. Nie zapytałam.

Spojrzenia dziewcząt się spotkały. Esma zrozumiała, że również jej pani przypomniała sobie rozmowę z tamtej nocy. Nastała długa cisza. Nie było nic więcej do powiedzenia. Albo była to igraszka losu, albo przypadek. Mihrimah chciała poprosić Esmę, żeby opisała tego mężczyznę, ale nie starczyło jej odwagi.

Zamierzała powiedzieć: „Muszę znaleźć sposób i znów pójść do Hagii Sophii", ale z tego też zrezygnowała. „To niedorzeczne – wmawiała sobie. – Po co ten mężczyzna miałby mnie szukać? Czy na świecie jest tylko jedna Dilruba?".

Mihrimah długo nie mogła zasnąć. Całą noc słyszała w ciemnościach ten gruby, pełen uczucia głos: „Wieszam na

niebie kopuły”.

Kwatery leventów
Stambuł

Zapytany w wejściu do stoczni strażnik odpowiedział:

– Kapitan Idris? To ten w zielonej szacie przechadzający się za skrzyniami.

Alejandro podbiegł i go pozdrowił.

– Wzywaliście mnie, ago. Jestem Ismail. Ismail z Alaiye.

Mężczyzna odwrócił się w stronę, z której dochodził głos. „Ma to w ręku", pomyślał Alejandro, widząc zmarszczki na jego twarzy. Na lewym policzku miał głęboką bliznę zaczynającą się tuż pod okiem i ciągnącą się aż do dolnej szczęki. „Rana po szabli albo po nożu", przeszło mu przez myśl. Taką samą miał na posiniaczonej piersi. Nie pamiętał tego, a raczej w jego umyśle pojawiały się różne obrazy. Kiedy zapytał księdza: „Co to jest? Kiedy to się stało?", odpowiedział mu: „Pamiątka z wojny, Alejandro. Hiszpańska szabla. Szabla Hiszpana, który sądził, że pochodzisz z imperium".

Zgodnie z opowiadaniem grubego księdza, gdy zaatakowali hiszpański okręt, dosięgła go wroga szabla. „Niech to szlag, żadnym sposobem nie mogę się przyzwyczaić!", zaklął w duchu. Ci, których wówczas uważał za wrogów, tak naprawdę byli jego przyjaciółmi, a ci, których nazywał przyjaciółmi, byli wrogami. Prawie ich wypatroszył. Słysząc to, pytał siebie: „Co ja zrobiłem?". Nie wiedział. W jego pamięci było tyle krwawych scen…

Pamiętał, że ksiądz przewracał żabimi oczami, gdy zapytał o pozostałe rany. Duchowny udzielił mu zupełnie nieoczekiwanej odpowiedzi. „To też scheda po Hiszpanach, synu. Pamiątka po braciach, którzy sądzili, że jesteś tureckim korsarzem".

Tych ran też nie pamiętał. Jedyne wspomnienie Alejandra to krzyk. Odbijający się echem od murów krzyk. I głos, który nieustannie tkwił w jego głowie.

Twarz kapitana Idrisa była jak wykuta w kamieniu.

– Idź do tego budynku naprzeciwko. Ja też zaraz przyjdę. Musimy porozmawiać.

Pół godziny później Alejandro stał przed kapitanem. Mężczyzna przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Zajął miejsce na siedzisku i krzyżował nogi. Po lewej i po prawej stronie stało po dwóch mężczyzn. Żaden z nich nie wyglądał przyjacielsko. Z ich spojrzeń nie mógł wywnioskować, który z nich jest najbardziej niebezpieczny.

Wszystko działo się tak, jak mu powiedziano, jakby zostało wcześniej spisane. „Nie myśl, że od razu cię do niego dopuszczą. Możesz być pewien, że będą cię przesłuchiwać, dopóki nie będą pewni – ostrzegł go ksiądz. – Nie daj się zaskoczyć. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem".

Było tak, jak mówił. Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność.

Po tym, jak został odbity przez osmańskich korsarzy z weneckiego statku handlowego, do którego wsadzono go jako tureckiego galernika w niewielkim mieście Fondi, nad Zatoką Gaetańską na Adriatyku[45], dopóki nie dotarli do Konstantynopola, tygodniami był przesłuchiwany podczas rozmów zaczynających się w ten sam sposób: „Opowiedzże, dżygicie, o czym tak rozmyślasz".

– Kim jesteś?

– Ismailem z Alaiye, synem kapitana Murata. Levent kapitana Turguta.

– Jak mogę być pewny?

– Zapytaj kapitana. Zna nasze imię. Gdy mnie zobaczy, poda mi rękę do ucałowania.

– Myślisz, że kapitan, którego giaurzy nazywają Dragut, siedzi w miejscu, że każesz mi go zapytać. Ścigają Wenecjan, Genueńczyków, Hiszpanów, kto się trafi. Daj nam jakiś dowód, żebyśmy uwierzyli, że należysz do leventów kapitana Turguta.

Co mogło być łatwiejszego? Alejandro, gdy tylko słyszał to pytanie, odpowiadał natychmiast:

– Prawa pacha. Pod prawą pachą kapitan ma znamię w kształcie liścia.

Słysząc to, za każdym razem przesłuchujący wybuchali gniewem:

– Milcz, nikczemniku! Skąd wiesz, co kapitan ma pod pachą?

– Wie to przyjaciel i wróg, który krzyżuje z kapitanem szable. Czy gdy dżygit uniesie ostrze, spod kamizelki nie widać jego pachy, agowie? Ramię w ramię walczyliśmy z kapitanem, dlatego o tym wiemy.

– Może zapytamy kapitana Ahmeda z Reszadije, czy mówisz prawdę?

W takich chwilach Alejandro czuł, że wszystko w nim bije na alarm: „Uważaj, pułapka!”.

– Kapitan Ahmed?

– Tak. Jeśli będziesz miał szczęście. Jest teraz na naszym okręcie. Jeśli jest, jak mówisz, prawa pacha kapitana cię nie pozna. Kto inny cię pozna, jeśli nie prawa ręka kapitana Turguta? Chodźmy do niego.

Alejandro był dobrze wyszkolony w tych grach. Natychmiast przypomniał mu się ksiądz. „Niech go Bóg błogosławi”, przeszło mu przez myśl. Pojąc mnie każdego dnia warzonym przez siebie, tajemniczym eliksirem, dał kres moim cierpieniom. Teraz z daleka też ratował mu życie. O kapitanie wiedział wszystko. Gdzie się urodził, jak dostał się do niewoli tureckiej, jak został marynarzem, jak zaczął służbę na statkach korsarzy. Znał też wszystkich, którzy dowodzili na okrętach kapitana Turguta. Alejandro wyliczył wszystkich, ale nie wspomniał o kapitanie Ahmedzie.

„Kapitan Ahmed? – uśmiechał się. – To jakiś nowy kapitan? Za moich czasów prawą ręką kapitana był kapitan Salih. Nie znam żadnego Ahmeda. Na pewno on też mnie nie zna”.

Aż do Stambułu nie popełnił żadnego błędu. To przesłuchanie też przejdzie bez zająknięcia. Był tego pewien. Noc przed tym, jak w przebraniu galernika wsadzono go na wenecki okręt, mężczyzna z ostrą bródką, o złowróżbnym obliczu, powiedział do niego:

– Nie bój się. Jesteś boskim wybrańcem. Nie poddawaj się. Pamiętaj. Bądź równie twardy, mężny, nieustraszony, odważny jak oni.

I taki właśnie był Alejandro. Nigdy się nie poddawał. Dawno już wyrzucił z serca wszelki gniew. Dźwigający na plecach krzyż, idący na śmierć Jezus Chrystus pokazał mu Boga. Czy ktoś, kto doświadczył takiego cudu, miałby bać się śmierci? Tak jak Jezus oddał siebie w ofierze, żeby odkupić ludzkie grzechy, on również umrze za niesiony przez niego krzyż. Poza tym czego miałby się bać. Czy gdy zabiorą go do kapitana Turguta, ten nie weźmie go w ramiona z okrzykiem: „Ismailu, mój dżygicie!”. Nawet jeśli wszystko inne było kłamstwem, naprawdę był leventem.

Z cierpliwością czekał, podczas gdy pięć par oczu wpatrywało się w niego uważnie.

*

Przesłuchanie poszło łatwiej, niż się spodziewał.

– Na czyim okręcie byłeś, gdy zostaliście zaatakowani?

– Kapitana Dursuna z Synopy.

– Jak dostałeś się do niewoli?

Jak to jak? Oczywiście podczas walki. Alejandro długo opowiadał o krwawej bitwie.

– Jak długo przebywałeś w hiszpańskich lochach?

– Cztery lata. Może trochę dłużej, może krócej. A może pięć lat. Skąd mogę wiedzieć? Nie widziałem światła, więc nie mogłem liczyć dni i miesięcy.

– O co pytali cię na przesłuchaniu?

– Gdzie jest Dragut? Ile ma statków? Gdzie zaatakuje? Gdzie Dragut spotka się z kapitanem Hyzyrem? Ile ma dział? Takie rzeczy.

– Wiedziałeś, gdzie jesteś?

– Na przesłuchaniu mówili, że to więzienie w Sewilli. Więźniowie twierdzili, że nie było jeszcze nikogo, kto wyszedłby z niego żywy.

– Ale ty wyszedłeś?

Nie dało się nie usłyszeć wątpliwości w głosie mężczyzny. Sam nie wiedział, jak to się stało, że udało mu się uratować z więzienia, z którego nikt nie wyszedł żywy.

– Jeśli można to nazwać wyjściem – mruknął. – Wyciągnęli mnie z jednego piekła i wrzucili w drugie.

– Opowiedz o tym. Niech poznam to piekło.

– Zakuli mnie w kajdany i sprzedali na targu niewolników. Miałem nadzieję, że okręt, na którym byłem, zaatakują nasi. Każdy mój dzień, każda minuta upływały na modlitwie. Siedząc przy wiosłach, odmawiałem modlitwy.

Każde słowo, każde zdanie miał wyuczone na pamięć. Wszystko ze spokojem opowiadał.

– Na koniec zostałem galernikiem na weneckim okręcie handlowym. Przez sześć miesięcy osiemnaście godzin dziennie machałem wiosłem. Pewnej nocy rozległ się hałas. Potem zaskrzypiały deski, statek jakby stanął dęba, a później przesunął się w bok. Tak się stało, ponieważ statek został uderzony taranem w kadłub. Później rozległ się okrzyk: „Bijcie, moi dżygici! Do ataku!”. Byłem wdzięczny Bogu za to, że w końcu wysłuchał moich modlitw. Nieustannie krzyczałem. Wołałem, dopóki starczyło mi oddechu i dopóki głos nie odmówił mi posłuszeństwa.

– Co krzyczałeś?

– Krzyczałem: „Chodźcie, rozkujcie mnie! Dajcie mi szablę!”.

– Co zrobili? Rozkuli cię?

– Rozkuli.

– Dali ci do rąk szablę?

Pytanie zadał kapitan Idris. Wyraz jego twarzy, podobnie jak pozostałych, nie zmienił się. „Jak to? – pytał się w duchu. – Nie poruszyło was nic, co wam powiedziałem? Nie uwierzyliście w to? Nic, oprócz tego, że trafiłem tam jako galernik, nie jest kłamstwem”.

– Dali – odpowiedział bez wahania.

– I co zrobiłeś?

– Nie pamiętam.

Dlatego że podnosząc ciężką szablę, upadł na ziemię.

– Musiałem zemdleć.

Spojrzał po kolei na wszystkich mężczyzn.

– Cieszyłem się, że skończyła się pięcioletnia niewola – powiedział cicho. – Jednak moja radość była przedwczesna. Gdy tylko uwolniłem się z piekła, łańcuchów, wioseł, wrzucili mnie do jakiegoś ciemnego miejsca pod pokładem. Od rana do wieczora byłem przesłuchiwany. Dużo później obcięli mi włosy i brodę i wzięli w ramiona jako swojego towarzysza. Przybyliśmy tutaj. „Teraz jestem już wolny", mówiłem, całując ojczystą ziemię. Myliłem się. Nie skończyły się wątpliwości, podejrzenia, przesłuchania. Jeśli nie jestem Ismailem z Alaiye, to kim?

Pięciu mężczyzn spojrzało na siebie.

– Szkoda, że nie zostaliśmy galernikiem na weneckim okręcie. Wśród brzdęku łańcuchów wycięlibyśmy wiosła. Podejrzenia towarzyszy są dla nas gorsze niż kajdany giaurów. Dlaczego nie chcecie mi uwierzyć, że jesteśmy Ismailem z Alaiye?

Kamienny wzrok mężczyzn jakby złagodniał, a stojącemu po prawej stronie siwobrodemu marynarzowi nie udało się ukryć uśmiechu.

– W hiszpańskiej niewoli też mówiłeś z takim opanowaniem? – zganił go kapitan Idris.

– A jak ma mówić, ago? – odezwał się mężczyzna obok. – Nie mieli nad nim litości. Dzięki Bogu nie obcięli mu języka. Dla nich nie ma przesłuchania bez tortur. Przy każdym przesłuchaniu obcinają palce, zrywają paznokcie albo rozciągają ciało. Co tobie zrobili? Masz jakiś dowód?

Na to najłatwiej było mu odpowiedzieć. Nie pamiętał, jak do nich doszło, jednak miał na ciele wiele znaków, o których ksiądz od eliksirów mówił, że to „pamiątka po Hiszpanach".

Udając zranionego i dotkniętego, szybkim ruchem ściągnął kamizelkę i cisnął na podłogę. Jednym szarpnięciem rozerwał koszulę. Odwracając się do mężczyzn plecami, ściągnął ją

z szerokich ramion i rzucił na ziemię.

Czuł, że spoglądającym na ślady tortur i bitew mężczyznom odebrało dech. Ostra stal i razy biczem po plecach zostawiły na jego ciele niezatartą pamiątkę. Szramy po biczu na jego łopatkach i ramionach wyglądały jak krzyżujące się drogi.

– Wystarczy? – syknął. Odwrócił się powoli. – Jeśli to mało, mamy też inne dowody.

Jego pierś nie różniła się od pleców. Głębokie ślady po biczu, bruzdy od przypalania wściekłym żelazem, rany po szabli, poszarpane dziury, które zostawiły po sobie kule, wyrywając kawałki mięsa.

– Żebym nie skłamał. Nie wszystko to ślady po niewoli. – Próbował się uśmiechnąć. – To też rany odniesione w bitwach.

Nastała cisza.

– Jeśli to nie wystarczy, żeby udowodnić, że jesteśmy synem kapitana Murata, Ismailem z Alaiye – westchnął, ściągnął buty i wykonał gest, jakby chciał nimi rzucić – to nie koniec naszych dowodów.

– Wystarczy!

Alejandro uniósł głowę. To były słowa kapitana Idrisa. Wydawało mu się, że głębokie zmarszczki na twarzy mężczyzny złagodniały. Patrzył na niego wilgotnymi oczami. Natomiast spojrzenie czterech pozostałych mężczyzn pozostało czujne. Wszyscy wpatrywali się w jego kciuki, z których zerwano paznokcie.

– Chodź tutaj – odezwał się kapitan Idris. – Zbliż się.

Alejandro, starając się nie okazywać wypełniającej go radości, ruszył w stronę pięciu mężczyzn siedzących ze skrzyżowanymi nogami. Pochylił się, chcąc ucałować dłoń kapitana Idrisa. Mężczyzna cofnął rękę.

– Zawsze całuje się dłoń, jednak nie zawsze można znaleźć dżygita, żeby ucałować jego czoło.

Kapitan się podniósł, a pozostali śledzili go wzrokiem. Ujął Alejandra za ramiona i ucałował go w czoło.

– Witaj, dżygicie Ismailu. Dobrze cię widzieć. To twoje

honorowe pieczęcie. Zobaczymy, jak mścisz się na giaurach, którzy ci to zrobili.

„Zobaczycie. Wszyscy zasmakujecie tej zemsty”, zachichotał w duchu.

Teraz zdobył ich zaufanie. Przyszła kolej na wyczekiwanie dnia, w którym miał się spotkać z kurierem i nawiązać z nim kontakt. Jednak nie wiedział, jak doczeka tego czasu z dręczącymi go skurczami i koszmarami. Jego ciało spalało się z głodu z powodu nieprzyjmowania eliksiru.

Okręt kapitana Hyzyra
Morze Marmara

Im bardziej zbliżał się dzień odwiedzin, tym trudniej było Mihrimah zasnąć. Miała pójść sama do stoczni i wsiąść na statek kapitana Hyzyra. Było to obwieszczenie wszystkim, że jest już dorosła. Nie trwało długo, gdy zrozumiała, że nie będzie to łatwe.

Widząc ogólne poruszenie, zaciekawiła się.

– Co się stało, matko? Co to za krzątanina?

W tym czasie Hürrem była zajęta wybieraniem dla niej stroju na wyjście do stoczni.

– To przygotowania do twoich odwiedzin u kapitana Hyzyra.

– Potrzeba tyle przygotowań, żebym poszła do taty Hyzyra?

– Oczywiście. Trzeba podjąć odpowiednie środki, skoro córka sułtana Sulejmana ma się dokądś wybrać.

– Sama pójdę do ojca kapitana.

Hürrem znieruchomiała. Otworzyła usta, żeby oznajmić, że to niemożliwe. Jednak widząc wyraz twarzy Mihrimah, zrezygnowała. Nie przyniosłoby to żadnego skutku. Zamiast rozmawiać, z pośpiechem wróciła do swojej komnaty.

– Chce iść sama – powiedziała od progu do sułtana Sulejmana, który leżał w łóżku.

Padyszach się zdziwił. Przez chwilę milczał. Z miny Hürrem zrozumiał, że córka już podjęła decyzję.

– Nie ma żadnego wyjścia? – zapytał cicho.

– Nie ma, czcigodny sułtanie. Nasza córka nie jest już dzieckiem. Chce, żeby widziano w niej sułtankę.

Sulejman pokręcił głową i się zamyślił.

– Wykluczone – odparł, podnosząc się z łóżka. – Nie można wysłać córki sułtana Sulejmana samej w miejsce, gdzie są dziesiątki żołnierzy.

Hürrem zamierzała coś powiedzieć, jednak padyszach uciszył ją ruchem ręki.

– Żadnych dyskusji. Niech nasza córka wybierze, kto ma jej towarzyszyć.

Sułtan Sulejman z uśmiechem spojrzał na żonę. Hürrem już dawno skierowała się do drzwi. Chwilę później przekazała wiadomość córce.

– Wasz ojciec nie zgodził się, żebyście poszły same. Ale wybierzesz tego, kto będzie ci towarzyszył.

Przez chwilę Mihrimah nie mogła tego zrozumieć. Później oczy jej zabłyszczały.

– To znaczy, że tata nie idzie?

– Przecież powiedziałam, że sama zdecydujesz, kto pójdzie z tobą. – Na chwilę zamilkła, wpatrując się w oczy córki. – Uważam, że właściwe będzie, jeśli zabierzesz ze sobą kilku hodżów, damy dworu i służące.

– Nie potrzebuję ich, spotykając się z kapitanem.

– Być może, ale tak należy.

– Skoro tak należy, nigdzie nie pójdziemy.

– Takie są zasady. Twoje bezpieczeństwo…

Mihrimah nie zamierzała się wycofać.

– Jeśli wielki kapitan Hyzyr, którego ojciec ogłosił bejlerbejem, powierzając mu sandżak w Wielkim Imperium Osmańskim, nie zapewni nam bezpieczeństwa, co z nami będzie?

Hürrem ponownie pobiegła do padyszacha i wszystko mu opowiedziała.

Sulejman był pod wrażeniem mądrości córki, ale mimo to upierał się:

– Nie może iść bez orszaku.

Jednak upór sułtana na nic się nie zdał. Odpowiedź Mihrimah była jeszcze bardziej zdecydowana.

– Skoro nasi słudzy *levenci*, których uważamy za dżygitów, nie będą potrafili ochronić córki padyszacha, jak mają walczyć z giaurami? Jeśli to prawda, to biada państwu osmańskiemu.

Hürrem jeszcze dwa razy chodziła do męża. W końcu sułtan Sulejman dał za wygraną.

– Dobrze – powiedział. – Niech nie zabiera świty. Mihrimah,

córka wielkiego sułtana Sulejmana, pójdzie sama do kapitana Hyzyra.

Hürrem była gotowa skakać z radości. Był to wspaniały sprawdzian, żeby zobaczyć, jaki wpływ ma córka na swojego ojca. Mihrimah go zdała. „Brawo dla mojej córki", pomyślała, opuszczając padyszacha. Gdy tylko Hürrem wyszła, Sulejman wezwał służącego do prywatnych komnat.

– Posłuchaj, ago – zaczął, ściągając brwi. – Jutro nasza córka pójdzie do stoczni. Nie zabierze ze sobą orszaku. Sułtanka Mihrimah pójdzie sama – ciągnął, nie zważając na szeroko otwarte ze strachu oczy mężczyzny. – Poczynisz stosowne przygotowania.

Podczas gdy służący zastanawiał się, jak zebrać się na odwagę, żeby odmówić, padyszach dokończył z uśmiechem:

– Ona będzie tak myślała. Ty niespostrzeżenie podejmiesz wszelkie środki bezpieczeństwa. Niech i kapitan Hyzyr odpowiednio się przygotuje. Jednak niezależnie od tego, jakie działania zostaną podjęte, nasza córka nie może się o niczym dowiedzieć, niczego domyślić. Dobrze? Niech wierzy, że sama idzie do stoczni.

Uspokojony mężczyzna wycofał się w ukłonach. „Co ja mam z tymi dwiema kobietami – pomyślał sułtan Sulejman. – Nie mogliśmy sprzeciwić się słowom matki, a teraz doszła jeszcze córka. Czy nie będę w stanie powiedzieć «nie» tym dwóm pięknościom?", żalił się w duchu.

Podniósł się i wyjrzał przez okno na kwiaty rozkwitające na drzewach.

– Pewnie nie – stwierdził cicho.

*

Następnego ranka, gdy Mihrimah wraz z Esmą wsiadały do powozu, sułtanka miała wrażenie, że ze szczęścia zaraz zemdleje. Było to jej pierwsze samotne wyjście z pałacu. Wprawdzie pojechała do Starego Pałacu, żeby zobaczyć się z Gülbahar i Mustafą, ale wówczas towarzyszyła jej świta. Oczywiście było

też wymknięcie się do Hagii Sophii. Uparła się, żeby zobaczyć wnętrze kopuły, i pomimo sprzeciwów bliskiej omdlenia Esmy pewnego dnia w przebraniu, korytarzami znanymi tylko służbie i sekretnymi przejściami wyszła z pałacu. Ale to się nie liczyło. Po raz pierwszy oficjalnie sama opuszczała seraj. Oczywiście, nie licząc Esmy i czarnoskórego haremowego agi. Matka powiedziała krótko: „Bez Dżafera nigdy!".

Mimo wszystko czuła się wolna jak ptak. Miała ochotę otworzyć drzwi powozu i wyfrunąć. Szczególnie gdy przyszło jej na myśl, że wsiądzie na statek kapitana Hyzyra mknącego po falach wszystkich mórz, powstrzymywała się, żeby nie krzyczeć z radości. Nawet jeśli nie teraz, na pewno kiedyś pomknie na skrzydłach mew okrętem ojca kapitana.

Powóz opuścił mury pałacu. Woźnica strzelił z długiego, skórzanego bicza. Konie ruszyły kłusem w dół zbocza. „*Jestem sama* – pomyślała Mihrimah – *i jadę unosić się nad falami*".

*

Siedząc w łodzi napędzanej ośmioma parami wioseł, sunącej po falach w stronę wielkiej, trójmasztowej galery, Mihrimah nie mogła złapać tchu. To było jak sen.

Zajmowała miejsce przy opiekunce i wpatrywała się przed siebie, żeby uciec przed badawczym spojrzeniem siedzącego naprzeciwko niej, pełnego majestatu, rudobrodego kapitana. Chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. I tak nic nie przychodziło jej do głowy.

Słyszała szepty Esmy, która pochyliła głowę, jakby zmierzała na śmierć. Opiekunka nie przestawała się modlić. Ostatnią rzeczą, której w tej chwili chciała, było to, żeby kapitan Hyzyr pomyślał, że ona też się boi. Ukradkiem szturchnęła dziewczynę. Wydawało się, że szepty Esmy ustały.

Mihrimah się nie bała, lecz była podekscytowana jak nigdy dotąd. Miała wsiąść na okręt kapitana Hyzyra, który zwycięsko wyszedł z tak wielu bitew. Uniosła głowę i spojrzała na górujący nad nimi niczym olbrzym czerwony kadłub galery.

– W życiu na to nie wsiądę – wyszeptała jej do ucha Esma.

Dziewczyna tak bardzo się bała, że brała pod uwagę nawet bunt. Niepokoiła ją także wysokość okrętu. Jak wsiada się na tak wysoki statek?

„Nie dam rady", myślała skrycie młoda sułtanka. Jednak jej rozumowanie było inne niż Esmy. Matka nauczyła ją pokonywać strach i niepokój umysłem, kiedy jeszcze była mała. „Czy to nie ty snułaś marzenia o fruwaniu po falach? – skarciła siebie. – Teraz zamierzasz uciec? Oczywiście, że jest jakiś sposób. Chyba nie rzucą córce wielkiego padyszacha liny i nie każą jej się wspinać".

Okazało się, że rozum jej nie zawiódł. Łódź podpłynęła do samego kadłuba okrętu.

– Spuszczać! – padła komenda.

Następnie rozległo się turkotanie i z burty statku spuszczono drabinkę sięgającą pokładu łodzi. Oprócz dwóch grubych lin nie było czego się przytrzymać.

Jako pierwszy, zebrawszy poły kaftana, ruszył kapitan Hyzyr.

– Ojciec kapitan na burcie! – dało się słyszeć tym razem.

Kiedy stary marynarz wspiął się na trap, wyciągnął rękę do Mihrimah. Wyprostowała się, nie okazując nawet cienia strachu. Gdy łódź zaczęła się kołysać, Esma przestała szeptać. Teraz na głos recytowała wersety Koranu.

Mihrimah w dwóch krokach dotarła do trapu i chwyciła kapitana za rękę. W jednej chwili poczuła ciepło bijące z jego wielkiej, silnej dłoni.

– Moja sułtanko – odezwał się z szacunkiem kapitan – mój okręt to staruszek. Jednak brał udział w wielu bitwach. Jego pierś podziurawiły kule giaurów. Jednak on zawsze wychodził zwycięsko. Chcę powiedzieć, że okręt, na którym zaraz postawicie stopę, jest prawdziwym gazim. Na wasze przybycie chcieliśmy wyścielić trap jedwabiami i atłasami, jednak gaziemu nie pasują jedwabie. Nie miej nam tego za złe.

Dopiero wtedy Mihrimah to zauważyła. Żeby można było wykorzystać przytwierdzony do nadburcia trap jak schody, przybito do niego worki i liny. Kątem oka zobaczyła, jak

wioślarze pomagają sparaliżowanej strachem Esmie wspiąć się na drabinkę.

Nie puszczając dłoni kapitana, ciężko wdrapała się na stopnie. Gdy weszła wyżej, unoszący się nad falami wiatr zaczął pieścić jej twarz. Silniejszy podmuch zerwał jej chustę, która spadła na jej ramiona. Nie zwróciła na to uwagi. Z jedną ręką w silnej dłoni kapitana i drugą na linie wyprostowana wspinała się w stronę nadburcia.

Wchodzący przed nią kapitan Hyzyr nagle się zatrzymał. W tej samej chwili rozległ się cienki dźwięk gwizdka.

– Ojciec kapitan! – rozbrzmiało.

Ze statku podniosły się okrzyki zgromadzonych mężczyzn.

– Niech łaska boska…!

Gdy oni ucichli, z innej strony dało się słyszeć kolejny chór:

– I mądrość Proroka…!

Później wszyscy krzyknęli jednym głosem:

– Będą z tobą, ojcze kapitanie!

Kapitan, stojący jeden stopień wyżej od sułtanki Mihrimah, odpowiedział im:

– Niech szczęście wam sprzyja, hardość napełnia serca, a siła ręce, dżygici. Dzięki wam.

Mihrimah zobaczyła leventów pozdrawiających kapitana, którzy przykładali sobie jego prawą dłoń do czoła i całowali.

Pokonawszy stopnie, kapitan Hyzyr usunął się na bok i zrobił miejsce dziewczynie.

Mihrimah z głośnym biciem serca i wiatrem we włosach pokonała ostatnie dwa stopnie i weszła na pokład.

Była ogromnie przejęta. Czuła, że nie może złapać oddechu.

W tej samej chwili stojący przy wejściu w nadburciu dzielny, półnagi marynarz huknął tuż przy jej uchu:

– Sułtanka Mihrimah, córka naszego pełnego chwały sułtana Sulejmana Szacha, syna cienia Boga na Ziemi, genialnego Selima Groźnego Chana, syna sułtana Bajazyda Chana, syna Mehmeda Zdobywcy!

Stojący rzędem dokładnie naprzeciwko niej levenci krzyknęli

jednocześnie:

– Niech będzie pozdrowiona!

Prawa strona krzyknęła:

– Przyniosła nam pomyślność!

Grube, przepełnione czystą miłością i radością męskie głosy, tym razem wszystkie, rozbrzmiały na morzu i wzniosły się do nieba.

– Niech żyje sułtańska córka, o którą zazdrosne jest nawet słońce!

Jej oczy napełniły się łzami. Mihrimah, żeby się nie rozpłakać, szeroko je otworzyła. Nikt jej tego nie nauczył, ale ona, również delikatnie się uśmiechając, pozdrowiła marynarzy skinieniem głowy.

Wszyscy levenci wiedzieli, że są świadkami wyjątkowej sytuacji. Po raz pierwszy córka padyszacha weszła na okręt wojenny. Będąc na morzu miesiącami, latami marzyli o kobiecie, ale tak naprawdę kobieta była najmniej pożądana na statku. Jednak córka padyszacha to co innego. Gdy nadejdzie dzień, kiedy te wyprawy i wojny się skończą, wielcy gazi powrócą do swoich wiosek, do swoich domów i zaczną opowiadać: „Wiecie, sułtanka Mihrimah, najpiękniejsza z pięknych, córka wielkiego sułtana Sulejmana, przyszła odwiedzić nas na okręcie. Chcecie, to wierzcie, nie chcecie, nie wierzcie, ale gdy sułtańska córka weszła na pokład, żołnierze sądzili, że to wzeszło drugie słońce, agowie".

Córka padyszacha patrzyła na nich wzrokiem nieustępliwym, pozbawionym strachu, skromnym, zawstydzonym i pełnym miłości. Nie miała na głowie *hotozu* ani stożka, jak nosiły się kobiety z pałacu. Nawet nie próbowała pospiesznie naciągnąć na włosy chusty, którą wiatr zrzucił na ramiona. Sułtanka Mihrimah wydawała im się nie córką padyszacha, ale młodszą siostrą. Oczarowała leventów swoimi złotymi włosami i niebieskimi oczami. Spoglądając na ukochaną córkę sułtana Sulejmana nieśmiałym, ale męskim spojrzeniem, myśleli: „Jest piękniejsza, niż opowiadano".

Nagle levenci zrobili coś, czego nikt ich nie nauczył i nikt im

nie kazał. Jednocześnie poczuli taką potrzebę, zupełnie, jakby ktoś wydał im rozkaz, i jednym głosem zaczęli śpiewać marynarską pieśń:

Morze jest naszym domem, przyjaciółmi fale.

Ścigamy się z wiatrem, burzom rzucamy wyzwanie.

Nie znając strachu, ruszamy na wroga.

Módl się za nami, Mihrimah, siostro nasza droga.

Kapitan Hyzyr, żeby ukryć przed marynarzami oczy pełne łez, odwrócił się do morza. Oczy ich kapitana, z którym widzieli tyle wojen, śmierci i okropności, były już stare. Gdy levenci zmienili ostatni wers pieśni „Módl się za nami, matko i siostro nasza droga" i wpletli w nią imię Mihrimah, też bardzo się wzruszyli.

Od tej pory nocami tak śpiewano tę pieśń, a później z przepełnionego tęsknotą serca wydobywały się drżące westchnienie i sekretny szloch. Ci wszyscy chłopcy, zamykając powieki, snuli marzenia o pięknej córce sułtana Sulejmana. Piękna twarz, złote włosy i oczy bardziej błękitne niż morze. I ten uśmiech nie do opisania.

Mihrimah natomiast nie czuła potrzeby, żeby się z tym kryć. Przycisnęła ręce do piersi i pozwoliła łzom płynąć, a jednocześnie pięknie się uśmiechała.

W tej samej chwili dojrzała wpatrzone w nią dwoje czarnych oczu. Jej spojrzenie zatrzymało się na połykającym ją wzrokiem czarnowłosym i czarnookim marynarzu. Mihrimah, nie wiedząc dlaczego, zadrżała. Wystające kości policzkowe nadawały jego twarzy surowy wyraz. A może sprawiały to czarne łuki brwi? Nos miał długi i kształtny. Wąsy i broda pokrywały dolną część twarzy. Miał brodę i wąsy. Podobnie jak pozostali marynarze pod niebieską kamizelką jego skóra była naga. Mój Boże! W jego oczach płonął żar.

Mihrimah na próżno próbowała uciec przed jego spojrzeniem. Starała się uciszyć rozedrgane serce, ale nie mogła. Nagle jej policzki spłonęły ogniem. Jej serce wyrywało się z piersi jak gołębie, które łapali służący i dawali jej do rąk, gdy była mała. „Co się z tobą dzieje, Mihrimah? – pytała siebie. – Stoi przed tobą setka marynarzy. On też jest jednym z nich. Skąd to nagłe bicie serca? Wszyscy na ciebie patrzą. Dlaczego ty widzisz tylko jego oczy? Weź się w garść!”.

Mihrimah wydawało się, że godzinami tak stoją, wpatrując się w siebie. Straciła poczucie czasu. Dookoła działo się wiele rzeczy, ale ruchy jakby zwolniły, a głosy ucichły. Nie widziała nic oprócz tej pary ognistych oczu wpatrujących się w nią zza czarnych, długich, kręconych rzęs.

„Mój Boże – ponownie jęknęła w duchu. – Zrozumieją, że wpatruję się w jednego z nich. Ściągnę na siebie wstyd”.

W końcu udało jej się odwrócić głowę w inną stronę. Jednak wciąż czuła na sobie to palące spojrzenie.

Na pomoc Mihrimah pospieszył silny głos. Nie wiedziała, z której strony dochodzi. W tej samej chwili na pokładzie wybuchło zamieszanie. Wszyscy się rozpierzchli.

Mihrimah bała się odwrócić i spojrzeć. Obawiała się ponownie spotkać z tymi oczami.

– Moja sułtanko! Moja sułtanko!

Zadrżała. To opiekunka wołała do niej. Spojrzała podejrzliwie na dziewczynę. Esma starała się dać jej znak, że powinna się rozejrzeć, co się dzieje wokół. Ze strachem odwróciła głowę.

Nie było go! Zniknął.

Wpatrywała się w nią inna para oczu.

Tym razem Mihrimah wstrząsnęło całkiem inne uczucie. „Czyżby ojciec kapitan domyślił się, że wymieniałam spojrzenie z jednym z jego leventów? – pytała siebie z obawą. – Może niania też to zauważyła. Wszyscy to pojęli”.

Jej twarz znów oblała się rumieńcem. Postanowiła przy pierwszej okazji spytać o to Esmę.

Jak gdyby nic zajęła się obserwowaniem żołnierzy. Wielki chór, który przed chwilą śpiewał marynarską pieśń, wspominając jej imię, teraz uwijał się dookoła z niewiarygodną prędkością. Niektórzy wspinali się na maszty po linowych drabinkach, inni biegli na dziób, a jeszcze inni na rufę.

– Dalej! – krzyknął ktoś z dołu.

Potem nastąpił wielki wybuch. Ogromny okręt zachybotał się. Podczas gdy Mihrimah próbowała zrozumieć, co się stało, zobaczyła, że ze strachu twarz Esmy stała się blada jak ściana.

– Dalej! – rozbrzmiał ponownie okrzyk.

I jeszcze jeden wybuch.

Zadrżeli.

Esma znów zaczęła odmawiać modlitwy.

Mihrimah zamierzała spytać kapitana Hyzyra, co się dzieje, gdy mężczyzna powiedział:

– To strzały na waszą cześć, sułtanko. Levenci pozdrawiają cię i witają.

Niedługo potem znaleźli się na dole, w kabinie kapitana. Tył kabiny na całej szerokości pokryty był szkłem. Na środku stał ogromny stół zasłany wieloma zwiniętymi dokumentami oraz zastawiony przedmiotami, których przeznaczenia nie znała. Koja kapitana znajdowała się po prawej stronie.

Mihrimah skierowała się prosto do okna.

– Ruszyliśmy, ojcze kapitanie?

– Tak, sułtanko. Dostałem zgodę od naszego pana, żeby zabrać cię na krótką wycieczkę. Popływamy przez godzinę, a potem pożegnamy naszą sułtankę.

Mihrimah spojrzała na powoli oddalające się zalesione wzgórze. W cieniu drzew niewyraźnie malował się Nowy Pałac.

– Pamiętasz, Esmo? – odezwała się do opiekunki. – Stamtąd oglądałyśmy razem statki, a teraz patrzymy tam z pokładu okrętu. I to z galery bohaterskiego kapitana Hyzyra.

Dziewczyna tylko pokiwała głową. Jasne było, że myśli w tej chwili: „Szkoda, że i teraz nie oglądamy wszystkiego stamtąd. Jakby nie dość było półgodzinnej podróży łodzią, a potem

wspinania się na wielki okręt po przytwierdzonym linami, wąskim i mokrym trapie, dział wystrzeliwujących kule z przeraźliwym hukiem, a teraz jeszcze to wypłynięcie na nieustannie unoszące się i odpadające morze. Tego już było za wiele. Martwi mnie jeszcze jedno. Jak zejdziemy z tego statku?”.

Natomiast Mihrimah w tym samym czasie starała się wymazać z pamięci płonące żarem oczy, które widziała na pokładzie. Chciała obłaskawić Esmę próbującą ustać na nogach, przytrzymując się stołu, chwytając ją za ramię. Może skupienie uwagi na czymś innym pomoże jej zapomnieć.

– Niedługo ponownie wejdziemy na pokład, sułtanko. – Z rozmyślań wyrwał ją głos kapitana. – Nie zapomniałem o obietnicy, jaką ci złożyłem. *Pofruniecie na falach*, ale najpierw powinniśmy się napić czegoś ciepłego. – Odwrócił się i spojrzał na Esmę. – Ta pani też tego potrzebuje. Zdaje się, że bardzo się przestraszyła.

– Wy niczego się nie boicie, ojcze kapitanie? – zapytała i zaraz pożałowała.

„Czy takie pytanie należy zadać marynarzowi, którego odwaga słynna była na siedmiu morzach[46]?”, skarciła się w duchu.

Kapitan uśmiechnął się, głaszcząc rudą brodę.

– Boję się, sułtanko.

Nawet Esma nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Nie wierzę – oznajmiła Mihrimah, kręcąc głową. – Robicie sobie żarty. Czy wielki kapitan Hyzyr może się czegoś bać?

– Oczywiście.

– Czego? Czego się boicie? – zapytała Mihrimah, nie odrywając wzroku od kapitana.

– Zdrady, sułtanko. Boję się zdrady.

– Myślałyśmy, że niczego się nie boicie.

– Zdrada to robota diabła, moja pani. Odbiera szczęście. Zabiera duszę. Wygasza ognisko. Nie pozostawia człowiekowi ani chwały, ani sławy.

Mihrimah zamyślona podeszła do szyby. Jej matka też najbardziej bała się zdrady. Odkąd po raz pierwszy usłyszała to

słowo od Hürrem, już samo jego brzmienie ją przerażało.

– Nieważne, jak silne i dzielne masz serce – ciągnął kapitan – musisz bać się zdrady i pomówień – mawiali nasi przodkowie. Mieli rację.

– Doświadczyliście kiedyś zdrady?

Kapitan pokiwał głową.

– Poznaliśmy gorycz zdrady.

Mihrimah delikatnie przysiadła na koi kapitana.

– Opowiecie o tym?

Hyzyr zawahał się przez chwilę. „Jaki ma sens mącenie szczęścia sułtanki takimi nieszczęsnymi słowami i wspomnieniami", pomyślał.

W tej samej chwili zapukano do drzwi. Kapitan zauważył, że sułtanka Mihrimah podskoczyła. Przed chwilą na pokładzie również wydała mu się dziwna. „Zupełnie jakby myślami była gdzie indziej". Może przestraszyła się tego nagłego pukania.

Drzwi nie otworzyły się, dopóki kapitan nie powiedział: „Wejść!".

Mihrimah poczuła, że jej serce znów zaczyna przyspieszać. Zdała sobie sprawę, że chciałaby, żeby drzwi się otworzyły i aby do środka wszedł *on*. Ogarnęła ją panika.

Drzwi ze skrzypieniem powoli się otworzyły i… wszedł przez nie jeden z marynarzy, trzymając w rękach tacę.

To nie był on!

Mihrimah ogarnęły sprzeczne uczucia – od ulgi do rozczarowania.

– Gorący sorbet cynamonowy.

Mihrimah doszła do siebie dopiero wtedy, gdy poczuła dotyk Esmy.

– Słucham?

– Gorący sorbet cynamonowy. Rozgrzeje was, sułtanko.

Kapitan Hyzyr nie wiedział, co mogła oznaczać ta przedłużająca się zaduma. „To pewnie z ekscytacji – pomyślał. – Dziś przeżywa to, o czym marzyła od lat".

Mihrimah upiła łyk cudownie pachnącego sorbetu, nad

którym wciąż unosiły się kłęby pary.

– Mieliście opowiedzieć o zdradzie – podjęła, próbując odepchnąć od siebie myśli niedające jej spokoju.

Kapitan Hyzyr odsunął krzesło i usiadł.

– Jak wiecie – zaczął – a raczej, jak zapewne słyszeliście. – Znów zamilkł. – Było nas czterech braci – Arudż, Eljasz, Iszak i ja. Pływaliśmy od portu do portu, kupowaliśmy i sprzedawaliśmy towary.

Kapitan Hyzyr przerwał na chwilę, jakby na nowo przeżywał tamte dni.

– Kawalerowie Rodyjscy zaatakowali nasz statek i wzięli mojego brata do niewoli. W bitwie zginął mój brat Iszak. Dzięki zapłaceniu okupu mnie i mojemu bratu Arudżowi udało się ujść z życiem. Tamtego dnia złożyliśmy przysięgę. Skoro taki jest świat, my też będziemy trudnić się korsarstwem. I tak zaczęliśmy polować na Morzu Śródziemnym na okręty giaurów. Szerzyła się nasza sława, rośliśmy w siłę. Aż w końcu statki hiszpańskie, weneckie i genueńskie bały się wypływać. Nawet mewy latające nad Morzem Śródziemnym nie machnęły skrzydłami bez naszego pozwolenia. – Zamilkł na chwilę i westchnął głęboko. – Właśnie w tym czasie lud Genui przesłał wiadomość: „Jesteśmy w niewoli hiszpańskiej. Skoro Arudż i jego bracia są muzułmanami, niech przybędą i nas uratują". Więc przybyliśmy i zrobiliśmy to, o co prosili. Radowali się i świętowali. „Niech to będzie wasza ojczyzna", powiedzieli. Ogłosili mojego brata władcą. My natomiast, zostawiwszy tam Arudża, udaliśmy się tam, gdzie nasze miejsce – na morze. Jednak…

Mihrimah widziała wszystkie te obrazy przed oczami, zupełnie jakby razem z nimi przeżywała te wydarzenia. Była pod wrażeniem, z jaką skromnością opowiadał o swoich zwycięstwach i bohaterstwie.

Kapitan wstał i podszedł do okna na tyłach kajuty. Przez chwilę obserwował ginącą na horyzoncie sylwetkę Stambułu.

– Jednak? – zapytała Mihrimah.

Kapitan Hyzyr odwrócił się, podszedł do córki sułtana

Sulejmana i wbił w nią wzrok.

– Jednak, sułtanko… – westchnął. – Diabeł wkroczył do działania. Ci, którzy wzywali nas: „Przybądźcie i uratujcie nas", tym razem w zamian za wielką ilość złota ułożyli się z królem hiszpańskim. Pewnej nocy otworzyli bramy twierdzy dla przybyłych na wybrzeże hiszpańskich giaurów. Dostarczyli im mojego brata, kapitana Arudża, przed którym jeszcze przed chwilą padali na kolana. Hiszpanie zakuli go w łańcuchy i zabrali. W Hiszpanii zapakowali go na wóz, obwozili po mieście, pokazując ludowi. Pluli na mojego dzielnego brata. Dźgali go kijami, lancami i szablami. Torturowali. Obcięli mu głowę.

Głos kapitana Hyzyra drżał. Mihrimah czuła jego ból.

– Ale wciąż było im mało – mówił dalej kapitan. – Nabili głowę mojego brata na pal i wędrowali z nim od miasta do miasta.

Zapadła świdrująca cisza.

Dało się słyszeć szloch. Kapitan, widząc łzy spływające z oczu Mihrimah, nie wiedział, co zrobić.

– Sułtanko – powiedział cicho. – Wybaczcie, że starzec, który sprowadził was tutaj, żeby was uszczęśliwić, zasmucił was, opowiadając o swojej przeszłości.

– A kara za zdradę? – zapytała Mihrimah. – Wymierzono karę? Jego śmierć została pomszczona?

– Żadna głowa nie pozostała przy ciele, a kamień na kamieniu. Wymierzyliśmy zdrajcom karę, na jaką zasługiwali. Jednak zemsta nie wróci życia mojemu bratu. Co mi z tego przyszło, nawet jeśli za głowę Arudża ściąłem tysiąc głów? Jeśli chodzi o mnie, nie tysiąc, ale milion głów zdrajców to mało, żeby pomścić Arudża!

– A Hiszpanie?

– Popłynęliśmy na nich, ale uciekli. Ruszyliśmy za nimi, ostrzelaliśmy z dział wybrzeża, ale nie wyszli. Palący nas ogień zemsty nie zgasł. Jeszcze nie wymierzyliśmy kary giaurom, którzy narazili mojego brata na tyle zła, obelg i zniewag. Nie rozbiliśmy hiszpańskiej armady. Ale złożyliśmy przysięgę. Dopóki ta dusza mieszka w tym ciele…

– Czego potrzeba, ojcze kapitanie? Czego potrzeba, żeby wymierzyć karę za przelaną krew naszego dziada Arudża?

Gdy Hyzyr się odwrócił, Mihrimah wpatrująca się pełnymi zamyślenia oczami w morze zwróciła do niego głowę. Spojrzenie córki sułtana Sulejmana było bardzo zdecydowane.

– Czego potrzeba? – zapytała ponownie Mihrimah, nie odrywając wzroku od kapitana Hyzyra.

– Szesnastu nowych galer.

Kapitan widział ogień płonący w oczach Mihrimah.

– Gdybym miał jeszcze szesnaście galer, zamknąłbym Morze Śródziemne dla hiszpańskiej armady. Odpłacę im za krew Arudża. Później przyjdzie czas na ocean…

– Ocean? To niekończące się morze?

Kapitan się uśmiechnął.

– Posłuchajcie nas, sułtanko – zaczął miękkim głosem. – Każde morze ma swój koniec. Pewien kapitan, nazywa się Kolumb, udowodnił, że ocean też. Na jego krańcu jest Nowy Świat. Moim obowiązkiem jest otworzyć bramy Nowego Świata dla Imperium Osmańskiego.

– Dlaczego?

– Z tego świata płynie złoto. Ten, kto je zdobędzie, stanie się tak bogaty, że może przyćmić blask imperium.

Mihrimah wyprostowała się nagle.

– Co ty mówisz, ojcze kapitanie? Czy coś może przyćmić blask Wielkiego Imperium Osmańskiego?

Jakby zniknęła ta rozmarzona, romantyczna dziewczyna, a jej miejsce zajęła władczyni.

– Nie ma wiecznej światłości, sułtanko. Jeśli nie chcesz, żeby blask zgasł, musisz znaleźć nowe źródła, dziewicze bogactwa, które będą go karmić. I te bogactwa są właśnie na drugim krańcu oceanu. Tak mówią ci, którzy tam byli i to widzieli. Na nowym kontynencie góry są ze złota, rzekami płyną rubiny, a lasy okrywają szmaragdy. To właśnie jest bogactwo. Teraz setki statków wiezie to złoto do największego wroga naszego pana – cesarza Karola.

– W takim razie – odezwała się Mihrimah – te szesnaście galer, o których wspomnieliście, zostanie wybudowanych. Blask państwa osmańskiego nigdy nie zgaśnie.

Kapitan Hyzyr nie wiedział, co powiedzieć. „Gdyby tylko rozum Wybrańca Ibrahima Paszy był taki jak tej młodziutkiej dziewczyny”, przeszło mu przez myśl.

Dwa dni tłumaczenia nie pokonało ślepego uporu wezyra i nie przekonało go o wadze morza, a pokonają go życzenia i prośby córki sułtana?

Mimo wszystko z sympatią skinął głową.

– Wiedzcie, że nawet bez szesnastu nowych galer podbiliście serca marynarzy naszego pana. Ani szesnastu, ani sześciu. Ilekroć wypłyniemy w morze, będziecie zdobić ich nadzieje.

Mihrimah z równym szacunkiem odpowiedziała na pozdrowienie starego kapitana.

– Zobaczymy – powiedziała zdecydowanym głosem – jak levenci naszego pana będą służyć Wielkiemu Imperium Osmańskiemu ze swoimi szesnastoma galerami.

Później odwróciła się i oznajmiła do opiekunki:

– Chodź. Ucałujmy dłoń naszego ojca kapitana i wyjdźmy na pokład. Jeszcze nie fruwaliśmy po falach.

*

Gdy tylko wyszła na pokład, zaczęła szukać go wzrokiem. Nigdzie go nie widziała. Na pokładzie nie pozostał żaden ślad po tym niedawnym zamieszaniu. Zniknęli levenci wspinający się po linach i sznurowych drabinkach. Pozostał tylko szum statku przecinającego fale i huk wiatru uderzającego w żagle.

Z ekscytacją podbiegła na prawą burtę i spojrzała w dół. Wiosła okrętu w jednej chwili podnosiły się i chwilę później wszystkie razem opadały w błękitne wody.

Stamtąd Mihrimah przebiegła na dziób. Wiatr porwał jej z głowy chustę. Esma złapała ją, zanim wpadła do morza. Tym razem patrzyła na rozbijające się o dziób, pieniące się wody z lewej burty. Przyglądała się, jak wiosła pieszczą morskie fale.

Rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć wiatr, który rozbijał się o dziób okrętu i chwytał jej włosy, szarpiąc nimi na wszystkie strony.

– Frunę, Esmo! – krzyknęła. – Widzisz?! Frunę ponad falami!

– Bądźcie ostrożne, sułtanko – wyszeptała dziewczyna, próbując odsunąć ją od relingu. – Jeśli jeszcze raz chcecie go zobaczyć, nie patrzcie na morze, ale dookoła.

Nowy Pałac, harem

Mihrimah leżała z otwartymi oczami. Nie wiedziała dlaczego, ale teraz nie potrafiła już tak łatwo zasnąć. Noce, kiedy pogrążała się we śnie, gdy tylko jej głowa dotknęła poduszki, odeszły w przeszłość. Jej umysł ścigał tysiące myśli. Podnosiła żagle i ruszała za marzeniami.

„To kłamstwo", mruknęła do siebie. Właściwie wiedziała, co spędza jej sen z powiek. Nie mogła przestać myśleć o nim. Pomimo najszczerszych chęci nie potrafiła wymazać z pamięci obrazu marynarza, który usidlił ją spojrzeniem na admiralskim okręcie kapitana Hyzyra.

„To też kłamstwo – westchnęła, wpatrując się w pozłacane ryty na suficie. – Nie chcę zapomnieć tych oczu pełnych żaru. Kim on był? Jak miał na imię? Skąd pochodził? – A potem przychodziło pytanie, pod wpływem którego drżała z przejęcia. – Spodobałam mu się?".

Tego dnia, zanim opuściła statek, starając się nie dać tego po sobie poznać, dokładnie rozejrzała się po pokładzie, jednak nigdzie go nie widziała. Było to dziwne, ale poczuła tęsknotę. Zupełnie jak w tej chwili.

Schodząc do łodzi, pod pretekstem pożegnania się z ojcem kapitanem, po raz ostatni spojrzała na pokład. Nie było go wśród odprowadzających ją marynarzy. Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały, a później czarnowłosy levent zniknął. „A może było to tylko złudzenie". Ogarnęły ją wątpliwości, gdy schodziła po stopniach.

Powoli stawiała kroki, uważając, żeby nie spaść. Dopóki nie zeszła na pomost przywiązany do łodzi linami, które miały imitować schody, nie podniosła głowy. Delikatnie unosząc suknię, żeby jej nie przydeptać, przygotowała się do zejścia na łódź.

Nagle zobaczyła wyciągniętą w jej stronę dłoń.

– Czy posunę się za daleko, jeśli poproszę, żeby sułtanka

przytrzymała się mojej ręki, aby łatwiej jej było wsiąść?

Mihrimah powoli uniosła głowę, żeby zobaczyć właściciela tego grubego głosu, który przyprawiał ją o drżenie.

„O mój Boże! Levent o płomiennym spojrzeniu!”.

Poczuła, że odbiera jej dech. W jej głowie rozległy się okrzyki radości. Na pokładzie przyglądała się niemal każdemu marynarzowi, żeby tylko móc zobaczyć go choćby jeszcze raz. W chwili gdy uwierzyła, że było to tylko złudzenie, znów przed nią stanął. A do tego wyciągał rękę, żeby mogła się przytrzymać. To znaczy, że będzie jej towarzyszył aż do Przylądka Pałacowego.

„O, mój Boże!”, krzyknęła w duchu nie wiadomo który raz tego dnia, ale za każdym razem z jego powodu.

Ich spojrzenia ponownie się spotkały. Mihrimah, z mocno bijącym sercem, wyciągnęła do niego maleńką rączkę. Ich dłonie się zetknęły.

Mihrimah wsiadła na łódź, drżąc pod wpływem dotyku wielkiej i szorstkiej, ale ciepłej i dającej poczucie bezpieczeństwa dłoni mężczyzny.

„Czyżby to było to, co nazywają miłością?”, pomyślała po raz pierwszy, zajmując miejsce na przygotowanym dla niej siedzisku obszytym brokatową nicią. „Nic z tych rzeczy – sprzeciwiła się. – Jaka miłość? Czy człowiek może zakochać się od pierwszego wejrzenia? Po raz pierwszy wymieniłaś spojrzenie z mężczyzną. To wszystko”.

– Sułtanko… – odezwał się levent o płomiennym spojrzeniu.

Ten gruby, męski głos przyprawił ją o drżenie.

„Więc jak to nazwać? – Mihrimah dalej prowadziła rozmowę ze sobą. – Wystarczy jego wzrok, jego głos, a cała drżę”.

– To wielki honor dla waszego sługi – dokończył marynarz, kłaniając się delikatnie, i powoli puścił jej rękę.

Od tej chwili Mihrimah była zdezorientowana. Nie zważając na szturchnięcia siedzącej obok niej Esmy i uważając, żeby nikt tego nie zauważył, zerkała na mężczyznę siedzącego przy trzecim rzędzie wioseł. „Czy weźmie mnie za rękę, gdy będę wysiadała z łodzi?”, zastanawiała się.

Jednak tak się nie stało. W przystani pałacowej została przywitana przez sztab służących, którzy przypomnieli jej, że jest córką sułtana Sulejmana. Nikt nie dałby rady przecisnąć się między nimi, żeby podać jej rękę, a co dopiero levent. Stawiając stopę na lądzie, po raz ostatni spojrzała za siebie. To wszystko.

Była wyczerpana z powodu braku snu. Gdy zaś o świcie zdrzemnęła się na chwilę, dręczyły ją dziwne sny. Sny wywołujące w niej przerażenie.

Ręka… Nie widać było, do kogo należy, ale była wielka. Krążyła po całym jej ciele. Głaskała ją, ściskała, gniotła, dotykała, szczypała. „Przestań! – krzyczała Mihrimah. – Przestań! Nie chcę!”.

Jednak w największe przerażenie wprawiało ją to, że rzeczy, przed którymi tak się wzbraniała, sprawiały jej doprowadzającą do obłędu przyjemność.

Ale to nie wszystko. Bezwstydna ręka zaczynała ją rozbierać. Mihrimah nawet we śnie się wstydziła. Czuła, że zapada się pod ziemię. Przekonywała siebie: „Nie, to nie jest prawda. To sen. Niedługo będzie rano, obudzę się i wszystko się skończy”. Jednak sen trwał. Mihrimah wiła się wściekle.

Oblana potem wyskakiwała z łóżka, a zdawszy sobie sprawę, że wiła się z rozkoszy, przeżywała kolejny szok. „Miej mnie w opiece! Miej mnie w opiece!”, krzyczała w duchu. Myślała, że wszyscy na nią patrzą, i czuła się zbrukana.

Tego ranka znów obudziła się drżąca z rozkoszy i pełna wstydu.

– Co ci jest, sułtanko? – zapytała ją opiekunka.

Esma już dawno zauważyła dziwne zachowanie dziewczyny.

– Nic.

– A jednak – upierała się Esma. – Odkąd wróciłyśmy z okrętu ojca kapitana, coś się stało naszej sułtance. Jęczycie nocami…

– Jęczę?

– Tak, moja sułtanko. Jęczycie.

Ściągnęła na siebie wstyd. Zatem to, co przeżywała w snach,

rodziło w prawdziwym życiu tak żenujące skutki.

– Jesteście chore?

– Powiedziałam, że nic mi nie jest.

Opiekunka wcale jej nie uwierzyła.

– A może to ten czarnowłosy dżygit?

Mihrimah podniosła się rozgniewana.

– Cóż to za słowa, Esmo?!

Jej głos był pełen złości, ale oczy mówiły: „Tak. To on”.

Srogo spojrzała na opiekunkę.

– Nie chcę tego więcej słyszeć.

– Jeśli chcecie, wydajcie mnie na pastwę kata lub usuńcie ze służby, ale powiem, co o tym sądzę, sułtanko. Ponieważ już dorosłyście. Jestem waszą opiekunką, odkąd byłyście małym dzieckiem. Jednak teraz stałyście się piękną panną. Piastunka powinna być nie tylko służącą, ale też powierniczką. Jeśli macie jakieś zmartwienie i nie zwierzycie się z niego Esmie, to komu?

– Powiedziałam, że nic mi nie jest, Esmo – odparła i zniżyła głos. – Ja… – wyszeptała zawstydzona. – Właściwie jest coś.

– Powiedz, jaki masz kłopot, sułtanko. Coś na to zaradzimy. To, co gnębi moją piękność, boli też Esmę.

– Ale nikomu nie powiesz…

– Nie powiem.

– Przysięgnij.

– Przysięgam. Przysięgam na Boga.

Mihrimah przysunęła się do opiekunki i wyszeptała jej swoje sny.

Esma w milczeniu wysłuchała ją do końca. Tylko raz zapytała:

– On? To on was pieści?

– Nie! – rzuciła natychmiast Mihrimah. – Nie wiem… Nie ma twarzy. Tylko ręka. To wszystko.

Ze wstydu policzki jej płonęły.

– Nie mogę spojrzeć matce w oczy, Esmo – oznajmiła na koniec. – Nie mogę spojrzeć nikomu w oczy. Nie chcę mieć takich snów. Żeby nie śnić, próbuję nie zasnąć.

Tym razem Esma, starając się nie przekraczać granic szacunku, ujęła rękę Mihrimah w swoje dłonie.

– Ach, moja najpiękniejsza z pięknych – powiedziała powoli. – Czego tu się wstydzić? Wszystkim zdarzają się takie rzeczy.

– Tobie też?

Esma pokiwała głową, patrząc przed siebie.

– Ty też czujesz przyjemność? – Głos Mihrimah był teraz ledwo słyszalny.

Opiekunka uniosła głowę i spojrzała na dziewczynę. Nastała długa cisza.

– Tak – przyznała zawstydzona, jakby ktoś zarzucił jej winę. – Gdy dochodzi się do pewnego wieku, szatan zaczyna tak zwodzić człowieka.

– Szatan?

– Tak. Rozbudza pragnienia w naszym ciele, sprawia, że czerpiemy z tego przyjemność, i nakłania nas do grzechu.

Mihrimah kilka razy próbowała coś powiedzieć, przełknęła ślinę, ale Esma zrozumiała.

– Powiedz, sułtanko. Nie wstydź się.

– Te sny… – zaczęła z ociąganiem. – Te sny widzę od tamtego dnia. Od dnia, w którym go zobaczyłam. Czyżby ręka, którą widzę w snach, należała do niego?

Esma powoli uniosła głowę Mihrimah, wpatrującej się ze wstydem w przestrzeń, i spojrzała jej w oczy. Zrozumiała, że dziewczyna z całego serca pragnie, żeby tak było.

– Myślę, że to on.

Ta rozmowa tylko spotęgowała wstyd i strach Mihrimah. Zniknęły resztki jej radości. Słowa Esmy nieustannie rozbrzmiewały w jej głowie: „Gdy dochodzi się do pewnego wieku, szatan zaczyna tak zwodzić człowieka”.

Czyli dżygit o płomiennym spojrzeniu, który wywrócił jej życie do góry nogami, był diabłem. Próbował nakłonić ją do grzechu.

Całkiem zamknęła się w sobie. „*Jestem grzesznicą* – powtarzała sobie cały dzień. – W moim łóżku jest szatan”.

Tej nocy, aż do rana, siedziała na łóżku, nie zmrużywszy oka.

„Nie chcę żyć z diabłem”, szlochała. Myślała, że już nigdy go nie zobaczy. Jak miała go zobaczyć? Było niemożliwe, żeby jeszcze raz wsiadła na okręt kapitana Hyzyra. Oczywiście on też nie miał sposobności wejścia do pałacu.

„Dobrze. – Na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech. – Skoro go nie zobaczę, uwolnię się od diabła”. Jednak w jednej chwili miejsce tej rodzącej się radości zastąpiła nieopisana udręka. „Chcę go zobaczyć – jęknęła z przerażeniem. – Czyżbym pokochała diabła?”.

Nawet myśl o tym wystarczyła, żeby serce Mihrimah zaczęło bić szybciej. „Jakiego diabła? – Opierała się wyniszczającemu ją wstydowi. – To tylko wymysły Esmy. Nie daj się ogłupić słowom piastunki”.

Czy naprawdę oczy, które rozpalały jej serce, sprawiały, że obudziły się w niej uczucia i pragnienia, jakich wcześniej nie znała, mogły należeć do szatana? Czy to diabeł postawił na jej drodze tego leventa, żeby nakłonić ją do grzechu? Czy to możliwe?

„Dobrze, zatem tak będziesz żyć? Nie wyruszysz za prawdą, żeby móc znaleźć odpowiedź na pytanie, które nieustannie zadaje twoje serce?”, rozbrzmiał głos w jej głowie.

Zatrzymała się na chwilę.

– Wyruszę – powiedziała, wpatrując się w ponure ściany swojej komnaty, po których przemykały mroczne cienie. – Dowiem się, czy to szatan, czy nie, i odpowiem swojemu sercu.

Dlatego powinna zobaczyć go chociaż jeszcze raz. Ale jak? Wyglądało na to, że to niemożliwe.

Zmęczyły ją te rozmyślania. Zwinęła się na łóżku. „Esma znajdzie jakiś sposób – pomyślała. – Łatwo było powiedzieć, że jest się czyimś powiernikiem. W takim razie niech znajdzie jakieś rozwiązanie. Przynajmniej może się dowiedzieć, jak ma na imię ten dżygit. Może wymyśli jakiś sposób, żebym przesłała mu wiadomość”.

Mihrimah naciągnęła na siebie kołdrę. „Opowiem o tym

matce. Jeśli to miłość, to miłość, jeśli szatan – szatan. Kto będzie to wiedział lepiej niż ona? Jeśli to miłość, wskaże mi drogę. Jeśli szatan, wyrzucę go z mojego serca”.

Zamykając powieki, zdała sobie sprawę, że skrycie czeka na ten sen. Zadrżała i oddała się w jego ramiona.

*

Jednak matka nie była w stanie zajmować się miłosnymi rozterkami Mihrimah. Zauważyła zmianę w swojej córce. Na początku wiązała to z poczuciem dojrzałości, jakie stworzyło w niej oddanie się sprawom państwa, po tym jak ojciec zabrał ją ze sobą, żeby przysłuchiwała się zgromadzeniu Rady Pałacowej. Jednak szybko zorientowała się, że tak nie jest. Nawet gdy kilka razy ją podpytywała, Mihrimah nie zdradziła swojej tajemnicy. Kiedy zaczęła miesiączkować, zrobiła to samo. Wiele dni nie wychodziła do ludzi. W końcu wszystko sama sobie uporządkowała. Pewnie i tym razem tak będzie. Postanowiła więcej nie nalegać. Teraz Hürrem miała na głowie większe zmartwienia niż stany ducha Mihrimah. Zbliżało się przerażające niebezpieczeństwo.

Jej najstarszy syn, książę Mehmed, był już duży. Tron osmański nie należał się synowi Gülbahar – Mustafie, ale jemu. „Kogo poślubił Sulejman? – pytała siebie nocami. – Mnie”. Po tym następowało kolejne pytanie: „Kto dzieli łoże z Sulejmanem? Ja. Hürrem. Ukochana uśmiechnięta muza sułtana Sulejmana”.

W takim razie tron Sulejmana powinien należeć do jej syna. „Ta wiedźma Gülbahar też o tym myśli”, grzmiała, walcząc ze snem. Szpiedzy donieśli jej, że ludzie Gülbahar gnieżdżą się w każdym zakątku pałacu. Hürrem bała się, że coś złego przytrafi się jej synowi.

Książę Mustafa też jest już dorosły. Wielki wezyr Ibrahim Pasza i wojsko wspierali Mustafę, nienawidzili jej i dzieci. Mając to na uwadze, chłopak mógł próbować zwrócić się do Ibrahima o pomoc w przejęciu tronu.

„Ta chorwacka świnia może to zrobić – nieustannie snuła

domysły Hürrem. – Udając, że stoi po stronie Mustafy – nie daj Boże – może obalić Sulejmana i przejąć całą władzę. A później udusi Mustafę".

Nie obchodziło jej życie Mustafy. Ale jeżeli spełniłoby się to, czego się obawiała, Ibrahim nie zostawiłby przy życiu także jej i dzieci. Kto wie, jakie zdradzieckie plany miał Ibrahim?

Hürrem bała się jeszcze czegoś. Buntu, takiego jak janczarzy wzniecili dziesięć lat temu. Już nawet zaczęli podważać władzę Sulejmana, ponieważ nie wyruszał na wyprawy wojenne. Mogli się zbuntować i osadzić na miejscu ojca Mustafę. „W końcu Saruhan[47] był bardzo blisko Stambułu", mówiła sobie. Czy Sulejman nie odpowiadał za każdym razem: „Gdy będąc w Manisie, dowiedzieliśmy się, że Bóg wezwał do siebie naszego ojca, wskoczyliśmy z Ibrahimem na konie i ruszyliśmy z kopyta. Dojechaliśmy do Üsküdaru drugiego dnia, gdy rozbrzmiewał nocny ezan".

Przede wszystkim trzeba było zrobić coś, żeby Mustafa został wysłany gdzieś dalej. Tam, skąd nie będzie w stanie dotrzeć do Stambułu w dwa dni. W jego miejsce należy umieścić tam Mehmeda, żeby w razie potrzeby jej najstarszy syn dotarł do stolicy przed Mustafą.

Jeśli nie osadzi na tronie Sulejmana kogoś ze swojej krwi, nikt ich nie uratuje. Nikt.

Dlatego teraz, zostawiwszy frasunki Mihrimah, musiała natychmiast wykorzystywać wpływ, jaki ma na ojca. Tymczasem jej ukochana córka nie miała nawet pojęcia o swojej sile. Hürrem podjęła decyzję. Powinna sprawić, że Mihrimah poczuje swoją potęgę. A ona nauczy ją, co z nią zrobić.

*

Podczas jednej z bezsennych nocy Mihrimah wstała. Nie budząc Esmy śpiącej na materacu nieopodal drzwi, przez jakiś czas krążyła po komnacie.

Nie mogła się zdecydować. Z jednej strony czekała, żeby odwiedził ją w snach, aby po raz kolejny przeżyć tę wielką

rozkosz, z drugiej – bała się. *Musiała uwolnić się od szatana*. Wyglądało na to, że nie poradzi sobie, ukrywając to przed matką. Czy jej również przychodziły do głowy takie rzeczy? Jeśli wierzyć Esmie, wszystkich to dręczyło. Skoro ojciec nieustannie nazywał ją aniołem, znaczyło to, że matka nie ma nic wspólnego z diabłem albo się od niego uwolniła. Zapewne znała sposób, żeby się z tego wyswobodzić, albo znała kogoś, kto mógł jej doradzić.

Ogarnięta czarnymi myślami otworzyła drzwi. Przez chwilę czekała w ciszy, żeby upewnić się, że Esma się nie obudziła. Opiekunka leżała odwrócona do ściany i szeptała coś przez sen.

Mihrimah wyszła z komnaty. Dwie spośród trzech służących w sąsiednim pokoju spały głęboko. Firdevs nie było w łóżku. Właściwie miała na imię Arszalujsz, co oznaczało „świt", ale gdy została oddana do pałacu, jej ormiańskie imię zamieniono na imię perskie. Mihrimah nie uważała tego za właściwe. Co takiego stałoby się, gdyby jej matkę wciąż nazywano Aleksandra? Czy wraz ze zmianą imienia zmieniały się pochodzenie, rodzina, religia lub wiara? Czy to możliwe? „Nie", odpowiadała sobie za każdym razem. Gdyby to było możliwe, czy jej matka wciąż przedstawiałaby się Aleksandra Anastazja Lisowska? Gdyby to było możliwe, czy wciąż nazywałaby ją swoją „piękną Dunjaszką", jak wciąż to robiła, gdy zostawały same? Będąc sama, wciąż mówiłaby do ścian w tym dziwnym języku „stepów, ośnieżonych szczytów i zimnych jak lód potoków"? Czy niestrudzenie próbowałaby nauczyć go Mihrimah?

„Nieważne", pomyślała, wychodząc z komnaty na korytarz. Teraz nie pora na to, żeby o tym myśleć. Martwiła się, bała, wstydziła i tęskniła za jego płonącym spojrzeniem.

Nie wiedząc, co robi i dokąd idzie, szła bez celu. Wiedziała, że gdyby poszła prosto na dziedziniec z sadzawką, której szum wody słyszała nawet z miejsca, w którym się znajdowała, natknęłaby się na jedną z kalf pełniących wartę. W rezultacie takiego spotkania musiałaby wrócić do łóżka. Nie miała takiego zamiaru, bo tam czekał na nią szatan.

Żeby nie zostać złapana, skierowała się do części

przeznaczonej dla służby. Najpierw skręciła w lewo. Z pokoi dochodziło chrapanie przypominające grzmienie burzy. Jednak Mihrimah wiedziała, że śpią zajęczym snem. Słysząc najmniejszy hałas, natychmiast się zrywały i mówiły: „Słucham, sułtanko". *Hałasowanie* w pałacu wciąż jeszcze było przywilejem Mihrimah.

Przeszedłszy kawałek, skierowała się w prawo i starała się nie zgubić w przypominających labirynt wąskich haremowych korytarzach. „Ciekawe, gdzie jest Firdevs", zastanawiała się. Gdyby ją znalazła, mogłaby ją trochę podpytać. Oczywiście, jeśli nie zasnęła w czyimś pokoju. „Nie posądzaj zaraz dziewczyny o grzech – skarciła się w duchu. – Może Esma zadała jej jakąś pracę na rano albo poszła do łaźni". Gdy odaliski rozchodziły się do swoich sypialni, niektóre służące potajemnie zażywały kąpieli w ich łaźni. Właściwie nie był to żaden sekret. Wszyscy o tym wiedzieli i udawali, że tego nie widzą. Dlatego piece w łaźni odalisek wygaszano później.

Sądząc, że może znaleźć Firdevs w pobliżu łaźni, ponownie skręciła w prawo. Poruszała się powoli, ponieważ nie znała tej części pałacu. „Jeśli się zgubisz, będzie wstyd, Mihrimah", przestrzegała się. Odaliski opowiadałyby o tym niestworzone historie: „Słyszałaś, że córka sułtana Sulejmana zgubiła się w haremie?".

Dokładnie w chwili, gdy przechodziła przed prywatnymi komnatami, usłyszała jakiś głos. To był *jęk*.

Serce ścisnął jej strach. Przypomniała sobie rady matki i ojca: „Cokolwiek by się działo, nie chodź nigdzie sama".

A teraz była sama.

Wszystko spowijał gęsty mrok. Latarnie na korytarzu i mdłe światło sączące się spod drzwi nie służyły niczemu oprócz tworzenia jeszcze bardziej przerażającej atmosfery.

Znów usłyszała jęk. Więc się nie myliła. Miała gęsią skórkę.

Przywarła plecami do ściany i przycisnęła ręce do piersi, jakby próbowała uciszyć rozedrgane serce.

Wytężyła słuch.

Jeszcze wyraźniej słyszała jęki i westchnienia. „Pewnie

któraś ze służących się rozchorowała”, pomyślała.

Ponownie rozległy się cienkie, pełne skargi jęki. Inaczej niż w chorobie wydawały się zawierać tajemnicze i dziwne pragnienie. Przepełnione zachwytem drżące westchnienia. Pełne skargi, ale czarowne szepty. Zachęcający, pożądliwy głos.

Nie minęło dużo czasu, gdy usłyszała jeszcze jeden głos.

O ile pierwszy był cienki i delikatny, o tyle drugi był gruby, zdecydowany i szorstki. Jednak i ten w pełnym pożądania drżeniu nieustannie podnosił się i cichł.

„Dwie osoby – przemknęło Mihrimah przez głowę. – Kobieta i mężczyzna”.

Usłyszała, jak kobieta błaga: „Nie rób tego. To boli”. Była to dziwna prośba. Słowa urywane przez oddechy, a po nich następowały tajemnicze okrzyki zamieniające się w westchnienia. Oczywiste było, że mężczyzna nic nie robi sobie z tych próśb. Z każdą chwilą dochodziły stamtąd głośniejsze hałasy.

„Czyżby robili to, o czym myślę?”.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie wie, czym było to, o czym myślała. Wiedziała tylko tyle, ile mogła się domyślić z szeptów służących i z miłosnych opowieści Setaret czy Merzuki. O tym, jak przystojny młodzieniec zakochany w przepięknej sułtance przekopał się przez górę, żeby połączyć się ze swoją oblubienicą. O tym, jak piękna dziewczyna na grzbiecie feniksa leciała do ukochanego. O pięknych, pełnych uczucia słowach, którymi karmili się zakochani. Jednak jęki, błagania i warknięcia nie miały w sobie nic z tej uczuciowości i poezji.

Mihrimah stała nieruchomo. Twarz jej płonęła. Nie, cała płonęła. Jej ciałem wstrząsnął dziwny dreszcz. Zdawała sobie sprawę, że jest bliska przegrania walki z własną wolą, żeby tłumić budzące się w niej pragnienie zobaczenia tego.

Jęki i stękanie dochodzące zza drzwi były teraz tak głośne, że nie dało się ich nie słyszeć. Cienkie, pełne uczucia błagania zmieniły się w pełne namiętności, urywane okrzyki, które próbowano stłumić. Natomiast jęki mężczyzny przypominały przeraźliwy ryk.

Mihrimah przeraziła się, czując, że przez jej ciało przechodzi fala rozkoszy. Przypomniała sobie rękę szatana pojawiającą się w jej snach. W jej marzeniach zaiskrzyły te płomienne oczy. Nigdy czegoś takiego nie czuła. „*Przegrałam*”, przyznała w duchu. Już miała uciec, ale wróciła. Przyciskając rękę do serca, zatrzymała się przed drzwiami.

„Dalej! – Mihrimah usłyszała kobiecy głos, który jeszcze przed chwilą wydawał jej się pełen uczucia i poezji. – Dłużej nie wytrzymam! Weź mnie!”. W głosie nie było już ani śladu zmysłowości. Później rozległ się krzyk. Wstyd został pokonany przez pragnienie zobaczenia. Mihrimah wyciągnęła rękę, przekręciła gałkę, powoli popchnęła drzwi i… zobaczyła.

Wszystko.

Splątane ze sobą nagie ciała.

Nie mogła powstrzymać pełnego przerażenia okrzyku.

– Bezwstydnicy! Gorszyciele!

Pierwsza usłyszała ją Firdevs. Mężczyzna nie był w stanie usłyszeć nic więcej niż swoje pochrapywania. Dziewczyna, zarzucając włosami, obejrzała się za siebie.

– Sułtanko!

Służąca znieruchomiała na widok próbującej zasłonić sobie usta dłonią Mihrimah. Mężczyzna dopiero wtedy zauważył stojącą w drzwiach córkę padyszacha. A Mihrimah zobaczyła nagość mężczyzny w pełnej okazałości.

„Obrzydliwe! Obrzydliwe! Obrzydliwe!”, krzyczała w duchu. Zasłoniła oczy. Odwróciła się i pędem ruszyła wzdłuż korytarza.

Próbowała wymazać z pamięci to, co zobaczyła, ale na próżno.

Ogarnęła ją panika. „Boże, wybacz mi. Wybacz – powtarzała nieustannie. – Zostałam zbrukana. Moje oczy, rozum, ciało, moja niewinność zostały zbrukane. Nie powinnam tego słyszeć, nie powinnam tego wiedzieć, nie powinnam na to patrzeć. Wybacz mi”.

To miała być miłość? Czy bezkresna miłość, o której

opowiadały Setaret i Merzuka, sprowadzała się do tego, co przed chwilą widziała? Ta nagość, spojone ze sobą ciała, owijające się wokół siebie nogi, obejmujące się ramiona, pieszczące i szarpiące dłonie… Czy to była miłość, na którą z niecierpliwością czekała? A uczucia? Gdzie były? Czy te wszystkie piękne słowa, wyrazy podziwu w wierszach i pieśniach, wezwania, głębokie westchnienia były tylko po to, czego była świadkiem?

Mój Boże!

Ponownie przyszła jej na myśl ręka, którą widziała w snach. „Wynoś się, szatanie!", jęknęła. Jej głos rozbrzmiewał w uszach jak krzyk, ale nie zwróciła na to uwagi. „Do tego chcesz mnie zmusić?".

Uderzając obcasami o podłogę, szybko skierowała się do swojej komnaty.

– Nie chcę – skamlała. – Niech to zniknie. Wynoś się z mojej głowy!

Gdy Esma się obudziła, przestraszyła się, widząc swoją panią roztrzęsioną przy swoim posłaniu.

Włosy dziewczyny były potargane. Ciągle pocierała rękami mocno zaciśnięte powieki. Gdyby mogła, wydłubałaby sobie oczy.

Pełna niepokoju opiekunka zerwała się z miejsca.

– Co się stało mojej pięknej pani? Mam nadzieję, że to nic złego.

Mihrimah pokręciła głową.

– Miałyście zły sen?

„*Gdyby to mógł być sen*", pomyślała. Byłaby nawet szczęśliwa, gdyby były to złe sny, przez które wiła się w łóżku, które napełniały ją wstydem i sprawiały, że następnego ranka nie mogła spojrzeć nikomu w oczy. Ponieważ wiedziała, że to sen. Ale to była prawda. Prawda, całą swoją intensywnością, wyuzdaniem, bezwstydnością i szkaradnością. Prawda niedająca możliwości ukojenia, do której doprowadził ją szatan.

Ponownie pokręciła głową.

– Nie daj Boże. Czy moją sułtankę coś boli?

Nie odpowiedziała, tylko nieustannie pocierała oczy.

– Co się stało, moja śliczna? Nie powiesz swojej poddanej Esmie?

Jak miała o tym powiedzieć? Czy mogła o tym mówić?

– Esmo – szepnęła, przytulając się do opiekunki. – Przygotuj łaźnię.

– Łaźnię, sułtanko? O tej porze?

Mihrimah uchyliła powieki czerwone od ciągłego pocierania.

– Chcę się umyć, Esmo. Natychmiast.

„A, o to chodzi – uśmiechnęła się w duchu Esma, myśląc, że dziewczyna znów miała ten sen. – Do łóżka sułtanki znowu wszedł szatan”.

*

Tego ranka wydarzyło się coś jeszcze, co zdziwiło Hürrem i Esmę. Mihrimah szorowała się przez godzinę i nie było jej wśród kobiet z pałacu na porannej modlitwie. Modliła się w swojej komnacie. Był to pierwszy raz, kiedy Mihrimah odmawiała modlitwy w samotności.

Nikt nie widział, jak długo płakała, klęcząc na swoim kobiercu.

Twierdza Genueńska
Stambuł

Alejandro, żeby stłumić ekscytację, wziął sześć głębokich oddechów. Był to czwarty piątek, odkąd przybył do Konstantynopola. „Dzień spotkania", pomyślał i zerwał się z łóżka.

Wychodząc, zderzył się z jakimś żołnierzem.

– Powoli! – zirytował się marynarz. – Dopiero świta, a tak spieszno ci do piekła?

Nie odezwawszy się, Alejandro spojrzał na niego przepraszającym wzrokiem i ruszył dalej.

– A może w tajemnicy przed nami zbratałeś się z jedną z panien w Galacie i spieszysz się, żeby piątkowe wychodne spędzić w jej łożu, Ismailu z Alaiye? Daj Boże. Zatem zdrowie ci dopisuje.

Właściwie wcale nie czuł się dobrze. Jego ciało dopominało się teraz o tajemny eliksir.

Gdy tylko zaczynał się kryzys, całkowicie go obezwładniał. Mokry od potu wył, tocząc pianę z ust. Wiedział, że gdyby wziął chociaż łyk tego eliksiru, ustałyby wszystkie jego cierpienia. Wystarczył jeden łyk, żeby zabrać go z piekła do raju.

„*Dziś dzień ocalenia* – mówił sobie. Z kimkolwiek się spotka, rzuci mu się na szyję, krzycząc: – Eliksir! Daj mój eliksir! Umieram!".

Tylko eliksir? „Dowiem się też, co mnie tu czeka", przeszło mu przez myśl. Ile razy pytał tego przeklętego księdza: „Jakie jest moje zadanie?". „*Boska zemsta*", ciągle słyszał z ust mężczyzny. Ale komu miał wymierzyć tę boską zemstę?

Właściwie, żeby pragnąć zemsty, nie musiał wiedzieć, że jest to wola boska. Od dnia, w którym dowiedział się, że nie jest Turkiem, ale Hiszpanem, że nie nazywa się Ismail z Alaiye, ale Alejandro z Sewilli, pałał żądzą zemsty. „Nawet gdyby nie Bóg,

mam własną zemstę", powtarzał w duchu. Musiał zemścić się na Osmanach, którzy porwali go, gdy miał niespełna rok, za matkę, ojca, swoje pochodzenie. Niezależnie od wszystkiego muszą odpowiedzieć mu za to, że pozbawili go imienia, charakteru i religii.

Nie mógł się doczekać, kiedy wyciągnie sztylet i powie: „Nie jestem Ismail z Alaiye, ale Alejandro José Altamirano z Sewilli. Syn dona Pedro Altamirano!". Przy każdym zadanym ciosie będzie krzyczał: „To zemsta rodu Altamirano!".

Jednak rozkaz był jasny. „Musisz być cierpliwy, żeby wypełnić swój święty obowiązek. Dowiesz się, jakie jest twoje zadanie w czwarty piątek po twoim przybyciu do Konstantynopola".

I dziś był właśnie czwarty piątek.

Dzień, w którym dostanie swój eliksir. Dzień, w którym ustanie jego cierpienie.

Była jeszcze ta dziewczyna, która mieszała mu w głowie. Dziewczyna o włosach jak łany zboża i oczach jak morze.

Gra, w którą wciągnął go los, odebrała mu spokój. Gdy Alejandro przypominał sobie o dziewczynie, nie wiedział, co zrobić ani co myśleć. To uczucie go niepokoiło. Nic nie powinno zaprzątać mu głowy, jego umysł powinien być klarowny jak woda.

Pewnego ranka, gdy włóczył się bez celu po stoczni, ktoś zawołał:

– Ty! Ty! Ty!

– Ja?

– Tak, ty. Chodź ze mną.

– O co chodzi?

– A to co? Przesłuchanie? Potrzebuję szesnastu wioślarzy do łodzi.

„Skoro łódź ma osiem par wioseł, oznacza to, że będzie przewozić kogoś ważnego", przeszło mu przez myśl. Dalej odgrywał rolę trochę głupka, trochę przyjaciela.

– Kto będzie nią płynął, skoro potrzeba aż ośmiu par?

Mężczyzna o szpetnej twarzy nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dziewczyna.

– Dziewczyna? Czy osiem par wioseł to niezbyt wiele dla dziewczyny?

– To nawet mało. Jej ojciec wypływa łodziami z szesnastoma parami.

Alejandro naprawdę się zdziwił.

– Nie żartuj, ago – rzucił mimowolnie. – Kim jest ojciec tej dziewczyny?

Uśmiech nie znikał z twarzy mężczyzny. Nachylił się do ucha Alejandra i powiedział:

– To władca siedmiu klimatów i trzech kontynentów, sułtan Sulejman.

„Wielki Boże! – wykrzyknął w duchu. – *Córka mojego największego wroga!* Ojcze Jezusie, Twoje cuda nie mają granic".

Z trudem się powstrzymał, żeby nie wyciągnąć krzyża. Z pewnością był to cud. Bóg sprowadzał córkę jego wroga wprost do jego stóp.

– W takim razie znalazłeś jednego do swoich szesnastu wioślarzy. – Uśmiechnął się. – Gdy tylko chwycę wiosła w te ramiona, z boską pomocą sprawię, że córka naszego pana pofrunie. Powiedz mi lepiej, dokąd zabieramy jedyną córkę naszego sułtana.

– Na okręt kapitana Hyzyra.

„Podwójny cud!", wykrzyknął w duchu Alejandro.

Mężczyzna posadził Alejandra na najgorszym z możliwych miejsc, przy jednym z pierwszych wioseł. Oczywiście córka padyszacha zasiadała na samym końcu, na siedzisku wyłożonym atłasami. Nie mógł się odwrócić i spojrzeć. Przepływając przy przystani, pośród gromady ludzi zobaczył białą chustę targaną wiatrem. To wszystko. Był też wśród nich wielki niczym olbrzym rudobrody w brokatowym kaftanie.

„Kapitan Hyzyr! – zawołał do siebie Alejandro. – To ten głupiec, kapitan Hyzyr. Drugi po Sulejmanie mój największy

wróg!”.

Dopóki nie zbliżyli się do okrętu kapitana Hyzyra, nie zdarzyło się nic szczególnego. „Chyba się pospieszyłem, dziękując Bogu”, mruknął. Stanął przed wielkim dylematem. Jego najwięksi wrogowie byli prawie na wyciągnięcie ręki. Gdyby wyjął zakrzywiony nóż… „Nie! – zganił go wewnętrzny głos. – Rozkazy są jasne. Nie może wybrać celu, nie dostawszy wskazówek. Nie! Nie i jeszcze raz nie!”.

Nawet nie widział twarzy dziewczyny, kiedy wsiadała do łodzi. Jedyne, co dostrzegł, to broda kapitana. I jeszcze jedna dziewczyna. Dzieliło go od nich czterech leventów siedzących przy wiosłach. Nawet gdyby zaatakował, dosięgnięcie celu wydawało się niemożliwe.

Alejandro zobaczył tylko morze opadających jej na ramiona złotych włosów, gdy wiatr zerwał dziewczynie chustę, kiedy wspinała się po trapie.

„Boże!”, powiedział w tamtej chwili. Dlaczego światłość, jaka biła od dziewczyny, zdawała się razić go w oczy?

Nie zastanawiając się długo, postanowił wejść na pokład. Gdy spuszczono drabinkę, wspiął się po niej przez nikogo niezauważony. Stanął za plecami kapitana Hyzyra i córki padyszacha. Pod wpływem wiejącego znad Morza Czarnego wiatru włosy dziewczyny fruwały. „Nawet teraz mógłbym załatwić ich oboje”, pomyślał w tamtej chwili.

Przechodząc za ustawionymi w rzędzie leventami, spojrzał między ich głowami na dziewczynę.

Wielki Jezu! Wielki Jezu!

Przypomniał sobie teraz, jak odebrało mu dech.

Nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie widział tak pięknej dziewczyny.

„Nie wygłupiaj się! – skarcił się natychmiast. – A ile to dziewcząt widziałeś w życiu?”.

„Nieważne – pomyślał. – Ta jest najpiękniejsza. Będzie też najpiękniejsza z tych, które jeszcze zobaczę. Nie może być piękniejszej dziewczyny niż ta”.

„To wróg”, ostrzegał się wielokrotnie, ale nie mógł oderwać od niej wzroku.

Od tamtego dnia nie mógł o niej zapomnieć.

„Piękniejszy jest błękit morza czy błękit oczu dziewczyny?”, zastanawiał się, patrząc na nią na pokładzie. Nie wiedział. To uczucie było mu obce. Ile słów znał mężczyzna, którego krótkie życie upłynęło na wojnach i w lochach, żeby opisać swoje uczucia i piękność, którą zobaczył?

„Wróg, ale bardzo piękny”, zawyrokował.

Chwila, w której ich spojrzenia się spotkały, była tą chwilą.

Czuł się jeszcze bardziej zdezorientowany. Był pewien, że dziewczyna patrzy na niego. Patrzyła na niego córka sułtana Sulejmana.

Nie mógł się poruszyć. Rozum zamilkł. Od tej pory jego myślami i ciałem zawładnęło serce. Serce, które biło jak oszalałe.

„Patrz – powtarzał nieustannie. – Więcej nie zobaczysz takiego piękna. Patrz. Zapamiętaj je. Nasyć się tym pięknem”.

Patrzyliby na siebie dłużej, ale zauważył go jeden ze strażników i wyrzucił go z pokładu.

„Zejdź na dół! I żebym cię tu więcej nie widział. Wracaj do wioseł i tam czekaj”.

Gdy myślał o tym wiele dni później, nie mógł uwierzyć w to, co wówczas zrobił. Kiedy tylko zszedł z pokładu, jeden z wioślarzy, który siedział tuż przed miejscem, gdzie miała zasiąść córka padyszacha, gdy wrócił do łodzi, zgodził się zamienić z nim na miejsca. Co więcej, kiedy Mihrimah zeszła z drabinki i wsiadała do łodzi, wyprzedził agów i kapitanów i wyciągnął do niej rękę. Nawet teraz czuł drżenie tej małej białej dłoni w swojej ręce.

Gdy płynęli w stronę Przylądka Pałacowego, ogarnęły go szaleńcze myśli. Miał ochotę krzyknąć: „Zostawcie te wiosła! Zostawcie nas samych pośrodku morza!”. Pragnął wyskoczyć jak sprężyna i rzucić się w fale z córką swojego największego wroga, otoczyć ją ramionami i zostać pogrzebanym razem z nią w bezkresnym błękicie morza, dopełnić zemsty, a jednocześnie

umrzeć, spróbowawszy szczęścia.

Spośród miliona rzeczy, które przychodziły mu na myśl, nie mógł zrobić ani jednej. Patrzył tylko na sułtańską córkę, starając się, żeby nikt tego nie zauważył. To wszystko. Zapamiętał złoto jej włosów, błękit oczu, usta, świeżość, uśmiech.

Gdy zbliżali się do przystani, na jeden rozkaz podnieśli wszystkie wiosła.

„Czas rozstania – pomyślał w duchu. – Nie… Mówisz głupstwa. Jaka miłość? Czy można kochać córkę wroga? Zaraz wysiądzie i odejdzie, i wszystko zniknie. Zapomnę o niej".

Ale nie mógł zapomnieć. Od tego dnia miał przed oczami piękną Mihrimah.

„Gdy będzie wysiadała, wezmę ją za rękę. Jeszcze raz spojrzę jej w oczy", myślał, ale tak się nie stało. Dziewczynie pomogli wysiąść służący czekający na nabrzeżu.

Przez chwilę zerknęła ponad ramieniem na Alejandra. Czy naprawdę na niego spojrzała? Właściwie nie był pewien. Może tylko tak mu się wydawało.

„To tyle – przeszło mu przez myśl, gdy odprowadzał wzrokiem odchodzącą dziewczynę. – Obudziłeś się. Sen się skończył. Więcej jej nie zobaczysz. Zapomnij".

Całe dnie i noce upływały mu na próbach wymazania jej z pamięci. Gdy zrozumiał, że nie potrafi o niej zapomnieć, wpadł w panikę. W końcu doszedł do wniosku, że Bóg stawia go przed próbą. Bóg, który wiedział, że wierzy, gdy pokazał mu dźwigającego krzyż Chrystusa idącego na śmierć, stawiając na jego drodze córkę największego wroga, sprawdzał go.

Zobaczymy, czy z powodu beznadziejnej, głupiej miłości zrezygnuje ze swojej wiary, z pochodzenia i religii.

„Zrezygnować? Nigdy!".

W czwarty piątek od jego przybycia do Stambułu o świcie rozum wydał mu rozkaz, tłumiąc głos serca: „Wstań, Alejandro. Wstań i odrzuć od siebie tę beznadziejną, głupią miłość. Wyrusz drogą zemsty, a nie miłości. Posłuchaj Boga, a nie tego przeklętego serca!".

– Bóg o tym wie – mówił sobie Alejandro, wstając z łóżka. – Kiedy nadejdzie chwila zemsty, nie zadrży mi ręka.

*

– W czwarty piątek w Twierdzy Genueńskiej w Galacie – napomniał go ksiądz, gdy się rozstawali. – W jednym z okien twierdzy zobaczysz znak. Tam dostaniesz wskazówki.

Bardziej niż o swoim zadaniu Alejandro chciał się dowiedzieć, gdzie znajdzie eliksir, który wyzwoli go od skurczów.

– A eliksir? – spytał natychmiast rozgorączkowany.

– To też ci da.

– Kto?

– Nie wiem.

– A jeśli nie będzie znaku? Jeśli nikt nie przyjdzie?

– W następny piątek znów wejdziesz na wzgórze, gdzie znajduje się twierdza.

Gdy Alejandro wspinał się po wzgórzu wąską ścieżką prowadzącą do twierdzy, strach przeszył go jak ostrzem. „A jeśli nie przyjdzie?”, zastanawiał się. Jeśli nie przyjdzie, nie dostanie eliksiru.

To niemożliwe, żeby znosił te skurcze jeszcze tydzień. „Umrę”, mruknął zniecierpliwiony.

W końcu doszedł na szczyt. Skręciwszy w lewo przy wielkim, dwupiętrowym budynku, na plac otwierający się przed nim, zobaczył majestatyczne mury wnoszące się w cieniu twierdzy. Zatrzymał się, jakby zmęczony wspinaczką, żeby złapać oddech. Podniósł głowę i próbował zobaczyć okna zamku.

– Jesteś jeszcze za młody, żeby wyczerpało cię wejście na wzgórze – odezwał się głos tuż przy jego głowie.

Głos, który niespodziewanie usłyszał tak blisko, spowodował, że mimowolnie podskoczył. Był to starszy mężczyzna. Z trudem łapał powietrze, ale zapytał go znowu:

– Co zrobisz, gdy będziesz w moim wieku?

– Zbocze jest bardzo strome. Nieważne, czy dla młodego, czy starego, ojcze.

– Sądząc po stroju, jesteś marynarzem. Co ten, którego przeznaczeniem jest morze, robi na górze?

Alejandro poczuł, że zaczyna się denerwować. „Uważaj”, usłyszał w głowie ostrzeżenie. Gdy jego ręka wędrowała do żółtego pasa, przypomniał sobie marynarza, z którym zamienił słowo tego ranka: „A może w tajemnicy przed nami zbratałeś się z jedną z panien w Galacie i spieszysz się, żeby piątkowe wychodne spędzić w jej łożu?”. Spróbował dać starcowi jeszcze jedną szansę. Wykrzywił usta w lubieżnym uśmieszku.

– A, rozumiem – powiedział mężczyzna. – Jeśli chodzi o kobietę, można się nawet wspiąć na górę. Ładna jest? Dobrze tu odpocznij, żeby nie było ci wstyd, kiedy będziesz wyczerpany w łóżku.

„Uśmiechnij się – upomniał się Alejandro. – Gdybyś wiedział, że za chwilę znajdziesz ocalenie, fikałbyś koziołki”.

Czekał, aż mężczyzna wejdzie do gospody, później podniósł głowę na zamkową wieżę i zobaczył czarowny błękitny proporzec z wizerunkiem skrzydlatego lwa, który powiewał z jednego z okien.

– Znak – mruknął. – Błękitny proporzec z wizerunkiem skrzydlatego lwa.

Poczekał chwilę. Znalazł znak, ale kim jest człowiek, z którym ma się spotkać? Jak go pozna? Podejrzliwie spojrzał na mijających go ludzi. Czy był to mężczyzna, który odpoczywał na rogu pod murem? A może wspinający się po zboczu, co chwila zatrzymujący się i spoglądający za siebie człowiek ubrany jak cudzoziemiec?

Oparł się o mur meczetu sąsiadującego z twierdzą i udawał, że odpoczywa. Chwila, w której dostanie eliksir, opóźniała się, a kryzys się zbliżał. Czuł, jak krew odpływa mu z żył. Już teraz drętwiały mu ręce i nogi. Niedługo bóle staną się nie do wytrzymania.

Wbił wzrok przed siebie, w obskurną gospodę ukrytą pod zadaszeniem. Nad jej drzwiami powiewał błękitny proporzec z wizerunkiem skrzydlatego lwa. Natychmiast skierował się

w tamtą stronę. Zajął miejsce przy stole.

– Patrzcie, kto to przyszedł. Nasz rozpustny marynarz.

Alejandro drgnął pod wpływem dochodzącego z tyłu głosu. Odwrócił się. Był to starzec, który przed chwilą szedł za nim po zboczu.

Czyżby to był ten mężczyzna, którego szuka? Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Hasło!

– Wieczorem długo czekałem. Dlaczego nie przyszedłeś? – zapytał Alejandro spokojnym głosem.

„*Wieczór*". Hasło!

– Byłem chory – odpowiedział starzec, wychodząc z gospody i nie odrywając wzroku od drapieżnych oczu Alejandra.

„*Chory*". Odzew się zgadzał, ale to nie był koniec. Alejandro ciągnął dalej.

– Trzeba było się napić gorącej zupy.

„*Zupa*". Drugie hasło.

– Czyżbym miał kobietę, która postawi przede mną zupę? – Uśmiechnął się mężczyzna.

Drugi odzew też był właściwy. Starzec odsunął krzesło i usiadł przy nim.

– Mów – szepnął Alejandro. – Co masz do powiedzenia?

– Na wybrzeżu. Idź prosto z Balat do Fener.

– Kiedy?

– Odlicz cztery piątki od dzisiaj.

„Co?! Jeszcze cztery piątki?" – Alejandra ogarnęło przerażenie. – To wykluczone, żebym czekał jeszcze miesiąc!", oburzył się w duchu.

– Piąty piątek – ciągnął mężczyzna. – W nocy. Po nocnym ezanie.

– Wskazówki?

– Oto one – zirytował się mężczyzna. – Pójdziesz tam.

Starzec zamierzał wstać, ale Alejandro złapał go za ramię i posadził z powrotem.

– A eliksir?

– Eliksir?

Starszego mężczyznę ogarnęło przerażenie, gdy napotkał wzrok Alejandra. „Oczy szatana”, zadrżał. Płonął w nich ogień piekielny.

– Miałeś mi dać butelkę.

– Nie mam żadnej butelki.

Mężczyzna ponownie spróbował się podnieść. Jednak żelazny uścisk na jego nadgarstku nie zelżał.

– Boli mnie – jęknął, opadając na krzesło.

– Mnie też – odetchnął Alejandro. – Już sześć miesięcy. Każdego dnia i każdej nocy. Daj mi eliksir.

Jego rozmówca tylko jęknął.

„Mówi prawdę – zaniepokoił się. – Nie ma eliksiru”.

Puścił nadgarstek mężczyzny.

Wyzwoliwszy rękę, starzec odskoczył. Oddalając się biegiem, mruknął:

– Diabeł. Oby Bóg sprawił, żebyś więcej nie stanął na mojej drodze.

Koszary janczarów
Eyüp, Stambuł

Kwatery janczarów znajdowały się nieopodal Mauzoleum Eyüpa el Ensari[48]. Ich dowódca podkręcał czarne, wywinięte wąsy.

– Czy wszystkie przydziały rozdzielone? – zapytał stojącego naprzeciwko pomocnika.

– Wszystkie bez wyjątku, ago.

– Dzięki Bogu. Jutro piątek. Przygotowania skończone?

– Jesteśmy gotowi, ago.

– Posłuchaj, nie chcę błędów, takich jak poprzednio. Wiedz, że ten, który zawiedzie, posmakuje falaki. Wszystkie kotły, tace i talerze z pałacowej kuchni każ ustawić przed gazimi. Niech zjedzą, co jest do zjedzenia. To, co nie zostanie zjedzone, niech zostanie przelane do innych naczyń. Żadnego wylewania i wyrzucania! Dlaczego?

– Bo to grzech, ago.

– Dlaczego grzech?

– To jedzenie obcięte z racji dla ludu i przesłane wojsku. Nie wolno wyrzucać na ulicę racji dla ludu.

Dowódca, zadowolony z odpowiedzi, pokiwał głową.

– Puste naczynia mają zostać umyte i dopiero wtedy mogą być odesłane do pałacowej kuchni.

– Tak jest, ago. Tak powiedziałeś i tak będzie.

– Czy każdy gazi dostał to, co mu się należało?

– Każdy dostał według tego, co mu się należy. Nikt nie został pominięty. Wojskowi imamowie przed popołudniowym ezanem pomodlili się za rządy i zdrowie naszego pana sułtana Sulejmana Chana i za zwycięstwo Wielkiego Imperium Osmańskiego i jego armii. Wszyscy zgromadzeni gazi unieśli dłonie, chwaląc Boga, powiedzieli *amen*, ago.

Gdy skończyły się już wyuczone na pamięć pytania

i odpowiedzi, aga janczarów zdjął nakrycie głowy i położył je na oknie za sobą. Czubkami palców, stwardniałymi od walki, przeczesał mokre od potu włosy. „Po co w każdy pierwszy piątek miesiąca masz powtarzać te słowa?”, pomyślał. Na początku spisał je na papierze. Gdy zająknął się, pytając, lub pomylił kolejność, spoglądał na niego kątem. Ale teraz pamiętał je już dobrze. Przymykał powieki i wyrecytował wszystkie.

Tego sposobu nauczył go poprzedni dowódca.

– Posłuchaj, Osmanie – mawiał Turhan Aga ze Szkodry[49], który był świadkiem tysiąca bitew. – Dobrze zapamiętasz te słowa. Nauczysz odpowiedzi swojego pomocnika. Nie wierz, gdy powie, że się ich nauczył. Pamięć jest jak ptak – ulotna. Gdy nadejdzie pierwszy piątek miesiąca i przyjdzie odpowiednia pora, zamkniesz oczy i je wyrecytujesz. Gdy oczy nie widzą, umysł lepiej pracuje. Jeśli nie zrobisz tego, co mówię, bo zapomnisz, co powiedzieć, zepsujesz uroczystość, a to już nie moja sprawa. Nikt nie może ufać adze, który nie pamięta, co ma powiedzieć. Nawet jeśli będę na tamtym świecie, dosięgnę cię. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Od tamtego dnia tak robił. Naprawdę, kiedy zamknął oczy, lepiej pamiętał słowa, które ma powiedzieć.

„Mądry był ten Turhan Aga – przeszło przez myśl kapitanowi. – Pewnie nie czeka już na tamtym świecie, żeby mnie zrugać, skoro z zamkniętymi oczami pięknie recytowałem swoje kwestie! Jak tylko żołnierze mi zasalutują, będzie po wszystkim. Poklepie mnie po plecach, mówiąc: «Brawo, Osmanie!»”.

Uśmiechnął się delikatnie na tę myśl. Była to najmniej prawdopodobna rzecz. Spojrzał na swoje odbicie w oknie. Czy temu mężczyźnie o czarnych brwiach, ciskającym gromy spojrzeniu i wąsach tak długich, że na każdym mógłby zawiesić dwie głowy giaurów, wypadało się uśmiechać? Czy widział ktoś, żeby żołnierz się uśmiechał? Jego odbicie przyglądało mu się, szczerząc zęby. Podkręcił najpierw prawy, a potem lewy wąs. „Wieczorem przed położeniem się wetrę w nie trochę więcej oleju migdałowego”, postanowił. Zmył z twarzy psujący jego

dostojeństwo grymas i jeszcze raz spojrzał na swoje odbicie srogim, żołnierskim okiem.

– O, tak – mruknął. – Teraz jest dobrze.

Gdy kapitan się odwrócił, zobaczył, że jego pomocnik wciąż za nim stoi.

– Skończone, ago. Na co jeszcze czekasz?

Mężczyzna próbował coś powiedzieć, ale zawahał się. Jego ciało się poruszyło, ale usta milczały.

– Jeśli chcesz coś rzec – mów, jeśli nie – wracaj do pracy. Sprawdź, czy czauszowie robią, co do nich należy. Niech nikt nie siedzi bezczynnie. Wszystko ma lśnić. Niech policzą broń w arsenale.

– Policzona, ago.

– Niech policzą jeszcze raz.

– Tak jest, ago.

– Niech naostrzą szable.

– Naostrzone, ago.

– Niech naostrzą jeszcze raz – rozkazał kapitan ze znudzeniem. – Co macie robić?

– Właśnie miałem to powiedzieć – odparł pomocnik, przełknąwszy ślinę.

Kapitan poczuł gniew, że jego podwładny odezwał się bez pytania. Już miał wybuchnąć, ale zrezygnował, bo zauważył, że mężczyzna chce mu coś przekazać.

– Co chciałeś powiedzieć? Mów.

– Chciałem… – zaczął z ociąganiem. – Co mamy robić? Tylko tak siedzimy.

Kapitan podskoczył jak oparzony. Mężczyzna, widząc, że lewa powieka dowódcy zaczyna drżeć, dodał natychmiast:

– Nie ja tak mówię, tylko żołnierze. Siedzą bezczynnie w koszarach i wytracają czas na rozmowach.

Lewa powieka osmańskiego kapitana zaczęła drgać jeszcze wyraźniej. Nie były to byle jakie słowa.

– Mówisz, że żołnierze siedzą w koszarach bezczynnie i plotkują jak kobiety?

Głos dowódcy był bez wyrazu, ale jego pomocnik zdawał sobie sprawę, że to nic nie znaczy. Falaka za chwilę pójdzie w ruch. Pochylił głowę i zamilkł.

– Co jeszcze mówią? – Tym razem głos dowódcy brzmiał jak rozkaz.

– Mówią, że… – wyjąkał pomocnik. – Mówią, że od drzemania w koszarach zwiędły im ramiona i że już dawno nie byli na bitwie. Gdy staną przed giaurami, nie będzie można ich nazwać żołnierzami. Mówią: „Jacy z nas będą żołnierze, jeśli zapomnimy, jak pokonywać góry, pędzić na końskim grzbiecie, darować i odbierać życie?”.

Śniada twarz kapitana stała się jeszcze ciemniejsza.

– Co jeszcze?

– To wszystko, ago. Powiedziałem wszystko.

– Mów, mów. Na te słowa szkoda było sobie strzępić języka. Jest coś jeszcze. Co jeszcze mówią?

Pomocnik z trudem przełknął ślinę. Pożałował, że poruszył ten temat. Właściwie nie zamierzał tego, ale miał już dosyć, że po każdym posiłku herszci przyciskali go do ściany i mu grozili.

– Idź i przekaż adze, co powiedzieliśmy – mówili otwarcie mężczyźni. – Pora wyruszyć na wojnę. Inaczej podejmiemy konieczne środki, włącznie z buntem.

Ze wszystkich kwater dochodziły do niego te same słowa. W powietrzu wyczuwało się zapach powstania. Bunt oznaczał krew. Jeśli się zbuntują i staną przed bramami pałacu, nie ustaną, dopóki nie posypią się głowy. Nieważne czyje.

– Zatem… – zaczął kapitan, nie patrząc mu w twarz. – Żołnierze chcą walczyć. Co to za grubiaństwo?! – wybuchł kapitan Osman. – Żołnierze będą mówić sułtanowi, kiedy ma wyruszyć na wojnę?!

Krzyczał, ale w duchu przyznawał im rację. „Z bezczynności wszystkich nas obsiadły wszy. Sułtan zamknął już rozdział wojennych wypraw. Nie wiadomo, czy go otworzy”.

Gdy nie było wojen, żołnierze byli wściekli, bo wojna oznaczała łupy, a także udział w zwycięstwie. Jeśli dostali

pozwolenie, mogli plądrować podbite ziemie. Pokój zubażał żołnierzy, wojna napełniała im kiesy. Gdy nie było wypraw, gazim pozostało jedynie pobieranie żołdu i czekanie na bakszysz rozdawany przy okazji wydarzeń cieszących sułtana lub wielkiego wezyra. Czy mężczyźni, którzy brali udział w tylu bitwach, mieli zostać żebrakami?

Mimo że w duchu znów przyznał im rację, kapitan jeszcze bardziej podniósł głos.

– Czy poddani Sulejmana Chana mają jego rozum, że wiedzą, kiedy jest czas wojny, a kiedy pokoju?

Pomocnik zaczął się denerwować. „Co ten człowiek mówi – przeszło mu przez myśl. – Czy nie powinien stać po stronie gazich? Czy nie powinien powiedzieć, że mają rację? Grzech, grzech! – powtarzał w duchu. – Odwracanie się plecami od towarzyszy broni, żeby przypodobać się sułtanowi, to grzech!”.

– Żołnierze! – zaczął gniewnie. – Nasz sułtan…

Nie dokończył. Reszta wymagała odwagi. Następne słowa mogły kosztować go głowę.

– Co się stało naszemu sułtanowi? Czyżby w moich koszarach złorzeczono naszemu panu?

Widząc, że mężczyzna ucichł, podniósł się. Podszedł do stojącej w rogu szafy. Pomocnik dobrze znał to miejsce. Zaraz zawoła żołnierzy i każe im wymierzyć mu razy falaką. Postanowił, że zakończy tę sprawę, zanim to się wydarzy.

– Nasz sułtan… – podjął z przejęciem. – Spędza swój czas w haremie – mówią żołnierze. Twierdzą, że nasz pan nie widzi nic oprócz swojej ruskiej żony i córki. Tak bardzo kocha sułtankę Mihrimah, że zapomniał o swoim następcy tronu i pozostałych książętach… Tak właśnie mówią.

Kapitan gniewnie zatrzasnął drzwi do szafy z falaką.

– Milcz! – wykrzyknął. Później zniżył głos i wyszeptał pomocnikowi do ucha: – Czy ci zuchwalcy twierdzą, że nasz władca robi to, co podpowiada mu kobieta?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Podobno wielki wezyr powiedział naszemu panu, że

nadszedł czas wojny. Sulejman Chan zaś opowiedział mu: „To prawda, nawet już późno”. Jednak następnego dnia to odwołał. Mówią: „Nasz sułtan wchodzi do haremu z szablą u boku, a rano wychodzi z haremu bez szabli”. Nasz pan opiera swoje decyzje nie na opiniach swojego wielkiego wezyra i seraskera Ibrahima Paszy, ale na tym, co mówią Rusinka Hürrem i jej córka Mihrimah. Mówią, że sułtan Sulejman odwrócił się plecami do janczarów. Sułtanka Mihrimah wbiła mu do głowy marynarzy. Mimo że Ibrahim Pasza stanowczo mu to odradza, nasz pan, posłuchawszy rady córki, wydał firman, żeby przyłożyć większą wagę do osmańskiej floty. Złoto spływa strumieniami na nagie łydki leventów. Mówią: „Janczarzy czekają na jałmużnę, a tymczasem nasz pan, za radą kobiety, wyrzuca akcze do morza”.

Wreszcie powiedział wszystko, co leżało mu na sercu.

„Może to ten człowiek podjudza żołnierzy”, przeszło przez myśl kapitanowi Osmanowi. Spojrzał na mężczyznę surowo, a ten odetchnął i ciągnął:

– Żołnierze mówią, że jakby żona nie wystarczyła, teraz jest jeszcze córka. Jak dziewczyna może komuś radzić? Jeśli jej posłucha, złoto zamiast do poddanych trafi do rybich brzuchów.

Nie były to słowa, które żołnierze mogli powiedzieć za jednym razem. To prawda, odkąd padyszach przyjął do swojego łoża ruską odaliskę, rzadziej wyruszał na wojny, ale mimo to nikt nie miał prawa oskarżać wielkiego sułtana Sulejmana, że podejmuje decyzje, radząc się kobiety.

Nagle poczuł się jak rażony gromem. „To wszystko podżegania wielkiego wezyra. Wybraniec Ibrahim buduje swoją pozycję. Nowy Pałac, spadek po pradziadzie Sulejmana Chana, Mehmedzie Zdobywcy, przy pałacu, który kazał wybudować dla siebie Ibrahim Pasza, wygląda jak biedna chałupa. Ten człowiek jest dosłownie drugim padyszachem. Wygląda na to, że teraz przyszła kolej na zostanie prawdziwym sułtanem. To jasne, że szerząc wśród żołnierzy takie pogłoski, podjudzał ich do powstania. Co innego to mogło być? Może zamierzał obalić ojca i na tronie osadzić księcia sukcesora Mustafę?”.

„Ja bym tego nie zrobił – powiedział do siebie. – Dlaczego miałbym oddawać tron synowi po podburzeniu żołnierzy do buntu i poradzeniu sobie z padyszachem? To nie książę ryzykuje głowę, tylko ja. Otworzyłbym skarbiec, wypłaciłbym żołnierzom darowiznę i zasiadłbym na tronie”.

Tak właśnie musiał myśleć Ibrahim. Kapitan był o tym przekonany. Obali sułtana, każe zabić Hürrem i sułtankę Mihrimah, a na tronie albo zasiądzie on sam, albo osadzi na nim Mustafę, żeby nim sterować. „Jeśli jest inaczej, obetnę sobie wąsy i pójdę do Galaty jako chłopiec do towarzystwa”, mruknął.

Jednak autor tego pomysłu nie zdawał sobie sprawy z jednego. Jeśli wybuchnie powstanie, nie wiadomo, czyje głowy spadną. Jakże krótką pamięć mieli janczarzy. Co się stało, kiedy dziesięć lat temu, wołając: „Nie chcemy padyszacha, który nie idzie na wojnę!”, ruszyli na pałac? Sułtan Sulejman wskoczył na konia i najechał koszary. Własną szablą ściął głowy buntowników i na miejscu zamknął całą sprawę.

„Zobaczymy, czyje głowy spadną tym razem”, pomyślał.

– Ty – odezwał się po dłuższym milczeniu, odwracając się do pomocnika. – Ty nic mi nie powiedziałeś, a ja nic nie słyszałem. Żołnierze też nie dopuścili się tego zuchwalstwa. Zamknijmy tę kwestię. Dobrze?

Ręką wykonał gest, jakby coś przykrywał.

Pomocnik odetchnął z ulgą. Jednocześnie dotrzymał słowa danego gazim i uniknął falaki.

– Będzie, jak powiedziałeś, ago. Ta sprawa zostanie zamknięta.

„Możesz tak myśleć”, uśmiechnął się w duchu kapitan. Skoro już padły te słowa, nie obejdzie się bez ofiar. Postanowił powiadomić o wszystkim agę janczarów. W przeciwnym razie za niepodjęcie żadnych działań to on straciłby głowę.

Podniósł się. Włożył filcową czapkę i powiedział do siebie:

– Jestem już znudzony. Wyjdę i zaczerpnę świeżego powietrza.

Pomocnik wiedział, że pobiegnie prosto do agi janczarów.

Mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

– Co takiego? Jest coś jeszcze?

– Nie – odparł mężczyzna. – Chciałem tylko powiedzieć… Zanim pójdziecie, macie jeszcze coś do zrobienia na dziedzińcu.

– Co miałbym robić na dziedzińcu?

– Mówiliście, że zorganizujemy uroczystość.

„Niech to szlag! – zaklął w duchu. – Całkiem zapomniałem".

– Racja, tak powiedziałem. Myślicie, że mogę zebrać myśli? Zapomniałem. Skończone?

– Skończone.

– Szybko. Jak wyszło? Ładnie?

– Nie wiem, ago. Wciąż nie odsłonił zasłony. Postawił tam też strażnika. Nikomu nie pokazuje. Mówi, że dopóki aga nie odsłoni zasłony, nikt nie może tego zobaczyć.

Kapitan się uśmiechnął.

– W takim razie chodźmy. Zobaczymy, jak wyszło. Może to pomoże mi wymazać z pamięci te niepokojące słowa.

Kapitan Osman, z tysiącem myśli w głowie, skierował się do domu, w którym mieszkał aga janczarów. Tak naprawdę obawiał się, że mężczyzna wpadnie w gniew. Po adze można było się spodziewać wszystkiego.

Czy łatwo było powiedzieć, że żołnierze szykują się do buntu? I to jeszcze wtedy, gdy przypuszcza się, że żołnierze są ukradkiem podjudzani przez wielkiego wezyra? Może to on był głównym przywódcą powstania. Jeśli wybuchnie bunt, aga go nie zatrzyma. Jego głowa spadnie pierwsza. Dawne dni to już przeszłość. Wpływy w pałacu tak szybko się zmieniały, że nie sposób było to śledzić. Trudno było też przewidzieć, czyją stronę obierze aga janczarów.

– Jeszcze wczoraj był wierny sułtanowi – powiedział do siebie. – Nie wiem, czy w nocy nic się nie wydarzyło i nie stanął u boku wybrańca Ibrahima.

Jego ręka powędrowała ku szyi. Czuł się jak akrobata balansujący na linie rozciągniętej nad płomieniami. Za przekazanie wiadomości mógł spaść w ten ogień, mógł też,

otrzymawszy wyrazy uznania, dostać sakiewkę pełną złota.

Gdy dotarł do jego domu, dowiedział się, że Durmusz Aga z Prisztiny[50] jeszcze nie wrócił z pałacu.

Durmusz Aga natychmiast został mianowany agą janczarów po tym, jak sułtan Sulejman własną szablą ściął głowy przywódców powstania i stłumił bunt. Padyszach, kopiąc leżące w kałużach krwi odcięte głowy, pchnął go do stóp Ibrahima Agi.

– Teraz ty jesteś dowódcą! – krzyknął do żołnierza.

Osman też wtedy tam był. Oczy padyszacha pałały gniewem.

– Do czego dążą janczarzy?! – ryknął, żeby go obrócić przeciwko zbuntowanym żołnierzom.

Na wspomnienie tej chwili kapitan dostał gęsiej skórki. Nie mogli oderwać oczu od ciał przyjaciół leżących we krwi.

– Żeby polec w walce albo zostać gazim! – odkrzyknęli zgodnie.

– Słyszałeś, Durmuszu Ago? – zapytał padyszach, chowając szablę do pochwy. – Żołnierz pragnie zginąć w walce albo zostać gazim. Nie zawiedź nas. Nie chcemy głów, które będą padać u naszych stóp, ale bohaterów.

„No cóż, minęło dziesięć lat", pomyślał Osman. W Imperium Osmańskim nie było łatwo przez dziesięć lat utrzymać stanowisko. Jednak adze się to udało. Tak naprawdę był Albańczykiem, ale się tego wypierał.

– Tak czy inaczej, nasze korzenie sięgają Osmana Gaziego.

Kiedy nadarzyła się okazja, Durmusz Aga uwielbiał opowiadać o swoim pochodzeniu.

– Dziad naszego dziada, Kadir Aga, służył w armii spoczywającego w raju sułtana Murada I Chana. Walczył przeciw giaurom na Kosowym Polu. Gdy został gazim, padyszach darował mu tam ziemię. My zaś jesteśmy wnukami tego Kadira Agi.

Właściwie kapitana Osmana nie obchodziło, skąd pochodzi aga janczarów. Szczególnie tamtego dnia.

„Dlaczego tak się spóźnia?", zastanawiał się. Zwykle wracał do domu po popołudniowej modlitwie. Tymczasem zbliżał się wieczór. Zaczynało się nawet ściemniać.

Gdy dwóch stajennych wzięło jego konia i zaprowadziło go do poidła przed stajnią, przypomniał sobie o uroczystościach otwarcia wodopoju na dziedzińcu koszarów. „Zdolny ten Sinan z Ağırnas[51]", przeszło mu przez myśl. Tak naprawdę nazywał się Sinaneddin Yusuf, ale kto tyle spamięta. Wszyscy nazywali go Sinan.

Nie było niczego, czego nie potrafiłby zrobić. Potrzeba było mostu, to budował most, potrzeba było statku, to budował statek. Teraz natomiast mistrz Sinan ożywił kamień i wyrzeźbił w nim wodopój.

Tak naprawdę, gdy powiedziano mu, że Sinan chce wybudować wodopój na dziedzińcu, Osman nie spodziewał się, że wyjdzie z tego coś takiego. Podczas gdy on oczekiwał marmurowej ściany z kranem pośrodku i brązowej misy przytwierdzonej łańcuchem, mistrz Sinan w pierwszej kolejności ukrył przed spojrzeniami miejsce, w którym pracował, zasłaniając je namiotowym płótnem.

Przez wiele dni zza zasłony dochodziły odgłosy kucia. Czasem były one nieregularne, jednak w większości uderzając dłutem o kamień, zachowywał równe tempo.

Sinan nie pozwolił zaglądać tam ciekawskim, pytającym go, co tam robi.

– Najpierw skończę – odpowiadał. – Jeśli zobaczycie, zanim skończę, i nie spodoba wam się, wyczytam to z waszych oczu. Stracę zapał. Zniszczę to, co zrobiłem. Jeśli skończę i wam się nie spodoba – trudno. Powiem, że mi się nie udało. Jednak nikt nie śmie burzyć tego, co jest skończone. Nawet twórca. Woda będzie płynęła, a ci, którzy napiją się dla ochłody, będą dziękować.

W końcu odgłosy kucia ustały. Nadszedł czas, żeby Sinan odsłonił wodopój. Osman przybył do domu agi janczarów po tej uroczystości.

Kapitan ponownie przypomniał sobie ciszę, jaka zapanowała na dziedzińcu, gdy spadła zasłona ukrywająca wodopój. Przez chwilę nikt nie mógł nic powiedzieć.

Wszyscy spodziewali się prostego kranu przymocowanego

do ściany wzniesionej na środku dziedzińca. Tymczasem przed nimi stał pomnik, misternie zdobiony, z marmuru poprzecinanego zielonymi i czerwonymi żyłami. Z jednej strony Sinaneddin wyciął w kamieniu prowadzące w dół, cienkie, wijące się linie. Najprostszy wojak, najbardziej toporny janczar od razu widział w tych liniach włosy kobiety. Włosy spływające falami z jasnych, okrągłych ramion aż do talii.

Tył wodopoju podtrzymywały trzy kolumny zwieńczone trójkątnym frontonem. W każdej wnęce między kolumnami znajdował się jeden, a w sumie trzy krany. Podczas gdy zwyczajem było umieszczanie misy przed wodopojem, na całej długości niecki, Sinaneddin pod każdym kranem wyrzeźbił okrągłą misę z białego marmuru. Pod znajdującym się na górze frontonem umieścił dyskretny napis:

Na pamiątkę Sinaneddina Yusufa z Ağırnas – Źródło Dilruby

Dla ochłody płonącym sercom…

Zamarli oczarowani pięknem wodopoju. Upłynęło dużo czasu, zanim zaczęli klaskać.

– Piękna robota! – krzyczeli.

– Nie odkręcisz kranu, Osmanie Ago?

Kapitan odkręcił znajdujący się na samym środku duży kran. Po chwili strumień szerokości nadgarstka wypłynął z szerokiego wylotu rzeźbionego kranu i zaczął lać się do misy, przypominając kolumnę. Szum płynącej wody odbijał się echem w wieńczącym wodopój frontonie. Nie tylko woda, ale też jej dźwięk chłodziły płonące piersi.

„Dlaczego Źródło Dilruby?”, pomyślał nagle kapitan Osman. Co to znaczyło? Gdyby wcześniej przyszło mu to do głowy, z pewnością zapytałby Sinana.

Z zamyślenia wyrwały go odgłosy kopyt. Po gorączkowej bieganinie stajennych domyślił się, że przyjechał Durmusz Aga. Pędził prosto na dziedziniec znajdujący się przed domem.

Zsiadając z konia w otoczeniu czterech towarzyszy, Durmusz

Aga natychmiast zauważył gościa, który przybył bez zaproszenia. Jedna z jego nóg wciąż była w strzemieniu, gdy zapytał:

– Co się stało? Co ty tutaj robisz?

Osman, rezygnując z uprzejmości, opowiedział, dlaczego przybył.

– Tak wygląda sytuacja, Durmuszu Ago – rzekł w końcu. – Powstanie wisi w powietrzu. Bunt wybuchł albo zaraz wybuchnie. Janczarzy czekają na iskrę.

Aga, zabierając go pod drzewa, uważnie przyglądał się Osmanowi przekazującemu mu wieści o powstaniu.

Kapitan z niepokojem wyczekiwał, aż przerwie to długie milczenie. Jeżeli Durmusz Aga przeszedł na stronę wielkiego wezyra, będzie po nim. Jeśli jednak podobnie jak on jest wiernym człowiekiem sułtana Sulejmana, padyszach zdobędzie czas, żeby stłumić niepokojące nastroje.

Minęło sporo czasu, zanim aga się odezwał.

– Wracaj do koszar, kapitanie – powiedział gniewnie. – Ciebie tu nie było, a ja tego nie słyszałem. Donosicielstwo nie przystoi żołnierzowi.

„Biada mi! Stało się to, czego się obawiałem – pomyślał Osman. – Zmienił stronę! Dał się kupić Ibrahimowi Paszy. To koniec twojej drogi, Osmanie Gazi. Twoje zwłoki znajdą gdzieś pod murami”. Próbował coś z siebie wydusić, ale głos uwiązł mu w gardle. Gdy pozdrowiwszy agę, odwracał się, zauważył, że jego wyraz twarzy się zmienił.

– Kapitanie – zaczął aga janczarów, patrząc mu głęboko w oczy – człowiek, który ma podjąć działanie, nie krzyczy: „Pali się!”, ale zalewa pożar wodą. Skoro jesteś dowódcą, idź i ugaś pożar w swoich koszarach. Resztę zostaw mnie.

Osman poczuł się, jakby śmiercionośne ostrze chybiło o włos. Tym razem zdecydowanie zasalutował i zamierzał odejść.

– Dziękuję, dżygicie – odezwał się za nim Durmusz Aga. – Postąpiłeś właściwie. To duża zasługa.

Kapitan Osman wracał do koszar jak na skrzydłach. Miał tam jechać i ugasić pożar.

– Pomyśl tylko – mruknął. – Źródło Dilruby mistrza Sinana przed płomieniem trawiącym serce ugasi płomień buntu!

Nowy Pałac, harem

Esma spojrzała na swoją panią stojącą w progu niczym zjawa.

– Sułtanko.

Jej twarz była kredowobiała.

– Chodź – powiedziała Mihrimah.

Dziewczyna, zostawiając robótkę, zerwała się z miejsca i razem z trzema damami dworu ruszyły za Mihrimah.

– Moja piękna sułtanko, nie powiesz, dokąd idziemy?

Mihrimah zatrzymała się, otworzywszy drzwi wychodzące na korytarz dla służby, i wbiła spojrzenie w opiekunkę.

– Idę się oczyścić, Esmo.

Zdziwiona piastunka bardzo się zaniepokoiła.

– Gdybym tylko wiedziała wcześniej. Powiedziałabym, żeby dokładnie wymyli łaźnię.

Mihrimah spojrzała na Esmę. Z jej oczu wyzierała udręka.

– Tego brudu nie zmyje woda.

Dziewczyna, która nic z tego nie rozumiała, mogła jedynie podążyć za swoją panią.

Gdy znalazły się na korytarzu, zauważyły, że panuje na nim niezwykłe poruszenie. Mihrimah z jednej strony zastanawiała się, jak powiedzieć matce o tym, co przeżyła i zobaczyła, a przede wszystkim jak się czuła, a z drugiej – próbowała uwolnić się od marzeń o marynarzu o płonącym spojrzeniu, którego spotkała na okręcie kapitana Hyzyra, oraz snów, które nie dawały jej spokoju. Właściwie zamieszanie na korytarzu było aż tak dziwne, że nawet przykuło uwagę zatopionej w myślach Mihrimah.

– Co się dzieje? Wiesz coś o tym?

– Nie wiem, sułtanko. Ale na pewno coś się wydarzyło.

Zupełnie jakby służące Hürrem podniosły bunt. Podczas gdy jedna grupa prawie biegiem kierowała się w jedno miejsce, druga spieszyła w kierunku komnaty matki.

Mihrimah bardzo się zdziwiła, gdy zobaczyła, że bez reszty oddany matce czarnoskóry aga haremu, Dżafer Aga, również krząta się w pobliżu. Dżafer zawsze wyglądał jak oaza spokoju, chociaż wiadomo było, że w razie potrzeby może wystrzelić jak łuk. Teraz, gdy opuszczając dziedziniec odalisek, wyszedł wprost na nią, powinien zatrzymać się i pozdrowić córkę padyszacha zgodnie z obyczajem. Tymczasem on wymamrotał słowa powitania i próbował iść dalej.

Mihrimah zagrodziła mu drogę.

– Co się stało, Dżaferze Ago?

Dżafer, pochylając głowę, pospiesznie pozdrowił córkę swojej pani. Następnie ze słowami: „Stało się, sułtanko. Stało się", oddalił się.

Było to coś niebywałego. Nawet damy dworu oblały się rumieńcem.

– Ach, Dżaferze – westchnęła Mihrimah, spoglądając za agą haremu. – Cokolwiek musisz zrobić, zrób to, a później równie szybko do mnie przyjdź. – Po czym, nie zważając na zuchwalstwo, którego dopuścił się wobec nich, zwróciła się do patrzących przed siebie dam dworu. – Przyprowadźcie do mnie Dżafera, gdy tylko porozmawia z moją matką – powiedziała krótko.

Odwróciła się i ruszyła dalej. W jej kroku nie było teraz nic z tego przypominającego sunącego łabędzia chodu, który podziwiali wszyscy mieszkańcy pałacu, mówiąc: „Właśnie tak to powinno wyglądać. Zupełnie jak matka". W krokach Mihrimah odbijały się niepokój i złość.

Próbowała poznać przyczynę panującego zamieszania. Co się stało? Wiedziała, że w ostatnim czasie matka była bardzo spięta. Nawet to, że została prawowitą żoną padyszacha, nie wystarczyło, żeby wyrzuciła z serca gnieżdżący się w nim strach.

Mihrimah nie mogła zapomnieć, jak bardzo się przestraszyła, gdy obudziwszy się w nocy, zobaczyła siedzącą przy jej łóżku matkę.

– Przestraszyłyście nas, matko.

Hürrem, zamiast odpowiedzieć, pogłaskała tylko jej włosy, które ze złotego zaczęły nabierać jasnokasztanowego odcienia. Mihrimah pomimo spowijających komnatę ciemności dostrzegła niepokój w oczach matki.

– Co się stało, matko? Co takiego sprowadza was tutaj w środku nocy?

– Strach przed zdradą.

Przez ciało Mihrimah przeszedł dreszcz. Poczuła, że dostaje gęsiej skórki. „Zupełnie jak kapitan Hyzyr – przyszło jej na myśl. – Moja matka boi się zdrady".

– Ach, moja piękna matko – próbowała ją pocieszyć. – Czyja ręka sięga do haremu Sulejmana Chana, że się obawiasz? Wszyscy jesteśmy bezpieczni. Śpij spokojnie.

– Ja mogę zasnąć, Mihrimah, ale zdrada nie śpi.

– Dostałyście jakąś wiadomość?

– Nie trzeba wiadomości. Wiem. Wiedźma warzy truciznę. Skorpion uniósł ogon, żeby uderzyć, i czeka na chwilę mojej nieuwagi.

– Nie mówcie tak, matko – jęknęła Mihrimah. – Nie należy być tak przewrażliwionym. Serca naszego brata sukcesora i naszego wuja paszy nie mogą być tak nieczyste, żeby zdradzić naszego ojca i tych, których kocha.

– Przewrażliwienie?

Hürrem z gniewem cofnęła rękę głaszczącą włosy córki.

– Zdrady nie karmi serce, ale wrogość, córko. W końcu nadejdzie rozkaz śmierci. Twój ojciec pójdzie do raju. Sądzisz, że jeśli na tronie zasiądzie syn Gülabahar, Mustafa, ja, ty i moi książęta zostaniemy przy życiu?

Mihrimah już dawno się nauczyła, że gdy matka się rozgniewała, lepiej było milczeć.

– To jasne – powiedziała i nachyliła się do córki. – Może nie przyjdzie nawet kolej na naszego pasierba. Zastanów się, Mihrimah. Może skorpion, którego nazywają Wybraniec Ibrahim, będzie szybszy niż Mustafa.

– Boże uchowaj.

– Modlitwy do Boga tu nie pomogą. Trzeba coś zrobić. Wojsko jest w rękach tego człowieka. Otwórz oczy. Kto ma pieczęć, ten jest Sulejmanem. Jeśli Ibrahim zrobi coś złego i Wielkie Imperium Osmańskie przejdzie w jego ręce, nie oszczędzi ani nas, ani Gülbahar i jej syna. Ty go zdradzisz?

Później matka podniosła się i głośno uderzając obcasami o podłogę, opuściła jej komnatę.

To był ostatni raz. Więcej już nie siadała nocą przy jej łóżku. Od tej pory budziła ją, wołając do swojej komnaty.

– Nigdy nie jedz i nie pij niczego, dopóki nie zostanie sprawdzone, córko – dawała jej przestrogi. – Uważaj na służących. Jeśli zobaczysz kogoś obcego, natychmiast powiedz o tym Dżaferowi.

Najdziwniejsze ostrzeżenie Hürrem brzmiało jednak inaczej.

– Nie wolno wąchać róż. Pamiętaj o tym.

Niezależnie od tego, kto wbił jej to do głowy, wierzyła, że szpiedzy Gülbahar mogą nawet zatruć kwiaty w ogrodzie. Miesiącami nie pozwoliła przynosić do haremu kwiatów. Przez jakiś czas trzymała się nawet z daleka od judaszowców, które tak ubóstwiała.

Denerwowała się nawet z powodu jej wycieczki do stoczni.

– Co ma robić córka padyszacha pośród leventów i marynarzy?

Mihrimah zatrzymała się nagle.

– O tym nie pomyślałam – powiedziała do siebie.

Czyżby matka coś usłyszała? Hürrem Haseki, o której mówiono, że wszystko widzi i wszystko słyszy, nie bała się bez powodu. A może słyszała o ukradkowych spojrzeniach na pokładzie, o tym, że wsiadając do łodzi, podała rękę marynarzowi, a gdy wychodziła na ląd, delikatnie odwróciła się i spojrzała na niego, co nie uchodziło nie tylko sułtance, ale nawet zwykłej dziewczynie. Ale jak? Czyżby… W pewnej chwili drgnęła pod wpływem wątpliwości, która pojawiła się w jej głowie. „Esma! Esma jest szpiegiem mojej matki?”. I zaraz się zganiła: „Głupia! Głupia! W ogóle nie wzięłaś tego pod uwagę. Kto inny to może

być?”. Opiekunka była jedyną osobą, która znała wszystkie jej sekrety.

Mrużąc oczy, spojrzała na Esmę, która od biegania za nią z trudem łapała oddech. Czy miłość pomieszana z niepokojem, która biła z twarzy dziewczyny, mogła być sztuczna? Czyżby to, że gdy Mihrimah była chora, do rana siedziała przy jej łóżku i płakała, też było elementem jakiejś gry? „Nie”, odpowiedziała na rodzące się w jej głowie pytania. Po matce Esma była pierwszym człowiekiem, którego zobaczyła.

„Im jesteś starsza, tym bardziej przypominasz matkę – zwróciła się do siebie. – Jesteś równie przewrażliwiona jak ona”.

Skupiła się na czymś innym, żeby odsunąć od siebie te wątpliwości. Jak ma zacząć temat, rozmawiając z matką? Nie mogła raczej zapytać: „Co to jest miłość, matko?”. Nie miała też zamiaru mówić: „Od dnia, w którym udałam się na okręt kapitana Hyzyra, pewien levent odebrał mi rozum. Czyżbym się zakochała?”. Później te sny. Jak miała je opowiedzieć? Nagle pożałowała, że przyszła. Jak mogła rozmawiać o tym z matką? „Nie mogę przestać myśleć o marynarzu, widzę go nawet w snach. I on mnie… pieści. Czyżby to była miłość? Pieścić i być pieszczonym, matko? Jednak czy to nie dziwne? Jednocześnie chcę tego i brzydzę się. Co to za uczucie? Zbrukał mnie”. Mój Boże! Nigdy w życiu!

Mihrimah weszła do komnaty matki. Panowało tu takie samo zamieszanie. W środku było pełno bławatników i krawcowych. Przyjaciółka Hürrem, Merzuka, oglądała tkaniny, a krawcowe o czymś dyskutowały. Ponieważ damy dworu i służące matki często wtrącały się do rozmowy, wnętrze wypełniał taki hałas, że nie można było zrozumieć, co kto mówi i czego chce. Jedyną osobą, która trzymała się z dala od tego bałaganu, była Setaret Kalfa. Kobieta miała już swoje lata. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na środku komnaty i patrzyła na wszystko z rozbawieniem połączonym z niedowierzaniem. Ponieważ siedziała tyłem do drzwi, nie zauważyła wchodzącej Mihrimah.

Na jej widok rozgadane towarzystwo ucichło. Kilka dam

dworu, chichocząc, pochyliło głowy w ukłonie. Merzuka, próbując ukryć za plecami trzymaną tkaninę, dała im znak, żeby zamilkły. Albo to jej się tak wydawało. Mihrimah nie potrafiła nadać znaczenia tym nietaktownym uśmieszkom. „Co im się stało? – przeszło jej przez myśl. – Wszystkie biegają z kąta w kąt i bezczelnie się śmieją. Kto to widział, żeby śmiać się w twarz córki padyszacha?”.

Setaret zdziwiła się, gdy w jednej chwili zapadła cisza. Ona również odwróciła się w stronę, w którą wszyscy patrzyli.

– Dziewczęta! Dziewczęta! Hej! Przyszła najpiękniejsza z pięknych sułtanka! – odezwała się, zobaczywszy Mihrimah.

Kobieta spróbowała się podnieść, ale mimo całego trudu nie udało jej się.

– Co tak stoicie? Pomóżcie.

Z powodu na wpół udawanego gniewu kalfy kobiety znów zaczęły chichotać. Zadowolona z siebie Setaret ponownie się odezwała, ale tym razem bardziej zagniewanym głosem:

– Hej! Przed obliczem sułtanki siedzę tu jak pasza. Niech no tylko wstanę, to zobaczycie, co wam zrobię! Gdzie mój dereniowy kij? Na swoim miejscu?

Podczas gdy służące zareagowały na tę groźbę udawanym poruszeniem, Mihrimah pomogła się podnieść kalfie, próbującej złapać się kolan.

Gdy kobieta w końcu wstała, znów zaczęła:

– Hej! Kto zapalił świece w środku dnia? A może to słońce wstało? Co to za jasność? Nagle całą komnatę wypełniła światłość.

Odwróciła się i jakby dopiero teraz zobaczyła Mihrimah, szeroko otworzyła czarne oczy.

– Ach nie! – świergotała. – To nie słońce, tylko światłość mojej sułtanki!

Mihrimah bez wahania objęła matczyną kalfę. Gdy była mała, siadała jej na kolanach i opierając głowę na jej dużych piersiach, słuchała opowiadanych przez nią baśni. Wciągnęła dobrze znany jej zapach.

– Nie ważcie się denerwować mojej kalfy – powiedziała, dołączając do przedstawienia. – Zaraz wyrzucę was na pastwę dżudżinnów i pughuli i tak zostawię.

Dżudżinny i pughule były bohaterami baśni, które opowiadała jej Setaret. Nikt nie wiedział, czym one są, ale wzbudzały strach we wszystkich, którzy o nich słuchali. Nie wiadomo było, czy to dżinny, czy co innego. Mihrimah tysiąc razy o nich słyszała, próbowała je sobie wyobrazić, jednak nie mogła nadać kształtu istotom ze swojej groźby.

– Co się dzieje, kalfo? – wyszeptała kobiecie do ucha. – Coś się wydarzyło w haremie?

Oczy Setaret błądziły.

– Działają tu pewne tajemne siły – powiedziała, nadając głosowi mistyczny ton. – Może Merzuka wie. To ona zwołała tu wszystkich handlarzy jedwabiem i aksamitem z całego Stambułu.

Mihrimah odwróciła się do niej.

– Co to za poruszenie, ciociu Merzuko?

Uśmiech na twarzy Tatarki sprawił, że jej oczy wyglądały jak cienkie linie.

– Jakie poruszenie, moja sułtanko?

– Wszyscy biegają z kąta w kąt. Przed chwilą widziałam Dżafera. Nawet on krzątał się wkoło. Prawda, Esmo? Kto to widział uwijającego się Dżafera? Z pośpiechu zapomniał nas nawet pozdrowić.

Opiekunka skinęła głową.

– Moja droga – odezwała się Merzuka. – Oczywiście, miał coś do zrobienia, ale nie mamy prawa wypytywać twojej matki, jakie zadanie mu zleciła.

Pomimo że Merzuka starała się zamknąć ten temat, kilka dziewcząt znów zaczęło chichotać.

– Co to za zuchwalstwo? – wybuchła Mihrimah. – Czy śmianie mi się w twarz stało się haremowym zwyczajem, ciociu Merzuko? Jako przyjaciółka naszej matki i nasza ciocia chyba macie nam coś do powiedzenia. Wiemy, że coś się stało, nie wiemy tylko, czy to coś dobrego, czy złego.

Głos Mihrimah zabrzmiał w komnacie matki jak smagnięcie biczem. Nawet Setaret Kafta, przygryzając wielkie wargi, przestraszona uniosła ramiona.

„Zupełnie jak matka – pomyślała Merzuka. – Kiedy wpada w gniew, drżą niebo i ziemia”.

Uśmiechnięta od ucha do ucha, próbując opanować radość, odezwała się niewyraźnie:

– Coś dobrego. Wasza matka na pewno słyszała, że przyszłyście. Nie będziemy już trzymać was w niewiedzy.

Wzięła Mihrimah za rękę i zabrała ją do pokoju matki. Otworzywszy drzwi, usunęła się na bok, żeby przepuścić dziewczynę.

Co ma być, to będzie. Mihrimah z wyrazem zdecydowania weszła do środka. Hürrem siedziała zakopana w wielkich poduszkach na szerokiej, pokrytej jedwabiami i perskimi kobiercami sofie. Uniosła głowę znad haftu. Na widok stojącej w progu córki na jej twarzy pojawił się uśmiech pomieszany z zaciekawieniem. „Dlaczego przyszła? Czyżby któraś ze służących się wygadała?”.

Mihrimah wydawało się, że wpadające przez okratowane okno światło tworzy nad głową matki aureolę. W tym świetle biały tiul luźno okrywał jej włosy i opadał złotem na jej ramiona. Kosmyki rudych włosów falowały przy każdym ruchu Hürrem.

Mihrimah od razu rzuciła:

– Matko, musimy z tobą porozmawiać.

– Niedługo zamierzałyśmy cię wezwać. My też mamy ci coś do powiedzenia, córko.

Mihrimah poczuła ucisk w sercu. „Na pewno coś się stało – pomyślała. – Pewnie coś usłyszała. Inaczej po co miałaby mnie wzywać?”.

Hürrem, odkąd przestała przychodzić do komnaty córki, wzywała ją do siebie tylko z dwóch powodów. Żeby opowiedzieć jej o swoich lękach przepełnionych scenami zdrady i wiadomościach, jakie przynieśli jej szpiedzy o tym, co robią Gülbahar i jej syn, oraz żeby powiększyć listę tego, co

niebezpieczne i zakazane.

„Może lepiej będzie, jeśli to ona zacznie rozmowę”, przeszło przez myśl Mihrimah. Przynajmniej uwolni się od trapiących ją pytań, od czego i jak zacząć. W zależności od tego, o co pytała matka, odpowiadała, co ślina przyniesie jej na język. Albo uratuje się z tej powodzi uczuć, która powodowała, że czuła się nieczysta, serce ściskał jej skurcz, a duszę ogarniał mrok, albo utonie w koszmarach i zakazanych pragnieniach.

– Słucham was. – Skinęła głową. – Najpierw wy powiedzcie, o czym chciałyście porozmawiać, matko.

Hürrem spojrzała na stojącą naprzeciwko niej córkę, która wyglądała jak wierzbowa witka. Była taka drobna i krucha. „Czyżbym się pospieszyła? – przeszło jej przez myśl. Jednak teraz nie było już sensu się nad tym zastanawiać. – Krok wykonany, strzała wypuszczona z łuku. Żeby zniszczyć zdrajców, potrzebuję kogoś jeszcze bardziej zdradzieckiego. Znalazłam go i nie mogę tego przepuścić”.

Hürrem, do tej pory siedząc na sofie ze skrzyżowanymi nogami, zmieniła pozycję. Poklepała ręką jedwabny kobierzec i wskazała Mihrimah miejsce.

– Może lepiej tym razem porzucić obyczaje i zasady. Skoro nasza córka przyszła tu, zanim ją wezwałyśmy, to, co ma do powiedzenia, musi być ważne. Słuchamy cię całym sercem, córko.

Mihrimah nie wiedziała, od czego zacząć. Wszystkie zdania, które od tylu nocy układała sobie w głowie, nagle zniknęły. Przez chwilę patrzyła w pytające oczy matki.

– Matko… – zaczęła cicho.

– Tak?

Nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa. „Co mam powiedzieć? Chyba oddałam serce marynarzowi? Mój Boże, w życiu czegoś takiego nie powiem. W moich snach pieści mnie jakaś ręka. Ręka tego marynarza i ja… Ja… Nigdy! Nigdy! Nigdy! To niemożliwe. Nie mogę tego wyznać. W pobliżu łaźni odalisek widziałam jedną z dziewcząt z mężczyzną… Ona… robiła z nim… No, to! Od tamtej nocy z jednej strony czuję się

zbrukana, z drugiej marzę o tym, żeby robić to samo z tamtym marynarzem. Nie! Nie mogę tego powiedzieć”.

– Ja… – bąknęła niewyraźnie.

– Tak, córko, słuchamy. Coś cię trapi?

– Kapitan Hyzyr! – wypaliła nagle Mihrimah bez zastanowienia, jakby to był okrzyk ocalenia.

„Nie słyszała – ucieszyła się w tej samej chwili Hürrem. – Jeszcze o niczym nie wie”. Uspokoiła się. Będzie lepiej, jeśli córka dowie się o tym od niej. Nikt tak jak ona nie potrafił jej wyjaśnić, czego oczekuje. A to było bardzo ważne, ponieważ od tego zależało ich życie i przyszłość tronu.

– A, tak… – westchnęła z ulgą. – Zapewne wizyta na statku szacownego kapitana, na którą udałyście się za pozwoleniem czcigodnego sułtana, sprawiła wam wielką radość, prawda?

– Tak, matko. – „Jestem uratowana”, pomyślała Mihrimah. – Ojciec kapitan bardzo pięknie mnie przyjął – cedziła każde słowo. – Wybraliśmy się nawet na małą wycieczkę jego statkiem. Słyszeliśmy, jak wiatr napełnia żagle, jak wiosła uderzają o wodę. Na naszą cześć kazał nawet wystrzelić z dział.

– Wszyscy wiedzą, jak lojalny jest wobec naszego pana i jego rodziny kapitan Hyzyr. Sądząc po jego zwyczaju przesyłania nam cennych podarków, ilekroć wróci z wyprawy, mimo że jest wojakiem, ma wrażliwą duszę. Cieszymy się, że nasza córka wróciła szczęśliwa z wizyty, która była ukoronowaniem jej marzeń.

Matka i córka, nie dając tego po sobie poznać, zatopiły się w swoich myślach. Mihrimah próbowała pociągnąć z matką temat, na który wcale nie miała zamiaru rozmawiać z nią, tylko z ojcem.

Hürrem natomiast nie wiedziała, jak ma zrozumieć to, że córka przyszła do jej komnaty, żeby opowiedzieć, jaką radość sprawiła jej wizyta na statku. Mihrimah wciąż była taka dziecinna.

– Myślę, że kapitan Hyzyr w równym stopniu co z pobytu w stolicy cieszy się, że na jego okręcie gościła piękna córka naszego pana – powiedziała jałowym głosem.

– Wręcz przeciwnie. Ojciec kapitan w ogóle się nie cieszy.

Hürrem się zdziwiła.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

Mihrimah cieszyła się, że znalazła sposób, żeby nadać znaczenie swojej wizycie.

– Ponieważ czcigodny kapitan wierzy, że aby Wielkie Imperium Osmańskie mogło królować na lądzie, musi władać na morzu. Powiedział nam: „Flaga Wielkiego Imperium Osmańskiego musi powiewać na nowym kontynencie. W przeciwnym wypadku obawiam się, że jego potęgę czeka upadek, ponieważ wróg bogaci się dzięki skarbom nowego kontynentu".

Bez zastanowienia nagle przeszła do działania. Wewnętrzny głos zaalarmował Hürrem. „Uważaj, twoja córka mówi bardzo ważne rzeczy. Taki stary wilk morski jak kapitan Hyzyr nie bez powodu powiedział te słowa córce padyszacha", pomyślała. A może za słowami kapitana kryło się coś jeszcze?

– Dobrze – powiedziała niskim głosem, patrząc w oczy Mihrimah. – To on wyrusza na morza, on krzyżuje szable z wrogiem. Czy coś stoi kapitanowi na przeszkodzie do zrobienia tego, czego chce?

– Tak. Wuj nie podziela jego zdania.

„O to chodziło! – krzyknęła Hürrem w duchu. – O to chodziło. Słyszałaś, Hürrem? Kapitan Hyzyr skarży się na chorwacką świnię. Możesz wykorzystać niezgodę między Wybrańcem Ibrahimem a kapitanem Hyzyrem, który z każdym mijającym dniem zyskiwał coraz większą przychylność padyszacha. Hyzyr może być twoim sprzymierzeńcem, a przynajmniej może ci pomóc pozbyć się Ibrahima".

Starała się nie okazywać córce swojego podekscytowania.

– To bardzo źle – powiedziała jakby do siebie. – Jeśli wielki wezyr się uparł, to nie zmieni zdania.

– Powinnyście też posłuchać opowiadań ojca kapitana o Nowym Świecie, matko. Podobno są tam takie lasy, że jeśli ktoś raz w nie wejdzie, więcej ich nie opuści. Potrzeba lat, żeby dotrzeć z jednego końca rzeki na drugi. Skarby są zarówno pod ziemią,

jak i na ziemi. Wyobrażacie to sobie? I wszystkie te skarby zagarniają giaurzy.

– Dobrze, zatem dlaczego kapitan nie popłynie tam i nie przywiezie tych skarbów? Na co czeka?

– Na szesnaście nowych galer.

Szesnaście wielkich galer. Wspaniała armada. Potrzeba na to tysiące złotych dukatów.

– A Ibrahim Pasza się na to nie zgadza, tak?

– Tak. Wuj powiedział kapitanowi: „Nowy Świat jest dla nas za daleko. Jeśli żołnierze znajdą się zbyt daleko od swojej ojczyzny, nie znajdą schronienia".

„Wspaniale! Wspaniale!". Teraz przyszłość malowała jej się w jaśniejszych barwach. Jeśli kapitan dostanie to, czego chce, będzie to dla Ibrahima cios, po którym się nie podniesie. Poza tym przeciwko janczarom Ibrahima kapitan miał siłę wiernej mu floty. Jednocześnie będzie to wspaniała okazja, żeby udowodnić wpływ Mihrimah na ojca.

– A ty jak myślisz?

„Co mam powiedzieć? Dokąd zawędrowała ta rozmowa?", przestraszyła się Mihrimah.

– Kapitan Hyzyr powinien dostać te statki. Ktoś musi powiedzieć naszemu ojcu, że kapitan ma rację. Wielkie Imperium Osmańskie koniecznie musi wyruszyć do Nowego Świata.

– Jak myślisz, kto to może zrobić?

Mihrimah bezradnie pochyliła głowę.

Nastała długa cisza.

Gdy po pewnym czasie podniosła głowę, zobaczyła błysk w oczach matki.

– Nie odpowiedziałyście na pytanie, córko. Jak myślisz, komu może się to udać? Kto może przekonać czcigodnego sułtana do tego wielkiego planu?

Mihrimah spojrzała na nią, jakby chciała powiedzieć: „Tylko ty możesz to zrobić". Jednak Hürrem powiedziała coś, czego zupełnie się nie spodziewała.

– Ty! – Hürrem mówiła dalej, nie odrywając oczu od córki,

z najsłodszym uśmiechem na ustach: – Tylko ty możesz przekonać do tego swojego ojca, moja piękna.

– Ale jak to? – zdziwiła się Mihrimah. – Wielki padyszach ma podejmować decyzje, słuchając słów córki? Jak kobieta może stawiać się ponad wielkim wezyrem i wskazywać padyszachowi drogę?

Hürrem się uśmiechnęła.

– Ach, moja morska rusałko – powiedziała. – Jesteś mądrą kobietą. Nauczysz się, do czego można skłonić mężczyznę. Silny mężczyzna, jeśli zechce, może potrząsnąć światem. Mądra kobieta nie musi zadawać sobie trudu światem. Wystarczy, że skłoni do tego mężczyznę.

Tajemniczość w głosie matki przyprawiła Mihrimah o drżenie.

– Ty to zrobiłaś? – zapytała cicho. – Powiedziałaś mojemu ojcu padyszachowi, żeby potrząsnął światem?

– Myślisz, że jakim sposobem ja i wy trwamy w tym pałacu? – Widząc niezdecydowanie dziewczyny, dodała: – Jeśli zechcesz, dokonasz tego, Mihrimah. Jeśli naprawdę tego chcesz, dostaniesz te galery. – Zamilkła na chwilę. – Powiem ci jeszcze coś. Ten temat nie jest obcy naszemu panu. Kapitan Hyzyr podczas swojej pierwszej wizyty przedstawił to Ibrahimowi Paszy. Jednak dostał odpowiedź: „To niepotrzebne. Wracaj do swoich zadań". Nasz pan bardzo się z tego powodu rozgniewał. Przypadkiem tego samego dnia opowiedziałam mu o twojej miłości do morza i o tym, że każdego dnia oglądasz przepływające statki. „Tylko pomyśl, Hürrem – oznajmił tamtego dnia czcigodny sułtan. – Nasz wielki wezyr nie rozumie znaczenia morza w takim stopniu jak nasza córka".

Serce Mihrimah napełniło się radością.

– Naprawdę? Tak powiedział?

– Przysięgam, córko. Wezwał kapitana Hyzyra do pałacu i pozwolił ci się z nim spotkać.

Hürrem się ucieszyła, widząc, że twarz jej córki się rozjaśniła. „*To nieodrodna córka Aleksandry Anastazji Lisowskiej*

– przyszło jej do głowy. – *Wydrze to, czego pragnie”*.

– Zrozumiałaś? – powiedziała z naciskiem. – Może też nasz pan wysłał cię na ten statek w jakimś celu. Czy kiedykolwiek wcześniej padyszach pozwolił swojej córce wejść na okręt wojenny? Czy ktoś kiedykolwiek słyszał coś podobnego? I to samą. To oczywiste, że czegoś od ciebie oczekuje. Zastanów się, zabrał cię ze sobą na zgromadzenie Dywanu, żebyś przysłuchiwała się rozmowom paszów i wezyrów. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, to uważam, że nasz pan chce, żeby jego córka interesowała się sprawami państwa.

Mihrimah delikatnie skinęła głową.

– Ty ze swoim pięknym umysłem na pewno go do tego przekonasz. Znajdziesz sposób, żeby pokonać Chorwata.

Wstała z miejsca. Stanęła przed córką, pochyliła się i położyła jej ręce na ramionach.

– Sułtanko Mihrimah, zrobisz to, co ci powiedziałam? Czy pochylisz głowę, wątpiąc w siłę kobiety?

„Nie zaszkodzi, jeśli spróbuję. Matka ma rację. Być może ojciec specjalnie wysłał mnie na statek kapitana Hyzyra. Żebym coś zobaczyła i czegoś się nauczyła. A co ja zrobiłam? Gdy wróciłam, zupełnie jak dziecko opowiedziałam mu o tym, jak dobrze się tam bawiłam, jak szeleściły żagle i jak huczały działa. Mój Boże, jaka ja jestem głupia”.

Przez chwilę bawiła się palcami. Może również kapitan Hyzyr powiedział jej o szesnastu galerach, żeby przekazała to padyszachowi. A ona, rozstając się z kapitanem, dała mu słowo, że je dostanie.

A później? Później jej myśli całkowicie pochłonął ten marynarz o płomiennym spojrzeniu. Levent, który sprawił, że o wszystkim zapomniała, nawet o swojej obietnicy.

Podjęła decyzję. Była córką sułtana Sulejmana i Hürrem Haseki. „Sułtance Mihrimah nie przystoją dziecięce igraszki – powiedziała sobie. – Córka padyszacha powinna rozmawiać z padyszachem jak sułtańska córka. Czy Wielkie Imperium Osmańskie należy do mężczyzn, że kobieta nie ma prawa głosu?”.

Uniosła głowę. Spojrzała matce głęboko w oczy.

– Zrobię – wyszeptała. – Porozmawiam z moim ojcem padyszachem.

– Brawo dla mojej pięknej córki! – Hürrem myślami była gdzie indziej. „*Nadszedł już czas*”. – Jest jeszcze coś – dodała cicho.

Mihrimah spojrzała na nią z wyczekiwaniem.

– Chcę, żebyś powiedziała naszemu panu coś jeszcze. Gdy będziecie już rozmawiali, poprosisz ojca o coś jeszcze.

– O co?

– Jednak… – Zamilkła. – Czcigodny sułtan nie powinien wiedzieć, że to, co mu przekażesz, to moja prośba.

– Jak to nie powinien wiedzieć?

– Powiedz to tak, jakbyś sama tego chciała. To bardzo ważne.

– Dlaczego?

Usta Hürrem były suche z przejęcia. Odchrząknęła, wydając z siebie dziwny dźwięk. Wiedziała, że igra z ogniem. Nie była pewna, czy Mihrimah jest wystarczająco przygotowana na to, żeby brać udział w tego rodzaju intrygach.

Owszem, odkąd skończyła dziewięć lat, opowiadała jej o czyhających na nią niebezpieczeństwach i wrogach, ale czy była już na tyle biegła, żeby z nimi walczyć? Do tych spraw potrzebne były inteligencja, odwaga, żelazna wola i – co może najważniejsze – umiejętność dochowania tajemnicy. Jeżeli ostatnie słowo powiesz na początku, wszystko będzie skończone. Niedyskrecja i lekkomyślność mogły wszystko zniszczyć.

„Wciąż jeszcze możesz zrezygnować – powiedziała sobie Hürrem. – Poczekaj jeszcze trochę. Zyskaj pewność”. Jednak głos w jej wnętrzu nalegał: „Posłuchaj, podczas gdy ty obmyślasz plan, janczarzy szykują się do buntu. Dzięki Bogu aga janczarów na czas powiedział padyszachowi o zdradzie i pożar został ugaszony. Sulejman nie zdaje sobie z tego sprawy, ale za tymi niepokojami z pewnością stoi Ibrahim. W tym czasie, gdy ty będziesz czekać, aż twoja córka dojrzeje, Ibrahim i Gülbahar obalą Sulejmana

i wsadzą na tron Mustafę”.

Ujęła dłoń córki, która wpatrywała się w nią z wyczekiwaniem.

– Ponieważ… – Odetchnęła. – Jeśli nasz pan dowie się, że to moja prośba, może to opacznie zrozumieć.

– Obudziłyście naszą ciekawość, matko. Co to za ważna sprawa, która zmienia swoje znaczenie w zależności od tego, czy wspomnę o tym ja, czy ty?

„Spaliłaś za sobą mosty, Hürrem. Nie ma już odwrotu. Powiedz to wreszcie”. Nachyliła się do ucha Mihrimah i – mimo że były w komnacie same – niespokojnie rozejrzała się dookoła.

– Oznajmij naszemu panu, że chciałabyś, żeby książę Mehmed został bejem Manisy.

Powiedziała to tak cicho, że choć szeptała, Mihrimah miała wątpliwości, czy dobrze usłyszała.

– Co? Co mam przekazać?

Hürrem posłała jej spojrzenie zdradzające zniecierpliwienie i gniew, a potem ponownie nachyliła się i wyszeptała to samo zdanie.

– Oznajmij, że chciałabyś, żeby twój brat został sandżakbejem Manisy.

Mihrimah nie kryła zdziwienia.

– Ale jak to? Przecież tam jest Mustafa.

– Tak. Ale nie musi zostawać tam na zawsze. Mehmed do Manisy, a Mustafa gdzieś daleko… Na przykład do Amasji, a nawet jeszcze dalej…

– Ale dlaczego? Nie rozumiem.

Hürrem poczuła, że wyczerpała już wszystkie pokłady cierpliwości.

– Czego nie rozumiesz? – syknęła. – Im Mustafa jest dalej od nas, tym jesteśmy bezpieczniejsi. Im bliżej stolicy jest Mehmed, tym szybciej dotrze do stolicy.

– Ale, matko, przecież Mehmed jest w Stambule.

„Nie może być aż tak głupia – pomyślała Hürrem. – Moja córka nie może być aż tak nierozumna. Przysłuchuje się wraz

z ojcem Pałacowej Radzie, rozmawia o sprawach państwa, poznaje prawdziwe oblicze wezyrów, odwiedza okręty wojenne, marzy o tym, żeby flaga osmańska powiewała na Nowym Świecie, szykuje się do tego, żeby poprosić padyszacha o wybudowanie szesnastu galer, wszystko wie, ale nie zauważa niebezpieczeństwa, które ma pod samym nosem".

– Mihrimah… – westchnęła, starając się ze wszystkich sił zachować spokój. – Mehmed jest coraz starszy. Nie zostanie w Stambule na zawsze. Niedługo nasz pan gdzieś go wyśle. Takie są prawo i tradycja. Moim celem jest to, żeby wysłał Mehmeda do sandżaku jak najbliżej stolicy.

Mihrimah wciąż nie mogła doszukać się w tym sensu, ale pokiwała głową na znak, że zrozumiała.

– Dobrze, ale dlaczego nie chcesz, żebym powiedziała ojcu, że to twoje słowa?

– Jeśli się o tym dowie, może połączyć to z moją niechęcią do Gülbahar i pomyśleć, że chcę tego, żeby usunąć stamtąd Mustafę.

Dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała matce w oczy. Zawsze uwielbiała jej niebieskozielone oczy. Kto nie był pod ich wrażeniem? Najbardziej zawróciły w głowie ojcu. Jednak dziś po raz pierwszy zauważyła, że boi się błysku w oczach Hürrem. Z tych oczu, które zawsze napełniały ją ciepłem, wyzierał teraz mrok, który przyprawiał ją o drżenie, palił i jednocześnie mroził.

– Ojciec nie domyśli się, że wy poleciłyście mi o tym powiedzieć?

– To zależy od tego, jak to przekażesz. Jeśli użyjesz sprytu, nie domyśli się. – Zamilkła na chwilę. – Musisz to zrobić – powiedziała, głaszcząc ją po włosach. – Tylko tobie może się to udać. Życie nas wszystkich jest w twoich rękach.

„Życie nas wszystkich?". Mihrimah zadrżała.

– Poprosisz go o to, prawda? Powiesz mu?

Nie czekając na odpowiedź, w jednej chwili stanęła przy niej.

– Śmiało, moja sułtańska córko. Liczę na ciebie. Będziesz musiała stoczyć wiele walk, żeby przeżyć.

Jej głos był równie chłodny co spojrzenie.

Nagle zaświergotała radośnie.

– My też nie będziemy tracić czasu. W jak najkrótszym czasie powiemy padyszachowi, że nasza córka marzy o nowych światach i pragnie galer, które mogłyby wypłynąć na ocean.

Mihrimah była jeszcze bardziej przygnębiona. „Przyszłyśmy tu, żeby zwierzyć się ze swoich zmartwień, a na czym stanęło?", pomyślała. Wprawdzie ucieszyła się, że matka zachęciła ją do tego, żeby porozmawiała z ojcem o prośbie kapitana Hyzyra o szesnaście galer, ale to, co powiedziała później, bardzo ją zaniepokoiło.

Poczuła, że nie chce być już dłużej z matką. W myślach przygotowywała się do rozmowy, jaką miała odbyć z ojcem. Omówienie tematu galer nie było trudne, ale jak miała poprosić ojca o wysłanie Mehmeda do Manisy? I to jeszcze nie ujawniając, że jest to pragnienie matki. Czy wielki padyszach się tego nie domyśli? Czy to możliwe?

– Czy to wszystko, co chciałyście mi powiedzieć, matko?

Hürrem zdziwiło pytanie, które córka zadała nieco szorstkim tonem.

– Nie rozumiem.

– Gdy weszłam do waszej komnaty, powiedziałyście, że chcecie ze mną porozmawiać. Czy to była jedyna kwestia, którą chciałyście omówić? Czy jest jeszcze coś? Jeśli nie macie innych życzeń, za waszym pozwoleniem chciałabym już wrócić do siebie.

Hürrem poruszyła się niespokojnie. „Może poczekam jeszcze kilka dni?", przeszło jej przez myśl. Czy powinna w ciągu jednego dnia obciążać ją odpowiedzialnością za dwie różne sprawy? Czy Mihrimah miała wystarczająco dużo siły, żeby to unieść? Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Jednak trudno było to dalej ukrywać. Już nawet rozpoczęła przygotowania. Jeszcze kilka godzin, a w całym haremie będzie dudniło od plotek. A jeśli Mihrimah dowie się o tym od kogoś innego, może to pociągnąć za sobą nieprzewidziane skutki. Mihrimah była jej córką, więc lepiej było jej nie denerwować.

– Tak, córko – powiedziała bez ociągania. – Jest jeszcze jedna bardzo ważna sprawa, o której musimy porozmawiać.

– Ważniejsza niż sprawa, którą mam poruszyć z ojcem?

– Obie są równie ważne.

– Naprawdę mnie zaciekawiłyście. Jednak najpierw mam pewną prośbę. W haremie panuje dziwne zamieszanie. Wasza komnata pełna jest bławatników i krawców. Idąc tutaj, widziałam nawet uwijającego się jak w ukropie Dżafera Agę. Zastanawiam się, co się dzieje. Jeśli zechcecie, opowiedzcie najpierw o przyczynie tego poruszenia. Wtedy będziemy mogły omówić tę ważną kwestię z większym spokojem.

Hürrem przez chwilę przechadzała się po komnacie, żeby uciszyć emocje. Próba zyskania na czasie, żeby pozbierać myśli, nie przyniosła takiego efektu, jedynie wzmogła ciekawość Mihrimah.

– Co to za przygotowania, matko? – nalegała.

„Sama tego chciałaś", pomyślała Hürrem.

– *Przygotowania do uroczystości* – rzuciła krótko. – Trochę wcześnie, ale… Chciałyśmy przygotować wszystko na spokojnie, zamiast działać później pod presją czasu.

Nastąpiła krępująca cisza. Mihrimah siedziała nieruchomo. Jej twarz była całkiem pozbawiona wyrazu. Ta cisza i wyraz twarzy córki sprawiły, że Hürrem nagle wpadła w panikę.

– Powiedziałyście „do uroczystości", matko?

Hürrem pokiwała głową.

– Do uroczystości.

Podeszła do córki i usiadła obok niej. Ujęła jej dłonie. Spojrzenia matki i córki się spotkały.

– Mam już dość tych chłopaków – powiedziała Mihrimah. – Znowu uroczystość obrzezania? Czy Dżihangir nie jest jeszcze na to za mały?

Hürrem odchrząknęła.

– Nie chodzi o obrzezanie… Na to jest jeszcze czas.

– Nie obrzezanie? W takim razie co to za uroczystość?

Zamilkła. Nagle twarz jej pojaśniała.

– Hej! – wykrzyknęła, starając się stłumić radość. – Kto bierze ślub?

Tym razem cisza była bardziej wymowna. Mihrimah wbiła wzrok w matkę, gdy jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. To spojrzenie było gorsze od ciszy. Wówczas Mihrimah zrozumiała.

– Niee… – powiedziała, zrywając się z miejsca. – Tylko nie mówcie, matko, że to mój ślub. Tylko tego nie mówcie!

– Mihrimah!

W głosie Hürrem było wszystko, począwszy od: „Nie waż się tak do mnie mówić!", a kończąc na groźbie. Brakowało tylko jednego i Mihrimah natychmiast to zauważyła. „Żadnego sprzeciwu".

– Nie chcę wychodzić za mąż.

– A to dlaczego?

– Nie jestem w wieku do zamążpójścia.

– Kto tak powiedział? Skończyłaś piętnaście lat. Dziewczęta w twoim wieku mają dwoje, a nawet troje dzieci.

– Matko…

– Dla ciebie też przyszedł czas, żeby wyjść za mąż i urodzić dzieci.

– Ha! – Mihrimah uderzyła obcasem o podłogę.

– Nie tup! Upór nic tu nie pomoże.

– Nie mogę uwierzyć! – podniosła głos Mihrimah.

Teraz to ona w gniewie przechadzała się po komnacie. Nagle się zatrzymała. Obrzuciła matkę iskrzącym spojrzeniem.

– Czy to nie wy jeszcze pięć minut temu mówiłyście, że powinnam oddać się sprawom państwa?

– Dlatego chcę, żebyś wyszła za mąż.

– Co? Nie rozumiem.

– Nie ma tu nic, czego można nie rozumieć. Małżeństwo córki sułtana to też sprawa państwowa.

Mihrimah próbowała stłumić rosnący w niej gniew, ale na próżno.

– *Nie mogę wyjść za mąż!*

Tupanie obcasem o podłogę i gniew córki sprawiły, że

Hürrem uśmiechnęła się w duchu. „Czy może istnieć aż takie podobieństwo?”, zastanawiała się. Jednak skryty podziw dla córki w jednej chwili ustąpił miejsca przerażającym wątpliwościom. Zadrżała.

– Dlaczego? – Zerwała się. – Dlaczego sułtanka Mihrimah nie może wyjść za mąż? Jest coś, co na to nie pozwala?

– Matko!

Jej twarz oblała się rumieńcem. Nie chciała tu zostać ani chwili dłużej. Nie zważając na pełne gniewu spojrzenie matki, odwróciła się i skierowała do drzwi.

– Nie mogę wyjść za mąż i już – rzuciła na odchodne, nawet się nie odwróciwszy.

– Twój ojciec powiedział już ostatnie słowo.

Zimny jak lód głos matki sprawił, że Mihrimah zatrzymała się tuż przy drzwiach.

– Czcigodny sułtan uważa, że jego jedyna córka dorosła już do zamążpójścia. Polecił mi nawet znaleźć odpowiedniego kandydata.

Mihrimah się odwróciła. Na jej twarzy był dziwny uśmiech, którego Hürrem nigdy wcześniej nie widziała.

– Nie martwcie się o to, matko. – Jej głos przeciął powietrze niczym bat. – Czy to nie wy powiedziałyście: „Jesteś mądrą kobietą. Nauczysz się, do czego można skłonić mężczyznę”. A może źle usłyszałam? Powiedziałyście również: „Mądra kobieta nie musi zadawać sobie trudu światem. Wystarczy, że skłoni do tego mężczyznę”. Tak właśnie zrobię. Mój ojciec cofnie swoją prośbę.

– Nawet nie wiesz, o kim myślę.

– Nie ma potrzeby. Nie chcę wiedzieć. Ponieważ i tak nie wyjdę za mąż. Może to być nawet książę z góry Kaf, o którym w swoich baśniach opowiadała Setaret.

Otworzyła drzwi i wyszła.

Policzki jej płonęły. Merzuka natychmiast zrozumiała, co wydarzyło się w środku. Tatarka, domyślając się, co ją czeka, próbowała oddalić się stamtąd z tkaninami, które miała w rękach.

– Ciociu. – Mihrimah wyszła jej naprzeciw. – Nie uwijajcie się na próżno. *Żadnego ślubu nie będzie.*

Następnie odwróciła się do dam dworu, służących, bławatników i krawcowych.

– No, dalej! – wykrzyknęła. – Wracajcie, skąd przyszliście! Nie macie tu nic do roboty! Esmo! – zawołała opiekunkę, podczas gdy zgromadzeni w komnacie zaczęli się rozchodzić. Dziewczyna wynurzyła się z tłumu. – Chodź. Nic tu po nas.

Nawet nie poczekała, aż służąca otworzy drzwi. Siłowała się przez chwilę, żeby przesunąć ciężkie skrzydło drzwi. W końcu udało się jej i zdecydowanym krokiem opuściła komnatę matki.

Esma pobiegła za nią.

– Co się stało, moja sułtanko? – zapytała.

– Nie udawaj, że nie wiedziałaś, Esmo. Dobrze wiesz, co się stało.

Dziewczyna spojrzała na nią ze wstydem pomieszanym ze strachem.

– Nie wiedziałam, dopóki nie weszłyście do komnaty Hürrem Haseki. Przysięgam. Nie powiedziano nam.

– Ha! – Mihrimah zatrzymała się nagle. Wydawała ten okrzyk tylko wtedy, gdy bardzo się zdenerwowała lub zdziwiła. – Patrzcie! Matka chce wydać nas za mąż. Nie ma w pałacu osoby, która by o tym nie wiedziała, ale ukrywa to przed nami.

Ponownie zaczęła iść, ale wykonawszy jeden krok, znów się zatrzymała. Nie spodziewawszy się tego, popchnięta do przodu Esma wpadła na Mihrimah, a trzy damy dworu zatrzymały się na opiekunce. Mihrimah nawet nie zauważyła zderzenia. Starała się znaleźć sposób, żeby wydostać się z tej pułapki. Za kogo matka chciała ją wydać za mąż? Powiedziała w złości, że nie chce się dowiedzieć, ale to nie była prawda.

– Esmo. – Pochyliła się do ucha dziewczyny. – Wiesz?

– Co takiego, sułtanko?

– Kim on jest?

Opiekunka znieruchomiała. Bezradnie spojrzała na stojące z tyłu i drżące ze strachu damy dworu. Wyglądała, jakby chciała

zapytać: „I co ja teraz powiem?”.

– Wiesz! – żachnęła się Mihrimah. – Kim on jest?

Podczas gdy Esma próbowała wziąć się w garść, Mihrimah krzyknęła:

– Stój! Nie mów. Nie chcę tego słyszeć. – Po namyśle dodała: – Zmieniłam zdanie. Powiedz, kto to.

Esma rozejrzała się ze strachem. Tylko po to, żeby zyskać na czasie, zbeształa służące:

– Nie stójcie tak. Idźcie!

Co miała ukrywać? Zdecydowała się i pochyliła się do ucha Mihrimah.

Mój Boże!

Mihrimah w jednej chwili zawróciła. Nie dostrzegała stojących w korytarzu służących kłaniających się do jej stóp.

– Nie może mi tego zrobić – mruknęła i przeszła jak burza przez frontową komnatę matki.

Z wściekłością otworzyła drzwi, które przed chwilą zamknęła z trzaskiem.

– Matko – odezwała się, przekroczywszy próg, i zbliżyła się do niej zdecydowanym krokiem.

– Oczekiwałyśmy, że wrócicie – zaczęła Hürrem, ale Mihrimah nie pozwoliła jej dokończyć.

– Wydajesz mnie za mąż za kulawca, który jest prawie w wieku mojego ojca?

*

Stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Nie było nikogo, kto nie słyszałby o pięknie Źródła Dilruby. Szczególnie gdy wśród ludu rozprzestrzeniła się historia, że została ona ufundowana przez nieznaną dziewczynę, która umarła w młodym wieku, odwiedzający zaczęli zbierać się przed koszarami janczarów.

Przez kilka tygodni dochodziło do scysji między przychodzącymi zobaczyć wodopój a strażnikami.

– Precz! Myślicie, że wojskowe koszary to targ koński, że wymachujecie rękami i próbujecie wejść! Rozejść się!

Tłum sięgający aż głównego wejścia przeklinał odpychających ich żołnierzy.

– Bądźcie przeklęci! To wstyd! Grzech! Nie pozwalacie nam odmówić Fatihy[52] za duszę Dilruby Hatun!

W końcu wydano pozwolenie. Dziedziniec garnizonu w Eyüp został otwarty w piątki dla przychodzących odwiedzić wodopój, którzy pomodliwszy się za duszę Dilruby Hatun, mogli wypić kubek wody.

Poza tym panny poszukujące męża, młode, bezdzietne mężatki, chorzy szukający lekarstwa na swoje przypadłości nie poprzestali na skosztowaniu wody. Pragnąc wstawiennictwa Dilruby Hatun, zaczęli przywiązywać szmatki w różnych miejscach wodopoju[53]. Nie minął czwarty piątek, a cała rzeźba pokryta była czerwonymi i fioletowymi przewiązkami.

Esma przekazała wiadomość sułtance Mihrimah.

– Moja piękna pani, podobno w garnizonie znajdującym się naprzeciwko mauzoleum czcigodnego Eyüpa el Ensari wybudowano źródło i tłumy ludzi przybywają, żeby je odwiedzić.

Mihrimah nie miała ochoty o tym słuchać. Czuła, jakby jej duszę miażdżył kamień młyński. Mimo to zapytała:

– A to dlaczego?

– Podobno to źródło jakiejś świętej kobiety. Jeśli pójdziesz tam, napijesz się wody i odmówisz modlitwę za duszę Dilruby Hatun, spełni się każde twoje życzenie.

Widząc, że Mihrimah myślami jest gdzie indziej, powiedziała cicho:

– Dilruba… Jakie to dziwne, prawda? Pamiętacie? Córka tego starszego mężczyzny, który szukał jej na bazarze, też miała na imię Dilruba.

Mihrimah spojrzała na opiekunkę, jakby dopiero się obudziła.

– Co?!

Esma powtórzyła:

– Mówię o wodopoju. Źródle Dilruby.

Dopiero wtedy przypomniało jej się, o czym opowiadała

piastunka.

Tymczasem Esma mówiła dalej:

– Jedna połowa marmuru została wyrzeźbiona tak, że przypomina włosy kobiety, sułtanko. Oglądający zachwycają się tym. Włosy okrywają ramiona i spływają aż do talii. Ta święta musiała być piękną kobietą.

Esma, wiedząc, że w ostatnich dniach jej pani jest zamyślona, nie poczuła się dotknięta tym, że dziewczyna jej nie słucha.

– Dilruba Hatun, sułtanko. Pewnie była bardzo piękna.

– Wiadomo, kto polecił zbudować wodopój?

Opiekunka ucieszyła się, że w końcu udało jej się zwrócić uwagę Mihrimah.

– Kto polecił nie, ale wiadomo, kto go zbudował. Jakiś Sinaneddin. Tak podobno napisał na marmurze. Mówią, że to janczar cieśla.

„Janczar? Cieśla? Dilruba?", zastanowiła się Mihrimah. Jej umysł jak błyskawica przecięła myśl: „Czyżby to on? Czy ten, którego nazywają Sinaneddin, to mężczyzna wieszający na niebie kopuły? Czy mężczyzna, którego Esma widziała na bazarze, to naprawdę on? Ma na imię Sinaneddin? A Dilruba, którą Esma uważa za jego córkę, to ja?".

– Poczekaj – powiedziała cicho do Esmy. – Usiądź i jeszcze raz mi o tym opowiedz. Co to za wodopój? Gdzie jest? Kto go zrobił?

Esma opowiedziała wszystko, co słyszała i czego się dowiedziała, dodając też trochę od siebie.

– Mówią, że jeśli się tam pójdzie i zawiąże gałganek, twoje życzenie spełni się, zanim minie tydzień, moja sułtanko. Ci, którzy tam byli, przysięgają, że to prawda.

– Też coś. Czy to możliwe? Czy dlatego, że przywiążą szmatkę, może spełnić się coś, co nie pochodzi od Boga? Naprawdę w to wierzysz?

– Broń Boże! Jednak tak mówią ci, którzy to widzieli. Źródło Dilruby zmieniło się w wystrojoną pannę. Przez odwiedzających zburzył się cały porządek w koszarach.

– Jak wygląda ten wodopój, który zbudował Sinan Aga?

– Ci, którzy na niego patrzą, nie mogą się nasycić, sułtanko – powiedziała Esma. – Mówią, że to bardzo cenny marmur. Zdaje się, że mistrz sprowadził go z Afyonkarahisar. Poprzecinany jest czerwonymi i zielonymi żyłami. Z jednej strony jest krawędź, ale druga jest krągła jak ramię kobiety. A co ważniejsze, mistrz tak ją wyrzeźbił, jakby z ramienia kobiety spływały do talii pukle włosów.

W żaden sposób nie mogła tego zrozumieć. Jeśli Sinaneddin Aga, który wybudował ten wodopój, szukający na bazarze Dilruby, i mężczyzna, z którym rozmawiała, gdy potajemnie udała się do Hagii Sophii, to ta sama osoba, to co to wszystko miało znaczyć? Dlaczego mężczyzna szukał Dilruby? Dlaczego zbudowane przez siebie źródło nazwał Dilruba?

Mihrimah, odrywając się na chwilę od swoich zmartwień, próbowała przypomnieć sobie oblicze mężczyzny, o którym już wiedziała, że ma na imię Sinaneddin. W jej pamięci nie został żaden ślad, który przypomniałby jej twarz mężczyzny. W jej uszach rozbrzmiewały jedynie jego niski głos i poszarpane zdania z ich rozmowy tamtego dnia.

– Wiesz, co znaczy Hagia Sophia?

Miała ochotę powiedzieć, że wie, ale żeby nie zdradzić swojego wykształcenia, milczała.

– Mądrość Boża – powiedział mężczyzna.

– Wiesz, że Hagia Sophia jest większa od Świątyni Salomona? Podobno na ceremonii otwarcia cesarz Justynian I powstał, uniósł prawą rękę w stronę kopuły i wykrzyknął: „Salomonie, pokonałem cię!”.

Wówczas Mihrimah go zapytała:

– Tysiąc lat temu?

– Tak.

– Wygląda jak zawieszona na niebie.

– Jak pięknie powiedziane. Kopuła zawieszona na niebie.

– Ale pewnego dnia runie. Szkoda.

– Często tu przychodzisz?

– Bardzo często.

– Dlaczego?

– Dlatego że pewnego dnia skonstruuję wspanialszą kopułę niż ta.

Wewnętrzy głos podpowiadał Mihrimah, że to on. „Dlaczego nie chcesz tego przyznać? *Wieszający na niebie kopuły i twórca Źródła Dilruby to ta sama osoba*”.

Poczuła się dziwnie. „Kto to?”, zadała sobie pytanie. „Sinaneddin Yusuf”, odpowiedział głos, który odkąd Esma o tym opowiedziała, rozbrzmiewał jej w głowie. „Nazywają go Mistrz Sinan. Sam mówi o sobie Fakir Sinan”.

Mężczyzna nie wiedział, że jest córką padyszacha, dlatego nieustannie jej poszukiwał, żeby jeszcze raz zobaczyć Dilrubę. A ona nawet nie pamiętała jego twarzy! Ale dlaczego? Dlaczego?

Nagle zrobiło jej się wstyd, że nie pamięta twarzy mężczyzny, który wieszał na niebie kopuły.

– Ach, gdybyście wiedziały, sułtanko – szczebiotała Esma. Głos opiekunki sprowadził Mihrimah na ziemię. – Mieszkańcy pałacu błagają o pozwolenie waszej matki. Jeśli sułtanka Hürrem się zgodzi i wy pozwolicie na to swojej poddanej, ja też poszłabym zobaczyć źródło czcigodnej Dilruby.

– Masz jakieś życzenie do spełnienia, Esmo?

Dziewczyna miała już dość pustej paplaniny. Pochyliła głowę.

– A może – rzuciła, żeby zmienić temat – wy też chciałybyście ją zobaczyć. Oczywiście, jeśli wasza matka pozwoli.

„Mam iść?”, zapytała siebie.

Czy była gotowa, żeby stawić czoła wrażeniu, jakie wywarła na mężczyźnie, którego twarzy nawet nie pamiętała? „Nie jestem. Nie pójdę zobaczyć czegoś, czego nie ma, nie będzie, a może nawet nie było, ale mój zrujnowany umysł sądzi, że było”.

Mihrimah doszła do wniosku, że to wszystko zapewne jest nieporozumieniem. Poderwała się z szelestem spódnic. „Tak – powiedziała w duchu. – Może w życiu Sinana Agi była jakaś inna

Dilruba. Może naprawdę jego córka miała tak na imię. Czy to niemożliwe? A ja niechcący nazwałam się Dilruba. Nie mam nic wspólnego z Dilrubą mężczyzny, który wiesza na niebie kopuły. Bo co miałabym mieć z tym wspólnego?”.

– Jeśli moja matka się zgodzi i mieszkańcy pałacu tam pójdą, ty też idź, Esmo. Skoro masz jakieś życzenie, idź i zawiąż gałganek przy Źródle Dilruby. Jak wrócisz, opowiesz mi o tym, co widziałaś.

Dziewczyna skłoniła się i mruknęła coś w podziękowaniu.

– W tej chwili mamy na głowie ważniejsze sprawy niż picie wody z naszego źródła, Esmo – oznajmiła Mihrimah spokojnie. – Nie wiem jak Dilruba, ale Mihrimah ma kłopoty.

Miała mętlik w głowie. Zauważyła, że po raz pierwszy zatęskniła za dzieciństwem. Zdziwiła się. „Okazuje się, że gdy z dnia na dzień człowiek staje się coraz bardziej dorosły, tym więcej ma zmartwień”, myślała. Gdyby ktoś jej powiedział, że zatęskni za beztroskim dzieciństwem, wolnym od smutków, nie uwierzyłaby. Ale teraz właśnie bardzo brakowało jej tych dni.

– Ach, gdybym nie dorosła – jęknęła. – Gdybym z dnia na dzień nie stawała się coraz bardziej dorosła…

Pałac w Manisie

Jeździec na kasztanowym koniu pędził jak strzała, wzniecając tumany kurzu. Kasztan, pochyliwszy łeb do przodu, cwałował, wyrzucając kopyta przed siebie. Z jego nozdrzy wydobywały się kłęby pary. Mokre od potu ciało zdradzało, że koń już długo biegł w tym tempie. Jeździec nie wyglądał lepiej. Naciągnął czapkę na uszy, żeby nie porwał jej wiatr, dlatego nie można było zobaczyć jego twarzy. Jej odsłonięta część też była ukryta pod cienką warstwą błota powstałego z mieszaniny kurzu i ziemi oraz potu. Przechylił się bliżej szyi zwierzęcia. Na zmianę popuszczając i ściągając wodze, próbował utrzymać stałą prędkość.

Gdy zobaczył pierwsze zabudowania Manisy, wyprostował się lekko i poluźnił wodze. Przestał też uderzać w boki konia. Zwierzę zwolniło. Jeszcze jedna wielka chmura pary wydobyła się z jego nozdrzy. Radośnie zarżał, odsłaniając zęby. Głębokie dudnienie, jakie wydobywało się na ziemistej nawierzchni, zmieniło się w metaliczny stukot podków, gdy wjechali na kamieniste ulice miasta.

Robiący zakupy na miejskim bazarze oglądali się za przejeżdżającym przed nimi jeźdźcem. Widać było, że ma za sobą długą drogę. Przed jednym ze straganów mocno ściągnął wodze i zatrzymał konia. Pochylił się i poprosił sprzedawcę o kubek ajranu. Odchyliwszy głowę do tyłu, opróżnił miedziane naczynie do ostatniej kropli.

Delikatnie wbił pięty w końskie boki i pogłaskał zwierzę.

– Już niedługo – powiedział cicho. – W stajniach Mustafy Chana będziesz mógł wypić tyle chłodnej wody, ile zechcesz, i najeść się do syta.

Stukot końskich kopyt na kamieniach niósł się dalej aż do górskiej drogi. W morzu sosen podniósł głowę do nieba, przeszedł pod nagimi, stromymi skałami. Gdy przed nimi ukazał się pałac

schowany w chłodzie drzew, zwierzę ponownie zarżało. Nie czekając, przyspieszył kroku i skierował się w tamtą stronę.

– Stać! – krzyknął ktoś z wewnątrz, gdy dojechał do murów otaczających pałac i zbliżał się do dwuskrzydłowej bramy. – Kim jesteś? Skąd przybywasz i dokąd zmierzasz?

Zniecierpliwiony jeździec zdenerwował się i wyprostował się na koniu, który kopał kopytem w ziemię.

– Nazywają mnie A-co-ci-do-tego! – krzyknął. – To, skąd przybywam, też nie powinno cię obchodzić. Jeśli zaś chodzi o to, dokąd zmierzam, to do pałacu księcia sukcesora Mustafy Chana.

Tym razem strażnik wystawił głowę zza muru.

Po bezczelnej odpowiedzi jeźdźca nie krzyknął jak przed chwilą, mimo to w jego głosie dało się słyszeć złość.

– Co ty sobie myślisz? To pałac, a nie przydrożny chan, do którego wstępują przejezdni. Jeśli tak sądzisz, jedź…

– Milcz! – ryknął tym razem jeździec. – Nie mam czasu. Idź i powiedz, że *łasica weszła do nory*. Zobaczymy, czy wtedy chan otworzy bramy.

Za chwilę wrota się rozwarły. Na środku wielkiego placu otoczonego drzewami różnych gatunków jeździec, zeskoczywszy z końskiego grzbietu, podał wodze stajennemu.

– Mów do niego Ala. Zna swoje imię. Zasłużył na dużą i świeżą nagrodę. Nie puszczaj go od razu do wody. Niech ostygnie. Wytrzyj go dokładnie.

Stary stajenny, żeby uspokoić konia rzucającego łbem, pogłaskał go, obrzucając jeźdźca piorunującym spojrzeniem.

– Ile pamiętasz zim, czarny chłopcze? – wycedził przez zęby.

– Nie wiem. Ale jeśli trzeba, powiedzmy, że dwadzieścia.

– Ja od czterdziestu zim spędzam życie z końmi.

Stajenny odwrócił się i odszedł. Zdjąwszy zwierzęciu uprząż, poprowadził go w stronę stajni.

Jeździec wyszczerzył zęby, kręcąc głową. Ruszył za spoglądającym na niego ukradkiem wielkogłowym służącym, który przyszedł, żeby wskazać mu drogę.

Na rozległym pałacowym dziedzińcu było jak w ulu. Ludzie

z ludu, jak można było wnioskować po stroju, wraz ze służącymi i z urzędnikami księcia sukcesora biegali z jednego miejsca w drugie.

Najpierw sługa, a za nim jeździec weszli do budynku. Udali się na drugie piętro po schodach znajdujących się na samym środku. Służący skręcił w lewo. Po prawej stronie widać było ciągnący się korytarz z rzędem drzwi. Natomiast po lewej stronie ukazały się dwuskrzydłowe drzwi sięgające od podłogi do sufitu, pokryte kolorowymi szkiełkami. Drzwi prowadziły do haremu księcia sukcesora.

Służący otworzył je i usunął się na bok, żeby go przepuścić. Jeździec wszedł do korytarza, który w przeciwieństwie do tego po prawej stronie spowijał mrok. Drzwi zamknęły się za nimi i ruszyli dalej. Oprócz nich nie było tu nikogo. Za ścianą dało się słyszeć kobiece głosy i kwilenie dzieci.

Czarny służący skierował się do drzwi naprzeciwko. Przed nimi po obu stronach stały podobne do siebie niewolnice. Mężczyzna zatrzymał jeźdźca. Jedna z kobiet zniknęła. Za chwilę jej głowa pojawiła się w drzwiach.

– Wejdź – szepnęła. – Czeka na ciebie.

Jeździec wszedł do wielkiej sali. W przeciwieństwie do korytarza wnętrze tonęło w blasku. Z dużego okna do środka wlewało się światło dnia. Zwrócił uwagę, że w oknie nie ma krat. Za to gałęzie drzew sięgały szyby.

– Zbliż się – zabrzmiał cienki, ale szorstki kobiecy głos.

Dobiegł on ze stojącej wzdłuż okna wysokiej i szerokiej sofy. Ponieważ światło padało z tyłu, nie mógł dostrzec osoby, która do niego mówiła. Widział jedynie zarys sylwetki.

– Zbliż się – powtórzyła kobieta, spostrzegłszy wahanie mężczyzny. – Nie lubię powtarzać ani słuchać tego samego dwa razy.

Jeździec postąpił dwa kroki w kierunku światła. Dopiero wtedy zauważył, że w środku znajdują się też inne kobiety.

Stojąc kilka kroków od sofy, dostrzegł, że niknąca w świetle sylwetka poruszyła się.

– Skąd wiesz, że łasica weszła do nory?

– Z piania kogutów.

Hasło i odzew się zgadzały.

– Wiesz, kim jestem?

Mężczyzna zawahał się przez chwilę. Przecież nie widział jej twarzy. „Też coś – przeszło mu przez głowę. – Jak miałbym ją poznać, jeśli nie widzę jej twarzy?”.

– Nie widzę was – mruknął. – Światło razi mnie w oczy.

– Kogo szukałeś?

– Matki chana.

Jej ręka się poruszyła.

– Wyjdźcie – powiedziała tylko.

Jeździec patrzył, jak obecne w pokoju kobiety szybkim krokiem kierują się do drzwi. Czekała, aż opuszczą komnatę.

– Zbliż się jeszcze bardziej – syknęła. – To ja jestem tą, której szukałeś. Matka chana. Sułtanka Gülbahar!

Jeździec zaczynał dostrzegać twarz kobiety. Przez *hotoz* na jej głowie nie widział, jakiego koloru miała włosy. Zauważył ruchomo patrzące czarne oczy i lekko garbaty nos.

„A więc to jest pierwsza faworyta sułtana Sulejmana”. Kobieta była niewiarygodnie piękna. Żona padyszacha nie mogła być jak te kobiety na bazarze. To oczywiste, że przypominała wróżkę z baśni. Natychmiast padł na ziemię. „Skoro padyszach ją zostawił i wziął sobie tamtą, to jak piękna musi być ruska odaliska”, pomyślał.

– Jak masz na imię?

– Kasym – odpowiedział, nie unosząc głowy. – Kasym z Karamürsel.

– Kto cię przysłał, Kasymie z Karamürsel?

– *Grajek*. – Ponieważ głowa jeźdźca wciąż była pochylona, jego głos był stłumiony.

– Kto?

– Grajek.

Było to hasło, które ustalili razem z wielkim wezyrem Ibrahimem Paszą. On był grajkiem, Gülbahar – *gazelą*. Pałac to

nora, a Hürrem to *łasica*.

Niecierpliwiła się, chcąc natychmiast usłyszeć wiadomość przesłaną przez grajka. Jednak te niekończące się hasła i szyfry były warunkiem gwarantującym bezpieczeństwo. W każdej wiadomości Ibrahim Pasza przestrzegał jej: „Nie rezygnujcie ze środków ostrożności. Dookoła aż roi się od łasic".

– Masz dowód?

Mężczyzna, wciąż pochylony w ukłonie, nie podnosząc się, próbował pokazać przedmiot, który wyciągnął zza pasa.

– Co to jest?

– Pęknięte akcze.

– W takim razie powstań, Kasymie z Karamürsel. Weźmiemy nasze akcze.

Kasym się wyprostował. Na kolanach ruszył w stronę sofy. Wyciągnął rękę, nie patrząc kobiecie w twarz. Dwoma szczupłymi palcami dotknęła jego dłoni. Zadrżał. „Już nigdy nie umyję tej ręki – zachichotał w duchu. – Już nigdy więcej nie dotknie jej tak piękna kobieta".

– Grajek nie przesłał nam nic więcej?

Dłoń Kasyma ponownie zniknęła za pasem. Po chwili trzymał małe srebrne puzderko.

Ponownie poczuł dotyk tych delikatnych palców.

– Możesz już odejść – powiedziała Gülbahar.

W jej głosie dało się słyszeć palące pragnienie, żeby jak najszybciej otworzyć maleńkie pudełko.

– Idź, umyj się i odpocznij. Poczekaj. Może będziemy miały odpowiedź dla grajka.

Mężczyzna wycofał się na kolanach. Później wstał. „Niech to szlag. Nawet dobrze nie zobaczyłem jej twarzy", zaklął w duchu, wycofując się do drzwi. Zasłonił oczy ręką, żeby osłonić je przed słońcem. Drzwi się otworzyły i wyszedł.

Gülbahar nareszcie została sama.

Starała się jak najprędzej otworzyć wąskie, długie, srebrne puzderko. Ponieważ zbyt się spieszyła, w żaden sposób nie mogła wyciągnąć pokrywki wielkości pieczęci. Tym razem przyłożyła ją

do ust i próbowała otworzyć ją zębami. Znów się nie udało. Wytarła suknią wilgotną pokrywkę i spróbowała ponownie. Z taką złością wcisnęła paznokcie, że wieczko delikatnie się poruszyło. Wcisnęła paznokcie głębiej i ustąpiło, spadając na jej kolana.

Szpilą, którą wyjęła z włosów, wyciągnęła karteczkę z pudełka. Teraz miała już w rękach wiadomość od wielkiego wezyra Ibrahima Paszy.

Przesunęła do światła kartkę długości palca. Były na niej dwa krótkie zdania: „Wzięli ślub. Teraz jest jego żoną".

Gülbahar poczuła uderzenie krwi. „Moskiewska pluskwa", zdołała pomyśleć. Zakręciło jej się w głowie i zrobiło ciemno przed oczami. Znieruchomiała, nie mogąc nabrać powietrza. Nie wiedziała, jak długo to trwało. W końcu z jej ust jak krzyk wydobyło się powietrze.

– Sulejmanie – wyjąkała – czy to nie ja byłam twoją różą? Dlaczego poślubiłeś pluskwę?

Siedziała bez ruchu, dopóki walenie serca nie ustało. Żaden inny dźwięk nie wydobył się z jej ust. „Może umarłam – pomyślała nagle. – Gdyby tylko tak było".

– Gdybym umarła, wówczas nie dostałabym tej wiadomości. Jeszcze nie jest za późno na śmierć. Wyjdę, rzucę się z górującej nad wzgórzem Płaczącej Skały i wszystko się skończy – powiedziała do siebie. – Albo wpuszczę do ust kroplę trucizny. To będzie cicha i bezbolesna śmierć.

Natychmiast zrezygnowała z tego pomysłu. Przysięgła sobie, że zgniecie tę pluskwę. Każdej nocy modliła się: „Nie odbieraj mi życia, dopóki nie zobaczę, jak Mustafa zasiada na tronie, dopóki nie pozbawię głowy pluskwy i jej bękartów". Musiała żyć, musiała znosić to cierpienie, dopóki nie zazna tego szczęścia.

Nastał wieczór. Komnata pogrążyła się w głębokich ciemnościach. Żadna ze służących nie miała odwagi wejść do środka i zapalić świec. Dereniowy kij gotowy, żeby uderzyć, gdy ktoś wejdzie niezawołany, leżał na sofie blisko Gülbahar.

Zapaliła jedną świecę i włożyła w płomień zgnieciony w dłoni pasek papieru.

– Pluskwa – wyszeptała w ciemną przestrzeń. – *Ciebie też tak spalę*. Przysięgam.

Później odeszła i ponownie zajęła miejsce na sofie.

– Światło! – krzyknęła.

Drzwi od razu się otworzyły. Wbiegły służące. Zapaliły świece i latarnie.

– Niech któraś z was pójdzie i przekaże wiadomość naszemu synowi. Chcemy się widzieć z naszym księciem. To pilne.

*

Książę Mustafa mógł przyjść do komnaty matki dopiero po nocnej modlitwie.

– Spóźniliście się. Byliście na polowaniu czy w kobiecym łożu?

Ze złości i z powodu przeżytego smutku głos Gülbahar był lodowaty.

Słysząc ostre jak szabla słowa, książę zrozumiał, że stało się coś złego, lecz mimo wszystko zapytał.

– Macie dla nas jakąś wiadomość, matko?

– Tak – syknęła Gülbahar. – Wasz ojciec…

Nie była w stanie dokończyć. Mustafa zerwał się nagle.

– Czyżby naszemu ojcu coś…

Nadzieja i niepokój w głosie syna zaskoczyły Gülbahar.

„Taka właśnie jest władza – przeszło jej przez myśl. – Jednocześnie niepokoi się, że ojciec umarł, i czeka na wiadomość o jego śmierci, żeby móc zasiąść na tronie”.

– Nie – odezwała się cicho. – To nie to… Wasz ojciec wziął ślub.

Zobaczyła niedowierzanie w oczach Mustafy. Nie dała mu szansy zapytania z kim.

– Wziął sobie za żonę tę pluskwę.

Mustafa westchnął głęboko.

– Nic nie powiesz, synu?

– Co to zmieni, jeśli coś powiem, matko? Co możemy zrobić?

Gülbahar wstała i podeszła do syna.

– Wiele rzeczy – szepnęła mu do ucha. – Zmiażdżymy głowę pluskwy.

*

Dla Gülbahar i Mustafy ta noc była jak wieczność. Tymczasem Kasym z Karamürsel najadł się do syta i wychylił dzban wina z sułtańskich winogron, a potem zasnął w jakimś rogu, chrapiąc głośno.

Gülbahar nie zmrużyła oka. Całą noc płakała i przeklinała.

– Sulejmanie – jęczała. – Życzę ci, żebyś i ty cierpiał. Żeby twoje cierpienie było tak wielkie, abyś do śmierci nie zaznał ukojenia.

Nie przyszło jej nawet do głowy, żeby znów złorzeczyć Hürrem, bo odkąd Sulejman zabrał Rusinkę do swojej alkowy, życzyła jej śmierci co noc.

Rozgoryczona, zagniewana i upokorzona biła się w piersi. Hürrem przejęła władzę i już jej nie wypuści. Z pewnością będzie chciała znaleźć jakiś sposób, żeby odebrać tron Mustafie i dać własnemu synowi. Jeśli nie przekona do tego padyszacha, może nawet…

„Mój Boże! – ogarnęła ją panika. – Otruje go i zanim do Mustafy dotrze wiadomość o śmierci ojca, posadzi na tronie własnego syna". Później przyjdzie kolej na nich. Na nią i jej ukochanego księcia.

Zadrżała, czując zbliżające się niebezpieczeństwo. Nie czas teraz na płacz i użalanie się nad sobą. Musiała coś zrobić. Gdy podjęła tę decyzję, jedyne, co jej pozostało, to wybrać, jaka śmierć spotka Hürrem i jej dzieci. Granat nocy najpierw zamienił się w szarość, a później za widzianymi zza okna sosnami pojawił się różowy pas.

– Przekonamy się, Sulejmanie – syknęła Gülbahar. – Zobaczymy, jak skorpion zatopi swój kolec w bękarcie tej pluskwy.

Natomiast książę Mustafa do świtu zastanawiał się, dlaczego

ojciec wziął ślub z ruską odaliską. Czyżby działo się to, czego obawiała się matka? Ruska odaliska próbowała odebrać mu tron?

– Co zrobisz, Mustafo? – powiedział do siebie. – Będziesz przyglądał się, jak ktoś ci odbiera twoje prawo i sprawiedliwość?

Nie miał takiego zamiaru. „Gdy nadejdzie pora, wezmę to, co mi się należy. Nie będę wahał się wyciągnąć szabli. Nie będę patrzył na to, że to żona ojca i jego syn. Odbiorę im życie. Tej jej przemądrzałej córki też nie zostawię przy życiu. Jak ona miała na imię? Mihrimah".

Zasnął wyczerpany, zapadając w mroczny sen.

„Nie – pomyślał, gdy po niespełna godzinie obudziło go oślepiające światło słońca. – Mój ojciec to sprawiedliwy człowiek. Sprawiedliwość Sulejmana jest niezachwiana. Czy kiedykolwiek pozwolił komuś odebrać innemu jego prawo, żeby pozbawić swojego syna sukcesora tego, co mu się należy?".

Wydawało się, że obawy go opuściły.

*

Gülbahar wezwała do siebie Kasyma z Karamürsel. Jeszcze przed wschodem słońca jeździec wskoczył na koński grzbiet. Tym razem Ala i Kasym z Karamürsel wieźli ze sobą wiadomość od gazeli dla grajka.

Nowy Pałac, harem

Postanowiła więcej nie poruszać tematu ślubu, ale się nie udało. Dręczyło ją to. Po pewnym czasie Mihrimah ponownie zapytała matkę:

– Chcesz wydać swoją jedyną córkę za kalekę?

– Nie, dziecko! Za człowieka, który wyratuje nas wszystkich z rąk kata. – Głos matki był zimniejszy niż stal.

Ze złości z oczu Mihrimah popłynęły łzy.

– Ha! – wykrzyknęła drwiąco. – Zatem każecie mi wybierać, jak chcę umrzeć. Albo umrzesz z ręki kata, albo w łożu Kulawca Rüstema, tak?

– Tak was wychowano? Tak się rozmawia z matką?

– Czy to kłamstwo? Przed takim wyborem mnie postawiłyście.

– Czyżbyś miała zamiar wybrać kata? Tłusty powróz czy topór? Co byś wolała, córko?

– Nie mam takiego zamiaru, matko.

– Oczywiście, że nie. A może piękna córka sułtana Sulejmana i Hürrem oczekuje, że gdy jej przyrodni brat zasiądzie na tronie, ulituje się nad nią? Ona padnie mu do stóp i będzie całowała jego szaty, błagając, żeby darował jej życie.

– Matko!

Hürrem nie zwróciła na nią uwagi. Teraz słowa, które wydobywały się z jej ust, przypominały gwizd.

– Ależ skąd! – szydziła. – Sułtanka Mihrimah jest dumna. Wdała się w matkę. Jest nieustępliwa. Nawet przed śmiercią się nie ugnie.

– Matko!

– Zamiast skamleć i błagać, woli, żeby otworzyły się bramy śmierci. Za każdym razem, gdy usłyszy jakiś dźwięk, będzie sądziła, że przybył kat. Będzie myślała, że cienie gałęzi drzew uderzających nocą o mury to ręce Kara Alego wyciągające się do

niej, żeby ją udusić. Piękna Mihrimah woli żyć, umierając tysiąc razy, milion razy przy każdym kęsie, przy każdym łuku, z obawy przed trucizną.

– Matko! Proszę…

Było to wołanie na wpół buntownicze, na wpół błagalne. Ale nie odniosło żadnego skutku. Hürrem, nawet nie patrząc na zalewającą się łzami córkę, wstała, podeszła do zakratowanego okna i wyjrzała na zewnątrz.

– Rozpuszczona córka ruskiej odaliski Hürrem nie zapłacze również wtedy, gdy usłyszy, że zwłoki matki wyrzucono przed bramy pałacu jak ścierwo psa.

Jej głos z szeptu stopniowo przeradzał się w krzyk.

– Usłyszy błagania i lamenty swoich braci, gdy będą ich dusić kaci Mustafy. Jednak nie będzie mogła już zawołać: „Biegnijcie! Morderstwo!”, bo nie zastanie nikogo, kto by ją usłyszał. – Ostatnie słowa matka wyrzuciła z siebie z niesamowitą prędkością. – Dlaczego?! – krzyknęła, odwracając się nagle do córki. – Dlaczego? Dlaczego Mihrimah, widząc tragedię swojego rodu, nie może wydusić z siebie głosu?

Nie dała jej szansy, żeby coś powiedzieć.

– Ponieważ zamiast wyjść za mąż za mężczyznę, którego jedna noga jest krótsza od drugiej, wybrała życie na krawędzi śmierci, na łasce Gülbahar i jej syna. Ponieważ Mihrimah, wielkoduszna córka potężnego sułtana Sulejmana, boi się, że jeśli zapłacze po śmierci matki i braci, Mustafa i jego matka zrezygnują z darowania jej życia!

– Matko! Błagam!

– A, racja! Oni nawet nie będą mieli sposobności uratowania naszego rodu, bo Wybraniec Ibrahim do tej pory już z nami skończy…– Mój wuj…

– Twój wuj!

– Ale jak…

– Nie przerywaj mi – syknęła Hürrem. Jej głos zmienił się teraz w przepełniony gniewem szept. Rozejrzała się z niepokojem, czy ktoś ich nie słyszy. – Nie zauważyłaś? Ten człowiek przejął

wszystkie wpływy, całą władzę. Jest prawie jak padyszach. To jasne, że upatrzył sobie tron i koronę czcigodnego sułtana. Nasz pan tego nie widzi, ale żmija już dawno podniosła głowę. Nie ma nikogo, kto by nie słyszał, jak mówi do przybywających posłów: „To mnie podlega Wielkie Imperium Osmańskie. W państwie Osmana robi się to, co ja mówię. Słowo należy do Sulejmana, ale pieczęć do mnie". Słyszałaś to na własne uszy z ust wezyrów podczas zgromadzenia Dywanu. Słowo też odbierze Sulejmanowi. Oczywiście nie masz pojęcia o powstaniu stłumionym w zeszłym miesiącu. Janczarzy o mało się nie zbuntowali. A dlaczego, moja droga? Rzekomo sułtan Sulejman nie wyrusza na wyprawy, tylko siedzi w haremie u stóp swojej żony i córki. W ten sposób Ibrahim podburza podległych sobie żołnierzy.

– Nie wierzę, żeby wuj mógł dopuścić się zdrady.

– Nie bądź głupia. Żołnierze słuchają tej świni.

Nagle się podniosła. Bezgłośnie zbliżyła się do drzwi. Zatrzymała się i pełna podejrzeń zaczęła nasłuchiwać. Później otwierając z impetem drzwi, próbowała przyłapać tego, kto mógłby podsłuchiwać. Widząc, że wszyscy robią to, co do nich należy, nie zważając na zdziwione spojrzenia dam dworu, równie szybko zamknęła drzwi i wróciła na swoje miejsce.

– Ibrahim próbuje teraz podważyć pozycję agi janczarów – szepnęła do ucha Mihrimah. – Ponieważ aga jest wierny twojemu ojcu. Zastanów się, córko.

Spojrzała w oczy Mihrimah, żeby sprawdzić, jaki skutek wywarły na niej jej słowa.

– Na wszystko wystarczy jedna noc – powiedziała. – Jedna noc i zniknie ród Sulejmana. Jest dla nas wrogiem, tak samo jak Gülbahar i Mustafa, ponieważ jesteśmy największą przeszkodą na jego drodze. Ta świnia utopi nas wszystkich w naszej własnej krwi. Zabije też Mustafę i jego matkę i będzie po wszystkim. Sam zasiądzie na tronie. A słudzy naszego pana padną mu do stóp, krzycząc: „Niech żyje nasz padyszach!".

– To… To… całkiem…

„Całkiem niedorzeczne obawy", chciała powiedzieć, ale

zabrakło jej odwagi. Wiedziała, że matka jest więźniem swoich lęków. Ta niewola odebrała jej rozum. Na każdym kroku szukała pułapek, we wszystkich widziała zdrajców, którzy szykują się, żeby zabić ją i jej dzieci. Podbiegła i padła matce do stóp.

– Proszę… – odezwała się. – Proszę, nie mów tak.

Hürrem przez chwilę patrzyła z góry na mokrą od łez twarz córki. Cierpienie i błagania córki nie wywołały u niej najmniejszego drgnienia. Gdy Mihrimah uniosła oczy i spojrzała na nią, zadrżała. W tamtej chwili miała wrażenie, że widzi głowę wykutą w marmurze. Nieruchome oczy, nieczuła, kamienna twarz. Ta determinacja jeszcze głębiej ją zraniła. Wylewając nowe potoki łez, była tylko w stanie powiedzieć:

– Nie poświęcaj swojej jedynej córki.

Nastała cisza. Czekała, aż przerwie ją kolejny wybuch gniewu matki. Jednak tak się nie stało. Hürrem nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Siedziała bez ruchu.

Nie wiedząc, jak ma rozumieć tę ciszę, Mihrimah powoli się wyprostowała. Jeszcze raz podniosła oczy i spojrzała na matkę. Twarz, jeszcze kilka sekund temu bez wyrazu, była teraz pełna głębokiego cierpienia i miłości. Co więcej, wydawało jej się, że w kącikach ust dostrzegła ślad niepowtarzalnego uśmiechu matki.

„Może zrezygnowała”. Jej serce przepełniła nadzieja. „Mój Boże – modliła się. – Proszę, żeby zrezygnowała. Nie mogę wyjść za tego mężczyznę. Nie mogę wyjść za nikogo. Szczególnie za niego. Nigdy”.

Hürrem jeszcze przez chwilę obserwowała córkę wpatrzoną w nią z nadzieją. Wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po włosach. Ale gdy otworzyła usta, odebrała jej wszelkie złudzenia.

– Na próżno. Możesz zrobić wszystko. Jeśli Mustafa wstąpi na tron, możesz nawet myć stopy Gülbahar, ale nie pozostawi cię przy życiu.

– Mój Boże – jęknęła. – Nawet na chwilę nie uwolnicie się od tych urojeń, prawda?

– Powiedziałyście urojeń, córko?

Ręka, która głaskała włosy Mihrimah, znieruchomiała.

Hürrem nagle zerwała się na nogi.

– Nie opowiadałam ci, krew ilu kobiet, które tak jak twoja matka zostały faworytami sułtana, została przelana w murach tego pałacu? Nie wyliczyłam ci, ilu padyszachów, gdy tylko wstąpiło na tron, kazało zabić swoich rodzonych braci?

– To przeszłość. Nie jest zasadą, że to, co się stało wczoraj, wydarzy się również jutro.

– Nie! – Hürrem odwróciła się z wściekłością. – Czy moja córka może być aż tak ślepa?

Później oddaliła się i ponownie usiadła na sofie.

– Spójrz! Spójrz, tutaj. – Palcem wskazującym narysowała linię na czole. – Takie jest nasze przeznaczenie. Albo my przeżyjemy, albo oni. To nie urojenia. To prawda! Jeśli oni przeżyją – powiedziała, nie patrząc na córkę zaczynającą drżeć pod wpływem uczuć balansujących między smutkiem a buntem, zupełnie jakby rozmawiała ze sobą. – Nie będę miała nawet grobu, Mihrimah. A ty… Tak bardzo kochasz morze. Zobaczysz – wsadzą cię do worka i wrzucą w fale.

– Nie rozumiem – westchnęła Mihrimah. – Jaki związek mają twoje lęki z moim ślubem z tym mężczyzną?

– Teraz siła i potęga twojej matki są fikcją – oznajmiła powoli Hürrem. – Jeśli coś się stanie mojemu czcigodnemu sułtanowi, nic nie pozostanie po tej potędze. Żeby przeżyć, trzeba mieć władzę i być mądrym. Trzeba działać. Trzeba wyplenić zdradę, zanim zdąży się rozprzestrzenić. Jak myślisz, uda mi się to, jeśli będę bezczynnie siedziała w haremie?

Mihrimah nagle zdała sobie sprawę, że nie wie, co odpowiedzieć. Od najmłodszych lat była świadkiem lęków matki. Jednak zawsze sądziła, że jej obawa przed tym, że zostaną zabici, jest trochę przesadzona.

Owszem, widziała postrach kryjący się w oczach Mustafy i Gülbahar, kiedy przybyli do Stambułu na uroczystość obrzezania, ale i tak nie wierzyła, że gdy jej przyrodni brat wstąpi na tron, zabije ich wszystkich. Jednak teraz zadawała sobie pytanie: „*Mógłby to zrobić*?”. Z przerażeniem zauważyła, że nie

potrafi zaprzeczyć.

– Dlaczego milczysz? Nie wiesz, co odpowiedzieć? – podjęła matka. – Odpowiedź brzmi: „Nie”. Jeśli twój ojciec umrze, nie będę mogła nas ochronić. Żeby zgasić iskrę zdrady, dopóki nie zmieni się w pożar i jest jeszcze w palenisku, potrzebujemy *szczypiec*. Ambitnych, bezgranicznie chciwych szczypiec.

– I tymi szczypcami ma być chromy mężczyzna. – Uśmiechnęła się gorzko Mihrimah.

Hürrem puściła to mimo uszu.

– Mężczyzna sprytny jak lis, bezwzględny jak wąż, zdradziecki jak wróg, gotowy zabić dla bogactwa i władzy.

– I chromy. – Mihrimah przybrała ton matki i powtórzyła to, co tamta pominęła milczeniem.

– Mężczyzna ubóstwiający władzę i pieniądze.

Mihrimah uśmiechnęła się.

– Nie zapomniałyście o czymś, matko? – Jej głos był pozbawiony wszelkich uczuć. – Pewnie chciałyście powiedzieć: ubóstwiający was?

– Masz rację – przyznała Hürrem. – Ubóstwiający mnie. Sprytny, bezwzględny i zabójczy, a może nawet przede wszystkim wierny mi mężczyzna. Musi zrobić wszystko, cokolwiek powiem. Mężczyzna wierzący, że jeśli zrobi wszystko, co powiem, włożymy do jego sakiewki pieczęć Wielkiego Imperium Osmańskiego.

Mihrimah zadrżała. Matka nie szukała dla niej męża, ale posłusznego sobie zabójcy.

– I tym mężczyzną jest Kulawiec Rüstem, tak?

– Tak. Możemy wziąć jego duszę jako zakładnika i powierzyć mu nasze życie. Poza tym jego ułomność nie rzuca się w oczy.

– Nie wierzę! Chcecie wydać waszą córkę za…

– Skończ już z tym. Wolę mężczyznę z krótką nogą niż z krótkim wzrokiem.

– Być może tak wolicie. – Mihrimah wyprostowała się resztką sił. – Ale ja nie mogę wyjść za mąż za tego mężczyznę.

Nagle matka złapała ją za podbródek i odwróciła do siebie.

– Dlaczego?

Wbijając wzrok w dziewczynę, próbowała coś wyczytać z jej oczu.

– Spójrz na mnie, Mihrimah – mruknęła. Jej głos i wyraz twarzy nie przypominały już damy z pałacu. Były wulgarne i groźne. – Zakochałaś się w kimś?

Wszystkiego mogła się spodziewać, ale na to pytanie nie była przygotowana. Ogarnęły ją te same wątpliwości. „Czyżby wiedziała, co wydarzyło się na statku, i próbowała mnie podpytać? – przeszło jej przez myśl. – Byłam głupia, gdy sądziłam, że o tym nie słyszała".

Czy nie mawiano, że nie ma miejsca, w którym nie byłoby szpiegów Hürrem? Zatem to prawda. Może słyszała o tym, co się wydarzyło, i dlatego jak najszybciej postanowiła wydać ją za mąż za Rüstema?

„Tak! – Chciała krzyknąć. – Tak, zakochałam się. Cały czas o nim myślę, dobrze? Jest w chlebie, który jem, w wodzie, którą piję. Jest w moich snach…".

– Odpowiedz, sułtanko. Jest ktoś, w kim się zakochałaś?

Nie starczyło jej odwagi, żeby potwierdzić.

– Matko! – jęknęła, pochylając głowę ze wstydem. – Cóż to za słowa?

– Znam moją córkę. Gdyby nie było powodu, nie sprzeciwiałaby się matce, której zawsze była posłuszna. I to jeszcze wtedy, gdy chodzi o życie nas wszystkich.

– Nie ma powodu – powiedziała cicho.

Zaczęła kreślić linie na atłasowej narzucie, na której siedziały.

Widząc to, Hürrem zadrżała. „*Nawet te ruchy przypominają mnie*", przeszło jej przez myśl. Wiele lat temu w pałacu na Krymie, rozmawiając z matką Güldane i Aj Balą Hatun, ona również kreśliła na narzucie drogi i mapy.

– Nie mogę za niego wyjść – skamlała Mihrimah. Zamilkła. Uniosła głowę, nie patrząc na matkę, nakreśliła nowe drogi

i dodała: – Ani za niego, ani za nikogo innego. Nie chcę wychodzić za mąż. Za nikogo.

Nastała długa cisza. Albo to Mihrimah się tak wydawało. Nie podnosząc głowy, spomiędzy rzęs próbowała zobaczyć twarz matki, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na niej te słowa. Nie udało jej się. Widziała tylko unoszącą się i opadającą pierś matki.

„Nie wyjdę za mąż – jęknęła w duchu. – Siłą wydasz mnie za mąż? Porozmawiam z ojcem i go przekonam".

Chciała już stamtąd uciec. Poruszyła się powoli, żeby wstać.

– Poczekaj, sułtanko.

Głos matki był zdecydowany, a jednocześnie pełen wątpliwości.

– Nie możesz tak po prostu się oddalić, mówiąc, że nie wyjdziesz za mąż. Dlaczego nie możesz wyjść za mąż? Musisz mi to powiedzieć.

Mihrimah poczuła, że kręci jej się w głowie. Wzięła kilka głębokich oddechów.

– Ponieważ… – zaczęła. W żaden sposób nie mogła wypowiedzieć słów, które miała w głowie. – Ponieważ… – powtórzyła.

– Tak?

W końcu wyrzuciła z siebie to, czego nikomu nie mogła wyjawić.

– Ponieważ… się brzydzę.

Dziewczyna oblała się rumieńcem. Próbowała ukryć twarz, ale Hürrem ujęła ją za podbródek i uniosła głowę.

– Co? Czego się brzydzisz?

– Tego.

– Sułtanko, przestań w końcu mówić półsłówkami. Czego? O co chodzi?

– O to.

Gdy strzała raz opuściła łuk, nie można było jej zatrzymać. Wiedziała, że matka nie odpuści.

– Tego. Rozumiesz.

– Nie rozumiem. Nie mogę zrozumieć. Czego się brzydzisz?

Mihrimah próbowała uwolnić się od ręki matki, która wciąż trzymała ją za podbródek i wpatrywała się jej w oczy. Hürrem przezwyciężyła jej opór.

– Powiesz, czego się brzydzisz?

– Tego, co się dzieje w łóżku.

Te słowa, których nie chciała wymawiać nawet w myślach, wyrzuciła z siebie na jednym oddechu. Ogień na policzkach dziewczyny palił dłoń Hürrem. Mihrimah szybko uwolniła głowę z rąk matki i odwróciła się. Hürrem, która zamarła na chwilę, w końcu się pozbierała.

– Skąd wiesz, co się dzieje w łóżku?

– Ponieważ… Ponieważ… Widziałam.

Przerażona Hürrem zerwała się z miejsca. Próbowała odrzucić od siebie ogarniające ją obawy. „To niemożliwe”.

– Mihrimah! – Szept Hürrem był pełen zaskoczenia i strachu. – Co widziałaś? Czyżby… Nie… – Była bliska omdlenia. Przyciskając ręce do piersi, próbowała stłumić przyspieszone bicie serca. – Powiedz. Co widziałaś?

„Boże, nie każ mówić mojej córce tego, czego się boję”.

Mihrimah z przerażonej i zażenowanej twarzy matki wyczytała przyczynę jej strachu. Nie mogła się już zatrzymać.

– Nie – powiedziała pospiesznie. – Źle mnie zrozumiałaś. Tylko widziałam… Kogoś innego. Widziałam i to było obrzydliwe. Rozumiesz? Obrzydliwe.

Później o wszystkim opowiedziała. O wszystkim oprócz marynarza o płomiennym spojrzeniu, którego zauważyła na statku. O uczuciach, jakie wzbudziło w niej miłosne spotkanie pary haremowych służących, o ręce nawiedzającej ją w snach, o tym, jak wije się w łóżku… I na tym skończyła.

– Brzydzę się. To chciałam ci powiedzieć.

Uniosła głowę i spojrzała na matkę.

Spokój stopniowo zastępował przerażenie, które jeszcze przed chwilą zawładnęło Hürrem. Pogłaskała włosy córki.

– Ach, moja śliczna córeczko – szepnęła. – Przyzwyczaisz

się… Ja się przyzwyczaiłam… Dziewczęta przyzwyczajają się do tego.

– Ja się nie przyzwyczaję, matko – oznajmiła i wstała. – I nie chcę się przyzwyczaić.

Hürrem postanowiła ochłodzić gniew córki.

– Kochanie, gdy mówiłyśmy o ślubie, to nie znaczyło, że to wydarzy się jutro. Nie ma powodu się spieszyć. Powiedzmy, że potrwa to dwa lata. Sprawy państwowe, wyprawy… Ty w tym czasie rozkwitniesz, a później…

– Później co?

– Rüstema Agę czeka sprawdzian. Najpierw zobaczymy, jak będzie nam służył.

– Nie chcę. Na cóż mi to? Poza tym, co to mają być za usługi?

– Polowanie na świnie, dziecko – mruknęła. – Sprawdzimy, czy upolowawszy świnię, otworzy sobie drogę do szczęścia. Jeśli się spisze, damy mu rękę naszej córki. Jeśli mu się nie uda, znajdziemy naszej córce odpowiedniego męża.

– Obawiam się, że źle to ujęłyście. Znajdziecie waszej córce innego męża, który będzie wam służył.

Nagle przypomniała sobie słowa matki, do których wcześniej nie przywiązała wagi.

– Powiedziałyście, że jego ułomność nie rzuca się w oczy, czyż nie?

– Tak powiedziałam.

– Skąd o tym wiecie?

– Widziałam go.

– Co?

Hürrem nie zwróciła na nią uwagi i mówiła dalej.

– Rozmawiałam z nim. To prawda, trochę utyka, ale nie tak bardzo. Gdybym nie wiedziała, że mój zięć ma taką przypadłość, nie domyśliłabym się.

– Nie nazywajcie go tak, matko. Kiedy to stał się waszym zięciem? Jak mogłyście wezwać go tu i rozmawiać, nic mi nie mówiąc i nie wiedząc, czy chcę wyjść za mąż?

– Musiałam się dowiedzieć, czy Rüstem jest człowiekiem, którego szukamy. Będzie dla ciebie dobrym mężem, a dla nas zięciem. Wystarczy tylko zadbać o odpowiednią przynętę.

Mihrimah wyszła, z wściekłością trzaskając drzwiami. Nie słyszała, jak Hürrem powiedziała za nią:

– Idź, moja panno młoda… Bądź spokojna, moja Dunjaszko. Twoja matka zaprzedała duszę diabłu. To my przetrwamy, a oni zginą.

Kwatery leventów
Stambuł

Czekał, aż w pobliżu nikogo nie będzie. Kryzys mógł się zacząć w każdej chwili. O ile życie w tym strachu było ciężkie, o tyle tysiąc razy trudniejsze było znoszenie palącego bólu i rzucających nim drgawek. Te przeklęte skurcze bezlitośnie biczowały jego ciało. Paliły mu mózg, odbierały zmysły i stawały się powodem rozpaczliwych krzyków.

Ksiądz ostrzegał, że tak będzie.

– Bądź na to przygotowany – powiedział, gdy się rozstawali. – Czekają cię załamania. Będziesz cierpiał z powodu braku eliksiru.

– W takim razie daj mi go.

Ksiądz się uśmiechnął.

– Nie mogę. Gdy uratuje cię osmański statek, nic nie możesz mieć przy sobie.

– A jeśli kryzys zacznie się w ich obecności?

– Zacznie się. Pomyślą, że to atak epilepsji. Jeśli cię zapytają, powiesz im, że to z powodu hiszpańskich tortur.

– Nie wytrzymam bez eliksiru. Nie przeżyję.

„Przeklęty”, mruknął Alejandro, przypomniawszy sobie tę chwilę.

– Bóg da ci siłę, synu – powiedział ksiądz, wyciągając krzyż i błogosławiąc go. – W Konstantynopolu spotkasz się z pewnym człowiekiem, Alejandro. On da ci eliksir.

„Nie dał”, burknął gniewnie. Dosłownie biegł do Twierdzy Genueńskiej z nadzieją na ocalenie.

– Piąty piątek – powiedział mężczyzna, którego tam spotkał. – Idź prosto z Balat do Fener.

Poszedł tam, ale nikt nie przyszedł.

Następnego dnia też pobiegł do starca spod twierdzy.

– Co mam zrobić, skoro nie przyszedł? Odliczyć kolejnych

pięć piątków? – rzucił tym razem.

Na granicy śmierci i utraty zmysłów po raz trzeci wyczekiwał „piątego piątku”. Minęły dopiero dwa piątki. Musi czekać jeszcze trzy, żeby zdobyć eliksir. Jeśli do tego czasu nie umrze!

Przypomniawszy sobie słowa księdza: „Będzie bardzo ciężko”, uśmiechnął się w duchu. Gdy na statku, na który wsadzono go jako galernika, nadszedł kryzys, zrozumiał, jak delikatne było to określenie na straszliwe bóle, które go dopadły. To cierpienie było nie do opisania. Zaczynało się od okropnych drgawek.

Na statku było tak samo. Podczas gdy ręce trzymał na wiosłach, a nogi miał przykute łańcuchami do podłogi, jego ciało długo miotało się jak liść na wietrze. Paznokciami poranił próbujących go uspokoić strażników, a jednego nawet ugryzł w ucho. Szarpał się jak szaleniec, a fruwające, grube łańcuchy poraniły głowę drugiego galernika. Kajdany do krwi pocięły mu skórę rąk i nóg.

Kryzys skończył się na krótko przed nocą, w którą dostał się na okręt osmańskich korsarzy. Gdy atak zaczął mijać, drgawki zmieniały się w drżenie, ciało jak po burzy delikatnie falowało. Krzyki ustawały, wywracające się oczy i uciekające źrenice wracały na miejsce. Później Alejandro staczał się w bezkresną ciemność.

Tak znaleźli go korsarze. Opłakany stan Alejandra, którego włosy i broda były poplątane i który obrzucał otoczenie szaleńczym spojrzeniem, powiązali to natychmiast z niewolą i głodem, jakich doświadczył. Gdy powiedział, że jest leventem kapitana Turguta, stali nad nim i wzdychali:

– Ach, przyjacielu… Ach, dżygicie.

– Niech będą przeklęci giaurzy, którzy doprowadzili cię do takiego stanu.

Modlitwy Alejandra: „Oby już więcej nie złapał mnie przy nich kryzys”, nie zostały wysłuchane. Gdy pewnej bezgwiezdnej nocy spokojnie kołysali się na morzu, rozpoczął się nowy atak.

Marynarze byli przerażeni, widząc, że wrzeszczy jak oszalały, rzuca się na ziemię i wije w konwulsjach.

W końcu jeden z nich powiedział:

– To atak epilepsji. Nie dotykajcie go.

Inny poradził:

– Związmy go.

– Nigdy. Epileptyka nie wolno wiązać. Zostawcie go. Porzuca się, porzuca i mu przejdzie.

Jakby to było takie proste.

Kiedy kryzys ustał i leżał bez ruchu, zanim zapadł w sen, który jemu wydawał się nie mieć końca, powtórzył Turkom słowa grubego księdza:

– To tortury giaurów doprowadziły mnie do takiego stanu. Jeśli zrobiłem coś niewłaściwego, wybaczcie.

Gdy był przekazywany do kwater leventów, tę przypadłość także opisano w raporcie. Słyszał, jak dowódca koszar mówi na ucho do marynarza, który go przyprowadził:

– Niech mu Bóg pomoże. Co zrobić? Potrzęsie nim i mu przejdzie. Wygląda na dzielnego człowieka.

Nie wiedział dlaczego, ale przez jakiś czas nie dopadały go kryzysy. „*Pewnie Bóg mi pomaga* – mówił sobie. – Może uratował mnie od tego, żebym mógł wypełnić swój święty obowiązek".

Drgawki, krzyki, rzucanie się na podłogę ustąpiły miejsca przeraźliwym atakom potu. Czasem materac, na którym spał, był tak mokry, jakby ktoś wrzucił go do wody i wyciągnął.

Były też koszmary doprowadzające go do utraty zmysłów. Każdej nocy, zanim się położył, prosił Boga, żeby pokazał mu Jezusa i anioły. „Był czas, gdy widziałem je tak blisko siebie, że mogłem złapać je za rękę, Boże. Pozwól mi przeżyć ten cud jeszcze raz".

Ale Bóg go nie słuchał. Zamiast Jezusa i aniołów nieustannie pokazywał Alejandrowi kobietę. Wydawało mu się, że ją zna, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd.

Koszmar zaczynał się od dziecka. Dziecko było w jakimś

znajomym mu miejscu. W wiosce. Nie wiedział, gdzie to było. Wioska była przytulona plecami do wzgórza, zwrócona ku bezkresnemu błękitowi. Od strony wzgórz unosił się dziwny zapach. Znał go, ale jego też nie mógł rozpoznać. Nie widział twarzy dziecka, tylko jego ręce i nogi. Jego małe stopy były bose. Nieustannie spacerował po wzgórzu i głaskał rośliny porastające ziemię. Zapach dotykał dłoni chłopca. Z dołu wołała go jakaś kobieta. Słyszał ją, ale nie mógł zrozumieć, co mówi. Była bardzo daleko. Machała do kogoś. Do dziecka czy do Alejandra? Nie wiedział.

Gdy chłopiec schodził ze wzgórza, niósł się za nim zapach tego miejsca. Niespodziewanie kobieta stawała przed nim. Widział chłopca i machającą kobietę, ale bardzo daleko. Nie potrafił zrozumieć, jak tak nagle pojawiła się przed nim. „To w końcu koszmar", mówił do siebie we śnie. Chłopiec podnosił głowę i patrzył na kobietę. Na jej głowie widział białą chustę, której końce unosiły się na wietrze. Radosna twarz kobiety była mu znajoma. Ale skąd?

Zdawał sobie sprawę, że to sen. Będąc w samym środku nocnej wizji, czuwał. „Kim jest ta kobieta, Alejandro?", pytał siebie we śnie. Nie wiedział. Później kobieta wyciągała rękę. Chłopiec łapał za nią. Ciężkim krokiem schodzili razem ze wzgórza w kierunku wioski. Śpiewali jakąś piosenkę, ale Alejandro nie mógł dosłyszeć słów. Rozumiał tylko, że to coś beztroskiego i radosnego.

We śnie, patrząc na uśmiechającą się do niego kobiecą twarz i zastanawiając się, kim jest, nagle widział twarz dziecka. „Boże! – Rozbrzmiewał w nim krzyk. – To ja. W takim razie kim jest ta kobieta?".

Gdy Alejandro po raz pierwszy doświadczył tego snu, obudził się zlany potem. Przez cały dzień o nim myślał. Co to za wioska, którą widział? Kim była ta kobieta? Nie wydawała się obca chłopcu, bo patrzyła na niego z miłością.

„Czyżby to była moja matka? – to pytanie paliło jego mózg. Jednak w ogóle nie przypominała kobiety, którą ksiądz pokazywał

mu na obrazkach. – W takim razie kim jest ta kobieta, Boże? Kim ona jest?”.

Następnej nocy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Koszmar zaczął się dokładnie w tym miejscu, w którym poprzednio się skończył. Znów był tam ten chłopiec. Alejandro szukał we śnie kobiety. Nie było jej. Jednak czuł, że jest gdzieś w pobliżu. Na wzgórzu był młyn. Jego skrzydła przypominały rozwarte ramiona czterorocznego potwora z baśni. Chłopiec szedł w jego kierunku. Ramiona potwora, do tej chwili nieruchome, zaczynały obracać się w szaleńczym tempie. Wyciągały się do dziecka, jakby chciały je pochwycić i odrzucić. Ale chłopiec tego nie zauważał. Radośnie biegł w jego stronę. Może myślał, że potwór to młyn. „Uciekaj! – krzyczał Alejandro. – Uciekaj, chłopcze! Potwór cię złapie!”.

– Hej, obudź się, chłopie.

– Uciekaj, chłopcze, uciekaj! Złapie cię!

– Obudź się, dżygicie. Przestań krzyczeć. Wszystkich pobudziłeś.

Alejandrowi udało się wyrwać ze snu, dopiero gdy potrząsnęła nim jakaś silna ręka.

Levenci, spokojnie śpiący i pochrapujący na swoich posłaniach, tej nocy po raz pierwszy byli świadkami sennych krzyków i wrzasków Alejandra, którego znali jako Ismaila z Alaiye. Jednak to nie był koniec.

Następnego dnia rozmyślał nad swoim snem. Tym razem stwierdził: „To miejsce u stóp wzgórza to pewnie moja wioska. Ten chłopiec to ja. A potwór to tureccy korsarze, którzy mnie porwali”.

Innej nocy Alejandro zobaczył chłopca zbiegającego ze wzgórza. Za nim z krzykiem biegła kobieta. Poznał ją po białej chuście powiewającej na głowie. Była to kobieta z pierwszego snu. Kobieta, którą znał, ale nie mógł sobie przypomnieć, kim jest. „Teraz sobie przypomnisz?”, zapytał siebie we śnie. Widział, że kobieta krzyczy, ale znów nie mógł jej usłyszeć. Podczas gdy oni zbiegali z zielonego wzgórza wprost do morza, do rozpadającego

się drewnianego pomostu zbliżała się łódź z małym żaglem przywiązanym do masztu. Przyszła fala, nakryła łódź, obmyła deski pomostu i pozostawiła na piasku białą pianę. Alejandro zobaczył bose stopy chłopca na zamoczonym przez falę pomoście. Małe stopy stawiające krótkie kroki. Dwóch mężczyzn wyciągnęło z łodzi coś, co wyglądało na ciężkie. Zostawili to u stóp chłopca. Wiatr zwiał z tego przykrycie. Ukazała się twarz mężczyzny o lekko posiwiałej brodzie. Mężczyzna spał. Chłopiec stał i wpatrywał się w leżącego mężczyznę. Nagle kobieta ponownie pojawiła się we śnie. Przybiegła z tyłu. Z trudem łapała powietrze. Jej stopy uderzały o mokre deski pomostu. Zatrzymała się obok chłopca. Nachyliła się nad leżącym nieruchomo mężczyzną. Na widok zastygłej twarzy mężczyzny opadła na ziemię. Chłopiec położył rękę na drżącym ramieniu kobiety. Alejandro po raz drugi zobaczył twarz kobiety. Tym razem się nie uśmiechała. Z jej oczu płynęła krew.

Alejandro co noc widział we śnie kobietę i chłopca. Nieustannie płakała, ale zamiast łez płynęła z jej oczu krew. Cały czas wyciągała ramiona przed siebie. Jakby chciała coś złapać i objąć. „Chodź – powtarzała. – Chodź, czekam”.

„Kim jest ta kobieta?”, nieustannie zadawał sobie pytanie. Od ciągłego zastanawiania się i prób przypomnienia sobie tego, był skołowany.

Wyprostował się. Wsłuchał się w dźwięki. Nie słyszał nic oprócz oddechów śpiących leventów i szarpiącego żagle wiatru przywodzącego na myśl chrapanie. Jeszcze chrobotanie myszy, gdy jadły coś z apetytem.

Powoli wstał z łóżka. Nie będzie spał. Kryzys był blisko. W dłoniach czuł mrowienie, a w ramionach i nogach niewielkie skurcze. Wiedział, że następstwem tego będzie prawdziwe piekło. Czuł w ustach cierpki smak eliksiru. Pragnął go całym ciałem, całym umysłem, całym swoim jestestwem. Było kwestią chwili, gdy dopadnie go atak, rzucając go na ziemię. To nie powinno się zdarzyć wśród tylu żołnierzy. Kiedy już myślano: „Bóg się nad nim zlitował, padaczka przeszła” i przygotowywano się, żeby

przydzielić go na jakiś statek, nadchodził nowy kryzys i wszystko niweczył.

Na palcach skierował się do wyjścia. Strażnik stał oparty o drzewo, w odległości dwóch kroków od drzwi. Gdy cień Alejandra padł na schody, natychmiast się odwrócił. Jego ręka leżała na broni wetkniętej za pasem.

– Skaranie boskie… To ty, Ismailu z Alaiye? – syknął mężczyzna. – Co robisz na zewnątrz? O mały włos, a odebrałbym ci życie.

Alejandro się uśmiechnął.

– Nie mogę spać. Pomyślałem, że chociaż pójdę do wychodka.

– Chodź jak człowiek.

– Skąd wiedziałeś, że ktoś jest za tobą? – pochwalił mężczyznę, żeby się od niego uwolnić.

Zaspane ciało leventa nagle się naprężyło.

– Stąd. – Wyciągnął rękę w stronę Alejandra.

Levent spojrzał na owłosione przedramię.

– Po włosach – wyjaśnił strażnik, widząc, że Alejandro patrzy na jego rękę, nic nie rozumiejąc. – Spójrz. Wszystkie stanęły dęba. Gdy tylko ktoś się za mną skrada, nawet jeśli oczy i uszy mam zamknięte, natychmiast to zrozumiem. Włosy natychmiast stają mi jak… wiesz co, na widok jakiejś ślicznotki.

Obaj zachichotali.

– Dalej – odezwał się strażnik. – Nie wstałeś czasem po to, żeby pójść do wychodka? Jak się rozgadam, to narobisz w gacie.

Alejandro poklepał leventa po ramieniu, jakby od lat byli przyjaciółmi.

– Pomyślałem, że potem zejdę na plażę. Powiedziałem, że nie mogę spać.

– Co będziesz robił na piasku? Wracaj do cieplutkiego wyrka. Może we śnie odwiedzi cię jakaś kobitka i rano będziesz musiał zmieniać prześcieradło.

Alejandro jeszcze raz poklepał mężczyznę i udał się do budynku, w którym znajdowały się ustępy i myjnie. Jakimś

sposobem udało mu się wyjść niezauważonym przez strażnika przy bramie.

Piasek był zimny. Alejandro skierował się do jednej z łodzi wyciągniętych na brzeg i zniknął w jej cieniu. Dopiero ktoś, kto podszedłby bardzo blisko, zobaczyłby, że tam jest.
W ciemnościach widać było tylko jego żarzące się jak dwa węgle oczy.

Od chwili, gdy opuścił mury, myślał o ostatnich słowach strażnika: „Może we śnie odwiedzi cię jakaś kobitka i rano będziesz musiał zmieniać prześcieradło".

Teraz w snach Alejandra pojawiały się dwie kobiety. Kobieta, którą znał, ale nie pamiętał, kim jest, a która nieustannie go wzywała: „Chodź". I ta dziewczyna, córka padyszacha, Mihrimah. Pierwszej nie chciał widzieć, drugą pragnął oglądać w każdej chwili.

Już tyle nocy nie spał, żeby tylko nie zobaczyć kobiety, z której oczu zamiast łez płynęła krew. Przeczuwał, że jest posłańcem złych wieści.

Jednak odkąd ujrzał Mihrimah, całym sercem wyczekiwał na gwizdek do snu, marząc: „Ach, gdybym chociaż przez jedną noc we śnie miał ją w swoich ramionach".

Wyprostował nogi. Zadrżał, ale nie wiedział, czy z powodu opadającej na niego wilgoci nadchodzącego poranka, czy dlatego, że wyobraził sobie piękną twarz dziewczyny o włosach jak łany zboża i oczach jak morze.

„Wielki Jezu – przeszło mu przez myśl. – Jakaż ona piękna! Zakochałem się w córce swojego wroga!".

Alejandro uniósł głowę. Spojrzał na świecące gwiazdy, które na bezkresnym czarnym firmamencie wyglądały jak robaczki świętojańskie. Westchnął głęboko. Żeby wyrzucić z głowy myśli o drżeniach, coraz donośniej dającego o sobie znać kryzysu, marzył o oczach Mihrimah.

Jego serce ścisnął ból. Jednak ten ból był całkiem inny, znacznie głębszy i niszczycielski niż trzęsienie ziemi, jakie w jego duszy wywoływał brak eliksiru, od którego był uzależniony.

Próbował pochwycić jej oczy jak spadające gwiazdy.

– Jesteśmy pod tą samą niebiańską kopułą – wyszeptał do siebie. – Ona też, gdy podniesie głowę, widzi te same gwiazdy.

Wraz z pierwszym skurczem jego ciało od razu się napięło. Stłumił próbujący się wydobyć krzyk, przygryzając język.

– Córko padyszacha – odezwał się, jakby to do niej się zwracał – jesteś tak blisko, że mógłbym do ciebie dobiec, a jednocześnie tak daleko jak gwiazdy.

Drugi nóż wbił mu się w głowę. Ból zawładnął całym jego ciałem.

– Nie krzycz – upomniał się Alejandro. – Nie będziesz krzyczał, kiedy Mihrimah jest tak blisko!

Wstrząsy następowały jeden po drugim. Każde uderzenie rzucało jego ciałem o ziemię nowym i po tysiąckroć silniejszym skurczem od poprzedniego. Próbując ochronić się przed śmiercionośnymi ciosami napadu, schował głowę w ramionach. Przez chwilę jego ciało wystrzeliło w górę jak płomień.

Chcąc uwięzić krzyk, gryzł usta i język, które zaczynały już krwawić. Każda część jego ciała buntowała się z powodu braku eliksiru.

– Boże – jęknął. – Potrzebuję tego eliksiru. Potrzebuję go. Potrzebuję. Proszę. Niech przybędzie posłaniec. Niech da mi mój eliksir. Inaczej umrę.

Gdy znów potoczył się na ziemię, uderzył głową o krawędź łodzi. Zauważył, że poczuł ten ból. Był niewielki w porównaniu z bólem, który więził jego umysł, duszę i ciało.

Chociaż powinien marznąć od chłodu poranka i wilgoci, która zaczynała osiadać mgłą na jego ramionach, kwiatach i morzu, całe ciało Alejandra płonęło jak wrzucone w ogień. Podczas gdy jego ciało wiło się na piasku w konwulsjach, resztką sił próbował uklęknąć. Wyciągnął ku niebu głowę i drżące ramiona.

– Mihrimaahhh!

Była to modlitwa, bunt i cierpienie w jednym.

– Mihrimaahhh!

Dłużej nie wytrzymał. Alejandro skulił się pod wpływem skurczu, który dosłownie przeszył całe jego ciało. Teraz leżał bez ruchu zwinięty na piasku.

Krzyk, jaki wydobył się z jego gardła, przez chwilę zawisł nad wodami, a później odbił się echem nad wzgórzami.

– Mihrimaahhh! Mihrimaahhh! Mihrimaa…

Nowy Pałac, harem

Po tym, jak Mihrimah opuściła apartamenty matki, zamknęła się w swojej komnacie. Damy dworu bały się nawet oddychać, żeby sułtanka ich nie usłyszała.

Wiele dni później jedynie Esma potrafiła znaleźć w sobie tyle odwagi, żeby otworzyć drzwi i zajrzeć do środka, słysząc szlochania swojej pani dochodzące z komnaty i brzdęk rozbijanych o ściany szklanek i karafek.

– Sułtanko?

Jedyną odpowiedzią było bezradne spojrzenie oczu, które od płaczu były całe przekrwione. I jeszcze machnięcie ręki, które miało oznaczać: „Wyjdź! Nie chcę nikogo widzieć!".

Płakała, dopóki starczyło jej łez. Najpierw łkała, a ramionami wstrząsały drgawki, później zamieniło się to w głębokie westchnienia. Wyciągnęła spod poduszki pokryte perłami i szmaragdami lusterko ze złotą rączką. Nie mogła rozpoznać dziewczyny przyglądającej jej się w lustrze. „*Czy to ja*?", zapytała w duchu. Włosy miała w nieładzie, a pod oczami sińce. Skóra na twarzy wydawała jej się luźna i opadnięta. „*Jakbym zestarzała się w ciągu kilku godzin*", pomyślała. Nie mogła na to patrzeć.

Podeszła i usiadła na fotelu przed okratowanym oknem. Podciągnęła nogi. Wiosenne słońce chyliło się ku zachodowi, zaczynało skąpywać morskie fale w złotym świetle. Białe chmury na niebie nabrały odcieni czerwieni, fioletu i granatu. Wieczorny mrok zaczął osiadać na ukochanym przez nią błękicie.

Przez jakiś czas patrzyła, nie myśląc o niczym. Gdyby ktoś wszedł i zapytał, co jest na zewnątrz, nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Upłynęło dużo czasu, gdy zauważyła, że płonące niebo najpierw okryło się granatem, żeby później utonąć w ciemnościach. Gdyby nie odbijające się w wodzie, tańczące na lekkim wietrze płomienie świec palących się w domach na

przeciwnym brzegu, człowiek mógłby pomyśleć, że w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było morze skąpane w złotym świetle, znajduje się teraz przeraźliwa pustka.

Uniosła głowę, szukając gwiazd, ale ich nie widziała. Pomiędzy dachami zabudowań pałacowych mogła dostrzec niewielki kawałek nieba, ale tej nocy on też zniknął.

Jej komnatę również spowijał mrok. Jeszcze przez chwilę trwała tak bez ruchu. Zauważyła, że ciemność i cisza powoli zaczęły utulać gryzące ją cierpienie i gniew. Zaczynała rozumieć, że nic nie osiągnie płaczem i błaganiem. Matka postanowiła wydać ją za mąż. Nawet wybrała dla niej męża i wezwała go do siebie. Ojciec też ją popierał. Wszystko było takie proste. Wystarczyły wola matki i rozkaz ojca: „Zróbcie to, co konieczne. Nasza córka wyjdzie za mąż za Rüstema Agę". Nie można było tego odwołać.

„Coś musi być – mówił jej wewnętrzny głos. – Musi być jakiś sposób, żeby uwolnić się z tej pułapki. Ale jaki? Idź i porozmawiaj z padyszachem – rzucił głos. – Czy nie jesteś ukochanym słońcem i księżycem padyszacha? Padnij mu do stóp. Wyznaj, że nie chcesz męża, którego znalazła dla ciebie matka".

Ona też o tym myślała. Owszem, padło już ostatnie słowo sułtana, ale przecież ojciec nie chciał jej zasmucać. Łatwo było powiedzieć „moje słońce i księżyc". Jego słońce zachodziło.

„Mogę przekonać ojca, żeby odwołał swoją decyzję", dodawała sobie otuchy. Kto wie, może to zamysł padyszacha. Może znajdzie inny sposób, żeby temu zapobiec?

Ale możliwe też, że ojciec wpadnie w gniew i zacznie ciskać gromy: „Czy nasza córka kwestionuje nasz dekret? Co to za zuchwałość?". Nie zdziwi się, jeśli powie: „Nie tylko miesza się w sprawy państwowe ze swoim kobiecym rozumem, nalegając, żebyśmy zlecili budowę szesnastu galer dla kapitana Hyzyra, ale też krytykuje wybranego przez nas męża", przeszło jej przez myśl.

Właściwie teraz nie obchodziły jej galery kapitana. Źródło Dilruby mistrza Sinana z Ağırnaslı też nie.

– Nigdy w życiu – mruknęła w ciemnościach. – Powiem,

żeby kazał wybudować te jedenaście galer, i poproszę o to, żeby w miejsce Mustafy sandżakbejem Manisy mianował mojego starszego brata. Jakby tego było mało, powiem, że nie wyjdę za mąż i żeby cofnął swój dekret. Będę się upierać, żeby połknął swoje słowo i podarł firman. Jeśli ojciec mnie wyrzuci, będzie miał rację.

Wśród ciszy stukanie do drzwi wydało się Mihrimah jak odgłos przeraźliwego wybuchu. Podskoczyła. Dźwięk, który wyrwał ją z zamyślenia, rozniecił czającą się w niej złość.

– Kto to?

– To ja. Esma.

W głosie opiekunki słychać było strach przed gniewem jej pani.

– Nikogo nie chcę.

Za drzwiami zrobiło się cicho.

– Na miłość boską, sułtanko – odezwała się z uporem dziewczyna. – Czy ja jestem nikt?

Musiała zaryzykować wszystko, żeby wypowiedzieć te słowa. Podobnie jak jej los związany był z kilkoma słowami ojca, tak przyszłość Esmy łączyła się z tym, czy Mihrimah nie powie: „Wyrzućcie stąd tę dziewczynę, niech idzie. Nie chcę jej".

Zadrżała pod wpływem tego pełnego niepokoju, smutnego, kruchego głosu. Mihrimah przypomniała sobie, jak pewnego dnia powiedziała jej: „Jesteś moją przyjaciółką. Tak jak moja matka ma Merzukę, ja mam Esmę".

Znów nastała cisza.

Później Esma odezwała się cicho:

– Jeśli chcecie, każcie mi połamać nogi, obciąć język, ale nie zostawię mojej sułtanki samej w tych ciemnościach.

Nie czekając na jej odpowiedź, uchyliła drzwi. Najpierw do pomieszczenia wlało się drżące światło świecy.

– Nie chcę słyszeć ani słowa – mruknęła Mihrimah i odwracając się plecami do drzwi, utkwiła wzrok w oknie.

W szybie zobaczyła odbicie wchodzącej do komnaty Esmy. Światło trzymanej przez nią świecy załamało się na prawej ścianie

i ześlizgnęło się w stronę, gdzie znajdowały się trzy półki.

Esma wyglądała teraz jak wróżka. Było jej wstyd, że posądziła ją o donoszenie na nią matce. „Moja dobra wróżka – przeszło jej przez myśl. – Może ona znajdzie jakieś rozwiązanie? Esma to mądra dziewczyna. Jeśli z nią porozmawiam, może wskaże mi jakąś drogę? Poza tym co dwie głowy, to nie jedna".

Gdy zapłonęły świeczniki w komnacie, zrobiło się trochę jaśniej. Tym razem po cieniu opiekunki zorientowała się, że dziewczyna zmierza w stronę dużych świeczników po lewej stronie. Ponieważ płonące świece rozproszyły nieco mrok spowijający komnatę, sylwetka Esmy odbijająca się w szybie stała się bardziej realna. Zniknęła wróżka, a jej miejsce zajęła piastunka Esma. Poczuła, że iskierka nadziei, która w niej się zatliła, zgasła. „Jak opiekunka ma znaleźć rozwiązanie, skoro ja nie mogę?", powiedziała do siebie.

Gdy Esma zapaliła świece na wielkich świecznikach, magia w oknie, w które wpatrywała się Mihrimah, w jednej chwili znikła.

– Dziękuję – mruknęła. – Możesz już wyjść, Esmo.

Mihrimah wciąż patrzyła w okno, jakby miała przed sobą świat, którym nie mogła się nasycić.

Esma udała, że nie usłyszała rozkazu. Przysiadła przy fotelu, który zajmowała sułtanka. Mihrimah, nie odwracając głowy, spojrzała na dziewczynę.

– Nie słyszałaś? – syknęła. – Powiedziałam, że możesz wyjść. Chcę zostać sama.

Esma, mimo ostrego tonu swojej pani, odczytała w głosie dziewczyny prośbę: „Nie odchodź. Zostań. Potrzebuję z kimś porozmawiać".

– Sułtanko, czy nie nazywałyście swojej sługi przyjaciółką? Skoro tak, jestem gotowa poświęcić życie dla mojej przyjaciółki. Moja szyja może iść pod topór kata, ale do rana nie odejdę od mojej sułtanki. Tyle mam do powiedzenia.

Dopiero wtedy Mihrimah dostrzegła łzy płynące po policzkach Esmy. Chociaż gniew podpowiadał jej: „Wyrzuć ją",

z jej ust wydobyły się całkiem inne słowa:

– Co mam zrobić, Esmo?

Odpowiedzią były drżące od płaczu ramiona dziewczyny.

Mihrimah wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po włosach. Miała wrażenie, że coś utkwiło w jej gardle.

– *Jestem taka bezradna.* – Udało jej się w końcu wydusić. – Nie chcę wychodzić za mąż za tego mężczyznę.

Ześlizgnęła się z fotela na podłogę. Dwie dziewczyny spojrzały na siebie zza zasłony łez tryskających im z oczu. Wyciągnęły ramiona i objęły się. Łzy sułtanki Mihrimah, córki sułtana Sulejmana, władcy świata, i jej opiekunki połączyły się. Los zasypał dzielącą je przepaść.

– Byłaś moją przyjaciółką – wyszeptała Mihrimah. – Teraz stałaś się moją siostrą od łez – dodała po chwili.

Uwolnione lęki i szlochy w jednej chwili wypełniły całą komnatę.

Nie wiedziały, jak długo tak trwały. Esma jako pierwsza przypomniała sobie o niemożliwej do przebycia odległości między nimi. Kto to widział, żeby obejmować córkę padyszacha, głaszcząc ją po twarzy? Gdyby ktoś to zobaczył bądź usłyszał, nawet sułtańska córka nie mogłaby jej ocalić.

Odsunęła się powoli. Mihrimah natychmiast zrozumiała ten gest Esmy. Ona również się podniosła i usiadła na fotelu.

– Cokolwiek robię, nic nie pomaga. Nie wiem, co jeszcze mogę uczynić.

– Ach, moja piękna sułtanko – zaczęła Esma. Jej głos zdradzał, że sama nie wierzy w to, co mówi. – Poczekajcie, niech minie trochę czasu. Szkoda waszych łez. Może niepotrzebnie się martwicie. Skoro powiedziałyście, że tego nie chcecie, wasza matka pewnie odejdzie od tego pomysłu. Wtedy reszta też się ułoży.

– Nie sądzę. Wezwała go do siebie. Rozmawiała z nim. Dostała zgodę mojego ojca. Skoro padyszach wydał rozkaz, oznacza to, że wyjdę za mąż. Myślisz, że jest jeszcze droga odwrotu?

Dziewczyna się zawahała. Nie starczyło jej odwagi, żeby zaprzeczyć.

– Nasz władca uwielbia moją sułtankę. Jest dla niego równie ważna jak cały świat. Nigdy nie pozwoli, żebyście się smuciły. Gdybyście z nim porozmawiały…

– Też o tym myślałam, ale… – powiedziała Mihrimah, łkając. – Ale nie wiążę z tym żadnych nadziei.

Jej ojciec, w dniu, w którym zabrał ją, żeby przysłuchiwała się obradom Dywanu, powiedział: „Jeśli padyszach nie uszanuje własnego rozkazu, lud także go nie posłucha. Dlatego padyszach powinien przemyśleć coś tysiąc razy i powiedzieć raz. Padyszach, który tysiąc razy mówi, a raz myśli, ściąga klęskę. Wszyscy sądzą, że wola jest w rękach tego, kto zasiada na tronie. Tylko ty czasem tak nie myśl, córko. Wola należy do Wielkiego Imperium Osmańskiego. Padyszach robi to, czego wymaga dobro państwa. Musisz wiedzieć, że to ono jest prawdziwą potęgą. Padyszach jest tylko narzędziem”.

Mihrimah opowiedziała opiekunce o słowach ojca.

– Czy padyszach, który tak uważa, skoro raz coś powiedział, wycofa się z tego mimo wydania rozkazu?

– Oczywiście, że nie. Ale nawet jeśli nadzieja była bardzo nikła, to zawsze była.

Esmie nie przychodziło do głowy inne rozwiązanie. Bezradnie opuściła głowę.

– Nie mogę wyjść za mąż za tego człowieka, Esmo.

Opiekunka trochę się uniosła i zbliżyła do swojej pani.

– Czyżby w sercu mojej pani zapłonął ogień miłości? – wyszeptała nagle.

Właściwie takie pytanie między córką padyszacha a jej opiekunką nie przyszłoby nikomu do głowy. Gdyby mur pomiędzy nimi nie runął, w tej krótkiej chwili, gdy padły sobie w ramiona i wspólnie płakały, Esma także by się na to nie zdobyła. Mimo wszystko poruszyła się niespokojnie w obawie, że jej pani się zdenerwuje.

– Nie wiem.

W głosie córki sułtana nie było nawet cienia złości.

– To on? – mruknęła tym razem Esma.

– Kto?

– On. Ten ze statku.

Esma od razu pożałowała swojego pytania.

– Ale jestem głupia – zbeształa się i uśmiechnęła zawstydzona. – Oczywiście, że to on. To jego pokochałyście.

Mihrimah nie mogła potwierdzić, bo nie była tego pewna.

Gdyby matka powiedziała, że chce wydać ją za mąż, zanim zobaczyła tego leventa, też wywołałoby to w niej taką reakcję? Nie wiedziała. „Czy sprzeciwiam się słowu matki i rozkazowi ojca tylko dlatego, że na widok jakiegoś marynarza serce mocniej mi zabiło? – zastanawiała się. – Nie bądź głupia. Nie uciekasz przed Rüstemem, ale przed małżeństwem. Gdyby powiedzieli: «Chodź, oddamy cię temu leventowi», może też byś go nie chciała. Przyznaj to wreszcie. Uciekasz przed pożądaniem, które szatan umieścił w twoich snach i na które patrzyłaś tamtej nocy. Czy to nie ty oznajmiłaś, że jeśli miłością jest to, co oni robili, to tego nie chcesz?”.

W nocy znów nie mogła spać. Kręciła się w łóżku. Esma dotrzymała danego słowa. Gdy ona leżała w łóżku, wpatrując się w sufit, Esma przysypiała, siedząc przy drzwiach. Przy każdym jej westchnieniu zrywała się i sprawdzała, czy niczego jej nie potrzeba.

Mihrimah nagle podjęła decyzję. Poczuła taką pewność, że sama się zdziwiła. „Nie poproszę ojca o nic dla siebie. On da mi to, o co poproszę. Życie bez Rüstema. Nie – życie bez męża”.

Ucisk w sercu, który poczuła, gdy po raz pierwszy usłyszała o małżeństwie, nagle ustąpił. „Poproszę ojca o szesnaście galer dla kapitana Hyzyra – postanowiła. – O urząd bejlerbeja w Manisie dla mojego brata Mehmeda i o miejsce dla Mustafy na samym krańcu piekieł”.

Będzie chciała rzeczy niemożliwych, jak potrząśnięcie światem, ale nie miała wyjścia. Musi tylko poczekać na właściwy moment. Przypomniała sobie słowa matki: „Mądra kobieta nie

musi zadawać sobie trudu światem. Wystarczy, że skłoni do tego mężczyznę".

– Tak, matko – szepnęła bezwiednie. – Nie doceniasz mnie.

Esma, słysząc głos swojej pani, w jednej chwili podbiegła do jej łóżka.

– Słucham, sułtanko? Życzycie sobie czegoś?

– Nie – odpowiedziała beznamiętnym głosem. – Poproszę sułtana Sulejmana, żeby potrząsnął światem.

*

Przez dwa kolejne dni Mihrimah nie opuszczała swojej komnaty. Hürrem poprosiła wszystkie swoje damy dworu i służące, żeby czegoś się dowiedziały, ale nic to nie dało. Jej sułtańska córka nie wysunęła nosa ze swojej komnaty.

Z wyjątkiem trzeciej nocy.

Gdy trzeciego dnia słońce już zachodziło i zbliżał się wieczór, Mihrimah przez chwilę patrzyła w ciszy na opiekunkę zapalającą świece. Dziewczyna od trzech dni ani na chwilę nie zostawiła jej samej. Nawet gdy lekko westchnęła, ona zaraz stała przy jej łóżku i głaskała ją po włosach.

– Esmo?

– Co rozkażesz, sułtanko.

– Przynieś moją bałałajkę.

Dziewczyna nie mogła uwierzyć w to, co słyszy, ale z rozpierającą ją radością pospieszyła do szafy. „Właśnie taka powinna być córka sułtana Sulejmana i Hürrem Haseki – przeszło jej przez myśl. – Niezniszczalna. Gdy świat jej się zawali, powinna otrzepać się i wstać". Chwyciła bałałajkę i natychmiast podbiegła do sofy. Mihrimah ułożyła saz na kolanach. Przez chwilę trwała nieruchomo. Wyobrażała sobie bezkresne stepy, o których opowiadała jej matka. A także ośnieżone szczyty, huczące potoki, motyle fruwające nad żółtymi kwiatami żarnowca.

Palce lewej ręki ułożyła na długim gryfie bałałajki. Prawą dłonią dotknęła kilku strun na pudle instrumentu.

Najpierw po komnacie rozeszła się delikatna melodia drżących strun. Później, pod wpływem silnego dotyku plektronu, mroczna cisza przez trzy dni spowijająca komnatę sułtanki Mihrimah nagle się rozpierzchła. Jej miejsce zajęła wzruszająca melodia wypełniająca serce, porywająca słuchacza i zabierająca go w nieznane światy, do marzeń i snów. Następnie całym haremem zawładnęła podobna do modlitwy pieśń sułtanki Mihrimah:

Nastał wieczór, zapadł mrok,

Na nic blask gwiazd na niebie.

Gdyby choć blade światło rozproszyło ciemność,

Zobaczyliby w moich oczach łzy.

Pieśń rozbrzmiewała we wszystkich korytarzach, każdym zakątku. We wszystkich komnatach nagle przerwano wykonywane czynności. Natychmiast rozpoznano głos córki sułtana Sulejmana. „Śpiewa w języku ojca", powtarzano z uśmiechem. Po głosie Hürrem był to najpiękniejszy głos, jaki słyszano. Jednak było w nim tyle smutku i tyle bólu. Serce ojca wypełniło się cierpieniem. Przez chwilę przyszło mu do głowy, żeby pobiec do komnaty córki i ją przytulić. Pragnął jej powiedzieć: „Skończ już tę piosenkę, zaśpiewaj coś radosnego. Była taka piosenka: *Ciągnij, ha*! Po raz pierwszy słyszałem ją od twojej matki. Zagraj ją, pośpiewamy razem". Ale ani nie mógł do niej pobiec, ani wypowiedzieć tych słów. Mógł tylko słuchać córki, pogrążając się w mrocznych myślach. Co osnuwało serce Mihrimah takim mrokiem, przesłaniało chmurami jego słońce?

Sułtanka Hafsa nie wychodziła już z łóżka. Otworzyła oczy, gdy usłyszała głos Mihrimah.

– Co to? – zapytała. – Hürrem śpiewa? Od lat tęskniłyśmy za jej głosem.

Gdy próbowała się podnieść, z pomocą przybiegła jej dama

dworu. Poprawiła jej poduszki.

– To nie pani Hürrem – powiedziała powoli do swojej pani. – To śpiewa wasza wnuczka.

– Mihrimah?

Kobieta pokiwała głową.

– Otwórz okno. Chcę lepiej słyszeć. Pomyśl tylko, już zapomniałyśmy, jak piękny jest głos sułtanki Mihrimah.

Okna zostały otwarte. Głos Mihrimah objął jej babkę. Staruszka przymknęła oczy i słuchała. Dama dworu przez chwilę się zaniepokoiła. Pochyliła się i sprawdziła oddech swojej pani. Ona również dała się ponieść czarowi tego palącego serce głosu.

Pieśń dotarła także do grubych drzwi komnaty Hürrem. Kobieta wytężyła słuch. Oczy zaszły jej łzami.

– Otwórzcie wszystko! – nakazała damom dworu. – Nie słyszycie? Nasza córka otwiera serce.

Pieśń Mihrimah wypełniła wnętrze.

Ach, gdyby już dzień zaświtał,

Na moim oknie ptak by zawitał.

Medyk mego serca nie uleczy.

Zostawcie, niech róże nade mną zapłaczą…

Merzuka podniosła głowę i spojrzała na przyjaciółkę. Hürrem płakała, przed nikim się z tym nie kryjąc.

– Zupełnie jak ty – wyszeptała.

Hürrem skinęła głową.

– Zupełnie jak ja. Cierpi. Nie ma nadziei. I chyba jest zakochana.

Teraz łzy spływały strumieniami po jej policzkach. Nie mogła się powstrzymać; przysunęła się do Tatarki i położyła głowę na jej ramieniu.

– Merzuko – westchnęła. – Jeśli coś mi się stanie, zabierz moją córkę i ucieknijcie stąd. Zabierz ją na moje stepy.

[1] Bikorn, dwuróg – rodzaj wojskowego nakrycia głowy o szerokim rondzie, z przednią i tylną częścią zawiniętą do góry w taki sposób, że po dwóch stronach tworzą się spiczaste rogi (wszystkie przypisy, jeśli nie oznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

[2] Karol V Habsburg rządził w Hiszpanii jako Karol I.

[3] Właśc. Juliusz Oktawian Medyceusz, wywodzący się z linii bocznej rodu Medyceuszy, z którego pochodził także papież Klemens VII (Giulio de Medici).

[4] Po tym, jak w 1526 roku papież Klemens VII założył wraz z Francją, Mediolanem i Wenecją Ligę Świętą przeciwko Karolowi, ten w 1527 roku najechał na Rzym i uwięził papieża. W 1529 roku oficjalnie podpisali pokój, na mocy którego w 1530 roku Karol został koronowany na cesarza.

[5] Matką Karola V była Joanna I Kastylijska, zwana także Szaloną lub Obłąkaną.

[6] Karol I Wielki – Święty Cesarz Rzymski od 800 roku; po upadku cesarstwa rzymskiego stworzył pierwsze europejskie imperium.

[7] Izabela Portugalska.

[8] Chodzi o Świątynię Jerozolimską, którą zgodnie z Biblią wzniósł król Salomon w ciągu siedmiu dni na wzgórzu Moria („świętej skale”) w północno-wschodniej Jerozolimie, na którym Abraham miał złożyć ofiarę ze swojego syna Izaaka.

[9] Izydor z Miletu i Antemiusz z Tralles – greccy inżynierowie, główni architekci Konstantynopola w czasach panowania cesarza Justyniana I Wielkiego (VI w.); wiele z konstrukcji, przy których budowie uczestniczyli, przetrwało do dziś, jednak najbardziej znani są z prac przy bazylice Mądrości Bożej.

[10] Serasker lub seraskier – naczelny dowódca wojsk w Imperium Osmańskim.

[11] „Dzień dobry”.

[12] „Jestem twoją mamą, kochana córeczko”.

[13] Plektron (pot. kostka, piórko) – przyrząd wykorzystywany

podczas gry na niektórych instrumentach strunowych; może mieć różny kształt, być wykonany z różnych materiałów, a co za tym idzie, mieć różną grubość i giętkość, uzależnioną od instrumentu, do którego jest wykorzystywany.

[14] Lodownia – specjalne pomieszczenie, a często budynek, w którym różnymi sposobami utrzymywano temperaturę bliską zera, nawet podczas największych upałów; służyło przede wszystkim do przechowywania łatwo psującej się żywności.

[15] Gülpembe – imię żeńskie pochodzenia perskiego; oznacza dziewczynę piękną jak „różowa róża" (tur. *gül* – róża, *pembe* – różowy).

[16] Kara Oglan (tur. *Kara Oğlan*) – częste imię bohaterów tureckich baśni (tur. *kara* – czarny, *oğlan* – syn, chłopak).

[17] Alaiye to historyczna nazwa Alanyi, współcześnie popularnego kurortu turystycznego w Turcji. Nazwę tę w XIII wieku nadał miastu sułtan Alaeddin Keykubat I, po zdobyciu go przez Turków Seldżuckich.

[18] Levent – żołnierz pełniący służbę we flocie Imperium Osmańskiego; słowo to w języku tureckim, perskim i włoskim ma zupełnie inne znaczenie, pierwotnie wywodzi się od włoskiego słowa *levantino*, czyli wschodni; Wenecjanie nazywali żołnierzy osmańskich „wschodnimi żołnierzami".

[19] Turgut Reis, Kapitan Turgut (1485–1565) – turecki korsarz, admirał floty osmańskiej, namiestnik Algieru, bejlerbej obszaru Śródziemnomorza oraz bej (a później pasza) Trypolisu, w 1520 roku przyłączył się do Hajraddina Barbarossy, który stał się jego opiekunem i najlepszym przyjacielem.

[20] Tasbih lub subha (z arab. *tasbih*, *sibha*) – muzułmański sznur modlitewny, potocznie zwany często „muzułmańskim różańcem"; zawiera trzydzieści trzy paciorki lub trzy części po trzydzieści trzy paciorki każda; używany jest podczas modlitwy przy wymienianiu tzw. imion Boga, których jest dziewięćdziesiąt dziewięć. Często jednak spotyka się muzułmanów przerzucających palcami paciorki dla zajęcia czymś rąk lub zabicia czasu.

[21] Sążeń – dawna niemetryczna jednostka długości, miała odpowiadać rozpiętości rozłożonych ramion dorosłego mężczyzny, w różnych krajach wynosiła od 170 do 215 cm (w Polsce w różnych okresach od 173 do 179 cm).

[22] Według ówczesnych przekonań i stanu wiedzy oznaczało to cały świat.

[23] Bolero – krótka męska kamizelka wzorowana na stylu hiszpańskim.

[24] Puślisko – skórzany pas, na którym wisi strzemię.

[25] Saggat – instrument perkusyjny popularny na Bliskim Wschodzie i w krajach Afryki Północnej, w obrębie basenu Morza Śródziemnego znany już w czasach starożytnych; składa się z dwóch metalowych, najczęściej mosiężnych talerzy, o różnej wielkości, w zależności od rozmiaru zakładano na palce lub trzymano w dłoniach; uważa się, że instrument ten mógł być prototypem hiszpańskich kastanietów.

[26] Nakkary – rodzaj podwójnych, półkolistych bębnów, zwykle przypinanych do pasa, na których gra się, uderzając w membranę rękami lub pałeczkami, instrument ten był znany w krajach Bliskiego Wschodu i Indii, w XIII wieku, dzięki krzyżowcom trafił do Europy, gdzie rozpowszechniła się jego większa forma – kotły.

[27] Kapykułowie (tur. *kapıkulu*) – dosł. „słudzy dworu”, wojska sułtana, nazwa odnosząca się do wszystkich wojsk pieszych i jezdnych w Imperium Osmańskim.

[28] *Çektiri*, *çekdiri* lub *çektirme* – typ tureckich okrętów będących odpowiednikami greckich trier – trzyrzędowych, starogreckich galer wiosłowych, i rzymskich trirem – trójrzędowców o napędzie żaglowo-wiosłowym.

[29] Kapitan Hyzyr to przydomek osmańskiego admirała Hajraddina Barbarossy.

[30] Gulyabani to potwór z ludowych podań Bliskiego i Środkowego Wschodu.

[31] Hyzyr – dosł. Zielony Człowiek, w wierzeniach ludów tureckich, islamie i krajach Środkowego Wschodu osoba, mądry

starzec, któremu należy się szacunek; pojawia się w trudnych chwilach i pomaga ludziom, ma ponadludzkie siły i jest nieśmiertelny.

[32] Cysterna Bazylikowa, znana również jako Zatopiony Pałac (tur. *Yerebatan Sarayı*) – zbudowana w VI w. przez cesarza Justyniana Wielkiego, największa z kilkuset bizantyjskich cystern, która wciąż znajduje się pod miastem, zaopatrywała w wodę Wielki Pałac położony po drugiej stronie Hipodromu.

[33] Feradże (tur. *ferace*) – okrycie wierzchnie, rodzaj płaszcza noszonego przez kobiety w Imperium Osmańskim, z czasem zastąpiony przez czador i czarczaf.

[34] Ablucja (w islamie: abdest) – nazwa rytualnych obmywań, bez nich muzułmanom nie wolno odprawiać zwykłych pięciu modlitw; polega na obmyciu wybranych części ciała wodą, a w przypadku jej braku piaskiem.

[35] Miletyna – największe miasto i stolica wyspy Lesbos.

[36] Kambuza – kuchnia na statku.

[37] Złoty Róg (tur. *Haliç*) – wąska, głęboko wcięta zatoka Bosforu.

[38] Gest wykonywany podczas modlitwy.

[39] Szagaj (tur. *aşık oyunu*) – historyczna gra ludów tureckich, wymyślona prawdopodobnie na terenach dzisiejszej Turcji i Turkiestanu; w grze wykorzystywane są kości skokowe baranów lub kóz; ma wiele wariantów, takich jak strzelanie, rzucanie, zderzanie kośćmi.

[40] Bandolier lub bandolet (fr. *bandoulière*) – szeroki skórzany lub parciany pas przewieszany najczęściej przez lewe ramię żołnierza, służący do podtrzymywania broni palnej i amunicji.

[41] Hatun (tur.) – dosł. kobieta, żona; turecki tytuł honorowy nadawany kobietom w Imperium Osmańskim, głównie żonom sułtana, chociaż nosiły go również matki, córki i siostry władców; jak większość tureckich tytułów występował po imieniu.

[42] Andrea Doria (1466–1560) – włoski dowódca floty, admirał i genueński polityk, zaufany człowiek cesarza Karola V, przez którego, w zamian za opiekę nad Genuą, został mianowany

dowódcą najsilniejszej floty w zachodniej części Morza Śródziemnego; sławę zdobył, walcząc z muzułmańskimi (głównie pochodzącymi z Imperium Osmańskiego) korsarzami zagrażającymi europejskim wybrzeżom.

[43] *Helal* – dosł. „to, co nakazane", określenie dotyczące wszystkiego, co jest dozwolone w świetle szariatu, w odróżnieniu od tego, co jest *haram*, czyli zabronione.

[44] Imię Salomon w tłumaczeniu na język turecki to Sulejman.

[45] W rzeczywistości Zatoka Gaetańska (wraz z położonym nad nią miasteczkiem Fondi) położona jest na południowo-zachodnim wybrzeżu Włoch i jest częścią Morza Tyrreńskiego.

[46] Zgodnie z wieloma legendami, m.in. z historią o podróżach marynarza perskiego pochodzenia – Sindbadzie, na świecie jest tylko siedem mórz.

[47] Dawna nazwa Manisy.

[48] Eyüp el Ensari był jednym z towarzyszy Mahometa. Meczet na jego cześć, naprzeciwko którego znajduje się mauzoleum, jest jednym z największych w Stambule.

[49] Miasto w północno-zachodniej Albanii, niegdyś należące do Imperium Osmańskiego.

[50] Największe miasto i stolica Kosowa, znajdujące się niegdyś pod panowaniem tureckim.

[51] Mowa o słynnym tureckim architekcie Sinanie.

[52] Al-Fatiha (arab. *sura al-Fatiha*) – sura Otwierająca, pierwsza sura Koranu, a jednocześnie najczęściej odmawiana modlitwa muzułmańska.

[53] Przywiązywanie szmatek to przedmuzułmańska tradycja rozpowszechniona na Bliskim i Środkowym Wschodzie, będąca pozostałością po szamanizmie. Kawałki tkanin przywiązywane były do drzew (uznawanych niegdyś za święte) w przekonaniu, że mając swoje korzenie w ziemi i sięgając gałęziami nieba, mogą zapewnić równowagę między tymi dwiema sferami. Obecnie ta tradycja, chociaż nieakceptowana przez islam, jest nadal żywa. Praktykujący ją wierzą, że dzięki przywiązaniu kawałka tkaniny do drzewa, skały czy grobowca świętego ich prośby zostaną

wysłuchane.

Przekład: Agnieszka Erdoğan

Redakcja: Anita Rejch

Korekta: Agnieszka Trzeszkowska-Bereza, Beata Wójcik

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Małgorzata Maj/Arcangel Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3754-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

